



Brunonia Barry

WRÓŻBY
Z KORONEK

Brunonia Barry

WRÓŻBY Z KORONEK

Z angielskiego przełożyła
DANUTA GÓRSKA



Tytuł oryginału: THE LACE READER

Copyright © Brunonia Barry 2006

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2010

Polish translation copyright © Danuta Górka 2010

Redakcja: Beata Słama

Ilustracja na okładce: Jenni Tapanila

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-844-7

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com

www.merlin.pl

www.gandalf.com.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2010. Wydanie I

Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

*Dla mojego cudownego męża Gary'ego
i magicznych rudych włosów mojej szwagierki Joanne*

CZEŚĆ PIERWSZA

Wróżąca z koronek musi wpatrywać się w kawałek koronki, aż wzór się rozmyje i twarz Szukającej zniknie całkowicie za zasłoną. Kiedy oczy zaczną łzawić i cierpliwość już dawno się wyczerpała, pojawi się przebłysk czegoś nie całkiem widocznego.

W takiej chwili zacznie się formować obraz... w przestrzeni pomiędzy tym, co rzeczywiste, a tym, co wyobrażone.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 1

Nazywam się Towner Whitney. Nie, to nie całkiem prawda. Właściwie mam na imię Sophya. Nigdy mi nie wiercie. Kłamie przez cały czas.

Jestem szalona... Ostatnie zdanie to prawda.

Mój młodszy brat Beezer, który ma łagodniejsze usposobienie niż ja, twierdzi, że szaleństwo jest dziedziczne. „Wywodzimy się z pięciu pokoleń wariatów” – powtarza, jakby z dumą nosił to piętno, chociaż przyznaje, że ja nadałam temu całkiem nowy wymiar.

Zanim się pojawiłam, rodzinę Whitneyów określano pobłażliwie w Salem jako ekscentryczną. Jeśli należysz do starej plutokracji miasta Salem, to nikt nie nazwie cię wariatem, choćby nawet twoje pieniądze już dawno przepadły. Mogą cię uznać za oryginała, nawet za dziwaka, ale zdecydowanie ulubione słowo w takich przypadkach to „ekscentryczny”.

Z pokolenia na pokolenie mężczyźni z rodu Whitneyów słynęli ze swojej ekscentryczności: od kapitanów żeglugi

wielkiej i przemysłu po mojego młodszego braciszka Beezera, powszechnie znanego w kołach naukowych dzięki artykułom na temat fizyki cząstek elementarnych oraz teorii strun.



Nasz prapradziadek na przykład wykorzystał swoją krępującą słabość do damskich stóp, żeby zrobić błyskotliwą karierę jako kapitan przemysłu w kwitnącej branży obuwniczej w Lynn. Nasz praprapradziadek, prawdziwy kapitan, zdradzał skłonność do wachania cynamonu, graniczącą wręcz z obsesją. W końcu zbudował flotę statków do handlu przyprawami, które pływały po całej kuli ziemskiej i uczyniły z Salem jeden z najbogatszych portów Nowego Świata.

Każdy jednak przyzna, że to kobiety z rodziny Whitneyów wzniosły ekscentryczność na nowy, wyższy poziom. Na przykład moja matka May to chodząca sprzeczność sama w sobie. Zdeklarowana samotnica, która (z wyjątkiem aresztowań) nigdy nie opuściła wyspy, gdzie mieszka prawie od dwudziestu lat, May zdołała jednak ożywić z dawna zapomniany przemysł koronczarski i przy okazji zdobyć sławę. Zyskała fatalną reputację, jako że spieszyła na ratunek maltretowanym kobietom i dzieciom, wywracała ich życie do góry nogami, zatrudniała kobiety w swoim kwitjącym interesie, a dzieci uczyła w domu. I to wszystko robiła osoba cierpiąca na wściekłą agorafobię, która w napadzie szczodrości oddała jedno z własnych dzieci, ponieważ, jak sama wtedy mówiła: „Wynikła taka potrzeba, a poza tym Bóg ją pobłogosławił identyczną parką”.

A moja cioteczna babka Eva, która zawsze była dla mnie matką bardziej niż May, również jest dziwna. Eva, która grubo

po osiemdziesiątce wciąż prowadzi własną firmę, słynie jako bostońska braminka i czarownica z Salem, chociaż nie jest ani jednym, ani drugim. W rzeczywistości Eva jest staroświecką unitarianką o skłonnościach transcedentalnych. Cytuje Biblię jednym tchem z Emersonem i Thoreau. Jednak w ostatnich latach Eva wygłasza same banały, jakby używanie wyświechtanych metafor mogło jakoś odsunąć ją od nieuniknionych zdarzeń, za których przepowiadanie jej płacą.

Przez trzydzieści pięć lat Eva prowadziła herbaciarnię dla pań i z powodzeniem udzielała lekcji etykiety bogatym dzieciakom z bostońskiego North Shore. Zapisła się jednak w ludzkiej pamięci dzięki swojej niesamowitej zdolności do wróżenia z koronek. Ludzie przyjeżdżają z całego świata, żeby Eva im powróżyła. Ona potrafi całkiem dokładnie odczytać przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, trzymając koronkę przed twarzą klienta i mrużąc oczy.

W takiej czy innej formie wszystkie kobiety z rodziny Whitneyów potrafią wróżyć. Moja bliźniaczka Lyndley twierdziła, że nie umie czytać koronek, ale nigdy jej nie wierzyłam. Kiedy ostatnim razem próbowałyśmy, zobaczyła we wzorach to samo co ja. To, co widziałyśmy tamtej nocy, skłoniło ją do dokonania wyborów, które w końcu ją zabiły. Po śmierci Lyndley przysięgłam sobie, że nigdy więcej nie spojrzę na koronkę.

To jedna z nielicznych spraw, w których nie zgadzamy się z Evą. „Przecież to nie koronka zawiniła” – perswadowała mi w kółko. „Zawiodła tylko interpretacja wróżącej”. Wiem, że w ten sposób chce mnie pocieszyć. Eva nigdy nie rani nikogo z rozmysłem. Ale Lyndley i ja tak samo interpretowałyśmy koronkę tamtej nocy i chociaż dokonałyśmy odmiennych wyborów, żadne słowa Evy nie wskrzeszą mojej siostry.

Po śmierci Lyndley musiałam wyjechać z Salem i wylądowałam w Kalifornii, czyli tak daleko, jak tylko mogłam, nie spadając przez krawędź świata. Wiem, że Eva pragnie, żebym wróciła do Salem. Twierdzi, że to dla mojego dobra. Ale nie mogę się na to zdobyć.

Niedawno, kiedy miałam histerektomię, Eva przysłała mi swój koronczarski wałek, ten, którego używa do robienia koronek. Dostarczono go do szpitala.

– Co to jest? – zapytała pielęgniarka. – Poduszka?

– To koronczarska poduszka – odparłam. – Do wyrobu koronek klockowych.

Popatrzyła na mnie pustym wzrokiem. Widziałam, że jest zbita z tropu. Poduszka wcale nie wyglądała jak zwykła poduszka. I co to jest koronka klockowa, do cholery?

– Przyciskaj ją do szwów, jeśli będziesz musiała zakaszleć albo kichnąć – poradziła w końcu. – Do tego tutaj używamy poduszek.

Pomacałam poduszkę, aż znalazłam sekretną kieszonkę. Wsunęłam do niej palce, szukając liściku. Nic.

Eva ma nadzieję, że znowu zacznę wróżyć z koronek. Ona wierzy, że wróżenie z koronek to dar od Boga i że powinniśmy używać darów, które otrzymaliśmy.

Wyobrażam sobie liścik, jaki mogła napisać: *Komu wiele dano, od tego wiele wymagać się będzie**. Często przytaczała ten fragment Pisma jako argument.

* Łk 12, 48, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, wydawnictwo Pallotinum, Poznań 2003.

Umiem czytać koronki i umiem czytać w myślach, chociaż nie staram się tego robić, to po prostu czasami się zdarza. Moja matka potrafiła jedno i drugie, ale z biegiem lat May stała się

praktyczną kobietą, wierzącą, że poznanie czyichś myśli albo czyjejś przyszłości często nie leży w jego najlepszym interesie. Chyba tylko w tej jednej kwestii zawsze się z nią zgadzałam.

Kiedy opuszczałam szpital, ukradłam jedną powłoczkę. Pieczętka Hollywood Presbyterian odbiła się po obu stronach. Wepchnęłam do powłoczki koronczarski wałek Evy, schowałam nici, sploty i klocki podobne do kości, dyndające po bokach niczym małe wahadła Poego.

Jeśli istniała dla mnie jakaś przyszłość, w co nie bardzo wierzyłam, nie zamierzałam ryzykować odczytywania jej z koronek.

Każda Wróżąca musi wybrać kawałek koronki. Wyboru dokonuje na całe życie. To może być wzór przekazywany z pokolenia na pokolenie albo wybrany przez Wróżącą ze względu na jego piękno i tradycję. Wiele Wróżących woli ręcznie robione koronki, zwłaszcza koronki ze starego Ipswich albo koronki wyrabiane obecnie przez kobiety z Wyspy Żółtego Psa.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 2

Kiedy dzwoni telefon, śnię o wodzie. Nie o ciepłych błękitach i zieleniach kalifornijskich plaż, ale o ciemnym nowoangielskim Atlantyku mojej młodości. We śnie płynę na księżyc. Jak wszystkie sny, ten również wydaje się logiczny. W ogóle nie zdaję sobie sprawy, że żadna ścieżka nie prowadzi z morza na księżyc.

Płynę własnym stylem: trochę żabką, trochę unosząc się na wodzie, powoli i wytrwale, w rytmie zapamiętanym z innego życia. Ruchy oszczędne, tylko oczy, nos i uszy wystają z wody, usta zanurzone. Z każdym pchnięciem w przód małe słone fale wlewają się do moich otwartych ust, po czym cofają się, kiedy zwalniam, odbijając otaczający mnie ocean. Wszędzie są odbicia, jeśli patrzeć uważnie. Tak zawsze mówiła Eva. Istnieją światy poza tym światem.

Płynę przez długi czas. Zostawiam za sobą zatokę i fale przyboju. Zostawiam za sobą ląd. Płynę, aż morze staje się

spokojne i przejrzyste, zbyt nieruchome jak na prawdziwy ocean. Blask wyśnionego księżyca w pełni rysuje wyraźną ścieżkę na czarnej wodzie, wyznacza mi drogę. Ciszę mąci tylko mój oddech, powolny i miarowy, kiedy płynę. To był dawniej sen mojej siostry. Teraz należy do mnie.



Rytmiczne ruchy przechodzą w rytmiczne dźwięki, kiedy telefon dzwoni raz za razem. To jeden z nielicznych aparatów, które wciąż jeszcze naprawdę dzwonią, i częściowo dlatego zgodziłam się opiekować tym domem. Taki telefon mogliśmy mieć na wyspie. To jedyna interesująca rzecz, która mi się przydarzyła. Zachęcają mnie, żebym ponownie spisała swoją historię. W historii, którą piszę, May naprawdę ma telefon.

Moja terapeutka, doktor Fukuhara, to wyznawczyni Junga. Wierzy w symbole i cienie. Podobnie jak ja. Ale na razie moja terapia została przerwana. „Znalazłyśmy się w impasie”, jak to ujęła doktor Fukuhara. Roześmiałam się, kiedy to powiedziała. Nie dlatego, że to było zabawne, ale dlatego, że takimi banaliami posługiwała się moja ciotka Eva.

Po czwartym dzwonku włącza się automatyczna sekretarka. Sekretarka też jest stara, nie tak stara jak telefon, ale z tego rodzaju, że możesz sprawdzać telefony i odsłuchać kawałek wiadomości, zanim zdecydujesz, czy warto rozmawiać z żywą osobą.

Głos mojego brata wydaje się blaszany i zbyt donośny.

Wyciągam rękę, żeby podnieść słuchawkę, rozrywając szwy, które jeszcze mam w sobie, te, które jeszcze się nie wchłonęły.

– Co? – pytam.

– Przepraszam, że cię obudziłem – mówi Beezer.

Pamiętam, że wczoraj w nocy zasnąłam na tej kanapie, zbyt zmęczona, żeby się podnieść, zahipnotyzowana zapachem nocnego jaśminu i muzyką Santany za wzgórzem, u Greka.

– Przepraszam – powtarza Beezer. – Nie dzwoniłbym do ciebie, ale...

– Ale May znowu ma kłopoty.

Beezer dzwoni tylko z tego powodu. Według ostatnich obliczeń May została aresztowana sześć razy. Niedawno mój brat poinformował mnie, że wpisał numer miejscowego poręczyciela kaucji do opcji szybkiego wybierania w swoim telefonie.

– Nie chodzi o May – odpowiada. Ściska mnie w gardle.

– To Eva.

Nie żyje, myślę. O mój Boże, Eva nie żyje.

– Zaginęła, Towner.

Zaginęła. To słowo nic nie znaczy. „Zaginęła” to ostatnie, co spodziewałam się usłyszeć.

Pierzaste liście palm tłuką w otwarte okno. Jest już o wiele za gorąco. Czyste niebo nad Santa Ana, pogoda jak przed trzęsieniem ziemi. Podnoszę rękę, żeby zamknąć okno. Kot przejeżdża mi pazurami po nogach, zmykając na wolność, do kanionu, wyskakuje przez okno, które zamyka się z hukiem i przytrząskuje jedynie kilka włosków z ogona, ostatni ślad czegoś, co było tu zaledwie przed chwilą i już zniknęło, tak szybko. Zadrapania na moich nogach natychmiast zaczynają nabrzmiewać.

– Towner?

– No?

– Chyba lepiej wracaj do domu.

– Tak – mówię – tak, okay.

To się nazywa koronka z Ipswich albo koronka klockowa. Kobiety wiążą ją na wałku trzymanym na kolanach. Wałki są okrągłe albo eliptyczne, najbardziej przypominają mufki, jakie nosiły wiktoriańskie damy, żeby ręce im nie marzły podczas jazdy powozem. Każda kobieta szyje własny wałek, dlatego wałki różnią się tak samo jak kobiety. W Ipswich wałki zszywa się z kawałków starych tkanin i wypycha trawą z wydm.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 3

„Salem News” już podchwyciły temat. *Starsza pani zaginiona od dziesięciu dni i Koronkowa wróżka z Salem znika.* Eva dawniej przysyłała mi tę gazetę. Mniej więcej w okresie, kiedy May zaczęła trafiać na pierwsze strony. Przez jakiś czas nawet to czytałam. Zatargi mojej matki z policją, dotyczące taktyki ratowania maltretowanych kobiet, stały się sławne i zwiększały nakład. W końcu przestałam czytać gazety i zostawiałam je na ganku, w opaskach, aż mój gospodarz miał dość i zabierał je do Santa Monica do recyklingu albo w zimie związał je ciasno i palił nimi w kominku jak polanami.

Gazeta spekuluje, że Eva po prostu dokądś powędrowała. Kobieta z Komisji do spraw Starości sugeruje w wywiadzie, żeby oznakować wszystkich starszych mieszkańców Salem. Powstaje interesujący obraz – gliny z karabinami na strzałki usypiające i znacznikami-kolczykami urządzają obławę na

starych ludzi. Rozumiejąc, że posunęła się za daleko, kobieta mówi dalej: „Takie rzeczy ciągle się zdarzają. Salem to małe miasto. Na pewno nie odeszła daleko”.

Widocznie ta kobieta nie знаła mojej ciotki.



Schodzę z promu na Derby Street, kilka przecznic od Domu Siedmiu Dachów, gdzie dorastała kuzynka Hawthorne'a. Nadało mi imię po żonie Nathaniela Hawthorne'a, Sophii Peabody, chociaż pisownia jest odmienna: moje imię pisze się „Sophya”. Dorastałam w przekonaniu, że pani Peabody była moją daleką krewną, ale potem dowiedziałam się od Evy, że między nami a rodziną Peabody nie ma żadnego pokrewieństwa, że May po prostu uznała Sopię za interesującą i ją zawłaszczyła. (Teraz widzicie, skąd się bierze rodzinna skłonność do kłamstwa). Zanim zaczęłam się tym przejmować, i tak prawie nie rozmawiałam z May. Przeprowadziłam się do ciotki Evy. Zmieniłam imię na Towner i nie przyznawałam się do żadnego innego. Więc to nie miało wielkiego znaczenia.

Idę przez długi czas. Plaster estrogenowy na moim ramieniu zaczyna swędzieć. Dostałam od niego wysypki, ale nie wiem, jak temu zaradzić, najwyżej oderwę to cholerstwo. Przypuszczam, że wysypka wyskoczyła od upału. Zapomniałam już, jak gorąco bywa latem w Nowej Anglii i jak wilgotno. Przedemną roją się turyści. Autobusy stoją na parkingu przed Siedmioma Dachami, blokując obie strony ulicy. Ludzie spacerują w grupkach, trzaskają zdjęciami, wpychają pamiątki do przepelnionych torebek.

Za każdym rogiem czyha lekcja historii. Przedemną wznosi się Urząd Celny ze złotym dachem. Tam Hawthorne pracował na posadzie otrzymanej dzięki protekcji. Wykorzystując

miejscowych jako materiał opowieści, ujawniając ich sekrety, praktycznie wypisał się z miasta. Uciekł na zachód do Concord, zanim mieszkańcy Salem przypomnieli sobie stare sposoby ze smołą i pierzem. Niemniej obecnie szczycą się nim jak swoim. Podobnie szczycą się czarownicami, których wcale nie było w czasach procesów czarownic, ale teraz prosperują tutaj w wielkiej liczbie.



Jakiś dzieciak podchodzi do mnie, pyta o drogę na Błonia. Właściwie troje dzieciaków, dwie dziewczynki i chłopiec. Wszyscy na czarno. Goci, myślę w pierwszej chwili, ale nie, stanowczo młode czarownice. Ostatecznie zdradza ich koszulka jednej z dziewcząt z napisem NIECH BĘDZIE BŁOGOSŁAWIONA.

Pokazuję.

– Idźcie żółtą ceglaną drogą – mówię.

Właściwie to linia dla turystów namalowana na jezdni, czerwona, nie żółta, ale oni rozumieją. Przechodzi człowiek w wielkiej masce potwora Frankensteina, rozdaje ulotki. Chcę zawołać sekretarkę planu, ale nie jesteśmy na planie filmowym. Radiowóz zwalnia, gliniarz spogląda na dzieciaki, potem na mnie. Chłopiec dostrzega logo czarownic na drzwiach policyjnego samochodu, pozdrawia gliniarza podniesionym kciukiem. Frankenstein podaje każdemu z nas ulotkę Pokazu Dziwolągów i kicha wewnątrz wielkiej, pustej głowy. „Darmowa rozrywka dla mas – tak Beezer nazywa to miejsce. Słyszałam od brata, że Salem usiłuje pozbyć się wizerunku Miasta Czarownic. Mówił mi w zeszłym roku, że władze miejskie próbują przepchnąć rozporządzenie o ograniczeniu liczby nawiedzonych domów, które można zbudować w jednym kwartale

ulic. Z tego, co widać, rozporządzenie nie przeszło.

Druga dziewczyna, ta niższa, chwyta się za głowę, ciągnie powoli, aż strzela jej w szyi. Celtycki węzeł wytatuowany na karku, włosy o wiele za ciemne przy tak jasnej skórze.

– Chodźcie, idziemy – mówi do chłopaka, łapie go za ramię i odciąga ode mnie.

– Dzięki – rzuca chłopak.

Nasze spojrzenia się spotykają, na jego twarzy błyska szybki uśmiech. Ona wchodzi pomiędzy nas, obraca go zamasyście niczym wielki statek, który chce utrzymać na kursie. Idę za nimi w tę samą stronę, do domu Ewy, ale utrzymuję bezpieczny dystans, żeby nie pomyślała, że chodzi mi o chłopaka.

Czeka mnie długi spacer w kierunku Błoni. Słyszę muzykę i dopiero potem widzę tłum – to muzyka natury, New Age. Zupełnie jakbyśmy się cofnęli do Woodstock, gdyby nie przewaga czarnych ubrań. Zastanawiam się, jakie to święto, jaka pogańska uroczystość. Liczę dni i wychodzi mi, że to chyba letnie przesilenie, chociaż spóźnione o jakiś tydzień. Mieszkając w L.A., zapominam o porach roku. Tutaj nadejście lata świętują wszyscy, poganie czy nie.

Błonia Salem, z ogromnymi dębami i gotyckim ogrodzeniem z kutego żelaza, przywołują utracone szkolne wspomnienia. Dawniej pod Błoniami biegły tunele, po procesach czarownic, ale jeszcze przed rewolucją. Kupcy morscy prawdopodobnie ukrywali w tych tunelach szmuglowane towary przed angielskimi poborcami podatkowymi; przynajmniej tak głosiła legenda. Kiedy wreszcie wybuchła wojna o niepodległość, z tuneli korzystali korsarze, w gruncie rzeczy to samo co piraci, tyle że na rządowej licencji. Nie angielskiej, jako że kradli brytyjskie statki – ale licencji nowego rządu. Podobno trzymali

tam również amunicję i saletrę. Beezer i ja szukaliśmy tuneli jako dzieci, ale Eva nam powiedziała, że wszystkie zostały zasypane.

Skręcam za róg przy hotelu Hawthorne i widzę niski błękitny płomyk starej oszklonej maszyny do popcornu, która wciąż stoi na rogu jak co roku, odkąd moja matka była małą dziewczynką. Obok na prowizorycznym straganie sprzedają różdżki i kryształy, ale to nowość. Po drugiej stronie ulicy wznosi się imponujący pomnik Rogera Conanta, który poniósłszy klęskę przy realizacji swojego pierwotnego celu w Cape Ann, w końcu założył miasto, nazwane później Salem. Przypomina mi się banał, który Eva powtarzała co najmniej dziesięć razy na tydzień: „Nie ma czegoś takiego jak przypadek”. Po czym nieuchronnie następowało: „Nic się nie dzieje bez powodu”.

Gliny są wszędzie: na rowerach, rozmawiają z ludźmi, żądają zezwolenia na palenie ognia. Słyszę, jak jeden mówi:

– Nie możecie tutaj tego robić. Jeśli chcecie rozpalić ognisko, musicie pójść na Szubieniczne Wzgórze albo na plażę.



Przecinam ulicę. Otwieram bramę domu Evy, dociera do mnie woń kwiatów z ogrodu. Rosną ich tam setki, peonie drzewiaste na małych krzaczkach, które umierają każdej zimy. Eva dobrze urządziła swój ogród. Zostawiała mi klucz w kwiecie peonii, kiedy wiedziała, że przyjdę. Albo wkładała go do kielicha liliowca w późniejszej porze roku, kiedy peonie już nie kwitły. Zapomniałam o tym. Ale teraz jest za dużo kwiatów. Nigdy nie znalazłabym klucza, a ona oczywiście tym razem go nie zostawiła, ponieważ się mnie nie spodziewała.

Ceglany dom jest większy, niż zapamiętałam. Starszy i bardziej majestatyczny. Wyniosłe kominy przechylają się na

nawietrzną. Na tyłach, z dala od tłumów na Błoniach, znajduje się powozownia, połączona z głównym budynkiem zimową werandą. Powozownia jest bardziej zniszczona niż sam dom – pewnie na skutek kapryśków pogody i zaniedbania – i jakby się opierała na werandzie, która z powodu podeszłego wieku zapada się pod jej ciężarem. Lecz szyby ze starego falistego szkła lśnią, nieupstrzone solą z morskiego powietrza, co znaczy, że Eva myła je niedawno, tak jak myje wszystkie okna, których może dosięgnąć (nawet w wieku osiemdziesięciu pięciu lat). Robi to zawsze w kwietniu, kiedy przychodzi pora wiosennych porządków. Pucuje wszystkie okna na parterze oraz okna na wyższych piętrach od wewnątrz. Po zewnętrznej stronie okna na piętrach pokrywa nalot soli, ponieważ Eva, oszczędna jak stara jankeska, nie chce nikomu płacić za pracę, którą jej zdaniem mogłaby wykonać sama. Kiedy Beezer i ja mieszkaliśmy z Evą, zgłosiliśmy się do pomocy przy oknach, ona jednak nie chciała kupić drabiny i oświadczyła, że i tak nie pozwoli nam łązić po drabinach, więc w końcu przywykliśmy do zamglonych, zniekształconych widoków. Kto chce widzieć wyraźnie, musi wyglądać przez okna na parterze albo wdrapać się aż na taras.

Idealna linia okien na parterze błyska do mnie z zimowej werandy. W falistym szkłe dostrzegam swoje odbicie, które wprawia mnie w zdziwienie. Odeszłam stąd, kiedy miałam siedemnaście lat. Nie wracałam przez piętnaście lat. Znałam swoje odbicie w szybie jako siedemnastolatka, dzisiaj jednak nie rozpoznaję kobiety, którą tam widzę.

Godziny otwarcia herbaciarni podano na kartce wywieszonej na frontowych drzwiach. O boczną szybę opiera się tabliczka z napisem: ZAMKNIĘTE, PRZEPRASZAMY.

Młoda dziewczyna widzi, jak podchodzę do domu.

– Nikogo tam nie ma – mówi, biorąc mnie za jedną z czarownic. – Już sprawdzałam.

Kiwam głową i schodzę po stopniach. Kiedy dziewczyna znika mi z oczu, przechodzę na tył domu, bo nie chcę, żeby mnie widziano, jeśli będę musiała się włamać.

W dzieciństwie moja siostra Lyndley i ja potrafiłyśmy się włamać do każdego domu. Po mistrzowsku otwierałam zamki wytrychem. Wchodziłyśmy do cudzych domów tylko po to, żeby w nich posiedzieć, Jak królowa Śnieżka próbująca owsianki i sprawdzająca łóżeczka” – mawiała Lyndley. Wybierałyśmy głównie letnie domki po zakończeniu sezonu. Pewnego razu w Willows włamałyśmy się do domu i posprzątałyśmy. Tylko dziewczyna zrobi coś takiego. Przystępczyni, owszem, ale również gospodyni.

Okrażam po wozownię i przystaję w mniej widocznym miejscu, częściowo ukrytym w ogrodzie. W drzwiach jest mała szybka z wypukłego szkła, już pęknięta. Wystarczy wejść do powozowni, a stamtąd raz dwa dostanę się do głównego domu. Podnoszę kamień, owijam go rękawem koszuli. Szybkie stuknięcie i rysa się poszerza. Ostrożnie wyjmuję kawałki szkła, wsuwam rękę w niewielki otwór i przekręcam uchwyt zasuwki, która przytrzymuje prosto wypaczone drzwi. Albo zamek zarzewiał, albo ja, bo nie przewidziałam, że drzwi same się otworzą. Pociągają za sobą moje ramię, szkło rozcina bawełnianą koszulę, płynie krew. Patrzę na kałużę krwi. Nie tak źle; krwi jest niewiele, zwłaszcza w porównaniu z tym, do czego przywykłam. „Tylko małe skaleczenie, panie władzo” – mówię w myślach, naśladując Jimmy'ego Cagneya. I rzeczywiście podjeżdża radiowóz, jak na zamówienie, a co najśmieszniejsze, z samochodu wysiada ojciec mojego dawnego chłopaka Jacka i idzie w stronę domu. Dziwne, bo ojciec Jacka jest poławiaczem

homarów, nie gliną. Przeżywam jedną z tych chwil, kiedy człowiek myśli, że to wszystko tylko mu się śni, chociaż lepiej na to nie liczyć. Patrzę na ojca Jacka, który do mnie podchodzi z miną na wpół zmartwioną, na wpół uradowaną, i wygląda obco jak nikt dotąd w moim śnie na jawie.

– Trzeba było zadzwonić na komisariat – mówi. – Mamy klucz.

To nie głos ojca Jacka, tylko jego młodszego brata, którego wreszcie rozpoznaję.

– Cześć, Jay-Jay – odzywam się po chwili, bo właśnie sobie coś przypomniałam: Beezer mi powiedział, że Jay-Jay jest gliniarzem.

Obejmuje mnie.

– Dawno cię nie widziałem – dodaje, myśląc na pewno, jak fatalnie wyglądam, przeglądając w głowie listę możliwości. Powstrzymuję odruch, żeby go poinformować, że właśnie wy-cięli mi macicę, że mało się nie wykrwawiłam na śmierć, zanim trafiłam na ostry dyżur.

– Krwawisz – mówi, dotykając mojego ramienia. Miejscowe gliny nie boją się krwi tak jak gliny w L.A.

– Tylko małe skaleczenie, panie władzo – mówię zbyt głośno.

On prowadzi mnie do środka i każe mi usiąść przy kuchennym stole. Mam teraz gołe ramiona, przyciskam do przedramienia papierowy ręcznik.

– Trzeba założyć szwy – ocenia Jay-Jay.

– To nic takiego.

– Przynajmniej posmaruj to neosporinem. Albo tym ziołowym świństwem, które sprzedaje Eva.

– Nic mi nie jest, Jay-Jay – rzucam trochę za ostro.

Długie milczenie.

– Przykro mi z powodu Evy – mówi wreszcie on. – Żałuję, że nie mam ci niczego nowego do powiedzenia.

– Ja też.

– Te gadki o alzheimerze to bzdura. Widziałem ją tydzień przed zniknięciem. Wciąż była bystra jak diabli. – Myśli przez chwilę. – Powinnaś pogadać z Raffertym.

– Z kim?

– Detektyw Rafferty. Swój człowiek. On prowadzi tę sprawę.

Rozgląda się po pokoju, jakby coś tam widział, coś chciał powiedzieć, ale potem zmienia zdanie.

– Co?

– Nic... Powiem Rafferty'emu, że tu jesteś. Będzie chciał z tobą pogadać. Chociaż dzisiaj jest w sądzie. Drogówka. Pod żadnym pozorem nie wsiadaj z nim do samochodu. To najgorszy kierowca na świecie.

– Okay – mówię, zastanawiając się, dlaczego Jay-Jay w ogóle dopuszcza możliwość, że Rafferty zaprosi mnie na przejażdżkę. Milczymy niezręcznie i żadne z nas nie wie, jak zakończyć ten temat.

– Dobrze wyglądasz – mówi on w końcu. – Jak na starszą panią w wieku... ile masz lat, trzydzieści jeden?

– Trzydzieści dwa.

– Jak na trzydzieści dwa lata, wyglądasz świetnie – ocenia i wybucha śmiechem.

Nie wchodzę do głównej części domu, dopóki Jay-Jay nie wyjdzie. Gdy tylko otwieram drzwi, uświadamiam sobie, że wszyscy popełnili ogromną pomyłkę.

Eva jest tutaj, w domu. Czuję ją. Jej obecność jest tak silna, że chcę biec za Jay-Jayem, powiedzieć mu, żeby odwołał

poszukiwania, że ona wróciła, ale radiowóz skręcił już za róg, więc będę musiała zadzwonić na komisariat.

Ale najpierw muszę się zobaczyć z ciotką Evą. Widocznie pojechała na wycieczkę i nikogo nie uprzedziła. Pewnie nawet nie wie, że całe miasto jej szuka.

– Eva! – wołam ją.

Nie odpowiada. Słuch ma już nie najlepszy. Wołam drugi raz, głośniej. Wciąż nie odpowiada, ale wiem, że ona tu jest. Na górze, na tarasie, albo na dole, w piwnicy zielarskiej, mieszka nowy rodzaj herbaty, coś z bergamotką i esencją kumkwatu. A może wcale nie wyjeżdżała, myślę sobie, chociaż wiem, że to niemożliwe. Na pewno przeszukali dom. Przynajmniej zakładam, że przeszukali. Czy nikt tu nie wszedł, na litość boską? May? Nie, ona by nie przyszła, niech ją szlag. Ale gliniarze przyszli. Albo mój brat. Oczywiście, że Beezer szukał. Oczywiście, że zrobili to w pierwszej kolejności. Przecież nie zgłosiliby zaginięcia Ewy, gdyby naprawdę nie zaginęła. Ale teraz wróciła. To jasne jak słońce, myślę i śmieję się głośno, ponieważ wciąż powtarzam banały Ewy.

– Hej, Eva! – wołam, chociaż wiem, że jest przygłucha, ale próbuję. – Eva, to ja.

Nie bardzo wiem, skąd zacząć szukanie. Stoję w holu. Przed sobą mam dwa jednakowe salony z czarnymi marmurowymi kominkami, umieszczonymi naprzeciwko siebie na końcach długich pokojów. Jeden pokój jest zamknięty, ten, z którego Eva zrobiła herbaciarnię. Wchodzę do drugiego. Przypomina bardziej salę balową niż salon. Kominek wygląda pusto bez ognia albo zwykłych dekoracji kwiatowych Ewy. Krzesła stoją rozmieszczone symetrycznie i strategicznie jak na szachownicy. Spoglądam na olbrzymie wiszące schody. Wiem, że teraz powinnam wejść na górę, ale postanawiam sprawdzić najpierw

herbaciarnię, potem drugą kuchnię i piwniczkę zielarską, gdzie Eva sporządza herbaty. Wołam do niej, mówię głośno, kiedy idę, żeby mnie usłyszała z daleka. Nie chcę się podkradać, żeby jej nie przestraszyć, żeby nie dostała ataku serca albo czegoś takiego.

Pewnie jest na górze. Nie wolno mi jeszcze wchodzić po schodach, ale wołam ją i dochodzę do wniosku, że muszę tam wejść. Podciągam się na poręczy, ale już łatwiej mi wchodzić niż kilka dni temu, chociaż przy każdym kroku czuję naciągnięte szwy. Kiedy docieram na podest pierwszego piętra, kręci mi się w głowie. Muszę usiąść na ławce i odczekać, aż wszystko przestanie wirować. Wreszcie wstaję i idę do pokoju Ewy. Stare łożo z baldachimem w rogu, kominek, szafa. Łóżko jest pościelone, poduszki spulchnione. Podnoszę poduszkę i wącham, spodziewając się zapachu Ewy. Zamiast tego poszewka pachnie wodą pomarańczową, w której Eva zwykle płucze pościel. Widocznie ostatnio zmieniała bieliznę pościelową. Sprawdzam garderobę. Ubrania wiszą na wieszakach w największym porządku. W koszach nie ma prania, co znaczy, że Eva już wyprała brudne prześcieradła i powłoczki.

Spędzałam dużo czasu w tym pokoju, kiedy Eva przyjęła mnie do siebie, dużo czasu nawet w tej garderobie, co pewnie uznała za dziwactwo, ale nigdy o tym nie mówiła. Eva nie jest moją krewną; była drugą żoną mojego dziadka G.G. A jednak rozumie mnie lepiej niż matka, która nigdy mnie nie rozumiała.

Na pierwszym piętrze znajduje się jeszcze sześć sypialni. Wszystkie oprócz jednej Eva zamyka na zimę. Właściwie teraz w ogóle ich nie otwiera, chyba że spodziewa się gości, co zdarza się coraz rzadziej – przynajmniej tak mi mówi co tydzień, kiedy do mnie dzwoni. Powoli przechodzę przez wszystkie

pokoje, szukając jej, mówiąc głośno. Białe duchy mebli stoją nakryte prześcieradłami dla ochrony przed kurzem.

Wyczerpana, wchodzę na drugie piętro. Nawet teraz, w wieku osiemdziesięciu pięciu lat, moja cioteczna babka ma więcej energii ode mnie. Nie wiadomo skąd wiem, że ona jest tam, na drugim piętrze.

– Eva – powtarzam. – To ja, Towner.

Powoli wspinam się po schodach, tutaj węższych, przytrzymując się obu poręczy. Jestem taka zmęczona.

Drugie piętro należy do mnie. Eva oddała mi je tej zimy, kiedy się do niej wprowadziłam, częściowo żeby mnie pocieszyć, kiedy musiałam opuścić wyspę, którą tak kochałam, częściowo dlatego, że na drugim piętrze jest taras, z którego mogłam korzystać, żeby mieć oko na wszystko, zwłaszcza na May, wciąż samotną na wyspie, odmawiającą wyjazdu. Oprócz sporadycznych spacerów na taras Eva wcale teraz nie używa tych pokoi i jak często mi powtarza, niczego tam nie zmieniła, odkąd się wyprowadziłam. „Czekają na ciebie” – mówi zawsze i dorzuca jakiś frazes w rodzaju: „Nie ma jak w domu”.

Najpierw idę na taras, ponieważ wiem, że tylko tam poszła by Eva, gdyby pofatygowała się na górę. Ale jej tam nie ma. Jest tylko gniazdo mew, nie wiem, czy nowe, czy pozostałe z dawnych czasów. Stoję samotnie na szczycie czegoś, co dawniej było moim światem. Jak często siedziałam tutaj po nocach i pilnowałam May, sprawdzałam, czy lampa naftowa zapala się wczesnym wieczorem i potem gaśnie, kiedy May wreszcie kładzie się spać? Spędzałam tutaj wszystkie noce tamtej zimy.



Przystań w Salem się zmieniła. Jest znacznie więcej łodzi niż dawniej i więcej domów na wybrzeżu od strony Marblehead, ale wyspa wygląda tak samo. Jeśli zmrużę oczy i spojrzę ponad przystanią, mogę sobie wyobrazić, że znowu jestem dzieckiem i że lada chwila zobaczę żagiel jachtu Lyndley, który okrąży Peach's Point i płynie w kierunku naszej wyspy na lato.

Wracam na drugie piętro, gdzie są moje pokoje. Tylko tutaj jeszcze nie szukałam Evy i tylko tutaj ona może być. Na tym piętrze, ostatnim i mniejszym od pierwszego, znajdują się cztery pokoje, ale meble nie są nakryte płachtami, co wydaje się dziwne, skoro Eva nie wiedziała, że przyjeżdżam. Jeden pokój to mała biblioteka wypełniona moimi szkolnymi pamiątkami: biurko, zaproszenia na kotylicy, świadectwa. Na półkach stoją lektury obowiązkowe oraz książki, które Eva kazała mi czytać, kiedy uważała, że program szkolny jest niewystarczający, stare książki w skórzanych oprawkach z dużej biblioteki na parterze: Dickens, Chaucer, Proust. Po drugiej stronie korytarza jest pokój, w którym sypiał Beezer, kiedy przyjeżdżał na święta i na ferie zimowe ze szkoły z internatem. Ostatnie dwa pokoje zmieniłam w swój prywatny apartament: salonik z dwiema pluszowymi sofami i małym chińskim stolikiem pomiędzy nimi. Na drugim końcu pokoju oszklone drzwi prowadzą do sypialni. Ponieważ szukałam już wszędzie i ponieważ wiem, że Eva jest gdzieś w domu, zakładam, że właśnie tam.

Otwieram drzwi, rozglądam się najpierw po saloniku, nagle przestraszona. Może ona wcale nie wyjeżdżała, może była tutaj przez cały czas, tylko nie szukali jej dość dokładnie. Może gdzieś upadła i leży w okropnym bólu.

– Eva – powtarzam znowu, lękając się tego, co zobaczę, kiedy otworzę drzwi ostatniego pokoju w tym domu, ostatniego miejsca, gdzie ona może być. – Eva, odpowiedz mi.

Boję się, że zobaczę ją leżącą na podłodze z połamanymi kośćmi albo jeszcze gorzej. Ze strachu zamykam oczy. Ale kiedy je otwieram, nic nie widzę. Tylko pusty pokój, z którego się wyprowadziłam w wieku siedemnastu lat: ta sama narzuta z indyjskim nadrukiem, którą Lyndley mi kupiła na Harvard Square, patchworkowa kołdra Evy złożona w trójkąt w nogach łóżka. Na ścianie naprzeciwko łóżka wisi obraz, który Lyndley namalowała dla mnie rok przed śmiercią, wszystkie odcienie niebieskości i czerni ze złotą ścieżką prowadzącą w głębinę. Zatytułowała go: *Popłynąć na księżyc*.

Podchodzę i patrzę na obraz, i przypominam sobie mnóstwo rzeczy, na przykład jak Lyndley ukradła wielki bukiet kwiatów z ogrodu Evy i oberwała za to, ponieważ prawie ogołociła ogród z roślin jednorocznych. Ozdobiła tymi wszystkimi kwiatami mój pokój na Wyspie Żółtego Psa tamtego dnia, kiedy wróciłam ze szkoły, i naprawdę przesadziła; kwiaty były wszędzie. May powiedziała, że to za dużo, że pachnie jak w zakładzie pogrzebowym. Aż ją zemdliło, powiedziała. Lyndley uznała to za pewnego rodzaju osiągnięcie, doprowadzenie kogoś do mdłości swoją artystyczną interpretacją. Z jakiegoś powodu bardzo jato rozbawiło. I podsunęło pewien pomysł. Kazała mi się przebrać w sukienkę i naprawdę położyć na łóżku jak trup, trzymając kwiaty na brzuchu, jak na obrazie Millais'go przedstawiającym Ofelię. Powiedziała, że pięknie wyglądam jako zmarła, i zaczęła mnie szkicować, ale ja wszystko zepsułam, bo nie mogłam się powstrzymać od śmiechu i kwiaty za bardzo się trzęsły.



Ze wspomnień wrywa mnie odgłos kroków na schodach. – Aha, tu jesteś – mówi Eva, nawet nie zadyszana. Odwracam się

gwałtownie. Eva ma na sobie starą kwiecistą podomkę, którą pamiętam, i nie wygląda ani o jeden dzień starszej niż wtedy, kiedy ostatnio ją widziałam, tamtego roku, gdy przyjechała do L.A, z wycieczką jakiegoś klubu ogrodniczego, żeby zobaczyć, jak się dekoruje platformy kwiatowe na paradę Rose Bowl.

Na jej widok doznaję takiej ulgi, że zaczynam płakać. Robię krok w jej stronę, ale kręci mi się w głowie, bo za szybko się odwróciłam.

– Lepiej usiądź, zanim się przewrócisz – mówi Eva z uśmiechem, wyciąga rękę, żeby mnie podtrzymać, prowadzi do łóżka. – Wyglądasz jak coś, co kot przywłókł ze śmietnika.

– Tak się cieszę, że nic ci nie jest – mówię, opadając na łóżko.

– Oczywiście, że nic mi nie jest – szepcze, jakby nic się nie stało.

Nakrywa mnie kołdrą. Chociaż jest o wiele za gorąco, nie protestuję. To rytuał wygody, który odprawiała niejedną raz.

– Myślałam, że nie żyjesz.

Pochlipuję z ulgi i wyczerpania. Mam jej tyle do powiedzenia, ale ona mnie ucisza, zapewnia, że jest „zdrowa jak rydz” i że powinnam teraz odpocząć, że „rano świat wygląda lepiej”. Wiem, że powinnam ją poprosić, żeby zaraz zadzwoniła do Jay-Jaya i Beezera i zawiadomiła ich, że jest w domu, ale jej głos brzmi hipnotycznie i zaczynam odpływać.

– Odpocznij sobie – mówi, czytając mi w myślach jak zawsze, wyciągając mi z głowy zmartwienia, zastępując je spokojnymi obrazami. – Rano świat wygląda lepiej – powtarza.

Podchodzi do drzwi, potem się odwraca. – Dziękuję, że przyszedłaś – odzywa się. – Wiem, że było ci trudno.

Potem wyjmuję coś z kieszeni sukienki i kładzie na nocnym stoliku.

– Chciałam to wysłać razem z poduszką. Ale jestem już stara i pamięć nie ta.

Próbuję zobaczyć, co tam położyła, ale oczy mi się kleją.

– Przyjemnych snów – życzy mi na odchodnym i zamyka za sobą drzwi.

Na jej rozkaz zaczynam śnić, płynę w górę po schodach i na taras, potem nad zatokę, gdzie statek wycieczkowy wraca ze swojej podróży donikąd, wioząc ładunek spalonych słońcem turystów. Słońce zachodzi i Księżyc w nowiu wschodzi za Wyspą Żółtego Psa, naszą wyspą, i widzę tam na nabrzeżu kilka kobiet, chociaż ich nie rozpoznaję. Potem słyszę syrenę statku wycieczkowego, który zakręca, i znowu leżę w łóżku, śpię. Dwa buczi, kiedy statek wpływa do portu. Można nastawiać zegarek według tych buczków. Trzy razy dziennie słyszeć syrenę, kiedy statek wraca do portu po każdym rejsie – w południe, o szóstej i znowu o północy, po raz ostatni.

Podobnie jak mufki, walki koronczarskie są zebrane i związane na obu końcach. Tradycyjnie każdy watek ma kieszonkę. Kobiety z Ipswich przechowywały w tych kieszonkach swoje skarby. Niektóre zawierały piękne klocki koronczarskie importowane z Anglii lub Brukseli, zbyt cenne, żeby ich używać. W innych trzymano kawałki wykończonej koronki, ziota czy nawet małe kamienie probiercze. Jeszcze inne skrywały wiersze napisane ręką właścicielki albo listy miłosne od konkurenta, odczytywane po wielokroć, aż pergamin zaczynał się rozdzierać na zgięciach.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 4

Kiedy się budzę, spoglądam na nocny stolik, spodziewając się listu. Zamiast tego widzę mój warkocz, który Eva zostawiła wieczorem. Długi niemal do pasa w dniu, kiedy Eva go obcięła, dzisiaj sięgałby mi tylko do łopatek. Biorę go do ręki. Miękkie włosy, bardziej jak włosy Lyndley niż moje. Na całej długości widać pasy kolorów jak pierścienie drzewa, letnie słońce, zimowa ciemność. Na jednym końcu spłowieła wstążka, zawiązana w podwójną kokardę. Na drugim, oplatana cienkimi włosami, zeschnięta gumka recepturka, którą nałożyła Eva po obcięciu warkocza. Jest spleciony bardzo ciasno, jakby miał trzymać wszystko razem.

„Włosy są pełne magii” – powtarza zawsze Eva. Nie wiem, czy to dotyczy wszystkich, ale sprawdza się przynajmniej w przypadku mojej matki, May.

May nigdy nie opuszczała wyspy na długo. Z tego powodu nie zabierała nas do salonu fryzjerskiego w Salem, tylko do fryzjera męskiego w Marblehead, który miał zakład zaledwie kilka metrów od publicznej przystani.

Stary pan Dooling zawsze mocno cuchnął zwietrzałą whiskey i smażonym jedzeniem i lekko zalatywał kamforą. Przed południem często kaleczył klientów. Plotka głosiła, że kiedyś obciął dzieciakowi prawe ucho. Matka twierdziła, że nie wierzy w tę historię. Niemniej May zawsze zamawiała nam wizyty w godzinach popołudniowych, kiedy fryzjer miał pewniejsze ręce i jego alkoholowe zamroczenie wypalało się jak mgła nad zatoką.

Strzyżenie May stanowiło miejscową wersję pokazu sztuczek magicznych. Miejskie dzieciaki ustawiały się w szeregu na Front Street, żeby patrzeć, jak pan Dooling przeciąga grzebieniem przez włosy mojej matki. Przy każdym pociągnięciu grzebień zaczepiał o coś i się zatrzymywał. Kiedy fryzjer sięgał w gąszcz włosów, żeby je rozplatać, znajdował i wyjmował najróżniejsze przedmioty: muszelki, kawałki szkła wygładzonego przez fale, gładkie kamyki. W jednym szczególnie splątanym kołtunie znalazł konika morskiego. Raz trafił nawet na pocztówkę wysłaną z Tahiti do kogoś w Beverly Farms. Na pocztówce były dwie Polinezyjki o nagich piersiach, dyskretnie zakrytych długimi prostymi włosami. Nigdy nie odgadłam, czy wzdychał z powodu dziewcząt oraz ich licznych atrybutów, czy z powodu ich długich, prostych włosów, które – chociaż nie skrywały skarbów jak włosy mojej matki – nie wymagały całej butelki odżywki do każdego strzyżenia.

Po raz pierwszy poróżniłam się z matką właśnie w dniu strzyżenia włosów – poszło o moje włosy, nie jej. Matka już skończyła. Następny był Beezer, zażyczył sobie modelowania za cztery dziewięćdziesiąt dziewięć i zszedł z fotela ze sterczącą falą z przodu.

Nigdy nie lubiłam obcinania włosów, częściowo z powodu portowych szurów, które hasały dookoła i przyglądały się całej operacji, częściowo dlatego, że panu Doolingowi trzęsły się ręce. Pewnego razu zalepiłam sobie uszy plastrem, zanim pojechaliśmy do miasta, licząc, że w ten sposób trudniej będzie je uciąć, jeśli fryzjer popełni błąd. Ale May mnie przyłapała i kazała zdjąć opatrunki.

Chociaż nie przepadałam za strzyżeniem, nigdy mnie nie bolało aż do tamtego dnia. Patrzyłam, jak pan Dooling wyławia nożyczki z niebieskiej brei i wyciera je o fartuch. Pierwsze cięcie szarpnęło mną jak elektryczny wstrząs. Wyrwał mi się okrzyk.

– Co się stało?

– To boli!

– Co boli? – May obejrzała mój skalp i uszy. Widząc, że niczego nie brakuje, powtórzyła: – Co cię boli?

– Włosy.

– Włosy na głowie?

– Tak.

– Pojedyncze włosy?

– Nie wiem.

Jeszcze raz mnie obejrzała.

– Nic ci nie jest – zawyrokowała i kiwnęła na fryzjera, żeby kontynuował.

Pan Dooling wziął do ręki lok moich włosów, pomiętosił, wypuścił. Odłożył nożyczki, wytarł ręce w fartuch, znowu sięgnął po nożyczki i tym razem upuścił je na podłogę.

– Jezu Chryste – jęknął Beezer.

May zgromiła go wzrokiem.

Fryzjer wyszedł na zaplecze po drugie nożyczki, odwinął je z brązowego papieru i wykonał w powietrzu kilka próbnych cięć, zanim podszedł do mnie.

Złapałam się poręczy fotela i zacisnęłam zęby, kiedy fryzjer ujął następne pasmo włosów. Słyszałam jego oddech. Czułam, jak bawełna szoruje o bawełnę, kiedy wyciągnął ramię. A potem doznałam czegoś, co lekarze cytowali później jako moją pierwszą w pełni rozwiniętą halucynację. Wzrokowa i słuchowa, przedstawiała Meduzę i tysiące wijących się włosów-węży. Węże wrzeszczały i wciąż się wiły, przecinane na pół. Wrzeszczały tak głośno, że nie mogłam ich uciszyć: przeraźliwe zwierzęce wrzaski jak wtedy, kiedy na naszej wyspie psu wkręciła się łapa w wirnik traktora. Zakryłam uszy, ale węże wciąż wrzeszczały... Potem ujrzałam twarz mojego brata, bladą, przestraszoną, aż się opamiętałam i zrozumiałam, że to ja wrzeszczę. Beezer stał przede mną, wołał mnie, przywoływał z powrotem. Nagle już nie siedziałam w fotelu, tylko pędziłam do drzwi.

Grupka dzieci na ganku rozstała się, żeby mnie przepuścić. Niektóre mniejsze dzieci płakały. Zbiegłam po schodach. Za moimi plecami drzwi ponownie się otworzyły i zatrzasnęły, Beezer krzyczał, żebym zaczekała.

Kiedy dotarł do whalera*, odwiązałam już cumy na rufie i dziobie. Musiał skoczyć z rozpędu, żeby się dostać na łódź. Wylądował na brzuchu, bez tchu.

* Whaler, Boston Whaler – popularna marka turystycznych łodzi motorowych, produkowanych w Stanach Zjednoczonych.

– Nic ci nie jest? – wyrzęził.

Nie mogłam odpowiedzieć.

Zobaczyłam, że obejrzał się na May, która stała na ganku obok Doolinga i obserwowała nas z założonymi rękami.

Trzy razy musiałam uruchamiać silnik, zanim zaskoczył. Potem, ignorując ograniczenie do pięciu mil na godzinę, otworzyłam przepustnicę i razem z bratem wypłynęliśmy na morze.



Niewiele rozmawialiśmy o tym, co się stało tamtego dnia. May podjęła dwie nieudane próby, żeby przemówić mi do rozsądku, raz zabrała mnie do miasta, żebym pogadała z Evą, a drugim razem zadzwoniła do kogoś w Muzeum Nauki w Bostonie i poprosiła, żeby mi wyjaśnił, że włosy nie mają zakończeń nerwowych i nie mogą sprawiać bólu przy obcinaniu.

Czasami, patrząc wstecz, możesz wskazać chwilę, kiedy twoje życie się zmienia i skręca w innym kierunku. We wróżeniu z koronek to się nazywa „martwy punkt”. Eva mówi, że to punkt, wokół którego wszystko się obraca i zaczynają się wyłaniać prawdziwe wzory. Wizyta u fryzjera stanowiła martwy punkt dla mnie i mojej matki, dzień, w którym wszystko się zmieniło. To się stało w mgnieniu oka, w ułamku sekundy – jedno spojrzenie, jeden oddech.

Przez dwa lata nikt mi nie obcinał włosów. Chodziłam z jedną stroną długą i jedną krótką.

– Robisz z siebie pośmiewisko – powiedziała raz do mnie May, podchodząc z nożyczkami, żeby dokończyć strzyżenie i odzyskać władzę. – Nie pozwolę na to.

Ale nie dopuściłam jej do siebie wtedy ani później.

Jadałam obiady z rodziną. Głównie kanapki, ponieważ May

robiła zakupy w dokach tylko raz w miesiącu, kiedy wybierała się do miasta. Kanapki zawsze podawała w eleganckiej jadalni na dobrej porcelanie, a potem na małym półmisku z Limoges wjeżdżały multiwitaminy, które matka nazywała „deserem”. Deser zawsze zabierał dużo czasu, ponieważ May wymagała od nas zjadania witamin deserowymi widelczykami i jednoczesnego prowadzenia uprzejmej obiadowej konwersacji, czego się nauczyła od Evy.

– Mam pytanie – odezwałam się, balansując dwiema tabletkami na nożu.

May rzuciła mi swoje „spojrzenie”. Odłożyłam nóż.

– Tak? – Spodziewała się błędnego pytania w stylu towarzyskiej pogawędki, który wypracowaliśmy, żeby uniknąć poważnych tematów.

– Dlaczego oddałaś moją siostrę, skoro przez cały czas wiedziałaś, jaki jest Cal?

Beezer szeroko otworzył oczy. O takich rzeczach się nie mówiło. Nigdy.

May zaczęła sprzątać ze stołu. Zdawało mi się, że widzę łzę w kąciek jej oka, ale łza nigdy nie spadła.

Po obiedzie poszłam do swojego pokoju. Do mojego azylu. Nikt już tam nie wchodził. Co noc, w zimie czy w lecie, nakładałam rybacką zydwestkę, a pod nią nylonową pończochę May, zakrywającą włosy, żeby nie przyszła w nocy i mnie nie ostrzygła. Wyposażyłam pokój w liczne urządzenia alarmowe: sznurki, dzwonki, kryształowe kieliszki, które ukradłam ze spiżarni, żeby mnie obudziły przy pierwszym wtargnięciu intruza. Podziałało. Matka zrezygnowała. Kiedyś mój pies Skybo, którego Beezer mi podarował poprzedniego lata, zaplątał się w sznurki i musieliśmy go wycinać, ale nikt inny mnie nie niepokoił. Po jakimś czasie May w ogóle przestała wchodzić

do mojego pokoju, ale ja nigdy nie osłabiłam czujności, ani na chwilę.

W końcu Eva naprawiła sytuację. Pewnego dnia tamtej jesieni przysłam do niej do sklepu i błagałam o wróżbę z koronki. Zwykle nie prosiłam Ewy o wróżenie, najwyżej na urodziny, zgodnie z rodzinną tradycją. Właściwie nie lubiłam wróżenia, czułam się wtedy nieswojo, ale tym razem nie miałam wyjścia. Zginął Skybo. Był niekastrowany i miał skłonności do włóczęgostwa. Jeden z wyspiarskich golden retrieverów, jako szczeniak został wytresowany przez Beezera na tyle, żeby go wpuszczać do domu, pozostała w nim jednak szczypta dzikości. Wspaniale pływał. Zawsze mi towarzyszył, kiedy pływałam albo brałam łódź. Czasami wyruszał sam jeden.

Załamalam się. Szukałam wszędzie na wyspie. Popłynęłam whalerem do miasta. Sprawdziłam na przystani, w sklepie żeglarskim i nawet na kilku kutrach rybackich, ale bez rezultatu. W końcu zwróciłam się do Ewy.

Pracowała nad kawałkiem koronki klockowej, siedząc przy kominku, który zamiast płomieni wypełniały chryzantemy.

Była późna jesień, woda bardzo zimna. Szalałam z niepokoju. Opowiedziałam jej wszystko, wyznałam, że boję się najgorszego, może hipotermii albo że coś go przejechało na szlaku żeglugowym. Eva popatrzyła na mnie spokojnie i powiedziała, żebym zrobiła sobie filiżankę herbaty.

– Nie mogę pić herbaty, pies mi zginął – zaprotestowałam.

Podobnie jak May, Eva też opanowała sztukę „spojrzenia”. Zaparzyłam herbatę. Ona dalej pracowała. Co parę chwil podnosiła wzrok i wskazywała herbatę.

– Nie pozwól, żeby wystygła – ostrzegła.

Napiłam się.

Po bardzo długim czasie, jak mi się wydawało, Eva odłożyła wałek koronczarski i podeszła do mnie. W ręku trzymała małe nożyczki, których używała do odcinania gotowych kawałków koronki; sama wynalazła tę technikę. Zamiast obciąć koronkę, wyciągnęła rękę i obcięła mi warkocz.

– Proszę – powiedziała. – Czar przełamany. Jesteś wolna.
Położyła warkocz na stole.

– Co, do cholery?

– Uważaj na język, młoda damo.

Wstałam i popatrzyłam na nią wściekłym wzrokiem.

– Możesz już iść – oznajmiła.

– Co z moim psem? – warknęłam.

– Nie martw się o psa – odparła.

Wracając do whalera, zastanawiając się, czy wszyscy wokół mnie zwariowali. Wiedziałam, że sama jestem stuknięta. May też niewiele brakowało, coraz bardziej stroniła od ludzi. A Eva, która zawsze wydawała mi się taka logiczna, nie zachowywała się, jak należy.

Kiedy dotarłam do łodzi, Skybo siedział na dziobie. Był mokry i zmęczony, pokryty rzeпами, ale tak się ucieszyłam na jego widok, że wcale mnie nie obchodziło, dokąd się wypuścił.

Kobiety robiły własne wzory na pergaminie, ale grubszym niż na listy miłosne, bardziej wytrzymałym. W pergamin wbijały szpilki, tworząc nakłuwany szablon, którego mogły używać wiele razy. Do wyrabiania koronek szpilki zostawiano, żeby przytrzymały szablon na wałku, i wiązano koronkę od szpilki do szpilki. Jeśli coś ograniczało wyrób bardziej skomplikowanych koronek, to tylko koszt i niedostatek szpilek.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 5

Słońce dopiero wstało. Nie mogę już zasnąć. Wkładam warokoch do szuflady nocnego stolika i po cichu schodzę na parter. Zaczynam wybierać numer Beezera, potem postanawiam poczekać godzinę. Chcę mu powiedzieć, że Eva się znalazła. Beezer jest cudowny. Nie potrzebuje kłopotów, nie teraz. Mój brat i jego dziewczyna od wielu lat, Anya, chcą się pobrać. Zaraz po egzaminach polecą do Norwegii, gdzie mieszkają jej rodzice. Po ceremonii zamierzają przez lato podróżować po Europie. Oboje na pewno odetchną z ulgą, że Evie nie się nie stało i że nie muszą zmieniać swoich weselnych planów.

Sporządzam notatki w pamięci. Zadzwoń do May. Zadzwoń do glin. Chociaż żadne z nich nie zasługuje na telefon. Nie rozumiem, jak mogli być tacy głupi, żeby nie znaleźć osiemdziesięcioletniej staruszki w jej własnym domu.

Wchodzę do herbaciarni o ścianach pokrytych freskami

namalowanymi przez dość sławnego artystę, którego mój pradziadek przywiózł tu statkiem z Włoch. Nie pamiętam jego nazwiska. Pokój wypełniają małe stoliki. Wszędzie koronki. Niektóre mają metki Koła, przedsiębiorstwa May, ale większość Eva zrobiła sama. Na szklanym kontuarze w rogu stoją puszki z wszelkimi możliwymi gatunkami herbaty – gotowe mieszanki z całego świata oraz kilka kwiatowych i ziołowych naparów, które Eva sporządza według własnej receptury. Jeśli masz ochotę na kawę, tutaj jej nie dostaniesz. Mój wzrok przeslizguje się po puszkach, szukając herbaty, którą Eva nazwała moim imieniem. Pewnego roku podarowała mi ją w prezencie. To mieszanka czarnej herbaty, pieprzu kajeńskiego i cynamonu, z odrobiną kolendry oraz jeszcze innymi składnikami, których nie chciała mi zdradzić. Trzeba ją pić mocną i bardzo gorącą. Eva mówi, że ta herbata jest za ostra dla niektórych starszych klientek. „Albo ją pokochasz, albo znienawidzisz” – powiedziała, kiedy mi ją dała. Pokochałam ją. Piłam ją całymi wiadrami tamtej zimy, kiedy mieszkałam u Ewy. Na puszcze jest napis: „Mieszanka Sophyi”, ale między nami nazywałyśmy ją z Ewą „Trudną Herbatą”.

Za puszką leży notatnik, na okładce jest wiersz, który rozpoznałem, wiersz Jenny Joseph, który zyskał taką popularność. *Kiedy będę stara, ubiorę się na fioletowo, nałożę czerwony kapelusz, który nie pasuje i nie przystoi...* *. Do notesu włożono kilka fotografii, jedna Beezera i May, jedno moje zdjęcie zaraz po przyjeździe do Kalifornii, z wymuszonym uśmiechem oklapniętym od stelazyny, którą ciągle brałam.

* Jenny Joseph, *The Warning* (Ostrzeżenie).

Wygląda na to, że Eva urządza dzisiaj przyjęcie dla dzieci. Sprawdzam kalendarz na ścianie, ale to kalendarz lunarny,

nie zwykły, i trudno go rozszyfrować. Okrojone fazy Księżyca wydrukowane są w odcieniach szarości na odpowiednich datach. Kiedy już mi się wydaje, że zrozumiałam, zauważam inny rodzaj księżyca, jaskrawoczerwony Księżyc w pełni, tkwiący w połowie miesiąca. Jest trochę większy od pozostałych i nie odpowiada żadnemu z ich cykli. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to nie księżyc, tylko kapelusz. Przypominam sobie, jak Eva opowiadała mi o Czerwonych Kapeluszach, stowarzyszeniu zainspirowanym tym wierszem. O tych paniach, które ubierają się na fioletowo i przychodzą na herbatę oraz wróżby z koronek co najmniej raz w miesiącu.

Stoliki już są nakryte. Na każdym stoi inny imbryczek, z innymi filiżankami i spodeczkami ustawionymi na oddzielnych okrągłych koronkowych serwetkach. Imbryczki są bardzo kolorowe i fantazyjne. Jeśli zostaniesz stałą klientką i przychodzisz zawsze tego samego dnia, niezarezerwowanego na prywatne przyjęcia, serwetka z twojego nakrycia po pierwszym użyciu należy do ciebie. Płacisz za nią, nawet jeśli nie powróżono ci z koronki. Wiele osób po prostu zabiera swoje koronki do domu i używa zamiast serwetek. Evie nigdy to nie przeszkadza, chociaż ja zawsze myślałam, że to marnotrawstwo, że koronkowe serwetki to dzieła sztuki i należy je oprawić w ramki.

Większość klientek Evy przychodzi na herbatę, bo tak naprawdę chodzi im o wróżby. Eva wróży teraz z koronek najwyżej dwa razy dziennie; mówi, że to ją męczy, szczególnie na starość. Nie bierze dla siebie żadnych pieniędzy za wróżenie. Wszystkie opłaty za koronki i wróżby idą prosto do Koła.

Wróży częściej niż dwa razy dziennie, jeśli musi. A jeżeli wyczuwa prawdziwe rozczarowanie albo coś ważnego, co

szukająca powinna wiedzieć, wróży nawet za darmo. Ale najchętniej uczy kobiety, żeby same sobie wróżyły. „Weź koronkę do ręki i spójrz na nią” – mówi. „Zmruż oczy”. Jeśli wypełniasz jej polecenia, zaczynasz sobie wyobrazać, że widzisz w koronce obrazy, tak jak Eva. „Śmiało” – zachęca uczennice. „Nie bójcie się. Nie ma złej odpowiedzi. Odczytujecie własne życie, własne symbole”.

Sięgam po łyżeczkę z monogramem Whitneyów i rozglądam się za moim ulubionym imbryczkiem, właściwie starym porcelanowym dzbankiem do kawy, który Eva zaadaptowała. Ogrzewam imbryczek, potem parzę herbatę. Biorę filiżankę i kalendarz lunarny, idę do jedyne go nienakrytego stolika w pokoju. Na stoliku leży zniszczone pierwsze wydanie Emily Post.

Zanim moja cioteczna babka otworzyła herbaciarnię, prowadziła naukę manier dla dzieci z North Shore. Dzieciaki z Marblehead, Swampscott, Beverly Farms, Hamilton, Wenham i aż z Cape Ann przyjeżdżały do Evy, żeby zdobyć ogładę. Nakrywała stół w salonie do formalnego obiadu, a chłopcy i dziewczynki przychodzili wystrojeni w garniturki i sukienki, żeby szlifować maniery przy stole. Eva uczyła, jak prowadzić uprzejmą konwersację, pokazywała, jak pokonać nieśmiałość, która ogarnia dzieci przy takich okazjach.

– Zadawajcie pytania – radziła. – W ten sposób podtrzymujecie rozmowę i odwracacie od siebie uwagę. Dowiedzcie się, czym się interesują inni i co lubią. W pytanie warto wpleść jakąś informację o sobie, żeby nadać mu bardziej osobisty wydźwięk. Na przykład stosowna konwersacja przy obiedzie to zwrócić się do sąsiada i powiedzieć: „Lubię zupę. A ty lubisz zupę?”.

Kazała dzieciom ćwiczyć i pytać się nawzajem, czy lubią

zupę, nieodmiennie wywołując chichoty, ponieważ pytanie wydawało się niedorzeczne. Ale przełamywało lody.

– No proszę – mawiała po takim ćwiczeniu. – Czujecie się już swobodniej?

Dzieci musiały przyznać, że tak.

– Teraz zadajcie następne pytanie i tym razem starajcie się naprawdę słuchać odpowiedzi – nakazywała. – Jeden z sekretów dobrych manier to umiejętność słuchania.

Wypijam cały dzbanek herbaty. O siódmej dzwonię do Beezera. Nie odbiera. Zaparzam następny imbryczek.

Próbuję dzwonić do Beezera ponownie o ósmej. Wciąż nie odbiera. Postanawiam zrobić Evie herbatę i zanieść na górę.

Ktoś puka do drzwi herbaciarni. W pierwszej chwili myślę, że to Beezer, ale to nie on. Dziewczyna, najwyżej osiemnastoletnia (jeśli nie mniej), stoi z plecakiem na ramionach, przetłuszczone włosy z przedziałkiem z boku zwisają do ramion, na wpół zakrywając wielkie truskawkowe znamię, przekreślające lewą stronę twarzy. Najpierw myślę, że to kolejny dzieciak szukający pokoju albo wróżby, ale kiedy spoglądam na Błonia, widzę, że festiwal się skończył. Zostali tylko ludzie wyprowadzający psy i kilku sprzątających facetów ze służby parkowej. Ruszam do drzwi, chcę szybko otworzyć, żeby pukanie nie obudziło Evy, ale wtedy czajnik gwizdże, więc biegnę go uciszyć i parzę sobie rękę, kiedy łapię za uchwyt.

Dziewczyna znowu puka, tym razem głośniej, bardziej nagłaco. Znowu biegnę do drzwi. Widzę ją przez falistą szybę. Wyraz jej twarzy przypomina mi moją siostrę, Lyndley. Czy może sposób pukania, walenia w drzwi z całej siły, jakby chciała się przebić na wylot. Za nią spostrzegam radiowóz na patrolu, szukający miejsca do zaparkowania. Widzę, że

dziewczyna ogląda się przez ramię. Zanim dobiegłam do drzwi, ona już zeszła do połowy schodów. Odwraca się i widzę, że jest w ciąży. Otwieram drzwi, ale ona jest szybsza. Wślizgnęła się w boczną alejkę i znika, zanim radiowóz zahamował. Ustawiam imbryk i filiżanki na tacy i ruszam na górę po schodach, kiedy znowu słyszę pukanie. Rzucam przekleństwo, stawiam tacę na stopniu i idę otworzyć. Mój brat stoi obok Jay-Jaya i jeszcze jednego faceta, którego nie rozpoznaję.

– Dzwoniłam do ciebie – mówię do Beezera. Próbuje ukryć podniecenie, próbuję się nie zdradzić.

Wchodzi i Beezer mnie obejmuje, zbyt długo trzyma mnie w ramionach. Odsuwam się, żeby mu powiedzieć, że wszystko w porządku, że Eva tu jest.

– Właśnie chciałam znowu dzwonić – mówię do niego.

– To jest detektyw Rafferty – przerywa mi Beezer.

Następuje długa chwila milczenia, po czym Rafferty się odzywa:

– Znaleźliśmy ciało Evy, kawałek za wyspą Children's.

Stoję jak skamieniała. Nie mogę się ruszyć.

– Och, Towner. – Beezer znowu mnie obejmuje, żeby mnie podtrzymać, nie tylko okazać współczucie. – Nie mogę uwierzyć, że ona nie żyje.

– Wygląda na to, że utonęła – mówi Rafferty. – Albo wpadła w hipotermię. Niestety, to częste w jej wieku, nawet niekoniecznie w wodzie. – Głos mu się lekko załamuje przy ostatnich słowach.

Wbiegam na schody, zginając się z bólu na pierwszym poście, zostawiając ich wszystkich z zaskoczonymi minami, zbitych z tropu. Chwiejnie docieram do sypialni Evy, ale jej tam nie ma. Łóżko wciąż jest pościelone, nietknięte od wczoraj.

Najszybciej, jak tylko mogę, przechodzę przez labirynt pokojów. Eva jest już stara, myślę; może przestała tam sypiać. Może wybrała na sypialnię inny, mniejszy pokój. Ale jeszcze nie kończąc tej myśli, zaczynam świrować. Biegam gorączkowo z jednego pokoju do drugiego, Beezer próbuje mnie dogonić.

– Towner? – Słyszę jego głos coraz bliżej.

Przystaję gwałtownie na środku holu.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

Najwyraźniej nie.

– Właśnie wracam z identyfikacji ciała – mówi.

Słyszę ich głosy, policyjne głosy rozlegające się echem na schodach, ale nie słyszę, co mówią.

– May wie. – Beezer przekazuje mi praktyczne szczegóły, próbuje mnie sprowadzić na ziemię. – Detektyw Rafferty popłynął tam rano, żeby ją zawiadomić.

Zdobywam się na kiwnięcie głową.

– Ona i Emma czekają na nasz przyjazd.

Ponownie kiwam głową, schodzę za nim po schodach. Glińnarze milkną na mój widok.

– Tak mi przykro – mówi Jay-Jay, a ja znowu kiwam głową.

Tylko do tego jestem zdolna.

Rafferty napotyka moje spojrzenie, ale nic nie mówi. Zauważam szybki ruch jego ręki, automatyczny, pocieszający. Potem reflektuje się i cofa rękę. Wkłada ją do kieszeni marynarki, jakby nie wiedział, co z nią zrobić.

– Powinienem był ją powstrzymać – mówi Beezer, teraz przytłoczony poczuciem winy. – To znaczy powstrzymałbym, gdybym wiedział. Powiedziała mi, że zrezygnowała z pływania. Jakoś tak w zeszłym roku.

Szpilki były kosztowne, ponieważ importowano je z Anglii. Im mniej używano szpilek, tym prostszy był wzór i tym szybciej mogła pracować koronczarka. Nici również importowano, ponieważ wyroby prządek z Nowej Anglii, chociaż bardzo dobre, nie dorównywały delikatnością najlepszym europejskim niciom lnianym czy chińskim jedwabnym. Przeciętnie jednak każda koronczarka z Ipswich wytwarzała ponad siedem cali koronki dziennie, więcej niż obecna wydajność Koła, chociaż Koło korzysta z luksusu własnych prządek oraz tylu szpilek, ile dusza zapagnie.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 6

Rafferty to miły człowiek. Podwozi nas na przystań Derby, skąd zabierzemy whalera. Krąży po ulicach, szukając miejsca do zaparkowania, w końcu parkuje na chodniku, jak najbliżej hangaru Ewy.

– Kazałbym któremuś funkcjonariuszowi zawieźć was łodzią policyjną – powiedział – ale kiedy ostatnio tam popłynęli, May do nich strzelała.

Pewnie słyszeliście o mojej matce, May Whitney. Wszyscy słyszeli. Na pewno pamiętacie fotografię UPI sprzed kilku lat, na której May celuje ze strzelby kalibru sześć do około dwudziestu policjantów, którzy przyplłynęli na Wyspę Żółtego Psa z nakazem zabrania jednej z dziewczyn ze schroniska. To

zdjęcie zamieszczono wszędzie. Trafiło nawet na okładkę „Newsweeka”. Robiło niesamowite wrażenie dlatego, że matka wyglądała na nim całkiem jak Maureen O'Hara w jakimś westernie z lat pięćdziesiątych. Za plecami May chowała się przerażona dziewczyna, najwyżej dwudziestodwuletnia, z dużym białym bandażem na szyi, uratowana przed mężem, który upił się i chciał poderżnąć jej gardło. Za nią siedziała dwójka jej małych dzieci, bawiąc się ze szczeniakami golden retrievera. Niezapomniana scena.

W gruncie rzeczy właśnie to zdjęcie, połączone ze smykałką do public relations – jedno i drugie na pozór całkiem nie w stylu May – ożywiło przemysł koronczarski. W kilku wywiadach, których raczyła udzielić starannie wybranym dziennikarzom, opowiadała nie o świeżo ocalonej dziewczynie – chociaż na tej historii im zależało – lecz o koronkach klockowych, wyrabianych przez inne kobiety albo „dziewczyny z wyspy”, według określenia miejscowych. Nazwały się „Kołem”, od dawnych kół szycia dla pań, i ta nazwa pojawiała się na etykietkach ich wyrobów.

May zapoznawała reporterów z tradycyjnym wiejskim rękodziełem, które ona i jej wyspiarskie dziewczyny starały się odtworzyć. Najpierw zabierała ich do przędzalni, mieszczącej się w starej kamiennej psiarni. Zbudował ją mój pradziadek, G.G. Whitney, z zamiarem udomowienia i hodowania wyspiarskich psów, ale nigdy nie zdołał ich tam zwabić, więc budynek stał pusty, dopóki go nie przejęły dziewczyny May. Wnętrze kamiennej psiarni (jeśli pominąć anachronizm dzinsów i współczesnych ubrań) przypominało średniowieczny zamek. Kobiety siedziały przy zabytkowych kołowrotkach i nawijałkach, ciszę zakłócało tylko terkotanie starych drewnianych kół, poskrzypujących i postukujących od czasu do czasu. Do tej

przędzalni trafiały nowe dziewczyny, niedawno uratowane, i wciąż zbyt płochliwe, żeby dołączyć do innych. May często przędła z nimi. Przędły głównie lnianą kądziel na nici, chociaż czasami May robiła przędzę z sierści żółtych psów, ale rzadko. Niektóre z tych maltretowanych kobiet zostawały w przędzalni, większość jednak dołączała do kółka koronczarek w starym czerwonym budynku szkolnym, gdy tylko poczuły się na siłach wejść między ludzi.

May kończyła oprowadzanie w budynku szkolnym, gdzie kobiety siedziały z wałkami na kolanach, wiązały koronki i gawędziły cicho albo słuchały czytającej lektorki (często mojej matki, która miała piękny głos i uwielbiała czytać głośno poezje). Oczarowani światem, który stworzyła May, omotani przez nią koronkami jak zaklęciem, reporterzy w końcu zapominali, po co przyjechali. Wracali do swoich gazet i pisali o Kole. Artykuły wywołały oddźwięk u czytelniczek i kobiety z całego kraju zaczęły przysyłać pieniądze, żeby kupić nowe klockowe koronki.



Beezer pozwala mi kierować whalerem. Docieramy do wyspy przy największym odpływie, kiedy rampa jest podniesiona. Możemy lądować na pływającym pomoście, ale nie dostaniemy się na wyspę przy podniesionej rampie. Przez chwilę rozważam, czy nie lądować na Back Beach, co jest niemożliwe podczas odpływu i ledwie możliwe nawet w sprzyjających warunkach. Trzeba trafić na wysoki przyptyw i całkiem spokojne morze, żeby chociaż spróbować tam przybić. Więc dochodzę do wniosku, że po prostu muszę przybić do pomostu i czekać tam, aż ktoś nas zauważy i opuści rampę.

Ludzie, którzy mieszkają na wyspach, lubią samotność.

Nie chodzi mi o takie wyspy, jak Vineyard czy Nantucket, tak bardzo oddalone od brzegu, że mieszkańcy muszą przyciągać turystów, żeby przeżyć. Ale mieszkańcy przybrzeżnych wysp zwykle nie życzą sobie towarzystwa i podnoszą rampy, żeby chronić swoją prywatność. Na wyspie może wylądować każdy, kto przepływa w pobliżu. Ludzie zakładają, że wyspy to własność publiczna: urządzają pikniki, śmiecą. Pukają do drzwi i pytają, czy mogą skorzystać z telefonu, i nawet nie przyjdzie im do głowy, że pewnie nie masz ani telefonu, ani elektryczności. Toteż wyspiarze nauczyli się podnosić rampy. Zwykle to tylko kilka stóp, ale robi wielką różnicę. Podczas przyływu różnica wysokości pomiędzy rampą a pomostem wynosi najwyższej pięć czy sześć stóp. Większość ludzi może pokonać taką odległość, ale niewielu decyduje się wystawić na próbę swoją wiarę. Przy największym odpływie pomost podnosi się o kolejne dziesięć stóp i wtedy wyspiarze naprawdę czują, że są u siebie.

Wyspa Żółtego Psa jest jeszcze bardziej prywatna niż inne. Wyniosły granitowy płaskowyż w kształcie ósemki, o powierzchni jednej mili kwadratowej, otaczają skalne iglice, wystrzelające z przybrzeżnych wód, nadając mu wygląd starożytnej fortecy. Dla tych, którzy nie znają Back Beach, wyspa jest niedostępna. Ze względu na stromiznę klifów dok zbudowano na wysokości czterdziestu stóp, toteż rampę od pomostu dzieli jeszcze większa odległość. Rampę opuszcza się za pomocą hydraulicznej wciągarki. To jedno z niewielu urządzeń na wyspie mających generator, który napędza również pompy dostarczające słoną wodę do kanalizacji w domach. Kiedy jeszcze chodziliśmy do szkoły na wyspie i matka zadawała nam lekturę, siadywałam w pompowni i czytałam przy świetle jedynej żarówki na wyspie, dopóki nie skończyła się benzyna w

generatorze albo dopóki nie zasnęłam. Ta jedyna żarówka stanowiła dla mnie symbol cywilizacji i dobrze jej pilnowałam.

Na wyspie stoi kilka budynków, ale tylko dwa prawdziwe domy na dwóch końcach, należące do May i do mojej cioci Emmy Boynton, która jest córką Ewy, przyrodnią siostrą May i prawną opiekunką mojej siostry Lyndley. Z tych dwóch wiktoriańskich budowli dom ciotki jest większy, ale tylko dom May jest ocieplony. Przed „wypadkiem” Emmy, kiedy jeszcze ona i Cal byli małżeństwem, ciocia i jej „córka” Lyndley zaliczały się do letników, i wujek Cal chyba też, jeśli chcecie go liczyć, bo ja nie chcę.

Teraz wszystkie kobiety z Koła mieszkają w domu May. Łapią w cysterny deszczówkę do picia. Uprawiają warzywa i len na koronki, mają nawet krowę, którą podobno straż przybrzeżna musiała przetransportować na wyspę drogą powietrzną, jak twierdzi Eva. Przez jakiś czas próbowały hodować owce na dawnym amatorskim boisku do baseballu, ale musiały zrezygnować, bo psy ciągle przeganiały owce. Teraz żywią się warzywami, czasem złapią królika i oczywiście łowią ryby i homary. Nie wiem, co robią w zimie. Nigdy nie pytałam. Wiem tylko tyle, ile Eva napisała mi w listach.



Beezer i ja czekamy na pomoście przez jakieś dwadzieścia minut, żeby ktoś przyszedł i opuścił rampę. Wreszcie zamiast mojej matki zjawia się ciocia Boynton. Idzie z pochyloną głową, wolniej, niż zapamiętałam, częściowo z powodu kalectwa, częściowo na skutek podeszłego wieku. Odkąd ją widziałam ostatni raz, bardzo się postarzała; minęło prawie piętnaście lat, dokładnie piętnaście minie w sierpniu. Serce mi się ścisza

na jej widok. Ona mnie nie widzi, lecz nagle mnie rozpoznaje. Przypomina to scenę z filmu *Przeminęło z wiatrem*, kiedy Melania widzi Ashleya wracającego z wojny secesyjnej i nagle rozpoznaje w tym wycieńczonym mężczyźnie swojego ukochanego męża. Ciotka nie podbiega do mnie, nie może, ale jej uczucia wyrrywają się naprzód i dosłownie zapierają mi dech w piersi. Myślę o wojnie, secesyjnej czy domowej, która pozostawia rany.

Zanim do niej podchodzimy, zaczyna płakać. Stoimy objęte przez długi czas. Ciotka płacze i powtarza: „Wiedziałam, że przyjedziesz” i „Mówiłam jej, że przyjedziesz”.

Serce we mnie zamiera na chwilę, bo podejrzewam, że ona mnie bierze za swoją córkę Lyndley, dlatego tak się cieszy z mojego przyjazdu. W pewnym sensie to bardziej prawdopodobne. Bo chociaż znam fizyczne prawa tej dziwnej planety i wiem, że to niemożliwe, zdaję sobie również sprawę, że mniejszym cudem byłby powrót mojej siostry Lyndley, nieżyjącej od ponad piętnastu lat, niż mój przyjazd.

Razem wchodzimy po rampie w zwolnionym tempie, klatka po klatce. Ona jest już za słaba, żeby szybko chodzić, a ja nie mogę złapać tchu, nie mogę wykrztusić ani słowa. Nie szkodzi, i tak nie wiedziałabym, co powiedzieć. Przed nami, na końcu rampy, mewy przewracają jeden z pojemników na śmiecie. Pojemnik toczy się przez kilka jardów i zatrzymuje tuż nad krawędzią klifu.

– May czeka na ciebie – mówi ciocia Boynton, wskazując stary budynek szkolny na szczycie wzgórza. Zaczyna iść ze mną, potem bierze Beezera pod rękę. Kładzie mu głowę na ramieniu i cicho łka.

– Tak mi przykro z powodu Ewy – mówi Beezer.

Ze zdziwieniem odkrywam, że ona wie i rozumie, co spotkało Evę. „Wypadek”, w którym ciotka straciła wzrok, spowodował również uszkodzenie mózgu.

„Czasami ona wie, kim jestem, czasami nie wie” – mówiła mi Eva niejednemu raz.

Drzwi czerwonego szkolnego budynku są otwarte. Widzę Koło. Siedzą z koronczarskimi wałkami na kolanach. Niektóre gorliwie pracują, przekładają klocek nad klokiem, wplatają we wzór własne życie. Inne prawie nic nie robią, tylko słuchają, wpatrzone przed siebie nieobecny wzrokiem, porwane głosem czytającej, mojej matki, czystym i dźwięcznym. Czyta Blake'a *Pieśni niewinności* i *Pieśni doświadczenia*:

*Już do domu, dzieci!
Bo słońce już zapada
I wieczór łąki rosi.*

Kiedy widzi mnie w drzwiach, głos jej się załamuje. Tak nieznacznie, że nie gubi nawet jednej sylaby, tylko recytuje dalej...

*Wasza wiosna się trwoni i dzień w zabawie,
Zima i noc w ciemności*.*

* William Blake, *Pieśni doświadczenia*, (w:) *Poezje wybrane*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1991, przeł. Zygmunt Kubiak.

Kiedy May zamyka książkę i robi krok w naszą stronę, słyszę drugi głos, jeszcze silniejszy od głosu mojej matki.

„Przypadki nie istnieją” – mówi Eva, kiedy Beezer i ja przekraczamy próg.

Koronki z Ipswich różnią się od wszystkich innych ręcznie wyrabianych koronek ze względu na klocki. Kobiety w koloniach nie mogły sobie pozwolić na cięższe ozdobne klocki, jakich używały Europejki. Podobnie jak wszyscy w koloniach, koronczarki musiały się zadowolić tym, co miały pod ręką. Toteż klocki, na które nawijają nici, były lżejsze, czasami puste w środku, sporządzone z trzciny, czasami z bambusa stanowiącego opakowanie towarów przywożonych na statkach do Salem, a nawet z kości.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 7

Teraz jesteśmy wszyscy w domu May. Anya, narzeczona Beezera, przyjechała wczoraj wieczorem. Jutro mieli wyjechać do Norwegii na ślub (który wyznaczono za tydzień). Odłożyli jednak podróż na parę dni, do czasu pogrzebu Ewy. Anya bynajmniej nie jest tym zachwycona, co zresztą zrozumiałe. Ale potrafi się zachować odpowiednio do okoliczności. Wiem, jak nieswojo się czuje w tym miejscu, jak nieswojo się czuje w obecności May. Beezer mi powiedział. Z tego względu żywię do Anyi pewien szacunek, ale nadal jej nie lubię. Pewnie częściowo dlatego, że ona też mnie nie lubi, nie lubi właściwie nikogo z nas oprócz Beezera. Zastanawiam się, ile jej powiedział mój brat, ale Beezer nie jest gadatliwy. Kiedy go zapytałam, jak poszło, bo musiał zidentyfikować ciało Ewy, mruknął

coś o „skorupiakach” i że nie było łatwo. Wiedziałam, że jeśli chcę poznać więcej szczegółów, muszę go wypytywać punkt po punkcie, ale odstręczyło mnie jego słownictwo i zdecydowałam, że wolę nie wiedzieć.

Tego ranka Beezer i Anya zaspali, ale reszta z nas jest tutaj, w czerwonym szkolnym budynku. Czekamy na przybycie pastora, żeby omówić przygotowania do nabożeństwa w kościele unitariańskim, do którego należała Eva. Doktor Ward przyplynie wodną taksówką. Jest już na emeryturze, ale wrócił do duszpasterskich obowiązków ze względu na pogrzeb Evy. Byli przyjaciółmi. Przez wiele lat. Widzimy Łódź, jeszcze daleko, ale coraz bliżej.

Nikt nie rozmawia oprócz dwójki małych dzieci, chłopca i dziewczynki, którzy siedzą na podłodze w kącie klasy i bawią się piłeczką. Podłoga jest krzywa, spaczona ze starości i po każdym odbiciu piłeczka toczy się gdzie popadnie. Dzieciaki uważają to za bardzo zabawne. Chichoczą i przepychają się, żeby złapać piłeczkę, zanim wytoczy się za drzwi.

Nerwowa młoda kobieta, pewnie ich matka, przygląda się tej zabawie przez dwie czy trzy kolejki. W końcu odgłos odbijanej piłeczki zaczyna ją drażnić. Nie może już wytrzymać, podchodzi i zabiera piłeczkę. Dziewczynka zaczyna płakać, co z kolei doprowadza do płaczu również matkę. Na ten widok kobiety z Koła podchodzą, otaczają młodą matkę, pocieszają ją.

– Niech się bawią – mówi któraś starsza członkini Koła. – Zabawa jest dobra.

Kobieta bierze piłkę od matki i oddaje dziewczynce, która patrzy na nią podejrzliwie.

Potem jedna z pań z Koła dostrzega przy pomocy taksówkę wodną, z której ktoś wysiada. Rozpoznają pastora natychmiast,

nawet po tylu latach, ale ta kobieta go nie zna i widzę, jak sztywnieje.

– W porządku. – May uspokajająco kładzie jej rękę na ramieniu. – On przyjechał do mnie.

Nerwowa młoda matka pozwala się odprowadzić z powrotem do Koła. Kobiety rozmawiają z nią cicho. Nie słyszę, co mówią, ale w końcu wywołują uśmiech na jej twarzy. Dziewczynka nie podejmuje zabawy, tylko umyślnie kładzie piłeczkę na podłodze i patrzy, jak piłka toczy się powoli w stronę otwartych drzwi, gdzie zatrzymuje się na chwilę, potem spada, odbijając się od granitowych stopni, i podskakuje dwukrotnie, zanim znika. We framudze otwartych drzwi pozostaje tylko obraz May, spieszącej do doku na powitanie pastora.

May uważa, że lepiej przyjąć doktora Warda w głównym domu, z dala od kobiet, które są płochliwe (w najlepszym razie) i „przecież pracują przy koronkach, więc nie powinniśmy im przeszkadzać”. Kiedy wchodzimy do domu, Beezer i Anya wreszcie są na nogach. On wypił już kawę i teraz nalewa pastorowi. Anya nie pomaga, ale jak zwykle nie odstępuje go na krok. On stara się utrzymać równowagę, przyzwyczajając się do tego dodatkowego ciężaru jak do kalectwa i po chwili zapomina, że nie zawsze chodził w ten sposób.

– Myślimy o zmianie miejsca – mówi doktor Ward, wsypując następną porcję cukru i dzwoniąc łyżeczką o boki filiżanki. – Żeby przenieść pogrzeb na drugi koniec ulicy, do kościoła Świętego Jakuba.

– Dlaczego? – pyta May.

– Z powodu tak wielkiej liczby uczestników. Tylko katolicki kościół pomieści tylu ludzi.

– Ilu ludzi? – May ma już złe przeczucia.

– Oceniamy na jakieś dwieście osób – odpowiada pastor. – Mniej więcej.

– Dwieście osób? – dziwi się Anya. – Na mój pogrzeb na pewno by tyle nie przyszło.

– Mniej więcej – zaznacza ponownie pastor.

Prawie widzę, jak May dostaje gęziej skórki na myśl o takim tłumie. Nie może usiedzieć na miejscu, tylko wstaje i zaczyna chodzić w kółko.

– Dwieście osób – powtarza Anya.

– Eva miała wielu przyjaciół – wyjaśnia Beezer, częściowo żeby zamknąć jej usta. – Te wszystkie lekcje etykiety.

– Te wszystkie czarownice – dorzuca May, marszcząc brwi.

Pastor wierci się niepewnie. Niektórzy ludzie, zwłaszcza kalwini, uważają May za jedną z „tych czarownic”. Tym bardziej teraz, kiedy nazwały się „Kołem”. Pamiętał, kiedy zmieniły nazwę, oficjalną nazwę handlową, z „Dziewczyn z Wyspy” na „Koło”. Nie spodobała mu się wtedy nowa nazwa i powiedział to Evie. Wywoływała określone skojarzenia, których jego zdaniem należało unikać. Zawsze się zastanawiał – no, właściwie wszyscy się zastanawiali – co tak naprawdę się tutaj dzieje. Pewni ludzie twierdzili, że tutaj odbywają się sabały czarownic. Logiczne, że skoro teraz w Salem roi się od czarownic, każde spotkanie grupy kobiet uważa się za sabat, zwłaszcza grupy nazywającej się „Kołem”. Eva wyśmiała go i powiedziała, żeby się uspokoił, że nazwa pochodzi nie od czarownic, lecz od dawnych kół szycia dla pań. On jednak uważał, że taka nazwa pozwala na opaczną interpretację. „Przeszkadza w interesach” – tak się wyraził, ale one i tak postawiły na swoim. Jak sam się przekonał, nazwa w niczym nie przeszkodziła. Wkrótce potem Eva zaczęła sprzedawać koronki wyrabiane

przez Koło w swojej herbaciarni i od tamtej pory sprzedają się znakomicie. No, chyba tylko wariat przyjmuje biznesowe porady od pastora, prawda? Niemniej teraz z pewną ulgą stwierdził, że May nie tylko sama nie jest czarownicą, ale także nie lubi czarownic. Pod tym względem, pomyślał, nie różniła się od kalwinów.

– Kim są kalwini? – pytam i dopiero po tych słowach uświadamiam sobie, że go czytałam. On się wzdyga. Umysł doktora Warda jest tak łatwy do odczytania, tak otwarty, że nie mogę się powstrzymać. Tak czasami bywa ze świętymi ludźmi. Nie ukrywają swoich myśli przed światem jak reszta z nas.

May teraz naprawdę wyszła z siebie. Najpierw myślałam, że rozgniewała się, bo czytałam pastora nieproszona; to kolejna z zasad etykiety Ewy. Nie odczytuje się cudzych myśli bez zaproszenia – to wścibstwo, jak włamanie do cudzego domu. Ale wiedziałam, że jeśli tak łatwo odczytałam tego człowieka, May też może go odczytać; wszystkie jesteśmy do pewnego stopnia czytającymi, chociaż May nie chce tego przyznać. Twierdzi natomiast, że ma niesamowitą intuicję, a ja się upieram, że to prawie to samo. Więc albo wciąż się wścieka z powodu czarownic, czego zupełnie nie rozumiem, albo złości się na mnie za czytanie pastora. Tak czy owak, jej gniew jest prawie namacalny. Nawet pastor go czuje.

– I co myślisz? – Doktor Ward czeka na odpowiedź.

– Przecież wiesz, co myślę – odpowiada May. – Myślę, że w ogóle nie powinniśmy urządzić pogrzebu.

– Uważam, że Eva życzyłaby sobie jakiejś ceremonii – mówi doktor Ward.

– Ceremonia to miłe – odbywa się po raz pierwszy ciocia Boynton.

– Wiesz, Eva była dość religijna – przypomina doktor Ward.

– Eva? Religijna? – May śmieje się głośno.

Chociaż z zasady wolę stawiać po stronie doktora Warda niż mojej matki, w tym przypadku nawet ja muszę się zgodzić z May. Eva należała do Kościoła, ale bynajmniej nie była religijna. Latem robiła dekoracje kwiatowe dla Pierwszego Kościoła. I mogła dyskutować o Piśmie z najlepszymi. Ale rzadko uczęszczała na nabożeństwa. Powiedziała mi kiedyś, że jej koncepcja duchowości to praca w ogrodzie albo pływanie.

– Cóż, uważam, że ona chciałaby czegoś – upiera się doktor Ward. W jego głosie pojawia się ostra nuta, którą szybko pokrywa wymuszonym uśmiechem.

– Więc to ty powinieneś się zająć planowaniem – odpowiada May i wychodzi.

Teraz ja wpadam w złość, bo to całkiem w stylu May zostawić nas tutaj. Moja matka słynie z tego, że przepędziła okręgowego szeryfa, policję z Salem i tuzin agresywnych reporterów naraz. Potrafiła rozkręcić dochodowy interes i udzielić wspaniałego wywiadu „Newsweekowi”, ale w sprawach rodzinnych zupełnie sobie nie radzi.

– Nie wiem, dlaczego w ogóle ktoś ją pyta o zdanie – mówię trochę zbyt szorstko. – Stawiam dziesięć do jednego, że jeśli urządzimy pogrzeb, ona nawet się nie zjawi.

– Ty się zjawiłaś, prawda? – rzuca Beezer ostrym tonem. – Przepraszam – dodaje. – Ale czy możemy do tego nie wracać?

– Przykro mi – mówię szczerze.

– Może powinniśmy po prostu urządzić pogrzeb w kościele unitariańskim, zgodnie z planem – mówi doktor Ward. – Na zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy”.

Wyobrażam sobie kolejkę w delikatesach, gdzie ludzie tłoczą się do lady. Zachowuję ten obrazek dla siebie. Zapada długie milczenie.

- Dobrze się czujesz? – pyta mnie w końcu doktor Ward.
- Przykro mi – powtarzam, bo nie wiem, co powiedzieć.
- Wszystkim nam jest przykro – mówi doktor Ward i oczy zachodzą mu łzami. Wyciąga kapłańską rękę, żeby dotknąć mojego ramienia, ale łzy zaćmiewają mu wzrok i jego dłoń chwyta powietrze.



Później słyszę rozmowę Anyi z Beezerem, kiedy myślą, że są sami w domu.

- Masz bardzo dziwną rodzinę – mówi Anya niby-żartobliwie, pieszczotliwym tonem.

Nie widzę Beezera, ale znam wyraz jego twarzy. Nie uśmiecha się.



Kiedy byłam w wariatkowie, po samobójstwie Lyndley, zapisałam się na terapię wstrząsową. Wbrew życzeniom Evy i z pewnością wbrew życzeniom May (częściowo dlatego to zrobiłam), ale lekarze gorąco zalecali tę terapię. Spędziłam w szpitalu sześć miesięcy. Wypróbowali wszystkie standardowe leki antydepresyjne, chociaż wtedy jeszcze nie mieli prozacu, więc musieli stosować mniej skuteczne prochy. Dodatkowo szpikowali mnie neuroleptykami z powodu halucynacji. Brałam tyle stelazyny, że nie mogłam przełykać. Ledwie mogłam mówić. Jednak lekarstwa niewiele pomagały. Na jawie wciąż prześladował mnie obraz Lyndley upozowanej na skałach, przechylonej

pod wiatr jak galion na starym żaglowcu, gotowej do skoku. W nocnych koszmarach widziałam ojca Lyndley, Cala Boyntona, rozszarpywanego przez psy. Zaczęłam już wtedy rozumieć, że ta ostatnia wizja była halucynacją, chociaż kiedy mnie przyjmowano, naprawdę wierzyłam, że psy rozszarpały Cala, że on nie żyje. Lekarze nazwali to fantazją o spełnieniu życzeń.

No cóż, Cal nie umarł, ale moja siostra Lyndley tak. I chociaż próbowałam ze wszystkich sił, nie mogłam wyrzucić z mózgu żadnego z tych obrazów. Myślałam – i lekarze mi obiecywali – że elektrowstrząsy uwolnią mnie od tych wizji, więc się zapisałam. Zapaliłam się do tego pomysłu. W odpowiedzi May przysłała mi egzemplarz *Szklanego klosza* Sylvii Plath. Nie przywiozła go sama, bo nigdy nie odwiedziła mnie w szpitalu. Zamiast tego przysłała książkę przez Evę, która miała polecenie przeczytać mi ją na głos w razie konieczności.

Odpowiedziałam Evie tylko:

– Zrobię to.

Nie było tak strasznie, przynajmniej w moim odczuciu. I podziałało. Potrzebowałam kilku zabiegów, ale w końcu obraz zaczął blaknąć. Wizja Cala zmieniła się z powrotem w koszmarny sen, z którego często udawało mi się obudzić, zanim zrobiło się naprawdę paskudnie. I chociaż obraz Lyndley nie zniknął całkowicie, przynajmniej skurczył się do rozmiarów małej czarnej skrzynki, tkwiącej w lewym rogu mojego pola widzenia. Nie pozbyłam się go do końca, ale nie musiałam już patrzeć bezpośrednio na niego. Mogłam patrzeć na coś innego, jeśli wołałam, więc patrzyłam.

Po raz pierwszy, odkąd sięgam pamięcią, miałam plan. Chciałam się przeprowadzić do Kalifornii. Ponieważ złożyłam już papiery i przyjęto mnie na UCLA, poinformowałam szpital,

że zamierzam pójść na studia, jak pierwotnie zamierzałam. Lekarze byli zachwyceni. Potraktowali to jak znak, że zostałam wyleczona, że ich nowa i ulepszona elektroniczna medycyna spełniła swoje zadanie.

Zanim poddałam się terapii wstrząsowej, w ostatniej próbie wyperswadowania mi tego Eva powiedziała dziwną rzecz. Nie przerażały jej moje wizje. W jej profesji wróżki wizje są czymś pożądanym.

– Czasami – rzekła – to nie wizje są złe, tylko ich interpretacja. Czasami nie zrozumiesz tych obrazów, dopóki nie spojrzysz na nie z szerszej perspektywy.

Optowała za dalszą psychoterapią i była przeciwna elektrowstrząsom, przynajmniej wtedy tak myślałam. A naprawdę chodziło jej o to, co wyznała mi dopiero po latach: że sama też widziała te obrazy. Zobaczyła obie wizje w koronkach, tę z Lyndley i tę z psami. Ale postrzegała je jako symbole, podczas gdy ja uważałam je za realne.

– To moja wina – powiedziała, znowu wpadając w banał. – Powinnam była wiedzieć.

Wszyscy znajdujemy sposoby na znieczulenie.

– Każdy jest mądry po szkodzie – mówi do mnie Eva ze smutnym uśmiechem.



Terapia wstrząsowa zniszczyła większość mojej pamięci krótkotrwałej. Nigdy jej nie odzyskałam. Bardzo niewiele pamiętam z wydarzeń tamtego lata. Może i lepiej, przecież po to zgłosiłam się na elektrowstrząsy. Ale co najdziwniejsze – statystycznie szansa jedna na tysiąc – usunęły również sporą część mojej pamięci długotrwałej. Zapewniono mnie, że

wspomnienia wróca, i rzeczywiście wiele powróciło.

W przeciwieństwie do większości ludzi, którym z wiekiem pogarsza się pamięć, moja się polepsza. Zwykle powracają fragmenty, czasami całe epizody. Zapisywałam niektóre podczas pobytu w szpitalu, ale zanim wyjechałam do UCLA, skończyły mi się. Nie wytrwałam nawet przez pierwszy semestr. Powiedziałam Evie, że rzucam studia z powodu stelazyny, że widzę podwójnie i nie mogę czytać, co było prawdą. Po raz pierwszy zatrudniłam się do opieki nad domem u reżysera filmowego, a on dał mi pracę przy czytaniu scenariuszy, najpierw dla niego, potem dla jednego ze studiów.

Przez jakiś czas Eva próbowała mnie namówić do powrotu na UCLA. Albo żebym wróciła i podjęła studia w Bostonie.

Obecnie Koło robi klocki z kości ptaków, które niegdyś żyły na Wyspie Żółtego Psa. Te kostki są takie lekkie, że nitka napina się nierównomiernie i właśnie to przede wszystkim nadaje nowym koronkom z Ipswich niepowtarzalny charakter oraz uroczą nierówną fakturę, dzięki której tak łatwo z nich wróżyć.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 8

Wygrałabym zakład. May nie pojawia się na pogrzebie Evy. Ciocia Boynton jest obecna, eskortowana przez Beezera i Anyę, który podtrzymują ją pod ręce. Ale May nawet się nie pofatygowwała.

– May okazuje szacunek Evie na swój własny sposób – mówi Anya, czując potrzebę wyjaśnień. – Dzisiaj rano rozsypywała płatki peonii na cztery strony świata.

Nie komentuję. Wszystko, cokolwiek mogłabym powiedzieć, zabrzmiałoby sarkastycznie.

Kiedy docieramy do kościoła, ludzie stoją pod drzwiami w kolejce, czekając na wpuszczenie.

Jest tam Rafferty, stoi w głębi, pod organami, które wznoszą się na dwa piętra, aż do linii dachu. Wydaje się skrępowany w ciemnym garniturze, jeszcze bardziej skrępowany świadomością, że wszyscy się na niego gapią. Właściwie gapią się tylko kobiety. Rafferty to atrakcyjny mężczyzna, dlatego czuje się trochę nieswojo w tym głównie kobiecym tłumie.

To stary Kościół, Pierwszy Kościół w Salem, teraz unitariański, ale pierwotnie purytański. Dwie z oskarżonych czarownic należały do tej kongregacji. Ten Kościół ekskomunikował również Rogera Williama, kiedy ów zastrąjkował i odmówił pełnienia obowiązków pastora czy nawet uczestnictwa w nabożeństwach, dopóki nie zerwą wszelkich rozmów z Kościołem Anglii. Williams opuścił nie tylko Kościół, ale też kolonię Massachusetts Bay w ucieczce przez wygnaniem, i założył Rhode Island, stan, gdzie wypróbowano religijną tolerancję.



Obecnie Pierwszy Kościół w Salem jest unitariański i odszedł tak daleko od swoich purytańskich korzeni, jak tylko to możliwe dla Kościoła. Jednak te korzenie sięgają głęboko. Ostatnie z szeregu kolejnych miejsc zebrań, budowla przy Essex Street, zmieniło się znacznie z biegiem lat. W połowie dziewiętnastego wieku, kiedy do Salem napływały spore pieniądze z handlu morskiego, kościół przebudowano w kamieniu i mahoniu, z twardymi drewnianymi ławkami pośrodku i miękkimi, wyściełanymi aksamitem łóżami (prywatne miejsca dla rodzin armatorów) pod ścianami. Światło, które wpadało głównie przez ogromne, sięgające niemal od sufitu do podłogi okna Tiffany'ego, malowało wewnątrz zgaszonym różem i sprawiało, że wszystko wyglądało pięknie, chociaż trochę surrealistycznie.

Kościół wyróżnia się surową elegancją, jaką można spotkać tylko w tej części Nowego Świata.

Siadamy z boku w łoży Whitneyów, z poduszkami wypchanymi końskim włosiem i zakurzonymi aksamitnymi zasłonami, niegdyś głębokiej barwy czerwonego wina, teraz zblakłymi do

różowości, pogniecionymi i wystrzępionymi. Ławki na środku kościoła zostały odnowione i tam siedzi kongregacja. Nawet dzisiaj, kiedy panuje taki tłok, że ludzie muszą stać z tyłu, otwarta jest tylko loża Whitneyów. Przypuszczalnie chodzi raczej o kwestie odpowiedzialności niż o segregację, ale czasami wydaje mi się, że w ten sposób chcą nas oddzielić od tłumu. Ponieważ siedzimy przodem do zgromadzonych, nie do kazalnicy, wyglądamy jak muzealne okazy w gablocie. Widzę, jak ludzie zerkają na nas ukradkiem, kiedy myślą, że nie patrzymy. Może zawsze tak robią na pogrzebach, może to normalne, ale rodziny nie zauważają tych spojrzeń, ponieważ patrzą na trumnę, nie na zgromadzonych.

Na dworze temperatura dochodzi już do trzydziestu dwóch stopni. „Za wcześnie na to” – słyszę głos jakiejś wchodzącej kobiety. W jej słowach brzmi lekka pretensja. Oglądam się, żeby zobaczyć, do kogo mówiła, ale to ogólny komentarz, nieadresowany do nikogo w szczególności, może do Boga, w którego domu podobno się znajdujemy. Jakby coś dokumentowała, zgłaszała do protokołu. W tej części kraju ludzie tak postępują, rejestrują wybryki pogody tak samo, jak bilansują książeczki czekowe, sprawdzają, czy mają pokrycie na wszystkie wydatki i czy nie obciążono ich żadnymi nienależnymi opłatami, jakby mogli kontrolować samą pogodę i wymagać od niej, żeby wytwarzała określoną i skończoną liczbę upalnych, śnieżnych czy deszczowych dni, której nie wolno przekraczać.

Kościół zapełniają kobiety, wszystkie w kapeluszach i lnianych letnich sukienkach. Wyglądają niemal jak z Południa, nie pasują do zimnej kamiennej architektury. Mój wzrok przyciąga grupa kobiet pośrodku kościoła, wszystkie ubrane w różne odcienie fioleto i czerwone kapelusze. To stałe klientki Ewy, które traktowała jak przyjaciółki.

Ludzie, wchodząc, wachlują się, czym kto może: kapelusami od słońca, programami nabożeństwa z zeszłej niedzieli, które pospadały na podłogę. Słysząc, jak wzdychają. Kamieniny kościół nie ma klimatyzacji, ale panuje tu chłód jak w nowoangielskiej piwnicy z polnych kamieni, zimnej i wilgotnej, zachowującej ślad zapachu jabłek z zeszłej jesieni i świerkowych gałązek pozostałych po Bożym Narodzeniu. Ludzie uspokajają się, kiedy wreszcie ochłonęli; przestają się wachlować i wiercić. Nawet pozdrawiają się przelotnymi uśmiechami, zanim przybiorą bardziej stosowne poważne miny. Słyszałam kiedyś, jak hollywoodzki reżyser powiedział do jednego ze swoich aktorów: „Spróbuj grać, jakbyś się ubrał na czarno”. Właśnie tak się zachowują ci ludzie.

Jedynie czarownice naprawdę ubrały się na czarno, ale one noszą czerń przez cały rok. I tylko one nie traktują tego jak poważną uroczystość. Rozmawiają cicho między sobą, witają nowo przybyłe. Śmierć nie znaczy tego samego dla czarownic, powiedziała mi kiedyś Eva; podobno dlatego, że nie wiążą z nią perspektywy wiecznego potępienia.

Doktor Ward wygłasza mowę pogrzebową. Opowiada o dobrych uczynkach Evy, o wszystkich ludziach, którym pomogła. „Ludzi określają ostatecznie ich dobre uczynki”. Recytuje listę jej osiągnięć, rzeczy, których nie wiedziałam o mojej ciotce, którymi mogłaby się chwalić, gdyby była inną osobą. Zdaję sobie sprawę z egoizmu dzieci. Kochamy je i nasz wszechświat kręci się wokół nich, ale ich wszechświat nie kręci się wokół nas. Wyjechałam stąd, kiedy byłam dzieckiem, i pod pewnymi względami wcale jeszcze nie dorosłam. Świadczy o tym fakt, że nie wiedziałam tylu rzeczy o mojej ciotce. Żałuję tego, kiedy tu siedzę. Dzisiaj żałuję wielu rzeczy.

Doktor Ward chrząka.

– Eva Whitney pływała codziennie, począwszy od późnej wiosny. Zanim wiele łodzi wypłynęło na morze, ona je wyprzedzała. Ludzie zaczynali wodować łódki, kiedy Eva zaczynała codzienne pływanie, ponieważ wiedzieli, że ciepła pogoda się utrzyma, że zaczyna się sezon. Pierwsze pływanie Evy stanowiło dla naszego miasta odpowiednik Dnia Świstaka. Kiedy po raz pierwszy wchodziła do wody, wszyscy kolektywnie wstrzymywaliśmy oddech. Jeśli wracała następnego dnia, odkładaliśmy na dobre łopaty do odgarniania śniegu... bo przyszła wiosna. – Rozgląda się po kościele, nawiązuje kontakt wzrokowy. – A teraz pora roku się zmienia. Znowu przyszło lato, lecz Evy nie ma już wśród nas. – Spogląda na ciocię Boynton, potem na Beezera i na mnie. Beezer wierci się nerwowo. – *Wszystko ma swój czas – ciągnie doktor Ward – i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem**.

*Koh3,1.

Nie kończy wersu, tylko schodzi z kazalnicy i gestem przywołuje Ann Chase, która podchodzi z tekstem przemowy w rękę. Mijając nas, muska czarną szatą róg naszej łoży. Doktor Ward pamięta o manierach, podaje jej ramię, pomaga wejść po stopniach – uprzejmy gest starego dżentelmena. Ona bierze go pod rękę i widzę, że to jej dłoń go wspiera. Raczej ona mu pomaga zejść, niż on jej wejść. Doktor Ward powoli idzie do pierwszego rzędu i zajmuje miejsce naprzeciwko trumny. Patrzy prosto przed siebie.

Nie widziałam Ann Chase od tamtego lata, kiedy umarła Lyndley. Ann jest trochę starsza ode mnie, cztery czy pięć lat. Wydaje się bardziej wyciszona, poza tym jednak nie zmieniła się przez te piętnaście lat. Rysy jej twarzy straciły trochę

wyrazu, niczym kopia starego mistrza wykonana przez studenta akademii, bardziej sugestia niż rzeczywistość.

Nie przedstawia się. Nie musi. Ann Chase to najślawniejsza czarownica z Salem, z wyjątkiem Laurie Cabot. Pochodzi w linii prostej od Marthy i Gilesa Coreyów, niegdyś wybitnych członków Pierwszego Kościoła (dopóki ich nie stracono jako czarownicy i czarownika podczas masowej hysterii). Oczywiście nie byli czarownicą i czarownikiem. Ich ułaskawienia wiszą teraz w kościele do wglądu dla wszystkich, ułaskawienia wystawione przez królową Elżbietę II na początku tego stulecia, o wiele za późno dla Marthy i Gilesa oraz (jak mówią niektórzy) za późno także dla Ann. „Grzechy ojców” – ktoś szepcze dostatecznie głośno, żeby wszyscy usłyszeli. Ale jeśli nawet Ann słyszy, nawet nie drgnie.

Większość ludzi w tym mieście uważa, że Ann została czarownicą w ramach jakiegoś rodzinnego protestu posuniętego do ekstremum, wypaczonego poczucia sprawiedliwości w stylu: „Jeśli nie możesz ich pokonać, to się do nich przyłącz” albo: „Jak wisieć za źrebię, to i za kobyłę”. Nie jestem pewna. Ann Chase praktykowała czary, zanim wyjechałam z miasta, mieszkała w hipisowskim domu przy Gables, hodowała zioła i warzyła dla przyjaciółek magiczne napary z grzybów. Nie ubierała się wtedy na czarno: nosiła długie, powłóczyście spodnice w indyjskie wzory, uszyte z tego samego materiału co narzuty na łóżka, które Lyndley i ja kupiliśmy na Harvard Square. Prawie zawsze chodziła boso, miała tatuaże z henny na kłykciach i pierścionek na dużym palcu u nogi, od którego biegł łańcuszek oplatający jej kostkę jak srebrna winorośl. Czasami Lyndley i ja uważaliśmy, że jest bardzo egzotyczna. Kiedy indziej stwierdzałyśmy, że jest zwykłą dziwaczką. Jak wtedy, kiedy zobaczyłyśmy ją daleko na końcu nabrzeża

Derby, ogromną na tle maleńkiej latarni morskiej, inkantującą zaklęcia miłosne dla swoich przyjaciółek, które chodziły za nią jak pieski. Szpiegowałyśmy je z zatoki, z whalera przywiązanego na cudzym miejscu do cumowania. Śmiałyśmy się z nich, zakrywając usta, żeby nas nie usłyszały. Ale widocznie w końcu te zaklęcia podziałały, ponieważ przyjaciółki Ann zaczęły rodzić małe hipisowskie dzieci, które ubierały w maleńkie farbowane podkoszulki na gumki i niańczyły w miejscach publicznych. Nie szkodzi, że lata sześćdziesiąte już dawno minęły. „Lata sześćdziesiąte dotarły do Salem dopiero w latach siedemdziesiątych” – mawiała Lyndley i oczywiście miała rację. Ale gdy wreszcie lata sześćdziesiąte dobiły do starego portu Salem, Ann Chase jako jedna z pierwszych wskoczyła na pokład. A kiedy ten statek odpłynął, Ann machała mu z plaży na pożegnanie. Znalazła port macierzysty.

Wtedy wszyscy potrafili trochę czarować, ale Ann przeniosła to na nowy poziom. Zamiast stawiać tarota czy pytać I Ching, zajęła się frenologią. Potrafiła przepowiedzieć przyszłość z guzów na czyjejs głowie. Chwytała twoją głowę obie rękami i obmacywała, jakby kupowała melona na targu. Na koniec mówiła ci, kiedy wyjdiesz za mąż i ile będziesz miała dzieci. Lyndley chodziła do niej kilka razy, ale ja nigdy nie poszłam, bo nie lubiłam, żeby dotykano mojej głowy, a poza tym miałam Evę, która w razie potrzeby mogła mi przepowiedzieć przyszłość.

Ale najlepiej wychodziły Ann olejki. Hodowała zioła w skrzynkach na parapetach, warzyła lekarstwa i destylowała olejki eteryczne. W miarę jak współlokatorki wyprowadzały się jedna po drugiej, zmieniały się najpierw w japiszonki, a potem w mamusie, Ann zastępowała je kotami. Otworzyła sklep zielarski przy Pickering Wharf, zanim w tamtej okolicy

podskoczyły czynsze, i zarabiała tyle, że utrzymała się w interesie, kiedy tam się zrobiło modne miejsce na zakupy. W końcu, gdy sklep przynosił coraz większe zyski, przestała hodować zioła w skrzynkach okiennych i zaczęła je kupować od Evy. I wtedy się zaprzyjaźniły.

Ewolucja Ann w „Miejską Czarownicę” odbywała się stopniowo. Słuchając Evy, można by pomyśleć, że Ann po prostu obudziła się któregoś ranka i odkryła, iż jest czarownicą. W rzeczywistości to nie była decyzja, tylko ewolucja. Ale to historia rodziny przyniosła jej sławę. Czarownice z Salem, miejscowe, które dopiero podjęły praktykę, albo przyjezdne, które już praktykowały i przyjechały do Salem w nadziei, że znajdą tu bezpieczną przystań, skupiają się wokół Ann Chase. Chełpią się związkiem z nią niczym godłem odwagi, stanowiącym dowód, że czarownice z Salem wciąż istnieją, jakby chciały powiedzieć: „Patrzenie, jak daleko zaszliśmy”. Oczywiście to żaden dowód (ponieważ Martha i Giles Coreyowie nie byli czarownicą i czarownikiem, tylko pechowymi ofiarami), ale związek raz stworzony trudno wymazać. Zastanawiam się, siedząc w łóżu, jak się czuje Ann w roli ich maskotki.

Ann mówi już od kilku minut: o ogrodach Evy, od lat opisywanych w czasopiśmie, ojej programie ochrony roślin. Chcę posłuchać, co Ann ma do powiedzenia, ale ta sama osoba znowu szepcze i rozprasza moją uwagę. Rozglądam się, ale nie widzę źródła szeptu, więc znowu próbuję się skupić na przemowie Ann i szczegółach życia mojej ciotki.

– Eva ocalała od wyginięcia co najmniej jeden gatunek roślin, który znam – mówi Ann.

„Okropna przesada, kupa bredni”. Tym razem szept brzmi dostatecznie głośno, żebym rozróżniła słowa. Odwracam się gwałtownie i uciszam kobiety po lewej, myśląc, że to jedna

z nich. Patrzą na mnie dziwnie. „Jakbyś miała dwie głowy” – szepcze mi głos do ucha, jeszcze wyraźniejszy, dużo bliższy. Rozpoznaję ten głos. To Eva. Szept jest wystarczająco donośny, żeby wypełnić kościół albo przynajmniej dotrzeć do najbliższych rzędów, ale widocznie tylko ja go słyszę.

– Eva Whitney była jedną z nas – ciągnie Ann i kilka czarownic klaszcze. – Oczywiście nieoficjalnie, ale jednak.

Patrzę teraz na wielebneho, bo tego sobie życzy Eva. Nie mam pojęcia, skąd to wiem. Był dobrym przyjacielem. Pamiętam go w tym domu, jak dyskutował o literaturze i Piśmie Świętym do późnej nocy.

Spoglądam na doktora Warda. Widzę, że jest zrozpaczony. Próbuje wziąć się w garść ze względu na kongregację.

– Przypomina mi się ulubiony cytat Ewy – mówi Ann. – „Za rok trawa znów się zazieleni. Lecz ty, moja miłości, czy powrócisz?”. – Ann patrzy prosto na mnie, kiedy recytuje ten wers.

Teraz Ann schodzi z podwyższenia i doktor Ward znowu staje obok trumny. Kiedy Ann zstępuje po schodkach, jej czarna szata się wydyma i przypomina mi się lot, czarownicy na miotłach. Potem Eva podrzuca mi strzępek wspomnienia, jak wszyscy siedzieliśmy tutaj, Beezer, Eva i ja, w „dniu latającego człowieka”, przynajmniej tak Beezer zawsze określał ten incydent.

To była wigilia Bożego Narodzenia. Doktor Ward był wtedy nowy i Eva okazywała swoje poparcie dla niego, pilnując, żebyśmy wszyscy uczęszczali na nabożeństwa. W tamtym roku wybrano Beezera do gry na dzwonek, razem z tuzinem innych dzieciaków, wszystkich ubranych w jednakowe czerwone togie. Każde dziecko miało jeden dzwonek i razem wydzwaniały nierówno *Ode do radości*, podnosząc dzwonek na dany znak

i potrząsając nim, jakby od tego zależało ich zbawienie. Kiedy Beezer skończył, wrócił do łoży, zarumieniony z przejęcia i od gorąca, ponieważ doktor Ward podkreślił ogrzewanie, żeby dzieci się nie przeziębily w starym, pełnym przeciągów budynku.

Ławki w środkowej nawie stoją trochę wyżej, o jakieś sześć czy siedem cali, co jest dość niezwykle i zdradliwe, jeśli się o tym zapomni. Pamiętam, że tamtego wieczoru siedziałam z Beezerem w łoży. Nabożeństwo się kończyło. Chór śpiewał, tak jak teraz. Pewien starszy dżentelmen, któremu spieszyło się do domu, widząc lukę w procesji, złamał zasadę i wskoczył do kolejki, ale widocznie zapomniał o stopniu. Najlepiej pamiętam wyraz twarzy Ewy, kiedy starszy pan wpadł do naszej łoży głową naprzód, jakby leciał w powietrzu, z nogami prawie równoległymi do podłogi. Beezer zobaczył go pierwszy i zawołał: „O w mordę!”, za co w domu oberwałby od Ewy, teraz jednak, zanim zdążyła go trzepnąć, leżał na podłodze łoży, pociągnąwszy mnie za sobą. Wszyscy w kościele odwrócili się w samą porę, żeby zobaczyć, jak Eva podnosi obie ręce nad głowę i chwyta starszego pana w powietrzu, niczym trener gimnastyki podtrzymujący skoczka. Zmieniła trajektorię i prawdopodobnie uratowała go przed skręceniem karku. Ale przez chwilę, zanim spadł, leciał nieważki jak piórko. Pamiętam, jak myślałam, że nic by mu się nie stało, gdyby tylko uwierzył, że naprawdę lata. On jednak stracił równowagę, próbował szukać podparcia, z napiętymi mięśniami, z wykrzywioną twarzą. Wylądował twardo, w połowie na kolanach Ewy, w połowie na mahoniowych drzewczkach łoży, które roztrzaskał. Sam jednak jakimś cudem nie odniósł żadnych obrażeń. Ani Eva. Pamiętam, jak zaimponowała Beezerowi tym zręcznym chwytem i odwagą. Gadał o tym po całych dniach.

„O w mordę!” – szepcze wtedy głos i widzę uśmiech Beezera. Zdaję sobie sprawę, że wspomnienie było przeznaczone dla niego, nie dla mnie. Teraz na wpół się śmieje, na wpół płacze. Potem solista zaczyna śpiewać *Raglan Road*, dziwny wybór, ale dobry, pieśń wybrana przez mojego brata i wiem, że spodobałyby się Evie.

Widzę uśmiech Ann, która przechodzi obok w falującej szacie, a potem nagły ruch, kiedy duch Evy wyskakuje z naszej łoży do Ann. Oglądam się na Beezera, żeby sprawdzić, czy to zauważył, on jednak wstał i idzie w stronę trumny razem z innymi żałobnikami. Niczego nie widział.

Potem idziemy za trumną, wszyscy razem. Kiedy otwierają się masywne drzwi kościoła, chłodne powietrze w środku skrapla się w delikatną mgiełkę. Wychodzimy z zaparowanego wnętrza na rozpalony trotuar. Ale zanim wyjdziemy, wszystko na chwilę zamiera. Nikt nie chce przekroczyć progu. Ten krok oznacza koniec czegoś, olbrzymią zmianę. Wszyscy to czujemy. Nieważne, że na dworze jest trzydzieści sześć stopni Celsjusza. To coś innego. Przez mgnienie próg wydaje się zbyt wysoki, nie tylko dla żałobników niosących trumnę, ale także dla wszystkich pozostałych. Nikt nie chce jako pierwszy zrobić tego kroku. Wieczność zawiera się w tej jednej chwili, w której wszyscy jesteśmy zawieszani. Wreszcie doktor Ward przełamuje czar i wychodzi na zewnątrz.

Fale gorąca wznoszą się znad asfaltowego podjazdu, zniekształcają sylwetki ludzi, którzy wychodzą w blask słońca, zacierają kontury wszystkich, nie tylko Ann. Jakbyśmy byli duchami i tylko ciemna, prostokątna trumna miała prawdziwy ciężar i masę. Ludzie schodzą po stopniach ostrożnie, powoli, żeby oczy im się przyzwyczaiły do ostrego słońca.

Nie czeka żaden karawan. Zamiast tego postanowili sami zanieść trumnę na cmentarz – Beezer, Jay-Jay i kilku innych młodych mężczyzn, których nie rozpoznaję, pewnie przyjaciół Evy.

Kilka drzwi dalej przed Domem Czarownicy grupka dzieci na wycieczce, przedszkolaków, stoi w dwóch szeregach po obu stronach grubego żółtego sznura z pętlami co kilka stóp. Każde dziecko trzyma pętlę jedną ręką, niektóre z roztargnieniem są kciuk wolnej dłoni. Kilka starszych, bardziej przyzwyczajonych do systemu koleżeńskigo niż do sznura, jedną ręką ścisną pętlę i pod nią trzyma za rękę kolegę, na wszelki wypadek. Trudno chodzić w ten sposób, ale teraz dzieci nie idą, tylko stoją w szeregu i czekają, żeby wejść do środka. Dziwię się nauczycielkom, że przyprowadziły je tutaj, do domu Jonathana Corwina, jednego z wieszających sędziów, chociaż znacznie bardziej sceptycznego i mniej oddanego tym ponurym praktykom niż pozostali. Dzieci nie rozumieją. Pomyślałam, tak jak sama myślałam w ich wieku, że Dom Czarownicy to miejsce, w którym mieszkały czarownice. Skojarzy im się z Halloween, słodyczami i kostiumami, w które się przebiorą w przyszłym roku. Nie rozumieją reszty tej mrocznej historii, i bardzo dobrze. Niektóre są senne od upału, półprzytomne, rozglądają się za czymś, co je wyrwie z otępienia. Ich wzrok natrafia na trumnę, która powoli wynurza się z kościelnego podjazdu. Patrzą, jak trumna chybotliwie sunie ulicą, przywierają do niej oczami, odprowadzają ją spojrzzeniami, nieświadome, że nie powinny. Nie mają żadnych punktów odniesienia wobec śmierci, dla nich to tylko część wycieczki, na którą dostały bilety. A może biorą nas za ulicznych artystów, których widziały wędrujących po mieście, ucharakteryzowanych na szkielety, zwabiających klientów do Muzeum Czarownic w Salem

albo do Lochu Czarownic czy któregoś z nawiedzonych domów.

Mijamy ogrody rezydencji Ropes. Samochody zatrzymują się, kiedy przecinamy Essex Street i ruszamy po Cambridge w stronę Chestnut Street, ulubionej ulicy Evy. Pierwotnie mieszkali tam Whitneyowie, zanim politycy wypędzili ich na Washington Square razem z resztą jeffersonowskich republikanów. To Beezer chciał skrócić w prawo, w Chestnut Street, i przejść obok starego domu Whitneyów, potem przez Flint Street i Warren wrócić na Cambridge Street i dalej do cmentarza przy Broad Street. Pomysł wydawał się dobry (i uszczęśliwiłby Evę), okazał się jednak o wiele za ambitny. Prawie niewykonalny z powodu upału. Jestem już wyczerpana i brak mi tchu. Myślę, że lepiej, gdyby poszli prosto i wcale nie robili kółka. Próbuje przesłać Beezerowi tę myśl, ale kiedy procesja dochodzi do Chestnut Street i Hamilton Hall, Beezer kieruje ją w prawo, zgodnie z planem, i trumna skręca, jej koniec zatacza szeroki łuk jak rufa łodzi.

Chestnut Street udekorowano na lato doniczkami w oknach i ukwieconymi żardynierami na frontowych stopniach starych budynków federalnych. Tu jest pięknie o każdej porze roku, ale nigdy nie jest łatwo tędy przejść. Stare ceglane chodniki wybrzuszą się i opadają jak fale, żeby pomieścić skrócone korzenie drzew i pęknięcia po mrozach z ostatnich dwóch stuleci. Ta ulica to chwila w czasie, ale niepewna jak zatoka Salem podczas sztormu. Trumna podskakuje, jakby płynęła po wzburzonym morzu. Zza rogu wyjeżdża turystyczny trolejbus, kilkoro zwiedzających korzysta z okazji i wychyla się, żeby trzasnąć fotki. Trolejbus dzwoni i stary człowiek rozkładający pasjansa na stoliku przy oknie podnosi wzrok z tolerancyjną irytacją, ale zaskakuje go widok trumny przepływającej za oknem

na poziomie oczu, poprzedzającej całą procesję. Stary wstaje, podchodzi do okna i zamyka drewniane okiennice.

Cmentarz przy Broad Street leży wysoko na wzgórzu, którego zbocze opada lekko w stronę kościoła. To niedaleko w linii prostej, ale za daleko dla żałobników niosących trumnę w tym upale. Widzę wysiłek na twarzy Beezera, który myśli, że to jednak nie był dobry pomysł. Zbliżamy się już do cmentarnego wzgórza, na przedzie krewni i kilka pań w kapeluszach. Cmentarz jest tuż przed nami, ale droga opada nisko, zanim znowu się wzniesie. Chociaż widzę nagrobki na zboczu, nie sięgam wzrokiem do cmentarnej bramy, więc nie mam pojęcia, na co wszyscy patrzą, dopóki nie podejść bliżej. Czarownice, które dotarły do wzniesienia za nami i mają widok na całą scenę, stanęły jak wryte i wytrzeszczyły oczy.

– Co się dzieje? – pyta przyjaciółkę pastelowa kobieta. – Na co one się gapią?

Wyczuwam protestujących, zanim ich zobaczę, czuję jakby ścianę albo bramę zamkniętą na klucz. Potem dostrzegam hasła: duże, ręcznie wypisane markerami na tablicy ogłoszeniowej: **NIE POZWALAMY NA CHRZEŚCIJAŃSKI POCHÓWEK i CZARY TO OBRAZA BOSKA.**

Detektyw Rafferty już wzywa wsparcie przez telefon komórkowy, z taką miną, jakby od początku spodziewał się kłopotów. Jeden z żałobników niosących trumnę, który zdołał przejść po zdradliwych chodnikach Chestnut Street bez jednego fałszywego kroku, teraz się potyka, chociaż ma solidny bruk pod nogami. O mało się nie przewraca, ale w ostatniej chwili łapie równowagę. Fala wstrząsu przechodzi przez niosących i przez krótką chwilę obawiam się, że zaraz upuszczą trumnę na chodnik.

– Rozejść się – mówi Rafferty do protestujących.

Podjeżdża drugi radiowóz, wyskakuje z niego dwóch funkcjonariuszy i blokują drogę protestującym, żeby przepuścić trumnę. Żałobnicy ruszają pod górę, ale zbocze jest strome. Widzę pot przesiąkający przez ich marynarki.

– Nie rozumiem – zwraca się jedna z kobiet w pastelach do jednej z Czerwonych Kapeluszy. – Kim są ci ludzie?

– To kalwini – wyjaśnia Czerwony Kapelusz.

Nagle czuję się tak, jak Beezer wygląda. Uświadamiam sobie, że chyba powinnam była coś zjeść przed pogrzebem, ale nie mogłam. Mam wrażenie, że patrzę przez lornetkę z niewłaściwej strony i wszystko odsuwa się gdzieś daleko.

– Jak dawni purytanie?

Czerwony Kapelusz ostrożnie omija protestujących, idąc bokiem, bo nie ma odwagi odwrócić się do nich plecami.

– To chyba żarty – mówi pastelowa kobieta jednocześnie do kobiety w kapeluszu i do demonstrantów. Nie otrzymawszy odpowiedzi, spieszenie dogania pozostałe. W oddali słychać coraz bliższe zawodzenie syren.

– Pozwólcie im przejść – zwraca się Rafferty do demonstrantów, teraz już ostrzejszym tonem, skoro posiłki nadjeżdżają. – Chcecie protestować, wasze prawo, ale nie na terenie cmentarza.

Rafferty wkracza pomiędzy kalwinów a czarownice. Te ostatnie przechodzą milczącą grupką i czuję, że coś się przesuwają. Jeden mężczyzna żegna się, kiedy go mijają, stary katolicki przesąd, jakby nie miał pewności, czy ta nowa przyjęta przez niego religia wytrzyma w razie potrzeby. Nawet ja widzę, że ci ludzie boją się czarownic. Ich strach przechyla szale mocy i teraz czarownice czują się dostatecznie silne, żeby przejść, wiedzą, że tamci się ich boją, zwłaszcza takiej dużej grupy.

Anya bierze pod ramię ciocię Boynton i prowadzi ją na szczyt wzgórza, gdzie znajduje się miejsce rodziny Whitneyów. Idę za nimi, nie spuszczać z oka kalwinów. W dole widzę więcej podjeżdżających radiowozów.

Znad wody wieje wiatr. Dopiero na szczycie wzgórza dociera do nas pierwszy powiew. Pachnie słonym oceanem i odpływem. Przy każdym kroku pod górę czuję rwanie pooperacyjnych szwów, jeszcze nierozpuszczonych. Szukam miejsca, żeby usiąść, ale nie znajduję. Chcę płakać, wiem, że powinnam płakać, ale nie mogę, nie przy tych wszystkich ludziach, którzy patrzą. Patrzą na mnie.

Przede mną stoi wysoki pomnik Whitneyów, otoczony przez małe kamienie nagrobne. Spoglądam w dół na nagrobek mojego pradziadka, G.G. Whitneya. W Salem każdy napotkany człowiek opowie ci historię o moim pradziadku. Dzisiaj jednak nie szukam nagrobka G.G. Whitneya, tylko grobu Lyndley. Zanim pochowano moją siostrę, trafiłam już do szpitala. Sięgam wzrokiem na koniec rzędu, do najnowszego nagrobka, jej.

Wycięto już kamień nagrobny dla Evy. Leży na boku obok otwartego grobu. Anya stoi nad nim i pomstuje. Wścieka się, bo błędnie napisali imię. „Evę” zamiast „Eva”. Pewnie to zwykła pomyłka, ale ona chce, żeby ktoś za to zapłacił.

– I patrzcie, jak napisali słowo „zmarła” – narzeka. – Przez „1”. Skąd wy wzięliście tych ludzi?

Nie mówi do mnie. Ani do nikogo, kto może coś zrobić w tej sprawie. Od lat ta sama rodzina wykuwa nagrobki dla Whitneyów, kamieniarze z Włoch, fachowcy od marmuru, sprowadzeni przez G.G. Znam ich od dziecka. Misternie rzeźbiony główny pomnik to ich dzieło. Oni wykonali wszystkie

granitowe rzeźby w ogrodach Evy: wycięli delikatne płatki róż i łożyczki paproci w twardym granicie z Nowej Anglii, tak różnym od miękkiego marmuru, do jakiego przywykli. To wspaniali kamieniarze, chociaż na bakier z ortografią, i nie pozwolę, żeby Anya ich krytykowała.

Przechodzę między rzędami nagrobków Whitneyów. Przybijam przed grobem Lyndley i patrzę. Tutaj też się pomylili. Nazwisko wykuli poprawnie, Boynton, ale imię napisali przez „s” zamiast „l” („Lyndsey” zamiast „Lyndley”). Trochę mnie mdli, kiedy tam stoję. Kręci mi się w głowie.



Kiedy wracam do grupy, Anya trzyma ciocię Boynton pod ramię. Opamiętała się i przestała pyskować.

Doktor Ward czyta modlitwy nad grobem. Ciągłe zerka na ciocię Boynton, do niej kieruje modlitwy. Ona jakby tego nie zauważa. Nie patrzy na pastora, tylko na kopczyki ziemi obok otwartego grobu. Wątpię jednak, czy zdaje sobie sprawę, że dzisiaj grzebiemy jej matkę. W dniu, kiedy przyjechałam, chyba wiedziała. Ale dzisiaj wydaje się niczego nieświadoma. Nie podnosi wzroku, kiedy recytujemy Psalm Dwudziesty Trzeci. Nie wydaje się smutna czy nawet specjalnie zainteresowana tym, co tutaj robimy.



Ceremonia dobiegła końca i niektórzy odchodzą. Ale nikt z nas nie chce zostawić Evy tutaj na powierzchni, kiedy demonstranci wciąż stoją na dole. Więc zostajemy i czekamy, aż opuszczą ją do grobu, każdy bierze rytualną garść ziemi albo kwiat i rzuca na trumnę.

A potem, kiedy wreszcie wszystko się skończyło, kiedy wszyscy się odwracamy i odchodzimy, jedna z kobiet w kapeluszach zachłystuje się powietrzem. Okręcam się na pięcie i widzę jednego z uczniów Cala idącego w stronę cmentarza. Ubrany jest w luźną szatę i sandały, długie włosy spływają mu na ramiona. Ma brodę. Nawet doktor Ward nie może oderwać od niego wzroku. Potem widzę, jak Rafferty zastępuje mu drogę. Grupa protestujących napiera silniej, policyjne samochody przysuwają się do siebie. Widzę twarz Rafferty'ego, wykrzywioną, jakby spróbował nieświeżej ryby czy czegoś podobnego.

– Jezu Chryste! – mówi pastelowa kobieta.

– Bynajmniej – odpowiada jedna z Czerwonych Kapeluszy.

– To nie Jezus, tylko Jan Chrzciciel – dorzuca następny Czerwony Kapelusz.

– A to Cal Boynton – dodaje druga znacznie mniej żartobliwym tonem, wskazując mężczyznę w czarny garniturze od Armaniego.

– Jak on śmie! – wykrzykuje inny Czerwony Kapelusz.

Tłum cichnie, kiedy Cal przechodzi. Zatrzymuje się przed moją ciotką.

– Cześć, Emmo – mówi do cioci Boynton, która sztywnieje. – I cześć, Sophya – odzywa się do mnie, nie odwracając się, żeby nie musiał na mnie patrzeć. – Witaj w domu.

Ziemia wiruje i Beezer chwytą mnie za ramię. Zanim zdążę cokolwiek zrobić, zjawia się Rafferty.

– Proszę się odsunąć – mówi do Cala, który ani drgnie.

– Spokojnie, detektywie Rafferty. Przyszedłem tylko złożyć uszanowanie jak wszyscy inni.

Anya bierze ciocię Boynton za ramię i wyprowadza ją z tłumu.

– Chodź – rzuca. – Już po wszystkim.

Beezer patrzy na mnie. Stoi tuż obok, kiedy Anya prowadzi ciotkę na drugą stronę wzgórza, przez tylną bramę cmentarza, w stronę zatoki.

Beezer kiwa na mnie, żebym poszła przodem.

– Chodźmy do domu – mówi.

Rafferty zostaje, obserwuje Cala, pilnuje, żeby nie poszedł za nami.

W najlepszym okresie sześćset kobiet wyrabiało i sprzedawało koronki z Ipswich, które statkami przewożono z miasta do portów na całym świecie.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 9

Anya odwozi ciocię Emmę na Wyspę Żółtego Psa. Po powrocie do domu Evy Anya idzie prosto do spiżarni i nalewa sobie drinka. Oprócz May i mojej ciotki tylko doktor Ward nie wraca do tego domu. Przysyła karteczkę z usprawiedliwieniem, że nie czuje się dobrze, ale obiecuje, że wpadnie w tygodniu, żeby mnie odwiedzić. Wszyscy pozostali żałobnicy się zjawiają, włącznie z czarownicami. Kalwini równie dobrze też mogli przyjść, ponieważ stanowią główny temat rozmów. „Co za bezczelność – mówią wszyscy – żeby urządzać takie sceny na cmentarzu”. Nadal jestem zaszokowana tą całą historią i widzę, że Beezer jest na mnie zły z tego powodu, a przynajmniej rozczarowany. Ciągle się upiera, że nie powinno mnie to dziwić. Przecież wiedziałam o Calu i jego wyznawcach, którzy ubierają się jak apostołowie i uważają go za drugie wcielenie Chrystusa. Chociaż to chore, okropne i w ogóle, mówi Beezer, nie powinnam tak się dziwić, skoro o tym wiedziałam. Rozmawialiśmy o tym ponad rok wcześniej, przypomina, i powiedziałam

wtedy, że mnie to nie obchodzi. Nie przypominam sobie takiej rozmowy i mówię mu to.

– Pamiętasz, jak Eva ci przysłała te wszystkie gazety? – pyta, jakby to załatwiało sprawę. – Przysłała je dlatego, że w nich były artykuły o Calu.

Wciąż patrzę na niego tępym wzrokiem.

– Na litość boską, Towner, to było „przed”.

W ten sposób Beezer i ja określamy moje życie. „Przed” i „po” oznacza „przed szpitalem” i „po szpitalu”. Na początku, kiedy wyszłam ze szpitala, Beezer pomagał mi odbudować pamięć. Mnóstwo zdarzeń i obrazów pochodzi bezpośrednio od mojego brata, którego wspomnienia nałożyły się na cienki szkielet moich własnych wspomnień. Tamtego lata przyjechał do Kalifornii podczas wakacji szkolnych i próbował mi pomóc. Nawet zastanawiał się, czy tam nie zostać, zamierzał zdawać na Caltech, ale któregoś dnia stwierdził, że tego już za wiele, i musiał wyjechać. Został mu tylko tydzień przed powrotem do liceum. Powiedział mi, że Eva chciała, żeby wrócił wcześniej i zdążył się przygotować. Widziałam, że głupio mu było z tego powodu. Widziałam też, że kłamał. Przypominanie to trudny proces. Z czasem robiło się coraz gorzej, zwłaszcza kiedy zaczęliśmy rozmawiać o Lyndley. Pamiętam, jak się upierałam, że powinniśmy byli wiedzieć o maltretowaniu albo przynajmniej zdawać sobie sprawę, że Lyndley ma kłopoty, i jakoś jej pomóc. Przecież były wyraźne oznaki, mówiłam: sińce, przedwcześnie rozwinięta seksualność, niekontrolowane zachowania. Widziałam, jak twarz Beezera tężeje, kiedy gadałam w kółko o mojej siostrze. Widziałam, jak się od tego odcina. Nie mógł o tym rozmawiać, nie mógł tego znieść, jak każda zdrowa osoba, która nie miała takiej obsesji na tym punkcie jak ja.

Nie chciałam do tego wracać, ale czułam się bezradna wobec strzępków wspomnień. Czepiałam się ich jak tratwy ratunkowej, a mój brat po prostu nie mógł już wytrzymać.

Beezer ma dużo cierpliwości dla moich zaników pamięci z okresu „przed”, ale nie toleruje żadnych potknięć z okresu „po”. „Po” nie przechodziłam terapii wstrząsowej ani dłuższej hospitalizacji z wyjątkiem niedawnej operacji, ale to kwestia fizyczna, nie umysłowa (choć moja była terapeutka pierwsza nie zgodziłaby się z takim podejściem). Gazet, które mój brat uparcie wymieniał jako dowód, że wiedziałam o nowym powołaniu Cala, nigdy nie otworzyłam. Więc „dowód” Beezera nic dla mnie nie znaczył. W ogóle nie pamiętam, żebym rozmawiała z bratem o Calu. Zaczyna mnie wkurzać, że Beezer ciągle mi mówi, jak się czuję i że się tym nie przejmuję. Wiem, że zależy mu tylko na moim dobrym samopoczuciu, i doceniam to, ale bez przesady. Na litość boską, chyba nie wyleciałoby mi z głowy, że mój wujek Cal Boynton jest fundamentalistycznym kaznodzieją, którego wyznawcy uważają za nowego Mesjasza. Chyba zapamiętałabym coś takiego.



Kiedy tłum trochę się przerzedza, Beezer schodzi do piwnicy win Evy i plądruje ją. Przynosi trochę słodkiego sherry, zakurzoną butelkę armaniaku i flaszkę amontillado.

– O rany – mówi Anya – całkiem jak z Poego.

Pastele i Czerwone Kapelusze z zadowoleniem przyjmują sherry i napełniają maleńkie kieliszki dla wszystkich. Zaparzam herbatę na cześć Evy. Ludzie zasiadają przy stolikach z koronkowymi serwetkami, jak w zwykły dzień w herbaciarni,

nie w dzień pogrzebu Ewy. Myślę, że powinnam przygotować kanapki z ogórkiem, z odciętą skórką, jak robiła Eva, ale w domu nie ma nic do jedzenia oprócz zapasów przyniesionych przez gości oraz sherry i herbaty. Patrząc wstecz, uświadamiam sobie, że Eva zapomniała nauczyć mnie etykiety śmierci, ponieważ z wyjątkiem Lyndley nikt w rodzinie nie umarł od czasu G.G, i mojej babki, ale wtedy byłam za mała, żeby chodzić na pogrzeby. Nie poszłam na pogrzeb Lyndley, ponieważ wtedy leżałam w szpitalu, ale na pewno po uroczystości wszyscy przyszedli tutaj. Dokąd mieliby pójść?

Jedna z pasteli wypiła za dużo sherry. Twarz ma czerwoną i zaczyna płakać. Mówi o Evie, jak pomogła jej synowi. Opowiada o szkole tańca i jakim był beznadziejnie niezdarnym chłopcem, i gdzieś w tym rozwlekłym monologu słyszę, że jej syn „odszedł”, że zginął na wojnie w Zatoce.

– Zabity przez swoich – mówi kobieta z dziwnym uśmiechem, a potem odwraca się do mnie. – Nie pozwól, żeby jej ogrody umarły – nalega, chwytając mnie za ramię. – Obiecuj mi, że nie pozwolisz im umrzeć.

Kiwam głową, bo nie mogę zrobić nic innego i ponieważ w jej umyśle jedno jakoś splotło się z drugim – ogrody Ewy i zabity syn – ale nie całkiem rozumiem charakter tego powiązania, więc tylko idiotycznie kiwam głową i obiecuję.

Cała grupa milknie. Jedna z Czerwonych Kapeluszy bierze za rękę zapłakaną kobietę, a potem Ruth, jedyna, która wciąż ma kapelusz na głowie, zdejmuje go i podaje płaczącej kobiecie, ofiarowuje go niczym staroświecki eliksir, gwarantujący wyleczenie każdej choroby. Nie wiem, czy sprawił to sam kapelusz, czy dziecięca niewinność tego gestu, ale pomogło. Płacząca matrona nie nakłada kapelusza na głowę, ale głaszcze

go jak ukochanego kota, który wskoczył jej na kolana i domaga się pieszczot. To ją uspokaja. Po chwili kobieta zdobywa się na uśmiech przez łzy.

– Możesz go nałożyć – mówi Czerwony Kapelusze.

I zanim płacząca kobieta zdąży odmówić, Ruth zdejmuje jej z głowy duży pastelowy kapelusze z opadającym rondem i zastępuje go czerwonym olbrzymem. A potem, jak Koło (kobiety z wyspy), grupka otacza nową przyjaciółkę.



Czerwone Kapelusze wychodzą całą grupą, tak jak przyszły. Machają na pożegnanie, ich głosy zlewają się w chór kondolencji i komplementów, cichną jak muzyka, potem rozdzielają się na pojedyncze nuty, kiedy kobiety idą każda do swojego samochodu. Dopiero później zauważam samotny kapelusze oparty o gzyms kominka. Nie widziałam go, dopóki kobieta w żałobie nie odjechała, ale wtedy jest już za późno, więc go tam zostawiam.

Ktoś włączył radio i szukał NPR*, ale radio jest stare, a sygnał słaby, i WBUR** zagłuszyła jakaś silniejsza stacja, nadająca piosenki z popularnych musicali. Ezio Pinza śpiewa *Some Enchanted Evening* z musicalu *Południowy Pacyfik*.

* NPR (*National Public Radio*) – syndykat medialny w Stanach Zjednoczonych, skupiający 797 stacji radiowych, nadający wiadomości i programy kulturalne o największej słuchalności.

** WBUR – popularna stacja radiowa w Bostonie, należąca do NPR.

Gdy zjawił się Rafferty, większość ludzi już wyszła. Podchodzi do Jay-Jaya, bo właściwie tylko jego tutaj zna. Patrząc, jak Jay-Jay usiłuje się wyprostować na widok Rafferty'ego. Do tej pory obaj z Beezerem zdążyli się zalać, bo kiedy wszyscy pili sherry albo herbatę, Beezer i Jay-Jay zaanektowali dla

siebie armaniak i noszą z sobą butelkę, dopełniając koniakówki. Nigdy nie widziałam Beezera pijanego i nigdy nie przyszło mi do głowy, że on może pić, lecz Anyi to nie przeszkadza. Znowu chodzi jak przyklejona do jego biodra, trzymając w ręku kieliszek po słodkim sherry do góry nogami jak mały obiadowy dzwoneczek, którym zaraz zadzwoni, żeby wezwać gości do stołu.

Jay-Jay nalewa sobie następnego drinka.

– Gdzie herbaciane panie? – pyta Rafferty.

– Minął się pan z nimi – odpowiadam, a na jego twarzy maluje się ulga.

– Kalwini wrócili do klatek? – chce wiedzieć Jay-Jay.

– Do przyczep mieszkalnych – poprawia go Rafferty. – I owszem, wrócili, na razie.

Wychwytyuję ślad nowojorskiego akcentu.

– Pani matki tu nie ma? – pyta mnie Rafferty, lustrując pokój. Jak na gliniarza, powoli się orientuje.

– Nie.

Wydaje się zdziwiony, widać nie zna May za dobrze.

– Chyba nie zamieszka pani w tym domu całkiem sama?

Nie odpowiadam na takie pytania, nawet gliniarzowi.

– Anya i ja zamieszkamy z Towner – wtrąca Beezer, spiesząc mi na ratunek.

– Och, oczywiście – bąka Rafferty, który nagle zdaje sobie sprawę, jak to zabrzmiało. – Przepraszam.

– Pyta pan jako przedstawiciel prawa czy zwykły zatroskany obywatel? – rzucam, żeby poprawić atmosferę.

– Raczej próbowałem nawiązać rozmowę – wyjaśnia.

– Więc potrzebuje pan drinka. – Beezer idzie po kieliszek, częstuje armaniakiem.

Rafferty podnosi rękę, odmawia.

– AA – wymawia bezgłośnie Jay-Jay z przesadną mimiką. Zwraca się do Beezera, ale wszyscy to odczytujemy, nawet Rafferty, który przewraca oczami.

– Herbaty? – proponuję.

– Boże, nie – protestuje ze zgrozą i oboje się śmiejemy.

Beezer ocenia, że sobie poradzę, więc odwraca się z powrotem do Anyi i Jay-Jaya.

Rafferty zastanawia się, co mógłby powiedzieć. Przeczesuje wzrokiem pokój. W końcu decyduje się na oczywistość.

– Przykro mi z powodu pani babki – mówi – była bardzo miła.

– Właściwie była moją cioteczną babką – poprawiam go i widzę, że on nie wie, co odpowiedzieć. – Ale dziękuję.

Stoimy w niezręcznym milczeniu, żadne z nas nie ma nic do powiedzenia.

– Jak się poznaliście? – pytam w końcu.

– Przychodziłem tutaj na lunch – odpowiada.

Myślę o lunchowym menu Ewy: miniaturowe kanapeczki, ogórek z koperkiem na delikatnym białym chlebie z okrojoną skórką, daktyłowy chlebek z serkiem śmietankowym. Jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

– Jestem wielkim fanem wykwintnych kanapek – wyjaśnia.

To ostatnia rzecz, jakiej się po nim spodziewałam, więc muszę się uśmiechnąć.

Coś mi świta w pamięci, że Ewa wspomniała o przyjaźni z gliniarzem. Z jakiegoś powodu wyobrażałam sobie, że jej przyjaciel jest znacznie starszy.

Rafferty próbuje odgadnąć, o czym myślę. Przygląda mi się dziwnie.

Próbuję wymyślić coś do powiedzenia zgodnie ze wskazówkami Ewy, ale zauważam, że on wciąż nie ma nic do picia.

– Może napój gazowany? – pytam. – Chyba widziałam jakieś w spiżarni. Ale nie wiem, ile mają lat.

– Odpowiada mi każdy rocznik powyżej tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego.

Idę do kuchni po lód, wracam ze szklanką i napojem. Jay-Jay wyciąga z dolnej szuflady kredensu pudła starych fotografii. On i Beezer rozkładają je na wszystkich dostępnych powierzchniach i nie mam gdzie postawić szklanki. Podaję ją Rafferty'emu i odkręcam kapsel na butelce z napojem. Strzela, kiedy pęka zabezpieczenie, więc wiem, że jeszcze nie zwietrzała, właściwie ma aż za dużo gazu, bo kiedy zaczynam nalewać, pieni się z sykiem. Nie wiem, czy dlatego, że w spiżarni jest gorąco, czy włożyłam za dużo lodu, ale zanim nalewam połowę, napój kipi i wypełnia szklankę po brzegi, więc żeby nie wylądował na dywanie Aubusson, Rafferty wsadza palec do środka.

Stoimy jak idioci, Rafferty z palcem wskazującym zanurzonym do drugiego kłykcia, ja rozglądam się gorączkowo, co by tu podłożyć.

– W porządku – mówi Rafferty – przestało.

– Przepraszam. – Potem patrzę na jego palec i komentuję: – Sprytna sztuczka.

– Piłem sporo piwa – wyjaśnia. – W poprzednim życiu.

Beezer i Anya zanoszą stos starych fotografii na okienną ławkę, zaczynają je przekładać. Jay-Jay, inwazyjny z natury, chodzi po pokoju, otwiera szafki i wyjmuje przedmioty, które pamięta z dzieciństwa. Spędzał dużo czasu w tym pokoju jako chłopiec. Grywali z Beezerem w gry planszowe i w pokera, kiedy Beezer przyjeżdżał do domu na wakacje. Sprzątali wszystko z któregoś większego stołu i rozkładali swoje rzeczy, i pamiętam, że to doprowadzało Evę do szału. Zabierali z pokoju wszystkie koronki, chowali do szuflad i pod poduszki,

a ona potem szukała brakujących sztuk jeszcze przez całe tygodnie po powrocie Beezera do internatu.

– Pamiętasz to? – pyta Jay-Jay, podnosząc czajniczek w kształcie ptaka.

– Pamiętam, kiedy go stłukłeś – mówi Beezer, ogląda czajniczek i pokazuje pęknięcie.

– Kazała nam odpracować dług przy podawaniu herbaty. – Jay-Jay wraca do szafki, grzebie głębiej.

– Ma pan nakaz rewizji? – pyta go Rafferty.

– Och, Towner to nie przeszkadza – broni się Jay-Jay.

Rafferty patrzy na mnie, sprawdza. Wzruszam ramionami.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – uśmiecha się Rafferty.

– A samozadowolenie to drugi – odgryza się Jay-Jay.

Rafferty kręci głową.

– Chociaż ciekawość to cecha dobrego gliny – pocieszam Rafferty'ego.

– Tak pani myśli?

W jego głosie brzmi tak szczere przejęcie, że nie mogę się powstrzymać od śmiechu. On natychmiast pochmurnieje. Rozlega się dzwonek do drzwi.

– Gość nie w porę – mówi i znowu przewraca oczami.

Zupełnie jakby Eva za naszym pośrednictwem przekazywała banały.

To kobieta, która zapomniała kapelusza. Chwytam go i biegnę do drzwi. To pani kapelusz, po co ten pośpiech? – myślę, ale tym razem nie mówię tego na głos.

– Przepraszam – mówi kobieta. – Doszłam aż do Beverly, zanim się zorientowałam, że go zostawiłam. – Odprowadzam ją na ganek. – Eva cieszyłaby się, że wróciłaś – dodaje. – Mam nadzieję, że cię nie uraziłam.

Nie czeka na odpowiedź.

Wreszcie się ochłodziło. Gdzieś w parku ktoś gra na skrzypcach.



Kiedy wracam, oni opowiadają historyjki o Evie. Związane ze zdjęciami. Każde zdjęcie ma swoją historię. Beezer i Jay-Jay gadają jeden przez drugiego, popisują się przed Anyą, Raffertym i każdym, kto zechce słuchać.

– To zaczyna przypominać irlandzką stypę. – Rafferty podaje mi pustą szklankę po napoju gazowanym, bo nie chce jej stawiać wśród zdjęć.

– Jeszcze? – pytam, zdziwiona, że wypił tak szybko. On podnosi rękę, ma dość.

– Eva była częściowo Irlandką – mówię.

– Żartuje pani. – Widzę, że jest zdumiony.

– Ze strony matki.

Pamiętam, jak Eva mawiała, że to dzięki irlandzkiej krwi wszystkie potrafimy „wróżyć”, że wszyscy Irlandczycy mają dar jasnowidzenia, a przynajmniej wszystkie Irlandki. Ale ja nie mam żadnych irlandzkich korzeni. Irlandzką krew wniosła druga żona G.G. Moją babką była pierwsza żona G.G., Elizabeth, która zmarła, wydając na świat moją matkę. May też ma paranormalne zdolności, chociaż ze wszystkich sił temu zaprzecza. Więc widocznie dar wróżenia pochodzi z obu odgałęzień rodziny.

Anegdoty opowiadane na drugim końcu pokoju zagłuszają inne rozmowy.

– Pamiętacie, jak ostrzegała republikańskiego kandydata na gubernatora przed startowaniem w wyborach? – mówi Jay-Jay, a Beezer aż się zaplucza z radości. – Co ona mu takiego powiedziała?

- Że z tego nie wyjdzie nic dobrego – odpowiada Beezer.
- No właśnie. – Jay-Jay odwraca się do Anyi. – Facet miał kupę forsy, ludzie myśleli, że naprawdę stanie do walki. Tydzień przed wyborami pośliznął się na własnej czterokolorowej ulotce wyborczej na błyszczącym papierze i spędził sześć tygodni na wznak w jakimś prowincjonalnym szpitaliku, którego nie odważył się opuścić, ponieważ obawiał się, cytując: „zrazić do siebie wyborców”.
- Którzy i tak głosowali na demokratę – dodaje Beezer.
- Więc on przegrał? – pyta Anya z niedowierzaniem.
- Republikanin? W Massachusetts? Oczywiście, że przegrał. Nie potrzeba jasnowidza, żeby to przepowiedzieć. – Jay-Jay zaśmiewa się do rozpuku.
- Myślicie, że powinniśmy mu przypomnieć o naszej serii republikańskich gubernatorów? – pyta Rafferty, ale po chwili rezygnuje. Anya i Beezer tak się śmieją, że nie mogą udzielić odpowiedzi.
- Co? – pyta Jay-Jay, ale Beezer dostał ataku swojego zachłystującego śmiechu, któremu nikt się nie oprze.
- Rafferty patrzy na mnie. Teraz wszyscy się śmieją. Beezer śmieje się bezgłośnie, krzywiąc twarz w grymasie jak z filmu grozy. Wydaje dźwięki tylko przy nabieraniu powietrza, donośne rżące poświsty, jakby udawał, chociaż wcale nie udaje. Ludzie zaczynają się uspokajać, a potem on się zachłystuje i znowu się śmieją, osłabieni i odprężeni.
- Dziewczyna Jay-Jaya, Irene jakaś tam, podbiega do nas.
- Gdzie łazienka? – pyta natarczywie. – Zaraz się zsikam w majtki.
- Świetnie – stwierdzam.
- Pokazuję jej drogę i idę za nią dopilnować, żeby dotarła na miejsce. Rafferty wychodzi za mną do holu.

– Ostatnie drzwi – wskazuję i ona szybko tam wchodzi.

Rafferty i ja zostajemy sami w holu, gdzie jest trochę ciszej, głosy dochodzą tu przytłumione. On wydaje się wdzięczny za chwilę spokoju. Odczuwa ulgę, potem skrępowanie, szuka słów.

– To była trudna sprawa – mówi.

– Jaka sprawa?

– Sprawa Evy. Zwykle kiedy ktoś znika bez śladu, idę właśnie do Evy.

– Naprawdę?

– Pomogła nam niejedną raz.

Przypominam sobie, jak Eva opowiadała o zaprzyjaźnionym gliniarzu. Jak wróżyła z koronek, co mu pomogło znaleźć zaginionego chłopca. Więc miałam rację: przyjaciel, o którym mówiła, to Rafferty.

– Ona była wspaniąta.

– Cieszę się, że pan ją znał.

– Mówiła o pani przez cały czas.

Robi mi się przykro, że Eva o mnie opowiadała, i on to widzi. Próbuję ukryć niechęć, ale już za późno.

– Same miłe rzeczy – dodaje, ale widzę, że dowiedział się nie tylko miłych rzeczy. Każdy w tym mieście wie o mnie nie tylko miłe rzeczy, to wiedza powszechnie dostępna. Nie wyobrażam sobie, że omawiał z Evą mój przypadek, moją hospitalizację. Boże, gdyby z ciekawości zajrzał do moich policyjnych akt, nie zabrakłoby nam tematów do rozmowy przez następny rok.

– Muszę usiąść – mówię.

Trochę mi niedobrze. To był długi dzień, a ja nie powinnam się przemęczać. W głowie mi się kręci od wszystkiego, czego nie powiedziano w tym pokoju. Nie mam już siły, żeby

odpychać cudze myśli. Słyszę wszystkie niewypowiedziane pytania: „Po jaką cholereę ona wróciła? Myślisz, że to kompletna wariatka?”. Zanim Rafferty zdążył zaprotestować, uciekam z powrotem do środka.



Przechodzę przez pokój, byle dalej od niego, siadam przy stole pod wykuszowym oknem. Rafferty wchodzi po minucie. Przepatruje tłum, dopóki mnie nie dostrzeże, potem podchodzi i nachyla się nade mną.

– Przepraszam – mówi. – Znowu mi nie wyszło nawiązanie rozmowy.

Nie mam siły, żeby się uśmiechnąć.

– Eva ciągle narzekała, że fatalnie prowadzę konwersację.

Nawet mu współczuję. On się stara. Patrzę na niego i uświadamiam sobie, że jest chyba jedyną osobą w tym pokoju, której sekretnych myśli nie odczytałam.

– Proponowała, że da mi zniżkę w którejś klasie dobrych manier – dodaje.

Zapada długie milczenie. On niezręcznie przestępuje z nogi na nogę.

– Chyba trzeba było skorzystać z propozycji – mówi.

Ciągle próbuję wymyślić jakąś odpowiedź, uprzejmą, ale bezosobową. W końcu odzywam się do niego słowami mojej ciotki:

– Lubię zupę, a pan?

To test. Żeby sprawdzić, ile on wie. Jeśli rozmawiał z Evą tak często, jak podejrzewam, powinien znać to zdanie. Należało do jej ulubionych. Zwłaszcza jeśli rozmawiali o sztuce konwersacji albo jego niedociągnięciach w tej dziedzinie. A jednak wciąż mam nadzieję, że on nie wie aż tyle.

Spogląda na mnie dziwnym wzrokiem. Patrę mu w oczy, czekam na błysk rozpoznania. On nic po sobie nie pokazuje.

– Proszę? – pyta powoli, z namysłem.

Teraz wpatruję się w niego, próbuję go przeczytać. Albo świadomie oczyścił umysł, albo jest niedostępny. Spokojnie wytrzymuje mój wzrok. Albo mówi prawdę, albo jest cholernie dobrym gliniarzem, nie potrafię odgadnąć.

Irene wraca do pokoju, strzegując spódnicy.

– Co straciłam?

– Opowiedz jej o pomniku – mówi Jay-Jay do Beezera. – Hej, Reenie, musisz tego posłuchać.

– Opowiadałem Anyi, jak Cal próbował usunąć pomnik Rogera Conanta – wyjaśnia Beezer.

Irene uśmiecha się, pamięta.

– Bo wygląda jak czarownik? – pyta Anya.

– Bo wygląda, jakby się masturbował – odpowiada Irene.

– Co? – Anya patrzy przez okno na pomnik ojca założyciela Salem, stojący po drugiej stronie placu. – Och, przestańcie, wcale nie.

– Przysięgam na Boga. – Jay-Jay robi gest, jakby się przeżegnał.

Irene podchodzi do okna i próbuje to pokazać Anyi, która wyteża wzrok w zapadającym zmierzchu, żeby coś zobaczyć.

– Gdzie? – pyta.

– Właśnie tam. W tym miejscu, gdzie trzyma laskę.

– Chyba swoją własną laskę – mówi Jay-Jay i nawet Irene uważa, że posunął się za daleko.

– Muszę wracać do pracy – oznajmia wtedy Rafferty. Zaczynam wstawać, żeby go odprowadzić do drzwi. – Chce pani, żebym go zabrał? – Wskazuje Jay-Jaya.

– On jest w porządku – odpowiadam.

Rafferty wzrusza ramionami.

- Dziękuję, że pan przyszedł – mówię.
- Jeszcze się zobaczymy.
- Tak – przyznaję.

Odprowadzam go do drzwi, patrzę, jak schodzi po stopniach do czarnego nieoznakowanego samochodu. Siedzi tam przez minutę, potem uruchamia silnik i zakręca o sto osiemdziesiąt stopni niezgodnie z przepisami, ledwie omijając jakiś zaparkowany samochód.

Ann Chase sprząta, zbiera naczynia ze stołów i zanosz do kuchni. Idę za nią.

– Widzisz? Tam! On naprawdę wygląda, jakby się spuszczał.

– Właśnie że nie – zaprzecza Anya, ale sama się śmieje, zdrowym norweskim śmiechem.

– Właśnie że tak – mówi głos Lyndley w mojej głowie, wywołując przeblask pamięci.

Ostatniego lata przed śmiercią Lyndley odkryła pomnik Rogera Conanta. Nie dosłownie odkryła, patrzyłyśmy na ten pomnik przez całe życie. Ale tamtego lata, kiedy na niego spojrziała, zobaczyła coś zupełnie innego. Tak się śmiała, że ledwie mogła nam powiedzieć, co ją rozbawiło. Stała na chodniku i dyrygowała nami, kazała nam obchodzić pomnik dookoła i przyglądać się ze wszystkich stron, dopóki nie zobaczyliśmy tego, co ona. Pierwszy zauważył to Beezer i poczerwieniał jak burak. Tak się zawstydził, że dosłownie schował się w domu, chociaż teraz na pewno tego nie pamięta. Mnie to zabrało znacznie więcej czasu. Zanim to zobaczyłam, samochody zahamowały, klaksony trąbiły na mnie, a Lyndley zaśmiewała się i krzyczała do kierowców, żeby „nie nawalili w gacie” – wyrażenie z Południa, które podłapała w zimie i którego używała

bez przerwy. W końcu jakiś kierowca zaczął trąbić jak wariat i Lyndley pokazała mu palec. A ja akurat wtedy spojrzałam pod odpowiednim kątem na starego Rogera Conanta i wybuchnęłam histerycznym śmiechem. Nie wiem, czy sprawił to wyraz twarzy kierowcy albo Lyndley, czy też widok naszego czcigodnego ojca założyciela w powłóczystej szacie, trzymającego laskę, która od tyłu wyglądała jak penis w erekcji. Nie wiem, co mnie tak rozbawiło, ale nie przestałam się śmiać, dopóki Eva nie przyszła i nie zaciągnęła mnie z powrotem do domu. Nie pytała, z czego się śmieję. Odniosłam wrażenie, że wołała nie wiedzieć.

– Nic nie widzę – skarży się Anya.

– Stąd tego tak dobrze nie zobaczysz – tłumaczy jej Beezer. – Lepiej widać na zewnątrz.

Potem opowiada historyjkę, jak to Eva sama jedna uratowała pomnik i jak Cal się wkurzył, ale od tamtej chwili Eva została miejscową bohaterką.

Zbieram następne naczynia i idę za Ann Chase do kuchni. Stoi przy zlewie i starannie odlepia koronkową serwetkę, która przywarła do spodu talerzyka.

– Widzę, że ona dzisiaj dobrze się bawi z nami – mówi do mnie Ann.

– Kto? – pytam, przypuszczając, że chodzi jej o Anyę czy może Irene.

– Eva – wyjaśnia.

Milczę, nie wiem, co powinnam odpowiedzieć. Ann odkleja do końca koronkę, spogląda na nią.

– Wróżysz? – pyta mnie.

– Nie.

– Jak to?

Wzruszam ramionami.

- Opowiadała mi, że jesteś w tym dobra.
- Myślę, że wróżenie z koronek jest zbyt niedokładne.
- Naprawdę? – rzuca na w pół pytającym tonem. Nie daje się nabrać.

– Na przykład – ciągnę, nie rozumiejąc, dlaczego czuję potrzebę, żeby cokolwiek udowodniać – Eva mi przepowiedziała, że będę miała córkę.

– I nie masz?

– Żadnych szans – odpowiadam. Próbowalam tylko zmienić temat. Chciałam uniknąć rozmowy o Lyndley, ale teraz głos mi się załamuje.

Ann wyraźnie nie wie, co powiedzieć.

– Eva uczyła naszą grupę wróżenia z koronek – mówi. – Niestety, znacznie lepiej wróżę z głów.

Zmrużonymi oczami spogląda na koronkę, potem poddaje się i składa serwetkę.

– No, czasami magia działa, czasami nie działa.

Patrzę na nią pytająco.

– To cytat – wyjaśnia – z *Małego wielkiego człowieka*.

– Wiem, skąd to jest – rzucam i słyszę ostry ton we własnym głosie. – Przepraszam. Nie chciałam tego wszystkiego powiedzieć.

– Moja wina – odpowiada. – Jestem wścibska z natury.

Obie się uśmiechamy. Ona podaje mi serwetkę.

– Wiesz, była moją przyjaciółką – mówi – dużo wcześniej, zanim przyjaźń ze mną weszła w modę. – Wyciąga rękę, w której trzyma serwetkę.

– Weź ją sobie – proponuję.

Spogląda z powątpiewaniem.

– Na pewno chciałyby, żebyś ją wzięła.

– Dzięki – mówi Ann i rusza z powrotem do salonu, przystając w drzwiach.

Wchodzi inna kobieta, chyba pośredniczka w handlu nieruchomościami. Ktoś, kogo Jay-Jay wcześniej mi przedstawił. Rozgląda się po kuchni. Widocznie liczyła, że zastanie mnie samą, wydaje się trochę rozczarowana. Postanawia chwycić byka za rogi.

– Niezła dyskusja odchodzi w salonie – mówi do mnie.

Ann wraca do zmywania naczyń.

Pośredniczka wyjmuje wizytówkę, podaje mi.

– Zastanawiałam się, czy pani już myślała, co zrobić z domem.

– Z domem? – pytam idiotycznie.

– No, zdaję sobie sprawę, że to zbyt wcześnie, ale zastanawiałam się, czy pani rodzina myślała o sprzedaży.

– Sprzedaży domu?

– Tak.

Czuję zmianę energii Ann. Nie podoba jej się ta kobieta. Nie potrafię odpowiedzieć.

– Może pytam trochę przedwcześnie – powtarza pośredniczka.

Ann odwróciła się do nas przodem. Stoi ze ścierką w ręku.

– Tak pani myśli? – pyta z ironią.

– Przepraszam. – Kobieta grzebie w torebce, wyciąga następną wizytówkę, zapominając, że już mi jedną dała. – Zadzwoń później – mówi i widząc minę Ann, dodaje: – Albo pani do mnie zadzwoni.

Wychodzi z kuchni.

– Cudownie – prycha Ann.

Przygotowuje dla nas herbatę. Siadamy przy kuchennym stole. Ann widzi, że jestem zbyt otumaniona, żeby rozmawiać,

więc po prostu siedzi przy mnie, dolewa mi herbaty, wyciera stół ścierką, poleruje go, żeby się czymś zająć. Wreszcie jedna z czarownic wsadza głowę w drzwi.

– Gotowa? – pyta.

Ann gestem nakazuje jej poczekać na zewnątrz.

– Muszę iść – wyjaśnia. – Muszę je odwieźć.

– Dzięki – mówię.

– Nic ci nie będzie – zapewnia mnie. – Tylko się nie przejmuj.

Kiwam głową.

– Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała – dodaje. – Mój numer jest w książce.

– Dzięki – powtarzam.

Kończę sprzątać kuchnię. Ann nie zostawiła mi dużo do roboty, ale trochę porządkuję. Dopiero wtedy uświadamiam sobie, jaka jestem zmęczona, uświadamiam sobie również, że tylne schody są zastawione pudłami i muszę przejść przez frontowy hol, żeby się dostać na piętro. Zbieram siły i popycham drzwi.

Przyjęcie rozkręciło się na dobre. Wrócili do banałów Evy i prześcigają się w cytowaniu.

– Oliwa sprawiedliwa na wierzch wypływa – mówi Jay-Jay.

– Wszystko wyjdzie w praniu. – Beezer.

– Kłamstwo ma krótkie nogi. – Znowu Jay-Jay.

– Prawo jest zawsze po stronie silniejszego. – Beezer.

– Przez pochyłe drzewo i koza przeskoczy. – Jay-Jay przekręca przysłowie.

Beezer się śmieje.

– Nie wylewaj dziecka z kąpielą.

– „Dokoła woda, woda...” – cytuje Jay-Jay.

- On wam robi wodę z mózgu – mówi Beezer, używając powiedzonka Evy, ale wskazując na Jay-Jaya.
- A jemu brakuje piątej klepki – odgryza się Jay-Jay.
- Kuku na muniu. – Anya.
- Nie po kolei w głowie. – Beezer.
- Nierówno pod sufitem. – Znowu Anya.
- Nie po kolei w głowie – powtarza Beezer i obaj zaśmieją się tak histerycznie, że ledwie mogą mówić.
- Już to mówiłeś – wytyka mu Jay-Jay. – Głupi jak but z lewej nogi.
- Cytujesz czy masz mnie na myśli? – zwraca się do niego Beezer z udawanym oburzeniem.
- Skoro ten but ci pasuje – ripostuje Jay-Jay i przewraca się ze śmiechu.
- Pasuje jak ulał – zapewnia Irene.
- To nie jest wyrażenie Evy – protestuje Beezer.
- Żadne nie jest Evy, jeśli chodzi o ścisłość – Anya staje w obronie Irene.
- Nie?! – wykrzykuje Beezer z żartobliwym przestraczem.
- Nie mów tak. Nie niszczy złudzeń mojego dzieciństwa.
- Anya pije teraz armaniak, nalewa do swojego maleńkiego kieliszka.
- Jest jeszcze jedno – mówi Beezer. – Coś, co ciągle powtarzała. Nie mogę sobie przypomnieć.
- Które? – Jay-Jay ochoczo włącza się do zabawy.
- Ty je znasz! – woła do mnie Beezer, próbując mnie wciągnąć w rozmowę.
- Idę do łóżka – ogłaszam. Sięgam po jedno pudełko ze zdjęciami, zabieram z sobą.
- To nie to – zaprzecza Beezer.

- Psujesz imprezę. – Irene robi się zuchwałą.
- Ona na pewno nie mówiła nic o imprezach – oświadcza Jay-Jay i wydaje buczący dźwięk, jak przy błędnej odpowiedzi w teleturnieju.
- Nie chodziło mi o Evę, tylko o Towner – odpowiada Irene i zarykuje się ze śmiechu.
- Nie zna mnie dostatecznie dobrze, żeby tak się zachowywać.
- Mam! – wykrzykuje Beezer. – To coś o szyciu.
- Szycie? – śmieje się Jay-Jay. – Nie pamiętam, żeby mówiła coś o szyciu.
- O szyciu – upiera się Beezer. – Coś z igłami.
- Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne... – zaczyna Anya.
- Łatwiej zaszyć dziurkę, póki mała – przerywam. Dotarłam już do połowy drogi i mój głos niesie się echem po spiralnych schodach niczym przesłanie z góry.
- Właśnie! Zaszyć dziurkę, póki mała! – cieszy się Beezer.
- Tak, pamiętam – przyznaje Jay-Jay. – Ale tego było więcej.
- Wcale nie – zaprzecza Beezer i znowu się kłóć.
- Zaszyj dziurkę... – mamrocze Jay-Jay.
- Towner? – Beezer zwraca się do mnie o konsultację.
- Dobranoc – mówię, bo nie chcę się w to mieszać.
- Mama Zosię przestrzegała – odzywa się Irene.
- Co? – Beezer ogląda się na nią.
- Mama Zosię przestrzegała – powtarza Irene. – Tak idzie ten wierszyk. Zaszyj dziurkę, póki mała, mama Zosię przestrzegała.
- To głupie.
- Ja tego nie wymyśliłam.

- Ona ma rację – wtrąca Anya.
- Dlaczego akurat Zosię? Dlaczego nie Kasię? Albo Stasię? – nie dowierza Beezer.
- Na pewno Zosię – upiera się Anya.
- Ty jesteś z Norwegii – mówi Beezer z powątpiewaniem.
- No to co? Jestem z Norwegii, więc to się nie liczy?
- To się rymuje – podpowiada Jay-Jay.
- Jeśli już, to powinnam dostać dodatkowe punkty za pochodzenie – oświadcza Anya.
- Jakie znowu punkty? Nie gramy na punkty – mówi Beezer i kręci głową.
- Skoro się rymuje, to wszystko pasuje – wygłasza z powagą Jay-Jay.
- Zamknij się – mówi do niego Irene.
- Oboje się zamknijcie – rzuca Beezer.

Wchodzę na drugie piętro, podczas gdy oni ruszają do drzwi. Anya, która już wcale nie wierzy Beezerowi, chce osobiście obejrzeć pomnik Rogera Conanta, a Beezer zgodził się go jej pokazać. Jay-Jay chce być przy tym, kiedy Anya „przejrzy na oczy”. A Irene idzie z nimi, żeby przypilnować Jay-Jaya.

Ja chcę tylko położyć się do łóżka. Ale wszystko znowu się oddala i chociaż od łóżka dzieli mnie tylko kilka stóp, rozciągają się na całe mile. Zniekształcone dźwięki budzą echa. Każdy krok trwa w nieskończoność, jakbym brnęła przez wodę.

Padam na łóżko, wdzięczna za odpoczynek, za spokojny sen, nagle jednak czuję, że nie mogę oddychać. Boję się, że jeśli teraz się zanurzę, już nigdy nie wypłynę na powierzchnię. Potrzebuję powietrza.

Ruszam ku powierzchni, wspinam się po drabinie na taras. Wyczuwam nad sobą powietrze, w maleńkim przeszklonym pokoiku wychodzącym na zewnątrz. Popycham klapę w suficie, ale jest zaklinowana, znacznie cięższa niż tamtego dnia, kiedy szukałam Evy. Napieram na nią ramieniem, stojąc na drabinie, ostatnim tchem zmuszam się do wysiłku. Szwy ciągną. Kłapa odskakuje, płosząc wielką mewę, która wzbija się ponad taras. Rozpiętość jej skrzydeł wynosi co najmniej sześć stóp. Uderza we mnie podmuch wywołany jej wzlotem, ciepły i cuchnący. Widocznie uwiła tutaj gniazdo i złożyła jajka, to sezon lęgowy. Unosi się nade mną, przesłaniając gwiazdy. Przez mgnienie jesteśmy razem w czasie i przestrzeni, łączy nas chwila zrozumienia, mnie i tę wielką istotę, ale zanim zdolałam uchwycić jej sens, chwila mija. Mewa odlatuje, zostawia mi gniazdo, guano i smród. Stoję ogłupiała, wreszcie mogę oddychać, ale nie mogę usiąść jak zwykle, nie potrafię znaleźć dla siebie miejsca. Zamiast tego opieram się o poręcz i spoglądam na miasto, i po raz pierwszy widzę wszystko, w jakiś sposób wszystko znam.

Po drugiej stronie placu dostrzegam Anyę i Beezera. Okrążają pomnik Rogera Conanta i próbują dostrzec nieprzyzwoity gest. Jay-Jay stoi z boku, kieruje nimi, daje wskazówki. Ich śmiech odbija się echem na cichych ulicach.

Poza granicą lądu czarna woda ciągnie się od Peach's Point w Marblehead do Wyspy Żółtego Psa. Widzę światło w sypialni May. Właściwie dwa światła. To coś nowego. Jaśniejsze światło, lampa naftowa, zawsze było stąd widoczne i głównie dlatego Eva oddała mi te pokoje dawno temu, żebym widziała światło May, żebym wiedziała, że nic jej się nie stało, że ona wciąż żyje, że nie pośliznęła się na skałach i nie połamała nóg ani nie zamarzła na śmierć w zimie. Eva powiedziała, że w

każdej chwili mogę tu wejść i sprawdzić światło May. Sprawdzalam co noc, po kilka razy. Sprawdzanie stało się częścią mojego rytuału zasypiania, czymś, co muszę zrobić każdej nocy, przynajmniej w wyobraźni, zanim zasnę. Nawet trzy tysiące mil stąd, w Kalifornii, tak daleko, jak tylko mogłam odjechać, nie spadając poza krawędź świata, ciągle widziałam światło May. W gruncie rzeczy to pocieszające, ponieważ uświadamiam sobie, że właśnie ta potrzeba przyciągnęła mnie na taras. Nie brak powietrza, ale potrzeba ujrzenia tego światła, w rzeczywistości, nie we wspomnieniu, zanim zasnę. To wszystko.

Lecz rzeczywistość różni się od wspomnień. Dziś wieczorem widzę nie jedno światło, ale dwa. Zastanawiam się, od jak dawna May zapala to nowe światło, i myślę, że w pewnym sensie to dziwne, jak bardzo te dwa obrazy nie pasują do siebie. Są takie dziwne, że nie mają sensu. Podobnie jak Eva, May jest oszczędna. Dwie lampy to luksus, na który nigdy sobie nie pozwalała.

A potem przypominam sobie stelazynę, którą mi podawali w szpitalu, i jak po kilku dawkach zaczynałam widzieć podwójnie. Nie miałam drgawek jak niektórzy (ostateczna wpadka, jak to nazywał mój lekarz), ale pamiętam, że miałam kłopoty z przełykaniem (które nigdy całkowicie nie ustąpiły). Pamiętam też, że widziałam wszystko podwójnie. Pamiętam, jak tu weszłam po powrocie do domu i zdawało mi się, że May zapaliła dwie lampy, ale to było złudzenie.

„Dwa, jeśli morzem” – mówi jakiś głos, nie wiem, głos Ewy czy mój własny, ale cieszę się, że jestem sama, bo raczej nie mogę sobie pozwolić na publiczne mówienie do siebie czy rozmowę z urojonymi głosami. Moim zdaniem to jeszcze gorsza wpadka niż drgawki.

A jednak wiele się zmieniło od czasu szpitala i kierując się zdrowym rozsądkiem, przeważnie potrafię odróżnić rzeczywistość od iluzji. Wiem, że dzisiaj widzę prawdziwe światła, nawet jeśli słyszę urojone głosy. Myślę o słowach: „Dwa, jeśli morzem”, próbuję odnaleźć głębsze, symboliczne znaczenie, ale potem moje myśli zbaczają w stronę Paula Revere'a, który wiesza lampę w kościele w Lexington czy Concord, czy cholera wie gdzie. Zastanawiam się, skąd się wzięła ta scena, pewnie z jakiejś dawnej letniej lekcji historii w czerwonym budynku szkolnym, kiedy jeszcze tam się uczyliśmy, zanim zamknęli szkołę na dobre, a mnie i Beezerowi kazali się przeprowadzić do miasta i zamieszkać z Evą.

Z dołu dociera śmiech mojego brata.

I zaczynam płakać. Płaczę nad Eva i Lyndley, i nad wszystkimi, którzy umarli, i nad sobą, że musiałam tutaj wrócić, nawet nad Beezerem i Anyą, i ich wiarą w przyszłość. No bo właściwie jakie mają szanse, kiedy się zastanowić? Jakie szanse ma Beezer na udane małżeństwo? W obecnych czasach nikt nie ma na to wielkich szans, ale nasze szanse wyglądają znacznie gorzej. Przez kilka minut opłakuję wszystkich. Gotowa jestem płakać przez całą noc, nastawiłam się na to, ale po chwili łzy przestają płynąć. Za bardzo się odwodniłam po podróży samolotem, wskutek operacji i samego żalu, żeby dalej płakać. Tak wyschłam, że nie uronię już ani jednej łzy.

Ich głosy budzą echa w dole. Teraz wszyscy się śmieją, Jay-Jay i Beezer patrzą, jak Anya wreszcie odnajduje właściwy kąt widzenia i widzi, jak stary Roger Conant odstawia swój numer. Ledwie żyją ze śmiechu, ubawieni absurdalnym błędem rzeźbiarza. Przychodzi mi do głowy, że to jest wieczór kawalerski Beezera, ponieważ jutro wyjeżdżają z Anyą do Norwegii.

Pewnie planowali co innego. Koledzy z MIT zamierzali dokądś go zabrać, przynajmniej do jakiegoś baru w Cambridge czy nawet na Route 1 do Złotego Banana albo czegoś podobnego (choć trudno sobie wyobrazić tych świrniętych profesorów w takim miejscu). W każdym razie nic z tego nie wyszło. Zamiast tego wszyscy spędzają wieczór w parku: Beezer i Anya, Jay-Jay i Irene. Główną atrakcją jest stary Roger Conant, który zastąpił Złotego Banana, a ja przyłapuję się na myśli, że Ann Chase chyba miała rację: Eva naprawdę dobrze się bawi z nami dziś wieczorem.

Jerzy Waszyngton przyjechał do Ipswich nie z powodów politycznych, ale dlatego, że Martha wymarzyła sobie czarną koronkę do szala, który zamówiła. To było niezwykle zjawisko. Przemysł stworzony przez kobiety i zatrudniający kobiety prosperował jak żaden przedtem.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 10

Trzymam tabletkę stelazyny w kieszeni. Jest stara, przeterminowana i mogłaby mnie zabić, gdybym ją połknęła. Chociaż raczej po prostu nie zadziała. Jednak to moja polisa ubezpieczeniowa, moja lina ratunkowa do normalności. W razie potrzeby połknij pigułkę. Przyłapuję się na grzebaniu w kieszeni w drodze na Wyspę Żółtego Psa. Żeby sprawdzić, czy tabletką nadal tam jest.

Dzisiaj jedziemy na odczytanie testamentu Ewy.

Naszą wyspę pierwotnie nazywano Żółtą Wyspą od febry. W tym miejscu statki z Salem wysadzały chorych marynarzy po drodze do portu. W tamtych czasach wciąż wierzono, że żółta febra jest zaraźliwa, i wielu marynarzy zmarło na wyspie, niektórzy z powodu febry, ale jeszcze więcej z zimna.

Wyspa stała się Wyspą Żółtego Psa znacznie później, kiedy ktoś podrzucił tu z głównego lądu dwa golden retrievery. Ten ktoś wrzucił psy do kanału pomiędzy naszą wyspą a Miseries i pewnie spodziewał się, że utoną, ale wiatr i przyplływ

przynajmniej raz okazały się łaskawe i zwierzęta doływały do brzegu. Ponieważ na całej wyspie roiło się od dzikich królików, nie licząc wodnych szczurów i tysięcy mew, psy stały się wielkimi myśliwymi i świetnie im się powodziło. Podobnie jak kojoty w L.A., rzadko zbliżają się do ludzi. Z wyjątkiem mojej matki. Ona je obłaskawiła – przy niej kładą się i przewracają na grzbiet, z łapami w górze, jakby czekały, żeby je podrapała po brzuchach, czego ona prawie nigdy nie robi.



Wygodniej (i bardziej logicznie) byłoby odczytać testament w mieście, w biurze adwokata Ewy czy nawet w jej domu, ale May oczywiście nie chciała przyjechać do miasta.

Nikt nie jest zadowolony z tej wycieczki. Beezer, Anya i ja wzięliśmy whalera. Na zatoce było spokojnie, ale kiedy minęliśmy cypel Peach, wiatr się wzmógł i fale osiągały chwilami sześć stóp wysokości.

– Nie wiem, dlaczego musimy tam być – mówi Anya do Beezera. – Przecież już wiemy, że zostawiła wszystko Emmie.

Beezer nie odpowiada, tylko przybija łodzią do pomostu idealnie niczym prawdziwy wyspiarz. Jeśli nie zrobił wrażenia na Anyi, to nie jego wina.



Adwokat przybywa z doktorem Wardem. Ze szczytu doku widzimy, jak wodna taksówka zwalnia i skręca do kanału. Beezer schodzi z powrotem, żeby ich przywitać.

– Tęsknię za Ewą – wyznaje Anya, spoglądając w stronę miasta.

– Ja też – mówię.

Widzę, że ona mi nie wierzy. Zwłaszcza że nigdy nie przyjechałam z wizytą. Ani razu. Z punktu widzenia Anyi wszyscy jesteśmy do niczego. May nie przyszła na pogrzeb. A ja nigdy nie odwiedzałam Ewy. Ona nas nie rozumie. Myśli, że nie kochałyśmy Ewy. Myli się. Kochałam Evę najbardziej na świecie. I chociaż jestem wściekła na May, że nie przyszła na pogrzeb, wiem, że ona też kochała Evę.

W milczeniu idziemy w stronę domu.

Ze wzniesienia przy wieży widzę czerwony szkolny budynek i koronczarki przy pracy. Około dwudziestu kobiet siedzi na krzesłach ustawionych w krąg wokół czytającej. Kilkoro dzieci siedzi z boku w mniejszym kręgu. Zdaje się, że jedna z kobiet prowadzi z nimi dzienne lekcje.

Prawo się zmieniło. Teraz nauka w domu jest legalna. Zastanawiam się, co by się zmieniło, gdyby pozwolono mnie i Beezerowi zostać tutaj w szkole. Gdybyśmy nie musieli wyjechać do miasta tamtej jesieni i zamieszkać u Ewy.

Anya staje jak wryta. Próbuje mi coś powiedzieć, ale wiatr zagłusza wszelkie dźwięki. Wskazuje na skały. Psy pojawiają się zewsząd, wyłażą z nor, żeby sprawdzić, co się dzieje. To przypomina zagadki obrazkowe, które rozwiązywaliśmy w dzieciństwie. „Ile ukrytych psów znajdziesz na tym obrazku? Pięć? Dziesięć...? Więcej?”. Widzę je wszędzie wokół nas, ich ślepie śledzą każdy krok prawnika. Wiem, że Beezer też je widzi, ale idzie dalej, wskazuje co ciekawsze miejsca, odciąga uwagę przybyszy od klifów. W końcu psy tracą zainteresowanie i wracają do jaskiń.



Zanim docieramy do domu May, idziemy razem we czwórkę. Dzikie psy znudziły się nami, ale dwa ulubione May, te,

które dopuszcza w pobliże domu, wygrzewają się na ganku. Upozowane po obu stronach schodów, z nastroszonymi grzywami, z przednimi łapami wyciągniętymi do przodu, spoczywają jak para jednakowych kamiennych lwów.

Samica wydaje się kompletnie zaskoczona. Samiec nie porusza się, tylko wlepia spojrzenie w adwokata. Prawnik myśli, że pies jest przyjacielski, i już wyciąga rękę, żeby go poklepać, kiedy May wkracza pomiędzy nich i wygania oba psy z ganku. Pierwszy odchodzi bez oporu, ale ten, który się gapił, nie chce się ruszyć.

– Bizancjum... idź – rozkazuje May.

Pies niechętnie złazi z ganku. Ogląda się na May, jakby po wątpiewał w słuszność jej decyzji, za co natychmiast zaczynam go lubić.

– Interesujące imię dla psa. Bizancjum. Pani to wymyśliła?

– Golden retriever – wyjaśnia Anya.

Adwokat patrzy na nią dziwnie.

– Gold, złoto...? Bizantyjskie imperium? – Anya przeskoczyła w tryb historyka sztuki i podpowiada mu jak jednemu ze swoich uczniów.

– Właściwie to od wiersza Yeatsa – poprawia ją May.

Typowa May. Nie pozwoli nikomu mieć racji. Pies nosi imię z wiersza Yeatsa, ale wiersz opowiada o bizantyjskim złocie. Taka już jest moja matka.



Posadzono nas przy wielkim mahoniowym stole w jadalni, jedynym miejscu, gdzie w ten mroczny dzień dociera naturalne światło. Widzę, że adwokat czeka, aż May zapali lampę, potem zdaje sobie sprawę, że nie ma żadnych lamp. Słyszę jego

procesy myślowe, ma nadzieję, że nie zapomniał okularów, sięga po nie do kieszeni, znajduje coś innego, klucze. „Cholera. Powinienem pamiętać, żeby ich nie zdejmować. Okulary... okulary”. Sprawdza drugą kieszeń marynarki. „Bingo”.

Myśli, że wszyscy będziemy zaszokowani. Żałuje, że jego partner nie podjął się tego zadania zamiast niego. „Próbowałem faceta przekupić, ale nic z tego”. Myśli, że nigdy nie potrafił przekazywać złych nowin. „Zwłaszcza w takiej zwariowanej rodzinie. Próbowałem wytłumaczyć starszej pani. Sto razy jej tłumaczyłem. Musi pani zabezpieczyć inwalidę. To pani córka, na litość boską. Nigdy nie mogę dojść do ładu z tymi starymi bogatymi rodzinami. Chociaż z nich żyję. Nigdy ich nie zrozumie”.

– Dobrze się czujesz? – pyta mnie Anya. Bierze mnie za rękę.

Gapiałam się na adwokata. Chyba zdradził mnie wyraz twarzy.

W pokoju narasta napięcie. Nie tylko ze strony adwokata. Wszyscy naładowują się energią. Może ze względu na okoliczności.

– Chcesz trochę wody? – pyta May, pochylając się nade mną. Tylko ona i ciotka się nie denerwują. Ciotka dlatego, że nie wie, co się dzieje; May, dopiero teraz to rozumiem, ponieważ już wie, co zamierza powiedzieć adwokat.

Nalewa mi wody, przesuwa szklankę po stole w moją stronę jak figurę na szachownicy. Chociaż chce mi się pić, nie sięgam po szklankę.



W pokoju zapada cisza, kiedy prawnik odczytuje na głos dokument. Po zakończeniu czytania przez długi czas nikt się

nie odzywa. Adwokat chrząka. Potem, jakby nasza kolektywna zaszokowana mina świadczyła o braku zrozumienia, wygłasza barwny komentarz, parafrazując dopiero co wysłuchany przez nas tekst.

– Testament jest prosty w zamierzeniu – wyjaśnia. – Z wyjątkiem rodzinnej ziemi w Ipswich, zapisanej Pierwszemu Kościołowi z wyraźnym przeznaczeniem na obóz dla niewidomych dzieci, główną masę majątkową przekazano w powiernictwo dla Sophyi... żeby nią dysponowała wedle uznania.

– Co...? – zaczyna Anya. Tylko ona nie pilnuje się dostatecznie, żeby nie powiedzieć tego na głos. „Co z ciocią Boynton...?”, kończy w myślach. Na jej korzyść świadczy to, że przerwała w połowie zdania.

Patrzę na May, która odwzajemnia spojrzenie bez mrugnięcia okiem.

– Wiedziałaś o tym?

– Tak.

– I zgodziłaś się? – Jestem równie zaszokowana, jak Anya.

– To pieniądze Ewy. Nie do mnie należy zgadzać się czy nie zgadzać.

– Prawdę mówiąc, May była świadkiem przy podpisywaniu. – Adwokat pokazuje mi podpis mojej matki.

– Dlaczego? – pytam.

May odwraca wzrok.

– Oczywiście spodziewa się, że zostaniesz i zaopiekujesz się Emmą – odpowiada Beezer.

Widzę wyraz twarzy cioci Emmy.

– Nikt nie musi się opiekować Emmą – oświadcza May. – To ona opiekuje się nami prawie przez cały czas.

Prawda?

Emma próbuje się uśmiechnąć.

– Przecież Emma jest jej córką – protestuje Anya. – Myślałam, że dostanie powiernictwo albo coś takiego.

– Widzę, że to dokładnie przemyślałaś – rzuca May lodowatym tonem.

– Ja tylko... – zaczyna Anya.

– Chciałabym, żebyś została – odzywa się Emma. – Byłoby bardzo miło.

Słowa więzną mi w gardle.

– Nie musisz zostawać – mówi May. – Zawsze możesz się zrzec dziedzictwa.

– Co się stanie, jeśli się zrzeknę? – pytam adwokata.

– W takim przypadku cały majątek przechodzi na rzecz Kościoła.

– Nie na Emmę?

– Eva określiła to bardzo dokładnie.

Doktor Ward ma zaniepokojoną minę.

– Nie sądzę, żeby Evie o to chodziło. Na pewno chciałaby zabezpieczyć Emmę. – Odwraca się do May, szukając potwierdzenia.

– Nie patrz na mnie. Wszystko zależy od Sophyi.

Szach i mat.

W 1820 roku do Bostonu sprowadzono pierwsze maszyny do produkcji koronek i przez kilka lat dwa rodzaje przemysłu koronczarskiego zgodnie prosperowały. Po 1825 roku wszystko się skończyło. Los się odwrócił od koronczarek, kiedy piaski naniesione przez rzekę Ipswich zamknęły wejście do zatoki i ograniczyły handel morski do miast takich, jak Boston i Salem. Ipswich powróciło wtedy do swoich rolniczych początków i kobiety z Ipswich znowu stały się żonami farmerów, koronczarstwo zaś traktowano jedynie jak rozrywkę, umiejętność przekazywaną córkom – jak szycie czy pieczenie chleba (choć mniej ważną od obu tych spraw).

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 11

Przez całą noc pakuję koronki. Zdejmuję wszystkie serwetki ze stołów i wyciągam z szuflad. Zostawiam tylko przybranie baldachimu nad łóżkiem Evy, ponieważ tam śpią Beezer z Anyą i nie chcę ich budzić.

Kiedy skończyłam, zawijam koronki w biały papier i przewiążuję srebrną wstążką, którą znalazłam w szafie Evy. Wyglądają jak prezent ślubny. Wypisuję na papierze ich imiona.

– Co ja mam z tym zrobić? – pyta Anya Beezera, kiedy schodzę ze schodów.

Beezer się krzywi. Anya uświadamia sobie moją obecność, odwraca się.

– To miło z twojej strony, Towner, naprawdę. Tylko że ja nie przepadam za koronkami.

Obejmuje mnie. Próbuję się uśmiechnąć. Taksówka się spóźnia. Beezer, nie mogąc się dodzwonić do firmy taksówkowej, sfrustrowany odkłada słuchawkę. Na zewnątrz trąbi klakson.

– Przyjechali. – Anya rusza do drzwi.

– Na pewno nie przyjedziesz na wesele? – pyta mnie Beezer.

– Nie mam paszportu. – Mówiłam mu to wczoraj wieczorem.

– Każdy ma paszport – uśmiecha się Beezer. – Oprócz ciebie.

– I pewnie May – dodaję.

– Tak, pewnie tak.

Jeszcze raz go ściskam, potem ją.

– Najlepsze życzenia – mówię do niej, chociaż to brzmi zbyt oficjalnie, ale pamiętam, czego mnie uczyła Eva, że nigdy nie gratuluje się pannie młodej.

– Spokojnie możesz sprzedać dom – mówi Beezer. – Wiem, że Eva próbowała cię namówić, żebyś tu zamieszkała, ale to zły pomysł.

Zawsze potrafi czytać w moich myślach.

– Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji – zapewnia. – Tak czy owak, pomyśl o tym – dodaje po chwili.

Kiwam głową i mówię:

– Zadzwoń po ceremonii.

Zabrał wszystkie trzy torby i jeszcze przytrzymuje drzwi, żeby przepuścić Anyę.

Zapakowane koronki zostają na stole w holu.

CZEŚĆ DRUGA

Koronka jest we wszystkim, co żyje: w nagich zimowych gałęziach, w kształtach obłoków, na powierzchni wody marszczącej się na wietrze... Nawet na zmierzwionej sierści dzikiego psa widać koronkowy wzór, jeśli się uważnie przyjrzeć.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 12

Stare domy wplatają w siebie ludzi, którzy w nich mieszkali, jak nici wplecione w koronkę. Zazwyczaj te nici spoczywają spokojnie, dopóki ktoś ich nie poruszy. Stara sprzątaczką zmiatająca pajęczyny budzi do tańca rozmarzoną dziewczynę, która wróciła do domu z pierwszego kotyliona. Z karnecikiem wciąż dyndającym u przegubu ręki dziewczyna zamyka oczy i wiruje, próbując zatrzymać tę chwilę, wspomnienie pierwszej miłości. Stara sprzątaczką zna tę wizję lepiej niż sama dziewczyna. Chwilę, do której tęskniła, ale której nigdy nie przeżyła.

W pajęczynie nici dwa światy mogą się zetknąć. Dziewczyna, która to przeżyła, teraz dorosła, nie pamięta nic prócz uczucia. Nie przypomina sobie imienia młodego człowieka. We wspomnieniach zachowuje inne rzeczy, rzeczy w końcu dla niej ważniejsze: mężczyznę, którego poślubiła, narodziny dziecka.

Ale dla sprzątaczką ta nitka jest mocniejsza. Po części wizja, po części spełnienie życzenia dawno porzuconego, ale nigdy niezapomnianego. Brak jej tchu i musi usiąść na chwilę na łóżku. Na łóżku Evy.

Miejsce, gdzie nici się łączą, związało z sobą dwie kobiety. Sprzątaczką nie może wiedzieć, że młodą dziewczyną była Eva, teraz w średnim wieku. Sprzątaczką nie pochodzi stąd. Nie знаła Evy jako młodej dziewczyny. Ale nawet bez tej wiedzy coś się zmieniło pomiędzy nimi. Kiedy sprzątaczką kończy pracę i schodzi na parter, po raz pierwszy Eva częstuje ją filiżanką herbaty. Starsza kobieta oczywiście nie przyjmuje poczęstunku, to nie wypada, a nawet gdyby wypadało, kobieta jest nieśmiała i niezbyt rozmowna. Wprowadzanie zmian w łączących je stosunkach na tak późnym etapie jest niewygodne, wręcz niemożliwe. Jednak coś się zmieniło i obie o tym wiedzą.



Dzisiaj Eva pokazuje mi wiele nici pamięci, co najmniej po jednej z każdej dekady swojego życia: farma w Ipswich, gdzie dorastała, wesele z G.G., narodziny Emmy. Skrzywienie otwieranych drzwi staje się głosem Evy z wytwornym bostońskim akcentem. Głos artykułuje pytania, jakby Eva próbowała wróżyć z koronek, żeby się dowiedzieć, co się stało. „Umarłam? Odeszłam? Moje życie się skończyło?”.

– Tak – odpowiadam i mój głos odbija się echem od ścian pokoju. – Umarłaś. Jestem tutaj, żeby przejrzeć twoje rzeczy, żeby nie dopuścić nikogo innego. Żaden obcy nie dotknie tych rzeczy, które najbardziej ceniłaś. Robię to nie dlatego, że tego chcę, bo pragnę tylko stąd wyjechać i nigdy nie wracać. Nie, nie robię tego dlatego, że chcę, ale ponieważ wiem, że ty byś tego chciała.

Wróżąca musi najpierw oczyścić koronkę, potem Szukającą, a na końcu siebie. Ten krok wykonujemy, żeby pozbyć się zarówno wpływów przeszłości, jak i oczekiwań na przyszłość. Pytanie rzuca się w czystą przestrzeń.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 13

Prawie cały rano spędziłam w garderobie Evy na sortowaniu jej rzeczy. To mój rytuał, który odprawiam codziennie od kilku tygodni. W całym domu piętrzą się pudła: te dla Beezera i Anyi, tamte dla mojej matki, inne dla dziewczyn mieszkających na wyspie. Dzisiaj zapakowałam małe pudełko, ostatecznie, wystarczająco lekkie, żebym je udźwignęła. Włożyłam tam rzeczy, które zabiorę z sobą.

Ktoś obcy sprzątający tę garderobę oceniałby Evę po rzeczach, które zostawiła, chociaż trudno określić, czy traktowała je jak skarby, czy po prostu rozmaite rupiecie upchnięte byle gdzie, bo nie mogła znaleźć dla nich miejsca. Dla obcego miałyby znaczenie. Stanowiłyby oznakę demencji. Dlatego muszę się uporać z tym zadaniem, zanim wyjadę. Nie potrafię znieść myśli, że ktoś miałby osądzać Evę. Wiem aż za dobrze, jakie to uczucie być osądzaną.

Pudełka na buty to wspomniały przykład. Znalazłam ich tutaj co najmniej sześćdziesiąt. Pantofle, które G.G. dał każdej z nas na ostatecznie Boże Narodzenie przed swoją śmiercią. Napływają

wspomnienia: wszyscy stoimy razem w wannie w nowych butach, żeby nasiąkły wodą. „Niech wyschną wam na nogach” – rozkazuje G.G. Przez cały dzień chodzimy po domu w mokrych butach, wydając mlaskające odgłosy, zostawiając małe ślimacze ślady wilgoci na marmurowych posadzkach i orientalnych dywanach. Ponieważ do wieczora nie wyschły, kazał nam postać w nich na noc. Poszliśmy spać w butach i zbudziliśmy się rano w idealnie dopasowanym obuwiu, chociaż z katarem.

W głębi garderoby na podłodze piętrzą się kolejne pudełka na buty, wszystkie jednakowe, z etykietkami fabryki butów G.G., ale bez innych oznaczeń. Zawierają prezenty, które dawaliśmy jej jako dzieci. Prezenty gwiazdkowe i urodzinowe. Znajduję komplet: grzebień i szczotkę do włosów, które ozdobiłam góorskimi kryształami. O wiele za krzykliwe jak na wyrafinowany gust Ewy, pamiętam jednak, że opowiadała wszystkim, jaki piękny prezent dostała i jak twórczo wykonany. Natrafiam na rzeźbę, którą zrobiłam dla niej przy innej okazji, ogrodową ozdobę z muszelek i kawałków szkła. Do niczego się nie nadawała, ale Eva nie mogła się z nią rozstać. „Mamy wśród nas dobrze zapowiadającą się artystkę” – powiedziała, kiedy rozpakowała ten podarek. Ale się pomyliła. To Lyndley była dobrze zapowiadającą się artystką, nie ja. Jednak ozdoba przez lata zajmowała honorowe miejsce na gzymsie kominka, dopóki klej nie wysechł i muszelki nie zaczęły odpadać, zostawiając dziwaczne łąty neonowej zieleni w miejscach, gdzie prześwitywał styropian. Kiedy zbyt wiele muszelek odpadło, Eva zawinęła ozdobę w taką samą kolorową bibułkę, z jakiej robiła zakładki do Biblii, schowała do ładnego pudełka i związała francuską wstążką. Odklejone muszelki leżały w warstwach bibułki obok zniszczonej ozdoby, niczym ulubione

przedmioty zmarłego, włożone do trumny przez kochających krewnych.

Otwieram następne pudełko, pełne fotografii. Jest mnóstwo identycznych pudełek, więc zdejmuję pokrywki z dwóch następnych, żeby sprawdzić, czy tylko to jedno zawiera fotografie, ale nie, pozostałe również są pełne zdjęć. To zdjęcia mojej matki z czasów, kiedy była małą dziewczynką. I zdjęcie mojej matki May, mojej babci Elizabeth, pierwszej żony G.G., która zmarła, wydając na świat May. Niesforne włosy mojej matki, ujarzmione przez warkoczyki i wstążki, mimo wszystko wyrwają się na wolność i wiją wokół jej głowy jak aureola. Oglądam następne zdjęcia mojej babki i kilka jej męża, opartego o samochód albo grającego w golfa. Dalej są zdjęcia G.G. z Evą, jego drugą żoną i matką Emmy. W jednym pudełku leżą grupowe fotografie, kilka nawet z Calem, z pierwszych lat jego małżeństwa z Emmą, zanim rozpętało się piekło.

W jednym pudełku są zdjęcia kwiatów Evy: jej róże, hortensje, peonie. Początkowo mam wrażenie, że fotografie są ułożone zupełnie przypadkowo, ale kiedy otwieram czwarte pudełko, zaczynam się orientować, że panuje wśród nich porządek. Każde pudełko zawiera jeden temat. Jeśli to zdjęcia rodzinne, każde pudełko przedstawia jednego z nas, samego albo w otoczeniu pozostałych. Planety w małym układzie słonecznym. Jak to z Beezerem na przyjęciu z okazji jego drugich urodzin, gdzie siedzi u szczytu stołu, z małą rączką zanurzoną po nadgarstek w lukrze na torcie, a my wszyscy siedzimy dookoła i zaśmiewamy się do rozpuku.

Nie znalazłam jeszcze pudełek z Lyndley ani żadnych zdjęć ciotki Emmy oprócz tego z Calem. I niewiele moich zdjęć. Znacznie więcej jest Beezera i mojej matki. Wiem, jak działał

umysł Ewy, wiem, że gdzieś są pudełka poświęcone każdemu z nas.

Sięgam po następne, większe pudło. Okazuje się cięższe, niż przypuszczałam. Łąduje na podłodze, wzbijając mały obłoczek kurzu. Wypełniają je książki, nie fotografie.

Poznaję starą rodzinną Biblię, z ustępami zaznaczonymi kawałkami wyblakłej bibułki, które wystają spomiędzy okładek. Sięgam po nią. Nie myślałam, że jest taka ciężka. Właściwie trzeba ją podnosić obiema rękami. Źle oceniam jej wagę i księga wymyka mi się z rąk, spada, papierki rozsypują się, bezgłośnie i nieważkie niczym październikowe liście.

Otwieram Biblię na zaznaczonym wersie.

Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich.*

* J 15, 13.

Odkładam Biblię. Ktoś z rodziny powinien ją dostać, może Emma albo Beezer i Anya. Wyjmuję dwie następne książki, jednakowe dzienniki oprawione w czerwoną skórę. Oba wyglądają znajomo. Otwieram pierwszy. Zapisany jest pismem Ewy. Widziałam go już przedtem. Zawiera myśli Ewy i jej wróżby. To częściowo pamiętnik, częściowo podręcznik, a częściowo fantazja. Na wewnętrznej stronie okładki nagryzmo-liła tytuł: *Podręcznik wróżenia z koronek*. Otwieram na przypadkowej stronie.

WRÓŻENIE PANNIE MŁODEJ W DNIU JEJ ŚLUBU

Welon panny młodej to najbardziej radosna wróżebna koronka. Zawiera wszystkie możliwości. Ze względu na sakramentalną naturę małżeństwa rzadko zdarza się coś

niepokojącego w welonie oblubienicy, widać raczej piękno życia, które rozwija się tylko w przyszłość. W takiej chwili w koronkach często widać twarze dzieci, a czasami nawet wnuków młodej pary.

Jeśli trzeba nieść długi koronkowy tren, często można zobaczyć całe postacie przodków podtrzymujących tren, który niemal unosi się w miejscach, gdzie prawa grawitacji nie powinny na to pozwolić. Im bardziej przejęta jest panna młoda przy tej okazji, tym więcej osób pomaga przy trenie.

To wszystko wydaje się takie znajome. Już to czytałam. Na pewno. Niemal kartkuję książkę. Czasami Eva opisuje ze szczegółami konkretną wróżbę, czasami pisze o różnych rodzajach koronek. Jeśli przy jakiejś wróżbie podawano herbatę, niekiedy dokładnie omawia jej gatunek i sposób zaparzania. Z wróżbami przeplatają się codzienne notatki, zwykle o kwiatach. Znajduję uwagi na temat hiacyntów i róż kornwalijskich. Także stare przysłowia i powiedzenia, zapisane na marginesach. Fragmenty wierszy: Goethe, Spenser, Proust. Banąły przemieszane z obserwacjami pogody i pływów, lecz każda notatka zawsze nawiązuje do koronek, jak nitka przewlekana przez misterną belgijską koronkę i symetrycznie powracająca do środka wzoru.

Czuję Evę przy sobie. Znowu płacę. Chyba pakowanie to nie był dobry pomysł. Za dużo tego. Czuję rękę na ramieniu. Pociuszającą. Nie odwracam się. Wiem, że to Eva. Kieruje mój wzrok na drugą czerwoną książkę. Moja ręka podnosi dziennik. Chociaż obie książki pozornie niczym się nie różnią, druga wydaje się znacznie cięższa od pierwszej. Zbyt ciężka, żeby ją utrzymać w ręku. O mało jej nie upuszczam. Tamta ręka mi pomaga. Otwieram dziennik.

To dziennik, który prowadziłam w McLean. Napompowana stelazyną, z obwisłą twarzą i opadającą szczęką, spisywałam swoją historię, tyle, ile zapamiętałam. Wbrew temu, czego się można spodziewać, pismo jest drobne i zwarte, zdyscyplinowane. Ta historia okazała się moją przepustką ze szpitala. Nie mam pojęcia, na ile była prawdziwa. Jeśli czegoś nie pamiętałam, wymyślałam to. Zapełniałam luki.

Nie mogę czytać tego pamiętnika.

To zbyt bolesne. Zabieram go razem z dziennikiem Ewy oraz rodzinną Biblią i chowam z innymi rzeczami, które wezmę z sobą, kiedy wyjadę: koronczarskim wałkiem, obrazem Lyndley i puszką Trudnej Herbaty.

Wreszcie zjawia się pośredniczka. Przywiozła z sobą inspektora budowlanego.

– Żeby później nie było żadnych niespodzianek – wyjaśnia.

Zauważam tablicę NA SPRZEDAŻ na tylnym siedzeniu jej volvo.

– Nie chcę tablicy – oświadczam.

– Znacznie łatwiej sprzedać dom, jeśli wystawimy tablicę.

– Mimo wszystko... – mówię głosem, który rozpoznaję jako głos mojej ciotki. Ona nic nie zauważa, ale wrusza ramionami i zostawia tablicę w samochodzie. Inspektor zostaje na zewnątrz, obchodzi dom dookoła i ogląda z każdej strony.

Następuje pięć minut towarzyskiej rozmowy. Ona mówi, że szkoda sprzedawać taki dom, że ktoś pewnie go podzieli na mieszkania. Potem orientuje się, że działa wbrew własnym interesom, więc dodaje:

– Ja bym tutaj nie wracała, gdybym mieszkała w słonecznej Kalifornii.

Na zewnątrz inspektor wyciąga z furgonetki drabinę i zanosí pod dom, przestępując przez klomby i rabatki.

– Stare ogrody są wspaniałe – mówi pośredniczka. – Wielki plus przy sprzedaży.

Zapisuje to sobie, podobnie jak kilka innych szczegółów, na przykład łupkowy dach.

– Ile sypialni?

– Nie wiem. Dziesięć? Dwanaście? Niektórych używała do innych celów.

– Ile szaf na ubrania?

Całkiem głupieję.

– W ten sposób określamy sypialnię, na podstawie tego, czy ma szafę.

– Och – mówię. Ale to nie pomaga.

Oprowadzam ją po domu. Zagląda do każdej szafy, wpisuje „7” w kratce obok sypialni. Zagląda do szafek, pod okapy. Powstrzymuje się przed otwieraniem szuflad Ewy. Widocznie zrobiłam dziwną minę.

– To niełatwe – mówi – kiedy to ktoś, kogo się kocha.

Inspektor znajduje wodę w piwnicy. Tylko małą kałużę w piwniczce z winami, przy ścianie, gdzie Eva powiesiła trochę zasuszonych kwiatów. Inspektor ogląda je, zaintrygowany ich pochodzeniem.

Sprawdza, czy butelki z winem nie popękały. Nie znalazłszy niczego, odwraca się do mnie.

– Czy na górze jest zlew?

– Nie.

– Myślę, że to nic poważnego – mówi on – może coś się rozlało.

Pośredniczka bierze suchy bukiet i wacha. To lawenda, poznaję z daleka. Kobieta krzywi się, jakby powąchała zepsuty ser.

– Kto suszy kwiaty w piwnicy? – zadaje retoryczne pytanie. – Proszę się ich pozbyć, to pozbędzie się pani połowy problemu. – Wskazuje kwiaty. – Wszystkie spleśniały.

Wydaje mi się to dziwne, że Eva suszyła kwiaty tutaj, na dole, ale wieszala je wszędzie, małe pęczki kwiatów zawieszono do góry nogami, więc może zabrakło miejsca na górze. Albo może wtedy w piwnicy było sucho.

– Wyrzucę je – obiecuję, a pośredniczka uśmiecha się, ściera z twarzy minę od zepsutego sera. Wiem, że powinnam to sobie zapisać, bo inaczej pewnie zapomnę.

– Coś jeszcze? – pyta inspektora.

– Niektóre okna trzeba na nowo oszklić. Ale dom jest w całkiem niezłym stanie, zważywszy na wiek.

– Czego więcej można wymagać? – Pośredniczka odwraca się do mnie. – Chciałabym, żeby o mnie ktoś tak powiedział.

Próbuję się uśmiechnąć. Pośredniczka kończy listę.

– Czy jakieś meble są na sprzedaż? Albo wina?

Inspektor traktuje to jako sygnał, żeby wyjść.

– Nie wiem, nie myślałam o tym.

– Chyba powinna pani zrobić wycenę. Ma tu pani trochę ładnych rzeczy.

Podaje mi numer do kogoś u Skinnera, w dziale antyków.

– Mamy w biurze gościa, który nieźle zna się na winach – dodaje. – Mówię o kolekcjonowaniu, nie o piciu. Chociaż w tym też jest dobry, trzeba przyznać.

Wyprowadzam ją. Peonie oklapły w upale. Wątpię, czy ktoś je podlewał od śmierci Evy, więc zadziwiające, że w ogóle przeżyły. Wracam do domu, znajduję numer do Ann Chase i dzwonię.

– Cześć, Towner – rzuca – spodziewałam się twojego

telefonu. – Mówi niskim, niesamowitym głosem. Zanim zdążyłam się nabrać, wybucha śmiechem. – Tylko żartowałam. Wcale się nie spodziewałam. Po prostu włączyłam identyfikację dzwoniącego. Słyszę w tle jakieś głosy.

– Dzwonię nie w porę? Jesteś zajęta?

– To sezon turystyczny. Będę zajęta aż do Halloween. Ale możesz dzwonić w każdej chwili... Jak się trzymasz?

– Mam coś dla ciebie.

– Intrygujesz mnie.

– Może wpadnę?

– Zajrzałam tam rano, żeby sprawdzić, czy nie potrzebujesz pomocy w ogrodzie. Widocznie jeszcze funkcjonujesz według czasu kalifornijskiego.

– Chyba tak – przyznaję.

– Podlałam trochę.

– Nawet cię nie słyszałam. Dzięki.

– Musisz im dać dużo więcej wody. Porządnie nawodnić.

Słyszę dźwięk staroświeckiej kasy sklepowej: wrr-brzdęk, kiedy Ann inkasuje należność.

– Podleć cały ogród – mówi. – Ale dopiero późnym popołudniem, bo spalisz liście. W słońcu woda działa jak szkło powiększające. Wpadnę jutro rano i obgadamy resztę.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy. Poza tym jak się trzymasz?

– Jako tako – odpowiadam.

– To dobrze – mówi ona. – Czasami „jako tako” to naprawdę dobrze.

Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Więc zajrzyj do sklepu, jeśli chcesz. Jeżeli nie, to zobaczymy się jutro.

Uświadamiam sobie, że umieram z głodu. W domu nic nie ma. Muszę wyjść, ale najpierw powinnam znaleźć jakieś ubranie. Nie mam żadnych czystych rzeczy. Nie mogłabym udźwignąć walizki, kiedy tu przyjechałam, więc zabrałam tylko szetkę i poduszkę. Idę do mojej szafy, ale wszystkie nastoletnie ciuchy są za bardzo znoszone. Wbijam się w stare obcięte dżinsy, które razem z Lyndley wybielałyśmy pewnego lata. Ściągam je ciasno paskiem naszywanym paciorkami, z napisem WOLFEBORO, NEW HAMPSHIRE na odwrocie. Potem plądruję garderobę Ewy w poszukiwaniu butów i bluzki z krótkimi rękawami.

Mam większe stopy niż ona i jedyne pasujące buty to sandały, które jej kupiłam podczas ostatniego spędzonego tu lata. Kokieteryjne białe sandały ze stokrotkami na paskach. Liczyłam, że jej się spodobają ze względu na kwiatki, ale wciąż leżą w oryginalnym pudełku. Drapię skórzane podeszwy metalowym pilnikiem do paznokci, który znalazłam w szufladzie toaletki, bo są zbyt śliskie, żeby w nich schodzić po schodach.



Idę piechotą do baru kanapkowego Reda. Knajpa pęka w szwach. Kolejka ciągnie się prawie do następnej przecznicy. Ustawiam się na końcu, ale potem zwalnia się miejsce przy kontuarze i nikt go nie chce, więc szybko je zajmuję. Składam zamówienie w granicach dziesięciu dolarów, bo tyle mam w kieszeni.

- Kawa?
- Herbata.
- Z mlekiem?
- Bez.

Grillują angielskie muffinki, jajka i stosy ziemniaków partiami po tuzin naraz. Zastanawiam się, skąd się biorą ci wszyscy ludzie, a kelnerka odpowiada mi, jakbym zadała pytanie na głos.

– Flota przyплыnęła.

Kucharka jęczy.

– Autobus wycieczkowy o dwunastej – wyjaśnia kelnerka, wskazując przystanek tramwajowy.

Tłum się ożywia, grupa turystów przysuwa się do okien. Na zewnątrz młoda kobieta biegnie ulicą, uciekając przed tłumem. Ścigają ją, chwytają i przytrzymują, podczas gdy mężczyzna w purytańskim stroju gromi ją i donośnym głosem odczytuje listę oskarżeń. Rozpoznaję Bridget Bishop* i spoglądam na zegarek. Była pierwszą z oskarżonych czarownic. W lecie odgrywa ją jej proces co kilka godzin i rekrutują turystów do ławy przysięgłych. Nieszczęsna Bridget często zostaje ponownie uznana za winną i skazana na powieszenie... często, ale nie za każdym razem.

* Bridget Bishop (1632–1692) – pierwsza osoba stracona za czary podczas procesów czarownic w Salem w 1692 roku.

Słyszę szepty i się odwracam. W boksie siedzą dwie kobiety, matka i córka. Przystają mówić, gdy tylko na nie spoglądam. Córka podnosi filiżankę, upija łyk kawy.

Płacę kasjerce i muszę przepchnąć się przez kolejkę, która ciągnie się aż za drzwiami.

Rafferty wchodzi, kiedy wychodzę. Rzuca spojrzenie na kolejkę, klnie pod nosem i zawraca. Zatrzymuje się, kiedy mnie rozpoznaje, chwytając drzwi w ostatniej chwili, żeby mnie nie uderzyły.

– Myślałem, że pani wróciła do Kalifornii – mówi.

– Nie.

- May tak powiedziała.
- Więc może wróciłam – ustępuję, wzruszając ramionami.
- Bóg wie, że May Whitney zawsze ma rację.
On się śmieje.
- W każdym razie jej zdaniem.
- Widzę, jak usiłuje wymyślić, co jeszcze dopowiedzieć.
- Sprzedaję dom – oznajmiam niepytana. – Pewnie o to jej chodziło.
- Sprzedaje pani dom? – dziwi się.
- Jest za duży. – Głupio mi się tłumaczyć, głupio, że czuję taką potrzebę.
- To kawał domu. – On się stara.
- Kiwam głową.
- Czy to znaczy, że pani wraca do Kalifornii? – pyta.
- Jak najbardziej – potwierdzam.
- Wielka szkoda.
- Nie rozwija tego dziwnego stwierdzenia. Żegnamy się.
- Miło było pana poznać – mówię, podając mu rękę.
- Dobre maniery wpojone mi przez Evę, ale nie całkiem w moim stylu. Widzę, że jego to kręci.
- Uśmiecha się szeroko.
- Chyba nie wyjeżdża pani dzisiaj?
- Nie. Muszę skończyć porządki.
- Zobaczymy się przed pani wyjazdem.



Docieram do końca ulicy, zanim przychodzi mi do głowy, żeby go poprosić o klucz. Pamiętam, jak Jay-Jay mówił, że go mają. Nie chcę, żeby klucz krążył między ludźmi, nawet jeśli to gliniarze, a poza tym obiecałam pośredniczce, że dorobię

dla niej drugi. Uświadamiam sobie, że jedyny klucz, o jakim wiem, jest w policyjnym depozycie. Pędzę z powrotem ulicą.

– Nic pani nie jest? – pyta mnie, kiedy go doganiam. – Trochę blado pani wygląda.

– W porządku – odpowiadam. – A co z panem?

– Jestem Irlandczykiem, zawsze wyglądam trochę blado.

Proszę go o klucz i chociaż najwyraźniej nie wie, o co mi chodzi, i nie pamięta, żeby w ogóle mieli jakiś klucz, obiecuje sprawdzić i mnie zawiadomić.



Wracam do domu z zamiarem dalszego pakowania. Ale spostrzegam swoje odbicie w lustrze i zmieniam zdanie. Rzeczywiście wyglądam trochę blado, i nic dziwnego. Chociaż pilno mi to skończyć, właściwie powinnam jeszcze się oszczędzać. Muszę trochę zwolnić tempo. Robi się za gorąco, żeby pracować na piętrze. Zamiast tego postanawiam przejść się do sklepu Ann. Zabieram paczuszkę z koronkami, którą Anya zostawiła na stole, i wychodzę.

W sklepie panuje tłok, na zapleczu Ann wróży komuś z głowy. Daje mi znak, żebym zaczekała.

To przyjemny sklep, nie zanadto nastawiony na turystów. Zauważam koronki z Ipswich i zdjęcia Wyspy Żółtego Psa. W głębi w kącie urządzono marketingową wystawę, udaną, przyciągającą wzrok, z bujanym fotelem, kołowrotkiem i plecionym dywanikiem. Bardzo nowoangielska, bardzo swojska. Festony klockowych koronek zwisają z prowizorycznego gzymisu kominka, w starym palenisku piętrzą się klocki koronczarskie. Na fotelu leży wałek koronczarski, jakby ktoś wyszedł tylko na chwilę, jakby zaraz miał wrócić i znowu usiąść.

Rozpoznaję fotel z wyspy. Dawniej stał w naszej bawialni. To wystawa koronek zorganizowana przez Koło. Na kominku stoją w ramach fotografie kobiet, obok stos broszurek opisujących historię powstania Koła, włącznie z formularzami zamówień. Ręcznie wypisana tabliczka zachęca, żeby wziąć broszurkę.

Pełno tam zdjęć: kobiety wiążące koronki, u ich stóp leży piękny golden retriever, długie ujęcie przędzalni, motki żółtej przędzy z psiej sierści i wszędzie koronki.

Główna fotografia, na pierwszej stronie broszury, przedstawia archetypowy wczesnoamerykański dom. Ktoś mógłby sobie wyobrazić, że tak mieszkali pierwsi osadnicy, gdyby nie wiedział, jak ciężkie warunki wtedy panowały. Jednak coś jest nie w porządku z tymi zdjęciami i dopiero po chwili odkrywam, o co chodzi. Jeśli się przyjrzeć uważnie, okazuje się, że kobiety na fotografiach nie mają twarzy. Nie żeby twarze wymazano albo wytarto, nic z tych rzeczy, po prostu fotografie robiono z takiej perspektywy, żeby nie pokazać żadnej twarzy. Zwykle środki ostrożności, myślę, niemniej wywołujące dziwny niepokój.

– Podobno ich przędza ma magiczną moc. – Sprzedawczyni staje obok mnie, trochę za blisko. Domyślam się, że jest na prowizji.

Ann kończy z klientką i podchodzi spieszenie, łowi uchem ostatnie słowa sprzedawczyni.

– To psia sierść – mówi do niej – nie złote runo.

Sprzedawczyni wzrusza ramionami.

– Mówię tylko, co słyszałam – rzuca do mnie i odchodzi naburmuszona.

Słyszę, jak Ann wzdycha.

– Nie znoszę jej – wyznaje – ale to moja najlepsza sprzedawczyni.

Podaję Ann paczkę, którą przyniosłam. Otwiera pudełko. W środku leży dwadzieścia czy trzydzieści sztuk koronek.

– Chyba mi tego nie dajesz – mówi z niedowierzaniem.

– Próbowałam to dać Beezerowi i Anyi w prezencie ślubnym, ale nie przyjęli.

– Ja też nie przyjmę – oświadcza Ann. – To były koronki Ewy. Chciałyby, żeby należały do ciebie.

– Jeśli ich nie weźmiesz, oddam je do muzeum Peabody Essex.

Ann chowa pudełko pod ladę.

– Traktuj to jak podziękowanie z góry – dodaję.

Patrzy na mnie pytającym wzrokiem.

– Za pomoc w ogrodzie.

Wyraźnie się ucieszyła. Ale potem coś sobie przypomina.

– Mogę przyjść najwcześniej pojutrze – mówi. – W porządku?

Chwytam prezent, jakbym chciała go zabrać. Ann się śmieje.

– Dziękuję – mówi. – To dla mnie cenna pamiątka.

– Proszę bardzo.

Ann robi przerwę we wróceniu, żeby wypić ze mną filiżankę herbaty. Kiedy podjeżdża autobus wycieczkowy, Ann wstaje, wzdycha i wraca za ladę.

– Do zobaczenia w czwartek – mówi. Przystaje przy drzwiach. – Musisz przedtem podlać ogród. Inaczej wszystko zwiędnie.

– Podleję – przyrzekam.

Ludzie robią sobie z nią zdjęcia, kiedy wchodzi do środka. Ona pozwala na to, przewracając oczami i zerkając na mnie.

Zanoszę resztkę herbaty na ławkę i patrzę, jak stawiają pierwszy maszt „Przyjaźni”. To replika statku, który wypływał

z Salem w dawnych czasach. Eva mówiła mi, że połowa miasta nad tym pracuje. Obok hangaru na łodzie Evy jest warsztat, gdzie ochotnicy odtwarzają historię. Gromadzi się tłum, żeby popatrzeć, jak wielki dźwig opuszcza na miejsce górną jedną trzecią masztu. Jest wspaniały. Patrzę prawie przez godzinę, zanim zbieram energię, żeby wejść z powrotem na wzgórze i podlać ogród Evy.



Eva ma ponad akr ogrodu, wykrojonego z każdego wolnego miejsca pomiędzy domem a powozownią, wzdłuż ścieżki. Każdy dostępny skrawek ziemi zapełniają kwiaty lub warzywa, nie rozdzielone, lecz rosnące razem – krzaczki pomidorów obok lwich paszczy i liliowców.

Letni ganek zmieniono w skład doniczek. Wciągam kilka mniejszych roślin doniczkowych do środka i wstawiam do zlewu, żeby nasiąkły. Jest gorąco i sucho. Kran pluje powietrzem, zanim zaczyna lecieć woda, na początku zbyt rdzawa i gorąca. To suszarnia Evy, główna w każdym razie. Zapachy lawendy i kolendry przesycają stare drewno. Kwiaty i zioła, powiązane wstążkami w pęczki, wiszą do góry nogami na ścianach wyłożonych boazerią. Zostało jeszcze trochę miejsca na jednej ścianie w głębi, co nasuwa mi pytanie, dlaczego Eva wieszała pęczki lawendy w piwnicy i narażała je na zapleśnienie. Dochodzę do wniosku, że widocznie chciała je uchronić przed słońcem, żeby nie wyblakły. Poza tym nie zamierzała ich tam zostawić na długo, prawda? Kiedy tamtego dnia poszła popływać, na pewno sądziła, że zaraz wróci. Dostaję świra, gdy o tym myślę.

Wciągam do środka tyle doniczek, ile mogę, ale większe są dla mnie za ciężkie, więc idę po ogrodowego węża. Nie mogę

dźwigać nic ciężkiego. Jeszcze nie. Nadal czuję, jak ciągną szwy, które trzymają mnie w kupie. Chyba powinnam chodzić. Lekarz zalecał mi spacer. I pływanie – chyba mówił, że mogę pływać. Przychodzi mi do głowy, że pewnie przepadnie mi wizyta kontrolna, jeśli już nie przepadła. Muszę pamiętać, żeby zadzwonić.

Czekam do czwartej, potem zaczynam podlewać ogród. To mi zajmuje ponad godzinę, a kiedy kończę, jestem mokra i brudna. Sandały się ślizgają, nasiąkły wodą, więc zostawiam je na ścieżce w pół kroku, artystyczne odciski stóp. Przeciagam węża do ostatniego miejsca, tego, gdzie rosną fuksje, same różowe i purpurowe, i samotna passiflora wspina się po bugenwilli w doniczce. Wąż nie sięga tak daleko. Zaczepia się na krawędziach jednej z wyższych grządek i wiem, że powinnam wrócić i go odplątać, ale jestem zbyt zmęczona. Zamiast tego ciągnę, nie napinając mięśni brzucha, tylko wieszając się całym ciężarem, wąż rozciąga się tak, że mało nie pęknie, wreszcie puszcza i przewracam się przez majeranek prosto na grądkę młodych pomidorów i bakłażanów, które Eva oznakowała POM i BAK, jak zdrobniałe imiona. Rozglądam się i odkrywam, że zniszczyłam dwa pierwsze rzędy młodych roślinek. Mam wyrzuty sumienia z powodu mojego niedbalstwa. Ale jestem zbyt zmęczona, żeby wstać, więc siedzę na grządce.

Tam mnie znajduje Rafferty, umorusaną błotem i miazgą zamordowanych roślin. Poślizgiem wjechałam aż pomiędzy fuksje, gdzie żerują kolibry. Widocznie po drodze skasowałam jeszcze miętę, bo czuję na sobie jej zapach. Mięta opanuje grządki z kwiatami, jeśli jej pozwolić. Pamiętam, jak Eva mi to mówiła. Z miętą trzeba uważać. Trzymać ją w jednym miejscu.

Rafferty ze spuszczonym wzrokiem podąża śladem zielonego węża do logicznego końca, gdzie walają się moje sandały. Przystaje, patrzy na mnie, potem na kolibry.

– Nawet nie pytam – mówi, odganiając kolibra jak pszczołę czy innego dokuczliwego owada. Pochyla się i pomaga mi wstać.

Otrzepekuję się, oglądam zadrapania. On sięga do kieszeni, wyciąga klucz. Razem z nim wypadają różne drobiazgi, między innymi guma nikotynowa, stara, w wystrzępionym opakowaniu. Rafferty podaje mi klucz.

– Mam nadzieję, że to właściwy klucz – mówi. Schyla się, podnosi dwa bardzo mokre kupony i macha nimi w powietrzu, żeby szybciej wyschły. Spogląda na nie. – Cholera. Którego dzisiaj mamy?

– Chyba trzeciego – odpowiadam.

– Okay – mówi, patrząc na kupony. – Zapomniałem o nich.

Pokazuje mi kupony. Darmowy obiad na dwie osoby. Nie mogę odczytać nazwy restauracji.

– Ważne do jutra, w ramach miejskiego programu przekupywania gliniarzy. Chce pani pójść?

– Jutro?

– Jasne. Jutro, dzisiaj, wszystko jedno. Po prostu nie chcę, żeby się zmarnowały.

– Chyba lepiej jutro.

– No, jutro podobno urządzają fajerwerki – mówi.

– Okay – zgadzam się.

– Więc do jutra. – Zbiera resztę przedmiotów i upycha z powrotem w kieszeni. – Siódma. – Rusza do bramy. – Lepiej niech pani sprawdzi ten klucz. Tylko ten znalazłem, ale nie był opisany.

– Zrobi się.

Zbiera się do odejścia, ale jeszcze się odwraca.

– A w ogóle co pani robiła? Przed atakiem zabójczych kolibrów?

– Podlewałam ogród.

– Interesująca technika – stwierdza i odchodzi ścieżką.



Wracam do domu i wypróbuję klucz. Drzwi się otwierają. Muszę dorobić jeden dla pośredniczki. I muszę wymienić zbitą szybę, myślę, patrząc na nią i oceniając szkody. I wyrzucić zapleśniałe kwiaty. Daremnie rozglądam się za kartką, żeby sporządzić listę.

Jak za sprawą czarów twarz Rafferty'ego pojawia się w miejsce stłuczonej szyby. Wzdrygam się z zaskoczenia.

– Przepraszam – mówi on.

– Co jest?

– To musi być dzisiaj.

– Co?

– Pomyliła pani datę. Dzisiaj jest czwarty lipca. – W tle strzelają fajerwerki na poparcie jego słów. – Zrozumiem, jeśli to zbyt nagle.

– Nie szkodzi. Niech pan mi da godzinę.

– Dam pani dwie – mówi.

Piorunuję go wzrokiem.

– Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało – tłumaczy się. – Po prostu kończę pracę dopiero o siódmej. Potem muszę zdobyć Łódź.

– Łódź?

– Nie uprzedziłem pani, że restauracja jest na środku zatoki Salem? – Szczerzy zęby.

- Zapamiętałabym coś takiego.
- Przepraszam... restauracja jest na środku zatoki Salem.
- Ubiore się stosownie.

Spogląda na moje ubranie i wstrzymuje się od komentarza, co dobrze o nim świadczy.

Fajerwerki trzaskają i strzelają. Wszyscy wyszli na dwór. Po drugiej stronie parku jeden z nawracających kalwinów obserwuje dom. Zresztą może wpadam w paranoję, może on tylko patrzy w tę stronę, bo zobaczył samochód Rafferty'ego i jak każdy chciałby wiedzieć, co się teraz dzieje w domu Evy.



Przychodzę na czas, Rafferty się spóźnia. Przepraszam, mówi, że to patologiczne. Przynajmniej zrobił telefoniczną rezerwację, ale teraz się boi, że nie zatrzymają dla nas miejsc. Kiedy dopływamy na środek zatoki, nie tylko nie ma rezerwacji, ale nie ma restauracji. Zniknęła. Rafferty wyjmuje telefon komórkowy, musi poczekać minutę na operatora. Widzę, że nie lubi czekać.

- Tak, tu Rafferty. Czy ktoś zgłaszał zaginięcie restauracji? Słyszę śmiech na drugim końcu linii.
- Poważnie, Rockmore zniknęła... – Więcej śmiechu. – No więc gdzie się podziała, do cholery? Uhum... Na zawsze czy tylko na dzisiaj? – Kiwa głową do telefonu. – Rozumiem. Rozłącza się i odwraca do mnie.
- Przenieśli restaurację do Marblehead na ten wieczór. Teraz jestem zaintrygowana.
- Coś w związku z oświetleniem zatoki. – Zastanawia się.
- Nadal chce pani tam iść?

- A pan?
- Jasne, czemu nie? – mówi. – Darmowy posiłek to zawsze coś, nie?
- Nie ma nic za darmo – cytuję Evę i chociaż się z tym zgadzam, żałuję, że powiedziałam to na głos.
- To prawda – odpowiada – ale to nie za darmo, tylko na talony.
- Racja – przyznaję.
- Proszę się trzymać – ostrzega, więc posłusznie chwytam się nadburcia obiema rękami, a on rusza ostro, ignorując ograniczenie prędkości do pięciu mil na godzinę.

Mijamy maleńką latarnię morską na wyspie Winter. Skręcamy na sterburtę, w stronę Peach's Point, przepływamy tuż obok Wyspy Żółtego Psa. Zapada zmrok. May stoi na rampie, zabezpiecza ją na noc. W sosnowym lasku odbywają się zajęcia z medytacji. Albo tai-chi. Podpływamy bliżej skał, niż odważyłaby się większość ludzi, tak blisko, jak podpłynęłabym sama, gdybym sterowała łodzią, co mi imponuje, ponieważ oznacza, że Rafferty dobrze zna te wody. Jedna z kobiet w Kole słyszy silnik, podnosi na nas wzrok, zirytowana, że jej przeszkadzamy. Rozpoznaje najpierw Rafferty'ego, potem mnie.

– To powinno wywołać plotki – mówi Rafferty dostatecznie głośno, żebym go usłyszała przez warkot silnika.

Droga do Marblehead zabiera pół godziny – nie z powodu odległości, ale z powodu tłoku. Kiedy docieramy do celu, przy pływającej restauracji cumuje tyle łodzi, że trudno znaleźć kawałek miejsca.

Policja z Salem widocznie dzwoniła w sprawie Rafferty'ego, bo spodziewają się nas. Właściciel czeka i pomaga nam zaciemnować.

– Myślałem, że pan wie o przenosinach – mówi do Rafferty'ego przepraszającym tonem. – Robimy to co roku.

Wchodzimy do środka i właściciel przysuwa mi krzesło. Czuję, że ludzie na nas patrzą; nie lubię tego uczucia. Siadam jak najprędzej, ale wciąż czuję na sobie ich oczy. Ogarnia mnie fala paranoi. Oglądam się, żeby zobaczyć, kto patrzy, żeby odplącić tym samym, ale niewiele widzę w zapadającym zmierzchu.

– Coś nie tak? – pyta Rafferty.

– Nie – odpowiadam i rozglądam się dookoła. Znowu czuję się obserwowana, ale nie chcę wyjść na paranoiczkę.

– Wołałaby pani usiąść po tej stronie? – pyta Rafferty.

– Nie, tak jest dobrze – kłamię, sięgam po menu, próbuję się zasłonić.

On idzie za moim przykładem, spogląda w menu.

– Mam nadzieję, że lubi pani smażone potrawy.

Zamawiam półmisek rybacki i na przystawkę krążki cebuli. Plus dietetyczną colę, co rozbawia Rafferty'ego.

Znowu czuję te oczy, potem słyszę czyjeś myśli: „Hej, kiedy ta stuknięta Sophya wróciła do miasta?”. Przesuwam krzesło poza zasięg wzroku. Rafferty też nieznacznie przesuwając swoje krzesło, jakby nieumyślnie, zasłaniając mi widok tylnego pokładu. To pomaga. Zaczynam się odprężać.

– Mogę przyjąć zamówienie? – pyta kelnerka, stawiając przede mną czerwony plastikowy koszyczek z bułeczkami.

– Filet to dorsz czy łupacz? – pyta Rafferty.

– Ani jedno, ani drugie – odpowiada kelnerka. – To filet. – Wzrusza ramionami i patrzy na niego jak na wariata. Czytam jej myśli, ona chce tylko wrócić do domu.

– Wezmę miecznika – mówi Rafferty.

Kelnerka odchodzi do kuchni.

– A więc – zwraca się do mnie Rafferty – Eva mówiła, że piszesz.

Zaczyna się towarzyska część naszego programu. Nie szkodzi, Eva mnie wyszkoliła, przeżyję.

– Nie – odpowiadam. – Nie piszę. Czytam.

Widzę, że on nie rozumie.

– Czytaniem zarabiasz na życie?

– Co to za życie.

– Z koronek?

– Nie z koronek, nie. – Prostuję się na krześle, odsuwam tę myśl. – Scenariusze.

Podsuwam mu koszyk z bułeczkami. Bierze jedną.

– Scenariusze filmowe?

– Tak.

– Super – mówi Rafferty.

Zazwyczaj nie używa tego słowa. Gdybym znalazła je w scenariuszu, nie kupiłabym go.

– I mieszkasz w Hollywood?

– Czasami.

Patrzy na mnie dziwnie.

– Dużo podróżuję... – Robi się coraz gorzej. – Czy jestem przesłuchiwana?

Śmieje się głośno.

– Przeprowadziłem się z Nowego Jorku – oznajmia niepytany. Zagrywka z repertuaru Evy. Powiedz coś o sobie, żeby podtrzymać rozmowę. To nie zupa, ale zawsze jakiś początek.

– Super – mówię.

On uśmiecha się szeroko.

– Częste randki?

Teraz ja muszę się roześmiać.

– Nie bardzo – odpowiadam, stwierdzając oczywistość.

– Chodziło mi o mnie, nie o ciebie. – Twarz mu czerwienieje.

Oboje wybuchamy śmiechem.

– O rany – mówi on. – Przynajmniej jedno z nas powinno być w tym dobre.

Wreszcie do mnie dociera, że to randka. Nie wiem, co sobie myślałam. Że to jakiś rodzaj zadośćuczynienia, uprzejmy gest. Częste randki? Prawda jest taka, że nigdy nie chodziłam na randki.

– Przepraszam – rzuca. – To chyba nie był najlepszy pomysł.

Gonitwa myśli w mojej głowie, szukam czegoś, co mogłabym powiedzieć. No, Eva, błagam, podpowiedz mi coś.

– Jak dawno temu się przeprowadziłeś? – pytam słabym głosem, jakby nieswoim.

On widzi, że się staram. Spogląda z wdzięcznością.

– Dwa lata temu – odpowiada.

– Dlaczego? – ciągnę, chociaż zdaję sobie sprawę, jak to brzmi.

Znowu się śmiejemy.

– Lubię żeglować – wyjaśnia.

– To ma sens – przyznaję. Naprawdę ma sens.

– Żeglujesz? – pyta.

– Niezbyt dobrze.

– Kłamczucha. – Śmieje się.

Wie o mnie więcej, niż przypuszczałam. Pewnie Eva mu opowiedziała. O mało go nie informuję, że to Lyndley najlepiej żeglowała w rodzinie, dużo lepiej ode mnie, ale coś mnie powstrzymuje.

– Dużo czasu minęło – mówię wreszcie.

On kiwa głową i patrzy na mnie. Uświadamiam sobie wtedy,

że nie potrafię odczytać myśli Rafferty'ego. Nie żebym próbowała. Z zasady staram się nie czytać ludzi, nie wdzierać się w ich prywatne myśli, unikać cudzej intymności. Rafferty'ego można odczytać, ale tylko jeśli i kiedy sam na to pozwoli.

– Co? – pytam w końcu.

– Myślałem, że wyglądasz trochę jak Eva.

– Naprawdę? – On widzi, że mu nie wierzę. Kiwa głową.

– Dla mnie tak.

– Byliście bliskimi przyjaciółmi – mówię, chociaż od wczoraj jeszcze nie zdążyłam się oswoić z tą myślą.

Uśmiecha się szeroko.

– Eva zawsze lubiła pomagać słabym i przegranym.

– Owszem.

– Może czasami za bardzo. – Cień przemyka mu po twarzy.

– Co to znaczy?

On szybko się wycofuje, uśmiecha się z przymusem.

– To znaczy, że zaprzyjaźniła się ze mną, kiedy byłem nowy w mieście, karmiła mnie jak bezdomnego psa, a potem nie mogła się mnie pozbyć.

– Wytworne kanapki?

– Właśnie. – Śmieje się.

– Niezłe żarcie dla bezdomnego psa.



Oddycham z ulgą, kiedy zaczyna się iluminacja, ekipy zapalają flary na obwodzie zatoki.

Gdy tylko dostatecznie się ściemnia, zaczynają się fajerwerki. Wyglądają dobrze. Lepiej, niż pamiętam. Przy każdym rozbłysku sztucznych ogni widać ludzi na brzegu: całe mile

widzów na ogrodowych krzesłach na rozległych frontowych trawnikach Neck, wokół miejskich doków, w jachtklubach i na plażach aż do Devereux Beach. Łodzie na zatoce tłoczą się tak gęsto, że prawie można przejść tamtędy suchą stopą. Cumują po dwie i trzy na jednym miejscu, z wywieszonymi odbijaczami. Po każdym wybuchu światła syreny łodzi ryczą radośnie, ludzie na brzegu wiwatują, ich głosy niosą się po wodzie.

Ten hałas działa mi na nerwy. Czuję na sobie czyjeś oczy. Znowu ktoś mnie obserwuje.

„Założę się, że ona mu daje”.

– Dobrze się czujesz? – pyta Rafferty.

Wcale nie czuję się dobrze. Pot spływa mi po twarzy, ręce się trzęsą.

„Ona daje gliniarzowi”.

Nie wiem, kogo czytam. Nie chcę wiedzieć.

– Choroba morska? – Łódź ledwie się porusza.

– Nie – zaprzeczam.

Nigdy nie cierpiałam na chorobę morską. To raczej przypomina wzbierającą falę paniki, która pełźnie po kręgosłupie i rozlewa się na ramionach. On to wyczuwa. Rozgląda się dookoła.

– Możemy wyjść, jeśli chcesz.

– Nie, nic mi nie jest – zapewniam.

Próbuję się uspokoić. Stosuję wszystkie sztuczki, których mnie nauczyła moja terapeutka. Oddychaj. Wykorzystaj zmysły. Zapach, dotyk, cokolwiek, żeby cię zatrzymało tu i teraz.

Zaczynam się uspokajać, kiedy wybucha bójka.

Słyszę ją, zanim widzę. Dźwięk powoli narasta wśród donośnego huku fajerwerków, wyraźny i odmienny, odgłos uderzeń.

Nie dociera do mnie jego znaczenie, dopóki nie przychodzą po Rafferty'ego, który idzie z nimi, żeby przerwać bójkę. Nie wiem, czy przyszli po niego, ponieważ zapomnieli, że nie jesteśmy w Salem, podpadającym pod jego jurysdykcję, czy dlatego, że nie mieli pod ręką nikogo innego. Łódź policji z Marblehead jest na drugim końcu zatoki. Przy takim tłoku droga tutaj zabrałaby im dziesięć minut, a przez ten czas tamci narobiliby szkód.

Bójka wybucha w najbardziej odpowiedniej chwili, tuż przed finałem. W przedłużonym blasku fajerwerków widzę, jak Rafferty trzyma jednego wielkiego chłopca; drugi, typek z jachtklubu, stoi, krwawiąc z ust. Stara historia, miejscowi kontra miastowi, tyle że ci goście są na to o wiele za starzy. Miastowy wygląda jakoś znajomo, może to ktoś, kogo poznałam na zabawie kotylionowej. Nie widzę jego twarzy. Już nie wymieniają ciosów, ale wciąż miotają przekleństwa. Rafferty musi mocniej chwycić tubylca, który znowu się zamierza na przeciwnika. Rafferty trzyma go przez całą minutę, zanim w końcu go puszcza.

Elegancik siada z powrotem przy stoliku. Jeden z jego przyjaciół wytrząsa ze szklanki trochę lodu na serwetkę i podaje mu, żeby przyłożył do ust, ale elegancik nie chce tego wziąć.

Zamiast tego patrzy w moją stronę. Wszyscy patrzą.

– Pieprzony kretyń – syczy tubylec i znowu rzuca się na elegancika. Rafferty łapie go za ramię, zanim cios dosięga celu.

Rozpoznaję ten głos i patrzę, jak Jack, mój chłopak z dawnych lat, rzuca pieniądze na stół i odchodzi, wskakuje do swojej łódki tak samo, jak kowboj w starych westernach wskakuje na grzbiet galopującego konia.

Rafferty mówi coś do elegantów, którzy wracają do swojego markowego piwa.

Chwilę później podchodzi do naszego stolika, bierze serwetkę i wyciera ręce.

– O co poszło? – pytam, siląc się na spokojny ton, chociaż moja paranoja podpowiada mi, że poszło o mnie. Że jestem w to zamieszana. Moja terapeutka powiedziałaaby, że świat nie kręci się wokół mnie. Moja terapeutka sypie bananami jak Eva. Zwykle ma rację. Ale nie tym razem.

– O to, co zawsze – próbuje mnie zbyć. Spodnie ma zalane piwem i klnie pod nosem, wycierając je. – Chodźmy stąd – mówi.



Flary wokół zatoki wciąż palą się czerwono, ale zaczynają gasnąć i w przybrzeżnym pasie światła powstają luki, wielkie dziury ciemności.

Znikła swoboda pomiędzy nami. Rafferty ignoruje wszelkie ograniczenia prędkości, co mi odpowiada. Każde z nas chce tylko jak najszybciej zakończyć ten wieczór.

Słyszę dźwięki kościelnej muzyki, trzeszczenie kiepskiego mikrofonu, kiedy mijamy wyspę Winter. Rafferty przyspiesza.

Nie odzywamy się, dopóki nie podjeżdżamy samochodem pod dom Ewy.

On wyłącza silnik radiowozu i odwraca się do mnie.

– Przepraszam, że tam cię zabrałem – mówi.

– Nie szkodzi.

– Wiem, że Jack LaLibertie jest twoim przyjacielem.

– Był – mówię.

– Wiem, że coś was łączyło – poprawia się.

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc milczę. Nie potrafię ukryć skrępowania. Policyjne radio trzeszczy i gwizdże.

– Hej, Rafferty – odzywa się głos z radia. – Znalazłeś restaurację?

– Daj mi spokój, Jay-Jay – odpowiada Rafferty. – Mam wolny wieczór.

– Ktoś właśnie zgłosił zaginięcie.

– Zajmę się tym jutro. – Przewraca oczami i sięga po telefon.

– To Angela Rickey.

– Cholera – rzuca Rafferty i podnosi słuchawkę, żeby nie ujawniać szczegółów. – Tylko nie znowu.

Nie wiem, o co chodzi, ale domyślam się, że to ważne. Wyciągam rękę do klamki. On powstrzymuje mnie gestem.

– Przygotujcie podpisany nakaz – mówi do mikrofonu. – Wpadnę po niego.

Zakrywa mikrofon.

– To była katastrofa – mówi.

– Nic się nie stało.

– Spróbujmy jeszcze raz. To mnie zdumiewa.

– Jutro wieczorem – ciągnie. – Popływamy żaglówką.

Radio ciągle ryczy.

– Dobrze, dobrze – mówi Rafferty. – Już jadę. Przycisza dźwięk i spogląda na mnie.

– Spotkamy się na nabrzeżu Derby. Punktualnie o siódmej.

– Odwraca się do radia, zanim zdąży powiedzieć „nie”.

Bierze serwetkę, osusza spodnie. – Cholera – powtarza.

Żeby oczyścić koronkę: obecność radości.

Żeby oczyścić Wróżącą: medytacja lub modlitwa.

Żeby oczyścić Szukającą: samotny oddech.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 14

Ann wróżyła z piętnastej głowy tego dnia, kiedy odwiedził ją Rafferty. Dochodziła dziesiąta. Wróżby odbywały się na zapleczu, gdzie Ann przygotowywała mieszanki olejków eterycznych. Trzymała tam również kociołek, ale tylko dla dekoracji. Za aksamitną zasłoną, która odgradzała budki wróżek, było jak w laboratorium chemicznym, z retortami, zlewkami i palnikami Bunsena do wyrabiania olejków eterycznych oraz innych eliksirów, które Ann sprzedawała.

Zauważyła Rafferty'ego, kiedy wszedł. Dała mu znak, żeby zaczekał, dopóki nie obsłuży matki i córki, które przyszły po wróżbę. Rafferty słyszał, jak mówiła do starszej z dwóch kobiet:

- Potrzebuję jakiegoś osobistego przedmiotu. Pierścionka, kluczy, czegokolwiek.
- Daj jej pierścionek, mamó – poleciła młodsza kobieta.
- To pani matka musi zdecydować, co mi dać – oświadczyła Ann.

Starsza kobieta zastanawiała się przez chwilę, potem sięgnęła do torebki i wyjęła szalik. Niezręcznie podała go Ann.

– Dziękuję – powiedziała Ann.

Zamknęła oczy i oddychała powoli, trzymając szalik, wchłaniając go. Potem znowu otworzyła oczy i oddała szalik kobiecie, a ta schowała go do torebki.

– I co teraz? – zapytała.

– Teraz będę wróżyć – odparła Ann.

Wstała i przeszła za krzesło starszej kobiety. Położyła dłoń na głowie kobiety i zaczęła delikatnie masować. Kobieta westchnęła.

– To cudowne – powiedziała wreszcie i zamknęła oczy.

Rafferty patrzył zafascynowany.

Kiedy oddech starszej pani zwolnił, Ann zaczęła inaczej poruszać rękami, rozciągając dziwacznie twarz kobiety, wymacując guzy, wgłębienia oraz inne niedoskonałości, które przepowiedzą przyszłość badanej. Spojrzenie Rafferty'ego pobiegło do tablicy frenologicznej wiszącej na ścianie. Ten guz wskazywał na długowieczność, tamten świadczył o skłonnościach artystycznych.

Rafferty przerwał obserwację, kiedy Ann zaczęła wróżyć. Chociaż córka robiła notatki, to była sprawa osobista. Zamiast słuchać, Rafferty krążył po sklepie, oglądał ziołowe saszetki i paczuszki czarów: róża i werbena na sen, krwawnik i imbir, żeby odnaleźć utraconą miłość. Znajdował saszetki dające zdrowie, dobrobyt, ochronę, nawet jedną zapewniającą wygraną w wyborach. Ogromną sekcję kadzideł wypełniał duszący zapach. Rafferty szybko przesunął się do jeszcze większego działu poradników. Wyjął kilka i przekartkował. Potem przeszedł do kryształów. Pogrzebał w koszyku z różowym kwarcem, potem w następnym z kawałkami obsydianu.

Rękę miał zanurzoną po łokieć w agatach ognistych, kiedy Ann w końcu do niego podeszła.

– Są dobre na potencję – oznajmiła i Rafferty pospiesznie wyciągnął ramię. – Przepraszam – powiedziała. – Nie mogłam się powstrzymać.

Zaprowadziła Rafferty'ego do pokoju na zapleczu. Stał tam futon, z którego spędziła parę kotów. Na ścianie wisiał kalendarz lunarny. Taki sam Rafferty widział w domu Evy, tylko bez symboli Czerwonych Kapeluszy. To Czerwone Kapelusze zgłosiły zaginięcie Evy, jej stałe klientki. Kiedy nie otworzyła herbaciarni w wyznaczonym dniu, pojechały prosto na komisariat policji.

– Ciągłe ktoś ginie – mruknął Rafferty, głównie do siebie. Dwie osoby zaginione w jednym miesiącu to już dostatecznie dziwne, ale nietrudno zauważyć, co je łączyło. Eva niejedną raz pomogła Angeli, dawała jej jedzenie i schronienie. Właśnie do Evy zwróciła się Angela, kiedy wpadła w kłopoty. Przynajmniej ostatnim razem. Eva wysłała ją wtedy do schroniska, do May. Cal nienawidził jej za to. Właściwie miał wiele powodów, żeby nienawidzić Evy.

– Dziwny rok – stwierdziła Ann. – Nie masz alergii na koty?

– Tylko na psy.

– Siadaj – zakomenderowała Ann, jakby zwracała się do psa.

Rafferty uśmiechnął się mimo woli. Lubił Ann i jej poczucie humoru. Zwykle przejawiało się w dość subtelny sposób i ludzie na ogół go nie chwyтали. Rafferty odsunął trzeciego kota i usiadł.

– Ty wypełniłaś to zgłoszenie?

Rafferty wyciągnął formularz. Ann zgłosiła Angelę jako

osobę zaginioną, jeśli to można tak określić. Raczej zawiadomiła: „Nie widziałam jej ostatnio przy dokach”, podnosiła ogólny alarm. Angela raz już znikła, sześć miesięcy wcześniej, po pobiciu przez kalwinów. Wróciła do nich z własnej woli, wbrew radom przyjaciół.

Angela pasowała do profilu osoby, która z reguły trafia do sekty. Szesnastolatka na gigancie. Uciekła z domu. Kompletnie stuknięta. Prawdopodobnie molestowana od wczesnego dzieciństwa. Taka dziewczyna łatwo da się złapać na każdą obietnicę bezpieczeństwa czy zbawienia.

Najbardziej uderzyło Rafferty'ego nie to, kto zgłosił zaginięcie Angeli, ale kto nie zgłosił. Ostatnim razem, kiedy Angela związała, kalwini narobili wielkiego szumu, codziennie dzwonili na komisariat, oskarżali najpierw czarownice, a potem Evę o porwanie Angeli. Roberta, przyjaciółka Rafferty'ego, która pracowała na wyspie Winter, powiedziała mu, że Angela zamierzała się przeprowadzić, może tam, gdzie jest cieplejszy klimat.

– Słyszałem, że wybierała się na południe – zaczął Rafferty.

– Na południe? Tak, pewnie tak, jeśli za południe uznasz hangar Evy. – Ann wskazała za okno. – Mieszkała tam od kilku tygodni. Właściwie się ukrywała, można powiedzieć. Wychodziła tylko w nocy. Grzebała w pojemnikach na śmiecie za stacją Victoria, jak słyszałam. Dowiedziałam się tylko dlatego, że przyłapałam ją, jak zrywała pomidory z moich doniczek.

– Jezu – jęknął Rafferty.

– Zaczęłam zostawiać dla niej jedzenie w doniczce. Byle co na szybko. Zdrowsze potrawy, kiedy miałam czas coś ugotować. Żal mi jej było. To doby dzieciak.

– Dlaczego nie przysłała do mnie?

Ann tylko na niego popatrzyła.

– No jasne.

– Albo przynajmniej nie poszła do schroniska.

– Miała podbite oko, kiedy ją ostatnio widziałam. Siniaki na całej jednej stronie twarzy. Błagała, żebym nikomu nie mówiła, że ją widziałam.

Rafferty kiwnął głową. May miała rację. Angela powinna była zostać na wyspie, a on powinien był dopilnować, żeby tam została, nie pozwolić, żeby wróciła do Cala i jego grupy.

– Nie mogłeś jej powstrzymać. – Ann czytała w jego myślach. – I nie znosiła Wyspy Żółtego Psa.

Rafferty zadrżał.

– Nie mogłabym tam mieszkać – wyznała Ann. – Doić krowy, uprawiać len. Jestem za naturą tak samo jak one, ale nie mogłabym tak żyć.

– Kiedy ostatni raz ją widziałaś?

– Trzy dni temu. Tamtego wieczoru była w dokach, a ja miałam otwarte do późna. Widziałam, jak szła w stronę parku Shetland. Czasami siadywała tam na kamieniach. Ale tamtego wieczoru kalwini też byli w dokach. Wygłaszali kazania. Łowili turystów, szukali nowych rekrutów.

– Myślisz, że kalwini ją zaciągnęli do siebie?

– Nie wiem, co myśleć. Nie ma jej w hangarze. Może ją złapali. Może tylko spłoszyli. Nie wiem. Nie rozumiem, dlaczego nie wniosła oskarżenia, kiedy pierwszy raz ją pobili. Ja na pewno bym to zgłosiła.

– Jedzenie, schronienie, mieszkanie. – Lista Rafferty'ego przypominała tablicę na autostradzie.

– Co?

– Stara historia – odparł. – Władza, zależność. Jeśli dodasz

zbawienie duszy, dostajesz pełny pakiet. – Miał bardzo złe przeczucia w tej sprawie. Ale wolał się nimi nie dzielić. – Czy Eva wiedziała, że ona mieszka w hangarze? – Eva dała jej klucz... po ostatnim razie, kiedy ją pobili. – Ann zawahała się, zanim dokończyła zdanie. Wszyscy wiedzieli, że to dla niego bolesny temat.



Rafferty wyciągnął latarkę ze schowka na rękawiczki. Zostawił radiowóz zaparkowany przed sklepem Ann i przeszedł przez nabrzeże Derby w stronę hangaru na łodzie.

Nawet jeśli Angela odeszła w pośpiechu, zamknęła za sobą drzwi na klucz. Rafferty poświecił latarką w okna, ale zabito je od środka deskami. Ruszył w stronę krawędzi doku, gdzie hangar wychodził na zatokę. Przypłył. Gramolił się po śliskich palach, żeby znaleźć dolne wejście zamknięte i zabite deskami. Bez piły mechanicznej mógł się dostać do środka tylko przez drewniane drzwi strychu na piętrze. Zaklął kilka razy. Potem wrócił do radiowozu po linę.

Kilku wioślarzy patrzyło, jak Rafferty wspina się po linie. Rozległy się oklaski, kiedy dotarł na szczyt, potem więcej oklasków, kiedy odbił się i z rozpędu kopniakiem wyważył drzwi strychu.

W małym pokoiku nad hangarem było ciemno. Rafferty omiół światłem latarki cztery kąty. Rzeczywiście ktoś tutaj mieszkał. Wszędzie panował bałagan. Pełno opakowań po daniach na wynos i starych szurzych bobków. Nic dziwnego. Szczury wodne na nabrzeżu osiągały rozmiary kotów. Stanowiły mieszaną populację: indyjskie, chińskie, karaibskie szczury, których rodowód sięgał co najmniej trzysta lat wstecz do czasów, kiedy Salem importowało towary z całego świata.

Właściciele restauracji skarżyli się na nie po kilka razy każdego lata, ale szczury krzepko się trzymały.

Rafferty zlustrował pokój, nie pomijając niczego: świeca wetknięta w starą butelkę po winie. Zakurzona. Świeca wypalona. Stara paczka papierosów wciśnięta w załom ściany. Łóżko polowe w kącie, niezaścielone, spłowiata indyjska narzuta z dziurą wypaloną na samym środku.

Z dołu dobiegło echo jakiegoś dźwięku. Rafferty odwrócił się, poświecił latarką.

– Angela – powiedział – to ja, John Rafferty.

Brak odpowiedzi. Skierował światło latarki na stopnie. Usłyszał plusk wody. Zaczął schodzić w gęstą ciemność, rozcinaną snopem światła jak z latarni morskiej, oświetlającym starą żaglówkę, dulkę, starożytną motorówkę z dziurą w dziobie. Odgarnął pajęczyny, wypluł trochę, znowu splunął.

Spróchniały dolny stopień załamał się pod jego ciężarem. Rafferty wyłożył się jak długi, latarka wypadła mu z ręki. Patrzył, jak się toczy szaleńczo w stronę wody. Zaczął przeklinać.

Latarka natrafiła na gwóźdź w obluźowanej desce i się zatrzymała. Rafferty wstał i odkrył, że ręka mu krwawi. Znowu zaklął.

Coś trzasnęło. Rafferty zamilkł. Chwycił latarkę, odwrócił się i poświecił w tamtą stronę. Dźwięk dochodził z wody albo spod podłogi hangaru, nie potrafił odróżnić. Skierował promień światła w wodę pod ścianą naprzeciwko i zobaczył małe półksiężycowe wcięcie tuż nad linią wodną. Pewnie erozja pływowa, pomyślał, a potem spostrzegł szczura wielkości niedużego samochodu, no nie, może nie samochodu, ale olbrzymiego. Szczur odwzajemnił spojrzenie, światło zapłonęło w jego czerwonych oczach, potem włożył do dziury, wcale nie wypłukanej

przez pływy, po prostu ogromnej szczurzej dziury. Ogon zwi-
sał przez sekundę, potem wśliznął się do dziury jak wąż i znikł.

– Dość – powiedział Rafferty i wszedł z powrotem na
strych. Trudno uwierzyć, że Wyspa Żółtego Psa jest gorsza od
tego.

Rafferty podszedł do okna i wyjrzał na zatokę. Łódź Jacka
znowu stała na slipie*, widział zapalone światło w kabinie.
Jack leżał na brzuchu na koi. Zalany w trupa, pomyślał Rafferty,
widząc pustą przewróconą butelkę na stole w kambuzie.
Potem z jakiegoś powodu Rafferty spojrzął w stronę wyspy i
zobaczył dwa światła, sygnał May. Może myślała, że dziś wie-
czorem kogoś wywiezie, ale Rafferty wiedział lepiej.

Wyszedł tą samą drogą, którą wszedł. Tym razem nie po li-
nie. Zwinął ją i zrzucił na nabrzeże, zanim wyskoczył z okna.
Przyплыw, pomyślał z wdzięcznością, kiedy spadał do zimnej
czarnej wody, zadowolony, że nie roztrzaska się na skałach.

* Slip, wyciąg stoczniowy – mała pochylnia schodząca z lądu w głąb wody, słu-
żąca do wodowania albo wyciągania na brzeg niewielkich jednostek Pływających
poprzez przewożenie ich na wózku kołowym, którym można wjechać do wody na
głębokość większą niż zanurzenie jednostki.



Rafferty wziął prysznic i wstąpił na komisariat po podpisany
nakaz, zanim złożył wizytę kalwinom.



Wyspa Winter leży u ujścia zatoki Salem. Za nią znajduje
się tylko Salem Willows, gdzie mieszkał Rafferty. To inna
część Salem, bardziej wyspiarska społeczność niż miasto por-
towe, wiktoriańska enklawa oddzielona wąskim pasem szosy,

okrażającej elektrownię z ogromną górą węgla, i frachtowce, które przywoziły go do portu.

Wyspa Winter spogląda z jednej strony na zatokę i nabrzeże Derby, a z drugiej na otwarty ocean. Z głównym lądem łączy ją wąska grobla. Od strony oceanu stoi Dom Plummera dla Chłopców. Imponujący, w wiktoriańskim stylu, wygląda jak stary hotel. Jeden z gołębi Rafferty'ego tam dorastał. Gołębiami nazywali nowicjuszy w programie Anonimowych Alkoholików. Ponieważ kiedy próbowałeś im pomóc, zawsze cię obsrywali i odlatywali. Humor AA. Jednak ostatni gołąb Rafferty'ego był całkiem porządnym dzieciakiem i Rafferty wziął go pod swoje skrzydło – niezamierzona gra słów – ponieważ dzieciak go poprosił, a takiemu dzieciakowi się nie odmawia, nawet jeśli zdajesz sobie sprawę, ile kłopotów ci narobi.

Dom Plummera to stara rezydencja z najlepszą chyba nadmorską lokalizacją w mieście, wcale nie żadna rudera, a jednak tam właśnie trafiały niechciane dzieci. Jay-Jay i Jack LaLibertie odsiedzieli tam swoje po śmierci matki, kiedy ojciec wyjechał zastawiać pułapki w Kanadzie i nie raczył wrócić prawie przez rok. Te dzieciaki okazały się w porządku. Przynajmniej Jay-Jay. Cholernie wkurzający, ale dobry chłopak. Jack to inna historia. Pijak jak jego ojciec. Jack kilka razy przymierzał się do programu, ale po prostu brakowało mu wytrwałości.

Oprócz alkoholu Jack LaLibertie miał też inne problemy, wśród których poczesne miejsce zajmowała sprawa Towner Whitney. Jak wielu alkoholików, chętnie odgrywał rolę ofiary. Stara rana nigdy się nie zagoiła i Jack ciągle rozdrapywał strupy, które ropiały i krwawiły, a kiedy dostatecznie rozjątrzył w sobie złość, zjawiał się na spotkaniu zalany w trupa i zaczynał

pyskować na Towner, co mu zrobiła, jakby cała historia wydarzyła się w zeszłym tygodniu, a nie prawie piętnaście lat temu. Widocznie dzisiaj był jeden z tych wieczorów.

Ale Rafferty nie chciał myśleć o dzisiejszym wieczorze. Nie chciał myśleć o Jacku LaLibertie ani o swojej nieudanej randce z Towner, jeśli w ogóle można to nazwać randką. Randka jak cholera. W domu przed dziesiątą. Śmiały się głośno, gdyby to nie było takie żałosne.

Wciąż wracał myślami do Angeli. Sytuacja wyglądała kiepsko przez cały czas. Prędzej czy później coś musiało się stać. Rafferty uświadomił sobie teraz, że na to czekał. Mimo woli wciąż zadawał sobie pytanie, czy dla Angeli coś by się zmieniło, gdyby została w schronisku May na Wyspie Żółtego Psa. Albo gdyby zatrzymała się o jeden dom wcześniej, kiedy tu przyjechała po raz pierwszy, gdyby Dom Plummera przyjmował wszystkie niechciane dzieci, nie tylko chłopców. Gdyby znalazła tam schronienie, może nie zrobiłaby tego jednego kroku dalej, na wyspę Winter, gdzie Cal i jego banda czubków czekali, żeby zbawić jej duszę.

Rafferty miał złe przeczucia co do Angeli. Widocznie Eva również coś przeczuywała. To ona zadzwoniła do niego, kiedy Angela przyłączyła się do kalwinów. „Nie możesz czegoś zrobić?” – zapytała. Rafferty znał jej historię z Calem Boyntonem. Eva była teściową Cala. Niejeden raz zgłaszała na policji, że znęcał się nad jej córką Emmą. Eva serdecznie nie znosiła Cala, z wzajemnością.

Dzisiaj wieczorem Rafferty bardzo się martwił o Angelę. Nie potrafił odpędzić niepokoju. Instykt nigdy go nie zawodził w takich sprawach, w przeciwieństwie do spraw męskodamskich.

Kiedy wjechał do parku na wyspie Winter, zebranie religijne wciąż trwało. Spojrzał na zegarek po raz drugi. Dziesiąta czterdzieści siedem. Jeszcze trzynaście minut i mógł ich zamknąć za zakłócanie spokoju. Robił już to przedtem. Kilka razy. Wprowadził ten zwyczaj zeszłego lata, kiedy pogoda dopisywała. Podjeżdżał radiowozem do Willows, spacerował, rozgrywał kilka partii na flipperach w Arcade, czasami kupował kanapkę chop suey. Potem wracał na wyspę Winter i punktualnie o jedenastej robił nalot. Działo przez jakiś czas, dopóki Cal się nie wycwaniał i nie kupił sobie roleksa.

Rafferty zatrzymał się przy budce strażnika i opuścił szybę w oknie.

Roberta odsunęła boczną szybę, nie odrywając wzroku od „Cosmopolitana”.

– Dwadzieścia pięć dolarów dziennie – powiedziała, wciąż nie podnosząc spojrzenia. – Tak, również w święta.

Czytała artykuł pod tytułem *Rozpal jego lato*.

– Tylko gotówka – dorzuciła, niechętnie zamykając czasopismo.

– Zapisz na mój rachunek – zaproponował Rafferty. Patrzył, jak odwraca pismo, żeby nie zobaczył okładki.

– Za późno – zaśmiał się – płacisz grzywnę. Nie uznała tego za zabawne.

– Myślałam, że poszedłeś na jakąś randkę – burknęła, nawet nie próbując ukryć sarkazmu.

– Jezu – jęknął Rafferty z niedowierzaniem. – Powiesz mi też, co zamówiłem na kolację?

Roberta nie odpowiedziała.

Miała na sobie nowy parkowy uniform i biały dżersejowy top, który kupiła specjalnie o numer za mały. Tlenione blond włosy, postawione żelem na kolce, jeszcze nie całkiem odrosły

po samodzielnym strzyżeniu, które sobie zafundowała przed paroma miesiącami, kiedy chwilowo znowu wpadła w ciąg.

Znał ją z programu AA. Była jedną z pierwszych osób, które poznał po przyjeździe do miasta, jego pierwszą przyjaciółką oprócz Evy. Miała słabość do gliniarzy, wyznała mu, kiedy stali przy ekspresie do kawy. Nalał na palec kawy, czarnej i tłustej, która parzyła się zbyt długo. Styropianowy kubek poraził mu zęby statyczną elektrycznością, kiedy podniósł go do ust. Skrzywił się, wrzucił wszystko do kosza i usiadł sam z tyłu sali, rozmyślając, ilu potencjalnych nowych przyjaciół właśnie obraził.

Na następne spotkanie Roberta przyniosła mu kawę z Dunkin' Donuts. Widział, jak traciła pewność siebie, podając mu kubek.

- Coś schrzaniłam? Nie jesteś snobem od Starbucksa?
- Nie – odparł ze śmiechem.

W rzeczywistości był jeszcze gorszym snobem, ale jej tego nie powiedział. Nawet nie pijał kawy ze Starbucksa. Dawniej tak. Ale w zeszłym roku córka zaoszczędziła na kieszonkowym i kupiła mu na gwiazdkę francuski zaparacz, i teraz nie pijał żadnej innej kawy.

Niemniej docenił ten gest. Wziął kubek, podziękował jej i nawet usiadł przy niej. Przez całe spotkanie udawał, że popija kawę, i zabrał z sobą prawie pełny kubek, kiedy wychodził.

Spotkali się kilka razy. Głównie dlatego, że ona zaproponowała. Rafferty wciąż był nowy w mieście i samotny. Bardzo się starał zmienić to w przyjaźń. Na jego korzyść należy zapisać, że nigdy z nią nie spał, chociaż łatwo mógł ją zaciągnąć do łóżka.

– Jak tam wakacje? – zagadnął.

– Do dupy – odparła. – Matka wykręciła się od opieki nad dziećmi, a siostra musiała przywieźć bachora.

Rafferty kiwnął głową. Nigdy nie poznał jej siostry z dzieckiem, ale sporo o nich słyszał. Roberta często opowiadała o siostrze na spotkaniach. Niemile rzeczy. Z reguły wracała do nałogu, kiedy spędziła więcej czasu z siostrą.

– Więc co tu robisz? – zapytała Roberta, trochę zaciekawiona, trochę zirytowana. – Nie zaiskrzyło między wami?

– Zgłoszono zaginięcie Angeli Rickey.

– Co? Znowu?

– Nie widziałaś jej?

– Wbrew obiegowej opinii nie jestem jej strażniczką.

– Nie prosiłem cię, żebyś znowu ją wzięła do siebie. Pytałem, czy jej nie widziałaś.

– Nie – odparła Roberta po namyśle. – Nie widziałam jej od jakiegoś czasu.

Roberta bardzo niewiele mu powiedziała o tych kilku tygodniach, kiedy Angela u niej mieszkała. Tylko że wróciła do kalwinów. No i dobrze, krzyżyk na drogę.

– Nie widziałaś żadnej bójki? Nie słyszałaś niczego niezwykłego, zanim odeszła?

– Zdefiniuj „niezwykłe”.

Jak na zamówienie wiatr dmuchnął ze wschodu i przyniósł echo wrzasków, dobiegających z opuszczonego hangaru straży przybrzeżnej, gdzie Cal wygłaszał kazanie. Odgłosy ludzkiej agonii zmroziły i tak już chłodne powietrze. Jaki dzisiaj dzień? Czwartek? W czwartkowe wieczory odprawiano egzorcyzmy dla nastolatków. To były rodzinne imprezy, przyciągały tłumy aż z Rhode Island. Należały do najbardziej popularnych rodzinnych rozrywek w repertuarze Cala.

I najbardziej hałaśliwych. Najwyraźniej demony nie chciały opuścić swoich nastoletnich nosicieli bez zaciętej walki, której echa docierały aż do parkingu i niosły się ponad wodą, płosząc gniazdujące mewy, które szybko przenosiły się na inne miejsce. Nawet wiatr nie lubił tych odgłosów i znowu próbował zmienić kierunek, wirując szaleńczo i z rozpędu przewracając co popadnie: stary metalowy znak drogowy, konar usychającego drzewa. Wreszcie złapał podmuch, który przynosił muzykę dużej orkiestry dętej z pawilonu, i zmieszał oba dźwięki, aż się wydawało, że John Philip Sousa skomponował marsza, żeby wypędzić demony z ciał ofiar i zdmuchnąć je prosto do morza.



Rafferty już słyszał telefony dzwoniące w komisariacie. Dźwięki niosły się daleko po wodzie, nawet w takie wietrzne noce. Miejscowi już do tego przywykli. Najczęściej dzwonili letnicy. Zazwyczaj myśleli, że to jakiś tunel grozy, zbyt długo otwarty. Albo jeden z nawiedzonych domów. Rafferty kazał oficerowi dyżurnemu odpowiadać: „Zajmiemy się tym” albo: „Sprawdzimy to”. Doświadczenie nauczyło go, że jeśli wyjaśni dzwoniącemu prawdziwą przyczynę wrzasków, bynajmniej nie uspokoi jego nadszarpniętych nerwów.

– To jest zbyt upiorne – poskarżyła się jedna szczególnie zdenerwowana kobieta. – Nie możecie czegoś zrobić?

Prawdę mówiąc, nie mogli. Dopóki nabożeństwa nie przekraczały określonego poziomu decybeli albo nie przeciągały się poza jedenastą wieczorem, kalwini nie łamali prawa. Jeden jedyne raz, kiedy Rafferty spróbował, Cał w ramach rewanżu kazał członkom swojego Kościoła dzwonić sześć razy do komisariatu, żeby zgłosić zakłócenie spokoju przez nocnego

miłośnika muzyki folk na plaży Waikiki na wyspie Winter, który bez powodzenia ćwiczył *My Back Pages* Boba Dylana, po czym przerzucił się na poruszający refren *Kumbaya*.

Niewiele mogli zrobić. Tereny biwakowe na wyspie Winter stanowiły miejsce publiczne. Kalwini uiszczali opłaty z góry. I płacili za cały sezon. Nigdzie się nie wybierali aż do Dnia Kolumba, kiedy park zamykano na zimę. Wtedy jednak letnicy wyjadą i okna się pozamykają dla ochrony przed jesiennym chłodem, a pozostali mieszkańcy będą już czekać na Halloween, kiedy krzyki i wrzaski należą do tradycji.

Coś się poruszyło na krawędzi pola widzenia Rafferty'ego. Wyćwiczonym policyjnym okiem zarejestrował sylwetkę mężczyzny, idącego dziwnym krokiem na tle nieba. Skupił wzrok i zorientował się, że patrzy na szaty kalwinów, wiszące na sznurze do suszenia bielizny. Trzepoczące na wietrze. Przypięte do sznura, wypełnione wiatrem, przybierały ludzkie kształty i obracały się w kółko. Upiorny taniec. Hipnotyczny. Rafferty'emu zdawało się, że lada chwila wyrwą się na wolność, w płasach zbiegną ze wzgórza do oceanu i znikną na zawsze w czarnej otchłani. Potem wiatr nagle zmienił kierunek i pozbawił je siły życiowej, i znowu stały się tym, czym były zawsze. Nie tancerze, nie duchy, lecz czyjeś pranie.

Za długo mieszkam w Salem, pomyślał Rafferty.

Rozbrzmiało jeszcze kilka wrzasków. Potem głos Cala wzniósł się ponad inne.

– Wyjaw swoje imię, demonie! – zagrzmiął.

Rafferty widział to już co najmniej sto razy. Jeśli demon nie odchodził, a zwykle nie odchodził, przynajmniej przy pierwszej próbie, Cal chwycił dzieciaka i potrząsał nim, dopóki ofiara nie przestała wrzeszczeć albo nie zemdlała, jedno z dwóch.

Rafferty nie mógł uwierzyć, że ktoś się nabiera na te bzdury. Ludzie uwierzą we wszystko. Wymachujący Bibliami powtórnie narodzeni to jedno. Przynajmniej czytali Pismo Święte. Ale to było po prostu śmieszne. Cał ściągał swoje kazania od Cottona Mathera, ze starych filmów i z nocnych ewangelizacyjnych programów telewizyjnych. Wybierał swoje ulubione kawałki, głównie o piekle i potępieniu. Jakby wybierał dania z menu chińskiej restauracji. Ogień piekielny z kolumny A, wieczne zbawienie z kolumny B. Najlepsze grepsy podkradał z Kościoła katolickiego, z wczesnego okresu, zanim zrobili się ekumeniczni. Ale czwartkowe wieczorne egzorcyzmy najwyraźniej stały się jego źródłem utrzymania. Hej, który rodzic nie podejrzewa, że jego nastoletni dzieciak jest opętany? Zeszłego lata Rafferty spędził dostatecznie dużo czasu ze swoją córką Leah, żeby jej żartobliwie zagrozić, że zabierze ją do Cala, jeśli się nie poprawi. „Hej, ja mieszkam w Nowym Jorku” – odpowiedziała. „Nie przestraszysz mnie”.

Kościół katolicki najwyraźniej nie uważał naśladownictwa za pochlebne, jako że ostatnio miał dość własnych kłopotów i nie życzył sobie, żeby mu przypominano o grzechach przeszłości. Ojciec Malloy od Świętego Jakuba zwołał zebranie wszystkich Kościołów, żeby omówić kwestię kalwinów.

– Gdzie się podziały smoła i pierze? – zapytał żartobliwie ksiądz, kiedy miejscowe Kościoły jednomyślnie zagłosowały za utworzeniem komisji, która miała się zbierać co miesiąc, dopóki nie rozwiąże problemu Cala Boyntona. – Czy nie możemy przynajmniej wywieźć go z miasta na taczkach?

Ojciec Malloy nie całkiem żartował. Pastor episkopalny go poparł, a doktor Ward z Kościoła unitariańskiego zażądał głosowania.

– Ale poważnie – odezwał się przedstawiciel Kościoła metodystów, kiedy już ucichły śmiechy – czy nic nie możemy zrobić?

– Niestety, niewiele – poinformował ich Rafferty.

Wszystko, co mógł, zrobił wiele miesięcy wcześniej. Jak nadsłanie na nich wydziału oszustw. Kłopot w tym, że rodzice prawie zawsze byli zadowoleni. A dzieciaki nie chciały o tym mówić.



Roberta zgmiotła komara i rozsmarowała smugę krwi na okiennej siatce. Skrzywiła się, wytarła ręce o szorty.

– To wariatka jak oni wszyscy – oświadczyła. Nie chciała tego mówić, ale stało się.

– Angela? – zapytał Rafferty.

– Towner Whitney.

Rafferty poszukał w myślach odpowiedzi, ale niczego nie znalazł. Chciał przeprosić za dzisiejszą randkę, za to, że w jakiś sposób dał Robertcie do zrozumienia coś, czego nie zamierzał.

– Na pewno słyszałeś tę historię. – Roberta nie mogła się powstrzymać. – Sophya czy Towner, czy jak tam się ostatnio nazywa. – Wypluwała słowa. – Jest kompletnie stuknięta.

Rafferty milczał.

– Mówię ci tylko dlatego, że ciebie tu wtedy nie było. Nie wiem, czy słyszałeś tę historię.

– Słyszałem.

– Przyznała się do zbrodni, której wcale nie było.

Milczał.

– Przez nią całe miasto szukało zwłok. – Roberta spojrzała

w stronę namiotu sekty. – Trzy oddziały poszukiwaczy. A on żył.

– Najwyraźniej – mruknął Rafferty, odwracając wzrok.

– Nawet go nie tknęła. Wtedy wcale go nie było w choler-
nym stanie.

Nie wysłano trzech oddziałów poszukiwaczy. Wysłano dwóch funkcjonariuszy z psem. Słuchanie opowieści o Towner Whitney przypominało starą dziecięcą zabawę. W głuchy telefon czy coś w tym rodzaju. Historyjka przekazywana z ust do ust zmieniała się i rozrastała. Każdy mówił co innego. Zeznania tak się różniły, że Rafferty osobiście przejrzał policyjne akta Towner, żeby się zorientować, co jest prawdą. Miał własną teorię na temat tego, co się wydarzyło tamtej nocy, teorię, którą nie zamierzał się dzielić z Robertą.

– Trzymajmy się bieżących spraw – zaproponował.

– Jak sobie życzysz – mruknęła Roberta.

Za nim zatrzymał się samochód kempingowy mini wini z rejestracją Kansas.

– Przejdę się i rozejrzę po okolicy – oznajmił Rafferty.

Wrzucił bieg, ucinając dalszą rozmowę. Wjechał na parking i wyłączył silnik.

Wyspa Winter, dawna baza straży przybrzeżnej zmieniona w publiczny kemping, stanowiła dziwaczne połączenie kompleksu przemysłowego z pięknym nadmorskim ustroniem, włącznie z miniaturową latarnią morską. Te dwie części były rozdzielone przez rozległy asfaltowy parking i rampa do wodowania łodzi. Obok parkingu wznosił się ogromny pusty hangar lotniczy z dawno porzuconymi barakami i kantyną, ofiary cięć budżetowych na obronę po Wietnamie. Cał strategicznie ulokował swój namiot na końcu hangaru, oświetlonego cyrkowymi żarówkami, które wytargował od pewnego cyrkowca,

kiedy ten zszedł na złą drogę i oskubał swojego pracodawcę do czysta, zanim cyrk wyjechał z miasta. Żarówki i namiot plus trochę drobnych stanowiły cenę, jakiej Cal zażądał za duszę faceta. Demony najwyraźniej nie odeszły, ale cyrkowiec odjechał, pozostawivszy swoje nieuczciwie zdobyte dobra, które Cal uznał za największy dar od Boga: przenośny kościół z pełnym oświetleniem i maszyną do wytwarzania mgły, którą Cal zainstalował w hangarze, żeby stworzyć niesamowitą atmosferę dla niezbawionych. Sam wielki showman, Cal ustawił namiot wejściem do hangaru, żeby grzesznicy musieli odbyć długą wędrówkę do zbawienia przez opuszczoną pieczarę, gdzie echo ich kroków zagłuszały głosy sów uszatyh i innych nocnych stworzeń, gnieżdżących się wysoko na krokwiach. Penitenci spieszyli co sił do światła w namiocie zebrań. Dopiero po zakończeniu spotkania Cal otwierał klapę po drugiej stronie namiotu i wypuszczał świeżo zbawionych z powrotem na *terra firma*.

Dzisiejszego wieczoru Cal był w wyjątkowej formie.

Rafferty usiadł na dachu radiowozu i wysłuchał następných trzech egzorcyzmów. Kilka demonów przemawiało głębokim basem, inne skrzeczały, a jeden paplał w wymyślonym dziecięcym języku. Na koniec ostatniego egzorcyzmu Cal zwróci się do penitentów, żeby sięgnęli w głąb swoich dusz i kieszeni i złożyli ofiarę na Kościół. Każda suma jest mile widziana, zapewnił, ale specjalna modlitwa zostanie odmówiona za zbawienie każdego, kto zapłaci co najmniej sto dwadzieścia pięć dolarów.

Zbiórka trwała ponad dwadzieścia minut, po czym chór nawróconých czarownic odśpiewał wzruszający hymn *Zbieramy plon* i zebrani zaczęli wychodzić.

Rafferty wachlował się nakazem rewizji, kiedy nabożeństwo się skończyło. Oszołomieni ludzie, potykając się, wychodzili na parking. Nastolatek, który podczas egzorcyzmu bełkotał w wymyślonym języku, szedł podtrzymywany przez ojca. Matka, wciąż płacząc, wlokła się z tyłu.

– Cieszę się, że wróciłeś – powiedział ojciec do syna.

Rafferty wcale nie miał pewności, że dzieciak wrócił, raczej był jeszcze w szoku.

Patrzył, jak tłum się rozprasza. Kiwnął głową facetowi, którego znał z warsztatu szkutniczego, ale tamten odwrócił wzrok, zażenowany, że go tutaj przyłapano.

Spłoszony odgłosem kroków nabrzeżny szczur wygramolił się z kryjówki. Sowa płomykówka przycupnięta wysoko na krokwi spikowała w pogoni za szczurem i przeleciała tak nisko nad głowami penitentów, że jakaś kobieta zachwiała się i padła na kolana, przysięgając wśród szlochów, że właśnie ujrzała Ducha Świętego.

Coś pstryknęło, zatrzeszczało i wszędzie zgasło światło. Rafferty już myślał, że rozminął się z Calem, ale po chwili kaznodzieja wyłonił się z boku hangaru, jak zwykle ubrany w garnitur od Armaniego, chociaż było o wiele za gorąco. Cal jednak znał swoją publiczność. Widocznie diabeł chętniej wystawia łeb z dziury dla włoskiego jedwabiu niż dla muślinu z Ziemi Świętej.

Dwaj wyznawcy w długich szatach stali i patrzyli, jak Cal wychodzi z hangaru. Rafferty rozpoznał ochroniarzy Cala. Jeden, były żołnierz piechoty morskiej, dawniej uczestniczył w programie AA, a drugiego nazywano Janem Chrzycielem. Cal odprawił ich gestem. Przystanął na chwilę, żeby dać penitentce swój pierścień do ucałowania. Udzieliwszy kobiecie standardowego błogosławieństwa, podszedł do samochodu Rafferty'ego.

– Śliczny wieczór, detektywie. – Cal przeciągał każdą sylabę ostatniego słowa, twardo wymawiając spółgłoski. – Spodziewam się, że przyszedł pan zapytać o naszą córkę marnotrawną.

Rafferty wybrałby inną przypowieść w przypadku Angeli. Ale to był cały Cal. Z miejsca narzucał własną interpretację.

– Mam nakaz – oznajmił Rafferty, podając mu dokument.

– To niekonieczne – odparł Cal. – Nie mamy nic do ukrycia.



Turyści w mini wini przypiekali pianki na gazowym grillu. Kobieta podniosła wzrok znad pianki z nikłym zainteresowaniem, kiedy mijало ją dwóch mężczyzn.

– Która przyczepa należy do Angeli? – Zawsze zaczynaj od pytania, na które znasz odpowiedź.

– Należała – sprostował Cal. – Angela odeszła z zakonu prawie miesiąc temu.

– Nie wie pan, dokąd pojechała? – zapytał Rafferty, obserwując twarz Cala.

– Do domu – odparł Cal. – Przynajmniej tak się umówiliśmy. Próbuujemy zachęcać nastoletnich uciekinierów, żeby wrócili do swoich rodzin. To po bożemu. I oczywiście ona teraz jeszcze bardziej potrzebuje rodziny. Ze względu na ciążę i w ogóle.

Akurat, pomyślał Rafferty. Dzwonił już do rodziny Angeli. Wróciłaby do domu tylko wtedy, gdyby nie miała innego wyjścia.

– Pozwoli pan, że się rozejrzę?

Cal zaprowadził Rafferty'ego do starej przyczepy kempingowej Airstream, która służyła Angeli za mieszkanie, odkąd

dziewczyna wróciła do sekty po ostatnim „zniknięciu”.

– Uwaga na mózgownicę – ostrzegł Cal, wskazując niski okap.

Mózgownica. Takie słowo wcale nie pasowało do garnituru od Armaniego. Raczej do starych komedii z Andym Hardym. Cal świadomie użył tego określenia, żeby sprawić wrażenie niegroźnego.

Airstream była stara i ciasna, ale Rafferty wszędzie widział rękę Angeli. Mnóstwo świec. I anioły – walczące anioły, Michał i Gabriel. Wzdłuż ścian, poutykane w każdym wolnym miejscu, piętrzyły się *milagros*, kawałeczki rozczłonkowanych cudów: głowa, ramię, serce. Chociaż Angela pochodziła z rodziny stanowiącej luźną mieszankę mieszkańców Maine i francuskich Kanadyjczyków, miała słabość do hiszpańskich artefaktów, które zwykle kupowała w sklepikach w Point. W kącie wisiała czarna koronkowa mantyla. Z rodzaju tych, jakie stare kobiety nosiły do kościoła w dawnych czasach, kiedy jeszcze wymagano kapeluszy. Zawieszona przed obrazem Dziewicy, przypominała raczej zasłonę niż nakrycie głowy. Przez chwilę Rafferty pożałował, że nie umie wróżyć z koronek.

Przyczepa pachniała jak sklep Ann. Olejki eteryczne. Drzewo sandałowe. Może paczuli.

Cal zmarszczył brwi, czując ten zapach. Kiedy się skrzywił, skóra na głowie napięła się, odsłaniając siwiejące odrosty we włosach. Rafferty spuścił spojrzenie na maleńki biały zlew, poplamiony czymś ciemnobrązowym. Dotknął zimnej porcelany, przesunął palcem po plamie. W niewłaściwym miejscu jak na żelazko. Za ciemna na krew. Dokładnie w tym samym odzieniu co włosy Cala, zauważył, kiedy podniósł wzrok. Angela farbowała mu włosy. Z niewiadomych powodów to poruszyło Rafferty'ego. Zakładał, że to Cal jest ojcem jej dziecka.

Przejmował się tym, oczywiście. Ale z jakiegoś powodu to było jeszcze gorsze. Rafferty pamiętał, jak ojciec Angeli mu opowiadał, że przez kilka miesięcy chodziła do szkoły kosmetycznej, kiedy rzuciła liceum. Tak, to Angela farbowała Calowi włosy, na odcień zbyt ciemny w zestawieniu z jego wyblakłą cerą, nieodpowiedni do wieku. Nie był wcale stary, ale włosy miał w niewłaściwym kolorze. Wszystko w nim było niewłaściwe. Pozornie doskonałe, dla niektórych. Ale kiedy przyjrzałeś się z bliska, wszystko miało trochę niewłaściwy odcień.

– Pozwoli pan, że to wezmę? – Rafferty podniósł szczoteczkę do zębów Angeli.

Cal drgnął. Wyraźnie nie chciał pozwolić. Ale powiedział tylko:

– Proszę bardzo.

Rafferty starannie umieścił szczoteczkę w plastikowej torebce, zamknął ją szczelnie i podpisał.

Rozejrzał się za innymi przedmiotami, sporządzając listę. Pod łóżkiem znalazł plecak. Widywał dawniej Angelę z tym plecakiem. Miała go na wyspie. Jedyne bagaż, jaki posiadała. Był duży i pękaty, i Roberta narzekała na niego przez ten krótki czas, kiedy Angela u niej pomieszkiwała.

– Widocznie wyjechała w pośpiechu – skomentował, wskazując plecak.

– Mówiłem panu, że to zaplanowała – odparł Cal.

Wyraźnie kłamał. Dobry w tym jest, pomyślał Rafferty. Jak wszyscy psychopaci.

Kłócił się z Evą na ten temat. Nazwała Calą socjopatą. Jego religijny fundamentalizm wydawał się jej taki niezwykły. Taki „poza marginesem kulturalnej społeczności”, jak się wyraziła. Z jednej strony miała rację. Ale z drugiej strony to Eva żyła

poza marginesem. Rafferty był gliniarzem dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że dwoje ludzi patrzących na coś dwiema różnymi parami oczu rzadko widzi to samo.



Rafferty pomyślał o wyznawcach Cala, tych, których „zbawili”. Stanowili zróżnicowaną grupkę nieudaczników: były żołnierz piechoty morskiej, którego Cal podobno wyleczył z alkoholizmu; ten, którego nazywali Janem Chrzycielem, schizofrenik, któremu Cal kazał odstawić leki. Dziesięć osób mogło opowiedzieć dziesięć różnych historii o Calu. I wszyscy mieliby rację... a jednocześnie by się mylili.

Rafferty przeszedł na koniec przyczepy i spojrzął na całość z nowej perspektywy. Z jednego punktu widzenia wewnątrz wyglądało jak pokój penitentki. Z innego, ze świecami i łóżkiem osłoniętym aksamitnymi kotarami, wyglądało całkiem inaczej. Madonna i ladacznica. Klasyka. Zbawiona i grzesznica. Wszystko miało swoje przeciwieństwo. Nic dziwnego, że Angela powiesiła zasłonę przed twarzą Dziewicy. Nie chciała, żeby Matka Boska widziała grzechy, które tutaj popełniano.

A jednak, według jej własnych słów, Angela została „zbawiona”. Ciągle o tym zapewniała May, kiedy Rafferty po raz pierwszy przyплыł na Wyspę Żółtego Psa, żeby ją zabrać. Musiała wrócić do Cala, płakała i płakała, podczas gdy May chodziła tam i z powrotem po przystani. Popełniła okropny błąd, że tutaj przyjechała, mówiła. Cal nigdy jej nie bił, twierdziła z uporem. To inni, zwłaszcza kobiety, które jej nienawidziły i oskarżały, że znowu uprawia czary.

– Ale ty nigdy nie byłaś czarownicą – wytknął jej Rafferty.

– Sama nie wiem. – Angela wydawała się zmieszana. – Wielebny Cal mówi, że byłam. – Podwinęła rękaw, odsłaniając dużą myszkę. – Noszę znak diabła – oznajmiła. – Tutaj – zaczęła rozpinąć bluzkę – i tutaj.

– Przestań – warknęła May. – Skoro chce wracać, niech wraca.

– Chwalcie Jezusa! – wykrzyknęła Angela.

Rafferty spodziewał się większego oporu ze strony May.

– Mam już dość kłopotów z tymi, które chcą mojej pomocy – oświadczyła May.

Odwróciła się i ruszyła w górę po nabrzeżu. Nie wiedział, co robić. Dziewczyna wyraźnie cierpiała na urojenia.

– Jestem zbawiona – oświadczyła Angela.

Zbawiona? – zadrwił Rafferty. Oficjalny gwałt? Czy raczej molestowanie nieletnich? Zbawiona? A potem nagle do niego dotarło. Zrozumiał powód przyciągania. Rafferty ze swoim spaczonym katolickim poczuciem winy. I obietnice poprawy, które ciągle składał. Byłej żonie. Córce. W tamtej chwili zrozumiał, dlaczego odkupienie jest takie kuszące. Zrozumiał, dlaczego ludzie chcą ponownie się narodzić. Przyjmij Jezusa i dostaniesz darmowy bilet do nieba. Nieważne, co robiłeś w przeszłości ani co zrobisz w przyszłości. Jesteś zbawiony, i kropka. Nie trzeba pokuty. Nie trzeba zdrowasiek, nie trzeba rachunków sumienia, nie trzeba obietnic poprawy. Kalwini w swoich kazaniach zapowiadali siarkę i ogień piekielny, ale tylko dla niezbawionych: katolików, żydów, wikkan. Współwyznawcy znajdowali się pod ochroną. Za kilka odpustów i niewielką dziesięcinę kupowało się polisę ubezpieczeniową. Cholera, kto nie chciałby się nawrócić na taką religię?

W okrągłej koronce martwy punkt znajdujemy na środku. Z niego wylaniają się wszystkie wzory. W koronkach z Ipswich niełatwo znaleźć martwy punkt. Wróżąca musi polegać na intuicji. Wewnątrz martwego punktu przeszłość, teraźniejszość i przyszłość istnieją jednocześnie, a czas, jaki znamy, całkowicie znika. Właśnie od martwego punktu trzeba rozpocząć wróżenie.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 15

Ann zaśmiała się głośno, kiedy wręczył jej szczoteczkę do zębów.

– Próbujesz mi coś powiedzieć, Rafferty?

– To Angeli.

– I?

– Słyszałem, jak mówiłaś tamtej kobiecie, że potrzebujesz czegoś osobistego. Żebyś mogła jej powróżyc. Pomyślałem sobie, że szczoteczka do zębów jest wystarczająco osobista. – Rafferty uśmiechnął się krzywo.

– Wcale nie o to ci chodzi – stwierdziła Ann.

Zaciągnęła kotarę i zajęła miejsce naprzeciwko Rafferty'ego. Na podłodze pod stołem znajdował się regulator oświetlenia, który nacisnęła stopą, przyciemniając światło.

– Bardzo nastrojowe – zauważył Rafferty.

– Zamknij się – burknęła Ann.

Wzięła szczoteczkę i trzymała ją przez parę minut. Obróciła

ją. Pomacała włosie. Zamknęła oczy. Potem nagle rzuciła szczoteczkę na stół i przeszła Rafferty'ego gniewnym wzrokiem.

– Co? – zapytał.

Wpatrywała się w niego, oceniając jego zamiary.

– Czy wiesz, dlaczego poprosiłam tę kobietę o coś osobistego, zanim jej powróżyłam?

– Zakładam, że taki przedmiot zawiera pewnego rodzaju energię.

– Wszystko zawiera pewnego rodzaju energię – odparła Ann. – Nie o to chodzi. Kiedy powiedziałam, żeby coś mi dała, naprawdę prosiłam o pozwolenie, żeby jej powróżyć.

– Nie rozumiem. Przecież płaciła ci za wróżbę?

– Jej córka płaciła.

– No więc? – Rafferty był zbity z tropu.

– Więc myślałam, że jej córka ma jakieś ukryte zamiary.

Rafferty spojrział na szczoteczkę do zębów.

– Czy to był podstęp? – zapytała Ann.

– Co?

– Wiesz, że to nie jej szczoteczka – skrzywiła się Ann – tylko Cala Boyntona.

– Tak podejrzewałem. Potrzebowałem potwierdzenia.

– A mówi się, że to wróżki kłamią.

Ann przeprosiła i podeszła do zlewu. Odkręciła gorącą wodę i umyła ręce aż do łokci. Potem je wytarła i nasmarowała olejkami pomarańczowym dla ochrony.

Wróciła i znowu usiadła naprzeciwko Rafferty'ego.

– Czyżbyś właśnie zniszczył dowody?

– To szczoteczka do zębów, a nie narzędzie zbrodni. Szu-kałem potwierdzenia łączących ich stosunków.

– Nie lubię mówić oczywistych rzeczy, ale jej wygląd w ostatnich tygodniach stanowił wystarczające potwierdzenie – zauważyła Ann.

– Potrzebowałam czegoś więcej. – Nie chciał jeszcze bardziej wkurzać Ann, więc ciągnął: – Naprawdę potrzebuję wróżby dla Angeli. To znaczy, jeśli możesz jej powróżyc.

– Masz dla mnie jeszcze jakieś osobiste przedmioty? Na przykład używaną nitkę dentystyczną?

– Nie – zaprzeczył. – Nic więcej.

Znowu na niego popatrzyła. Mówił prawdę.

– Nie zamierzam sama wróżyć – oświadczyła. – Ale pomogę ci to zrobić.

– Jasne – mruknął.

– Mówię poważnie – zapewniła. – Jeśli chcesz mojej pomocy, musisz się trochę wysilić.

– No, nie wiem – bąknął. Nie miał absolutnie żadnych zdolności do takich rzeczy.

– Medytacja z przewodnikiem – wyjaśniła. – Pokieruję tobą.

– Nie wiem – powtórzył.

– Zdecyduj się, tak albo nie. Jestem dzisiaj zajęta.

– Okay – ustąpił Rafferty. – Co mam robić?

– Zaczyniesz od oddychania.

– Tak, robię to dość często.

– Powoli.

Popatrzył na nią.

– Albo wierzysz w te rzeczy, albo nie.

Rafferty próbował spowolnić oddech. Czuł się idiotycznie.

– Każdy może się nauczyć wróżenia – oświadczyła Ann. – Eva na pewno ci to mówiła.

Eva rzeczywiście tak mówiła, chociaż nadmieniła również, że niektóre osoby mają wrodzony talent do wróżenia. Jak Ann. I Towner.

– Okay, okay. Pomóż mi trochę – poprosił Rafferty. Zaczynał hiperwentylować.

– Weź głęboki oddech i zatrzymaj powietrze – poleciła Ann.

Po pierwszym głębokim oddechu Rafferty zaczął kasłać. Powstrzymał się od śmiechu, znowu nabrał powietrza i zatrzymał w płucach na długą chwilę.

– Okay – powiedziała Ann. – Teraz wydech.

Rafferty powtarzał oddechy, aż poczuł się odprężony. Przez chwilę miał wrażenie, że zsuwa się z krzesła. Chciał otworzyć oczy, żeby to sprawdzić, ale się powstrzymał.

– Teraz odbędziemy małą medytację. – Głos Ann wydawał się odległy.

Rafferty kiwnął głową.

– Wyobraź sobie, że jesteś w domu. Wszystko jedno, w jakim domu. Znajomym albo tylko wymyślonym.

Rafferty wyobraził sobie dom, w którym dorastał, duży, powojenny, wiejski dom, wymagający odmalowania.

– Otwórz drzwi – rozkazała Ann. – Wejźmy do środka.

Rafferty wykonał rozkaz. Zamknął oczy. Odetchnął głęboko.

– Wejźmy na schody – oznajmiła Ann. – Siedem stopni.

Rafferty odetchnął. W domu, gdzie dorastał, nie było schodów. Nie było piętra. Spieprzył wszystko już na początku.

– Powoli, odprężony.

Rafferty próbował sobie wyobrazić inny dom. Bez skutku.

– Na szczycie schodów jest korytarz z kilkorgiem drzwi.

Rafferty się starał, naprawdę.

– Wybierz jedne drzwi. Otwórz.

Nic nie zobaczył. W tym domu nie było schodów. No nie, były, ale prowadziły do piwnicy. Z braku lepszych pomysłów wyobraził sobie, że schodzi po tych schodach. Podszedł do drzwi. Próbował dopasować oddech do oddechu Ann, zsynchronizować.

– Przejdź przez te drzwi... Zatrzymaj się na chwilę... Rozejrzyj się. Obejrzyj wszystko i spróbuj zapamiętać. Nie oceniaj, tylko obserwuj i spróbuj zapamiętać.

Ann zamilkła na dłużej. Kiedy znowu się odezwała, Rafferty miał wrażenie, że przysnął na chwilę. Czuł się spokojny i odprężony. W głowie miał całkowitą pustkę.

– Okay, teraz powoli, powoli zejź po schodach. Przytrzymuj się poręczy. Kiedy zejdziesz na sam dół, wyjdź na zewnątrz, w światło. Poczuj ciepło słońca.

Rafferty próbował sobie wyobrazić, że robi coś odwrotnego. Wchodzi po schodach, wychodzi na zewnątrz, do światła.

– Kiedy będziesz gotowy, otwórz oczy.

Otworzył.

Czuł się zażenowany własną nieudolnością. Klapa na całej linii.

– Opisz, co widziałeś – zażądała Ann.

Rafferty milczał.

– Śmiało – zachęciła. – Nie możesz popełnić błędu.

– No, po pierwsze nie wszedłem na górę, tylko zszedłem do piwnicy.

– No dobrze, jednak możesz popełnić błąd.

– To był wiejski dom – spróbował wyjaśnić.

Spodziewał się, że ona natychmiast przerwie ćwiczenie. Albo

go ofuknie, żeby nie marnował jej czasu. Zamiast tego zaczerpnęła tchu i kontynuowała:

– Co zobaczyłeś, kiedy zszedłeś po schodach?

– Nic nie widziałem – odparł. – Zupełnie nic.

– Jak wyglądało to zupełnie nic?

– Co to za pytanie?

– Nie sprzeczasz się ze mną.

– Było czarno. Nie, nie czarno, tylko pusto. Tak. Ciemno i pusto – oświadczył Rafferty.

– Co słyszałeś?

– Nie rozumiem.

– Czy dotarły do ciebie jakieś dźwięki? Albo zapachy?

– Nie... żadnych dźwięków. Żadnych zapachów.

Czuł na sobie jej spojrzenie.

– Nic nie widziałem. Nic nie słyszałem. Ciągle próbowałem wejść z powrotem po schodach. Zawaliłem test parapsychiczny – stwierdził Rafferty.

– Może – odparła Ann. – A może nie.

– Jak to?

– Weszłam z tobą do tego pokoju – oznajmiła Ann. – Przynajmniej tak myślałam.

– I co zobaczyłaś?

– Nic. Było za ciemno.

– Przecież mówiłem – wytknął jej Rafferty.

– Ale coś usłyszałam... jedno słowo.

– Jakie słowo?

– „Podziemny”.

– „Podziemny” jak schron? Czy jak grób?

Ann nie odpowiedziała. Nie miała pojęcia.

RAPORT POLICYJNY

21 sierpnia 1980 roku

Okolo godziny 21.55 na komisariat weszła nastolatka. Dyżur pełnił Darby Cohen. Obecna była również funkcjonariuszka Margaret Kowalski. Dziewczyna w wieku około siedemnastu lat przedstawiła się jako „Towner Whitney”. Wyglądała na zrozpaczoną, włosy miała potargane, ubranie (koszulę nocną) przemoczone. Nie nosiła butów i na prawej stopie pomiędzy pierwszym a drugim palcem miała głęboką ranę. Funkcjonariuszka Kowalski rozpoznała ją jako mieszkankę Wyspy Żółtego Psa. Kiedy ponownie ją poproszono o podanie pełnego imienia i nazwiska, dziewczyna skorygowała swoje poprzednie oświadczenie i zeznała, że „do protokołu” nazywa się „Sophya Whitney”.

Dziewczyna była bardzo poruszona. Miała zadrapania na nogach i rozcięcie na głowie, chociaż żadna z tych ran nie wydawała się świeża. Później, kiedy ją zapytano, odpowiedziała, że te obrażenia odniosła „jakiś tydzień temu”, kiedy próbowała „uratować swoją siostrę Lyndley Boynton przed utonięciem”.

Zapytana o powód wizyty, dziewczyna zeznała, że przyszła „oddać się w ręce policji”. Oświadczyła, że „właśnie zabiła Cala Boyntona”. W odpowiedzi na pytania o metodę i miejsce zgonu pana Boyntona zeznała, że pan Boynton został „rozszarpany przez psy na Wyspie Żółtego Psa”.

Policyjną motorówkę wysłano na Wyspę Żółtego Psa około 22.16. Zgodnie z sugestią funkcjonariuszki Kowalski wezwano sanitariuszy z Salem, żeby zbadali dziewczynę. Sophya

została opatrzona i uznana za zdrową około godziny 23. Nie pozwoliła sobie założyć szwów ani zrobić zastrzyku przeciwtężcowego, wbrew zaleceniom sanitariuszy. Wydano jej ubranie na zmianę (kombinezon ochronny), koc i gorącą herbatę. Chociaż nie przeprowadzono rozstrzygających testów, zdaniem sanitariuszy dziewczyna nie była pod wpływem alkoholu ani żadnych nielegalnych substancji. Nie wykryto oznak wstrząśnienia mózgu ani żadnych fizycznych obrażeń poza wyżej wymienioną raną.

Policyjna motorówka dotarła na Wyspę Żółtego Psa około 23.32. Oficerem dowodzącym był Paul Crowley, zarządca portu. Oficer Crowley zeznał, że kiedy doплыnął do wyspy, rampa była opuszczona. Zeznał, że dom Boyntonów był zamknięty na głucho, a w domu Whitneyów paliła się lampa, ale chyba nikogo nie było w środku. Wszystkie wejścia do domu były zabezpieczone z wyjątkiem jednego otwartego okna.

Funkcjonariuszka Kowalski została z Sophią. Podczas dalszego przesłuchania Sophia zeznała, że Cal Boynton wyładował motorówką na Back Beach i zaczął „wspinać się po klifie w stronę swojego domu”. Zeznała, że pan Boynton „szukał córki”. Przyznała, że to ją zaskoczyło, ponieważ jego dom stał zamknięty na głucho od dwóch lat. Powiedziała, że jego córka „Lyndley utonęła jakiś tydzień temu *w wypadku*”. Powiedziała też, że o ile jej wiadomo, pan Boynton został już poinformowany o śmierci córki. Sugerowała, że dokonał „wyparcia” i pewnie dlatego przyjechał „aż z Kalifornii”, żeby jej szukać.

Świadek następnie poinformowała funkcjonariuszkę, że

„obawiała się o swoje życie”, kiedy zobaczyła Calvina Boyntona, a poproszona o rozwinięcie tej kwestii opowiedziała, że żona rzekomej ofiary, Emma Boynton, niedawno leczyła się w szpitalu w San Diego, ciężko pobita przez męża. Później zweryfikowano tę historię. Następnie Sophya powiedziała funkcjonariuszce, że jej „cioteczna babka, Eva Whitney” poleciała do Kalifornii dzień wcześniej, a jej „matka, May Whitney” czeka na wyspie na wiadomości o stanie Emmy. Następnie wybuchła płaczem.

Powiedziała, że się „bardzo przestraszyła”, kiedy zobaczyła Cal Boyntona na Wyspie Żółtego Psa, i że był „bardzo wzburzony”. Powiedział: „Przyszedłem po moją dziewczynkę”. Zapytana o szczegóły nie potrafiła nic powiedzieć, określiła tylko jego zamiary jako „złowieszcze”.

Dziewczyna zeznała, że psy „właśnie zaczęły się pojawiać”. Powiedziała funkcjonariuszce, że „wyszły zobaczyć, co się dzieje”. Według jej pierwszego zeznania „były ich setki, wszędzie na skałach, na plaży i w ogóle”, ale zapytana, ile dokładnie psów zaatakowało pana Boyntona, odpowiedziała: „Chyba dziesięć czy dwanaście”.

Sophya opowiadała dalej, że psy „nigdy nie lubiły Cala” i że on „dawniej je bił” i „nawet zabił jednego kijem baseballowym kilka lat temu”, chociaż przyznała, że nigdy tego nie dowiedziono. „Tego wieczoru wszystko stało się bardzo szybko” – powiedziała. „Psy po prostu go zaatakowały”. Poproszona o więcej informacji zeznała, że „chciała, żeby psy rzuciły się na Cala”.

Po ataku, zgodnie z zeznaniem dziewczyny, „Cal Boynton leżał bez ruchu na ziemi, nieżywy”. Zapytana, czy jest pewna, że nie żył, odpowiedziała, że tak, chociaż nie zbadała ciała, ponieważ „nie chciała się do niego zbliżyć w żaden sposób”. Zapytana, dlaczego nie zwróciła się o pomoc do May Whitney, odpowiedziała, że nie poszła do May, ponieważ „to mi nie przyszło do głowy”. W dalszym przesłuchaniu skorygowała swoje zeznanie, mówiąc, że nie wezwała May Whitney na pomoc, ponieważ wiedziała, że May „by nie pomogła”.

Funkcjonariusz Crowley obudził May Whitney, która „bardzo się martwiła” o dziewczynę. May Whitney powiedziała funkcjonariuszowi Crowleyowi, że to „nieprawdopodobne, jeśli nie wręcz niemożliwe”, żeby Cal Boynton był tego wieczoru na wyspie. Powiedziała policji, że Cal Boynton zaginął na morzu gdzieś przy zachodnim wybrzeżu Baja w Kalifornii. Po ciężkim pobiciu żony pan Boynton podobno „ukradł łódź z jachtklubu w San Diego” (z którego ostatnio został wyrzucony) i jego łódź „zatonęła na wysokości plaży Rosarito w Baja”. Powiedziała, że zarówno policja z San Diego, jak i władze meksykańskie szukają łodzi i „kiedy i jeśli go znajdą”, nie pozwolą mu wrócić do Nowej Anglii, tylko aresztują go i postawią przed sądem w San Diego za kradzież łodzi i ciężkie pobicie żony, Emmy Whitney, która leżała w szpitalu w San Diego „w stanie krytycznym”. Dalsze dochodzenie potwierdziło zeznania May Whitney. Policja San Diego zawiadomiła, że znaleziono Cala dwie godziny wcześniej przy wybrzeżu Baja. Był w delirium, poważnie odwodniony, ale spodziewano się, że wyzdrowieje.

Sophya Whitney upierała się, że policja San Diego i May Whitney kłamią, i powtórzyła, że Cal Boynton został „rozszarpany przez psy”. Była coraz bardziej wzburzona, kiedy ponownie opowiadała tę historię, i ani policja, ani May Whitney nie mogli jej uspokoić. Dodano 22 sierpnia 1980 roku, godzina 11.45 Sophya Whitney została przyjęta do szpitala Salem na obserwację. Na żądanie rodziny później tego dnia przeniesiono ją do Szpitala Psychiatrycznego McLean i przyjęto na oddział o 16.32.

Podczas wróżenia z koronek Wróżąca musi szukać jednej z dwóch rzeczy: albo czegoś, co wzmacnia wzór, albo czegoś, co go przerywa.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 16

Rafferty chwycił kartki, w miarę jak wysuwały się z kopiar-ki. Przez ostatnią stronę raportu biegł czarny pas, zaciemniają-
cy podpisy trojga funkcjonariuszy.

Przeczytał wszystko, co znalazł o Angeli, czyli niewiele.

A teraz znowu zaczął przeglądać stare raporty i wyciągał wszystko o rodzinie Whitneyów, zwłaszcza o Evie i jej pro-
blemach z Calem.

Sprawdził szpitale i kostnice na całym wybrzeżu. Zadzwoił do rodziców Angeli, którzy twierdzili, że się z nimi nie kontak-
towała. Potem sprawdził pięć schronisk w najbliższej okolicy. Zadzwoił nawet do HAWC*, miejscowej grupy pomocy dla maltretowanych kobiet i dzieci. Nikt nie widział osoby odpo-
wiadającej rysopisowi Angeli.

Angela Rickey zniknęła. Znowu.

* HAWC (*Help for Abused Women and their Children*) – Pomoc Dla Maltreto-
wanych Kobiet i Ich Dzieci, organizacja charytatywna z siedzibą w Salem, Massa-
chusetts.

Rafferty wszedł do swojego gabinetu i zamknął drzwi. Dołał sobie kawy i usiadł, żeby jeszcze raz przeczytać wszystkie raporty. Szukał czegoś, cokolwiek, co mógł przeoczyć. W głowie miał mętlik. Nie spał przez całą noc. I nie zanosilo się, żeby w najbliższym czasie mógł odespać zaległości.

Jeszcze raz przeczytał raport o Towner. I wszystko, co znalazł na temat tej rodziny. Dwa zakazy zbliżania się dla Cala, jeden dotyczący Wyspy Żółtego Psa i nowszy, dotyczący Evy. Dwa dawniejsze zgłoszenia pobicia, jedno wypełnione przez May i drugie z tej nocy, kiedy Cal złamał szczękę Emmie Boynton. Oczywiście Emma została pobita jeszcze raz, wtedy, kiedy straciła wzrok, tamtego wieczoru w San Diego, kiedy Cal zaginął na morzu.



Eva opowiedziała mu resztę tej historii. Jak meksykańscy rybacy wyłowili Cala z morza na wysokości plaży w Rosarito. Zauważyli jego pomarańczową kamizelkę ratunkową podskaakującą na falach prawie na horyzoncie i mewy płynące za nią rządkiem, więc postanowili sprawdzić. Cal ledwie żył, kiedy go wyłowili z wody, jak mu powiedziała Eva.

Kiedy Cal wydobrał na tyle, że wyszedł ze szpitala, osadzono go w więzieniu w San Diego. Za kradzież łodzi. I za pobicie oraz osłepienie Emmy Boynton.

Według Evy Cal został usunięty z załogi San Diego, co położyło kres wszelkim jego nadziejom na zdobycie Pucharu Ameryki. Poszedł do baru na nabrzeżu i pił przez całe popołudnie. Potem, jak miał w zwyczaju, wrócił do domu i sprzął Emę na kwaśne jabłko.

Zwykłe brutalne bicie nie wystarczyło Calowi, którego życiowe marzenie właśnie legło w gruzach. Uderzył ją mocniej.

Trzasnął jej twarzą w lustro. Nie chciała przestać się gapić, powiedział później sędziemu. Płakał, mówiąc o tym w sali sądowej. Kiedy zobaczył rozmiar jej obrażeń, uciekł. Pod osłoną nocy zakradł się z powrotem do klubu i zabrał łódź, którą dla niego zbudowali. Jego łódź. Gdzieś na południe od miasta Cal wpakował łódź na mieliznę.

Kiedy Emma walczyła ze śmiercią, ze swoją matką Evą u boku, Cal również walczył o życie. Nie zdołał odwiązać tratwy ratunkowej, więc włożył tylko kamizelkę. Znalaziono go dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach.

Kiedy Cal wrócił do zdrowia, wydawał się odmieniony. Twierdził, że zobaczył Boga. Daleko na oceanie, bez nadziei na ratunek, Cal ujrzał twarz Jezusa. Został zbawiony.

Kiedy wreszcie wyzdrowiał, postanowił poświęcić życie głoszeniu Słowa Bożego.

Opowiadał swoją historię każdemu, kto chciał słuchać. Widział własną śmierć. Jego ciało zostało rozdarte na strzępy. Poczuł ogień piekielny.

Dzięki mocy bożej Cal bez wysiłku rzucił picie. Każdy, kto go znał, musiał przyznać, że ten człowiek rzeczywiście się zmienił.

Praca Cala z alkoholikami zaowocowała skróceniem wyroku za pobicie Emmy Boynton. Przewieziono ją do Nowej Anglii ze względu na poważne obrażenia. Nie była dostępna ani wiarygodna jako świadek, toteż wyrok Cala zmniejszono do okresu, który już odsiedział, plus sześć miesięcy pracy społecznej oraz dwa lata zawieszenia.

Jeszcze w San Diego Cal założył i zarejestrował własny Kościół. Wśród wiernych, zwanych kalwinami, znaleźli się ludzie pozbawieni praw obywatelskich, z wyrokami za przemoc domową. Do nawróconych należeli też miejscowi wykolejency,

jak schizofrenicy i bezdomni alkoholicy, którzy zaakceptowali religijne przesłanie głoszone przez Cala i zaufali mu jako jednemu z nich. Do dziś miasto San Diego stawia Cala Boyntona za przykład udanej resocjalizacji, gdzie „byli przestępcy wykorzystują własną historię, żeby wpływać na życie innych ludzi”. Burmistrz tego miasta podczas kampanii wyborczej wychwalał sukcesy grupy jako jedno z jego własnych osiągnięć podczas sprawowania urzędu.

Cal zdobył wyznawców w długich szatach dopiero po powrocie do Nowej Anglii.

Wrócił do domu, żeby się pogodzić z Emmą, przynajmniej tak twierdził. Kiedy Eva uzyskała dla niego sądowy zakaz zbliżania się, był wściekły. Co za bezczelność, żeby nie dopuszczać go do domu i rodziny! Wydawał wszystkie pieniądze, jakie mu wpadły w ręce, na zgraję prawników, żeby odzyskać swoją połowę Wyspy Żółtego Psa. Chciał wybudować kościół na ziemi, którą wciąż uważał za swój małżeński majątek. Lecz Evą i May go wyprzedziły. Przekazały wyspę pod zarząd powierniczy dawno temu, kiedy Cal po raz pierwszy podniósł rękę na Emmę. Nie trzeba było wróżki, żeby przepowiedzieć rozpad tego małżeństwa.

– Jak śmiesz! – krzyczał Cal do Ewy przed frontem jej domu pewnej śnieżnej nocy w połowie grudnia. Podniósł kamień i cisnął w okno na piętrze, ale stracił równowagę i pośliznął się na oblodzonym chodniku. Złamał nogę w dwóch miejscach.

Poproszona o skomentowanie tego wypadku w lokalnej gazecie, Eva wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Widocznie dobry Bóg woli moje modlitwy niż jego.

Wtedy po raz pierwszy Cal przemawiał językami. Wrzeszczał i pomstował przez kilka godzin, dopóki lekarze nie

przepisali mu mocnych środków uspokajających. Podobno spał przez kilka dni. Kiedy się obudził, wniósł pierwsze oficjalne oskarżenie przeciwko Evie. Nie o śliski chodnik przed jej domem, ale o czary.



Rafferty przejrzał wszystkie akta Evy. Cal złożył przeciwko niej kilka skarg: czary, czarna magia, porwanie. Ostatni zarzut został przekreślony i na górze dopisano odręcznie: „sprawienie, że dziewczyna zniknęła”. Jak na pokazie sztuk magicznych w Las Vegas. Sztuczka ze znikaniem. Jeszcze raz przeczytał skargę, szukając czegoś, co przeoczył za pierwszym razem. Gdzieś tutaj krył się związek. Eva/Angela. Angela/Eva. Przez jedną szaloną minutę Rafferty chciał zarządzić trałowanie dna przy brzegach wyspy Children's, szukanie drugiego ciała. Ale śmierć Evy wyraźnie nastąpiła wskutek wypadku. Nic nie wskazywało na zabójstwo. Rafferty z największą radością aresztowałby Cal'a za zamordowanie Evy Whitney, ale nie miał żadnych podstaw. Tyle że Evę znaleziono bardzo daleko. Wszyscy podkreślali ten fakt. Eva nie zrezygnowała z pływania, okłamała Beezera w tej sprawie. Ale przez ostatnie lata ograniczała się do zatoki. Eva należała do kobiet, które znają umiar.

Boże, jak za nią tęsknił. Czasami podejrzewał, że tęsknił za nią bardziej niż wszyscy Whitneyowie razem wzięci. Była dla niego jak rodzina. Właściwie więcej. Była jego przyjaciółką. Wciąż nie mógł uwierzyć, że odeszła.



– „Fakty są wrogiem prawdy” – zacytowała Eva *Don Kichotta*.

– Gdybyś była dwadzieścia lat młodsza, ożeniłbym się z tobą – powiedział do niej Rafferty tamtego dnia, kiedy zacytowała ten fragment.

– Gdybym była dwadzieścia lat młodsza, nawet bym na ciebie nie spojrzała – odparła Eva.

Śmiał się z tego przez całe popołudnie.

Mniej więcej w tamtym okresie zaczęła mówić o Towner. Albo pamięć płatała mu figle. Ale na pewnym etapie ich przyjaźni Eva zaczęła opowiadać o Towner i operacji, którą odkładała, i jak prawie się wykrwawiła na śmierć. Miała guzy, powiedziała mu Eva. Łagodne, tak, ale niebezpieczne. Czegoś takiego nie wolno lekceważyć.

– Jest wiele sposobów popełnienia samobójstwa – zauważyła.

Rafferty kiwnął głową. Jako pijak poznał z pierwszej ręki przynajmniej jeden sposób.



Angela znikła teraz po raz drugi. Trzeci, jeśli liczyć ucieczkę z domu. Ale dopiero po raz drugi ktoś jej szukał. Za pierwszym razem Angela znikła z obozu kalwinów, zanim zaszła w ciążę. Cal wezwał Rafferty'ego i kazał mu przeszukać dom Ewy.

Rafferty już wiedział o Angeli. Całe miasto o niej gadało. Należała do nielicznych atrakcyjnych kobiet w obozie kalwinów, gdzie w ogóle było mało kobiet. Kalwini słynęli ze swojego antyfeminizmu. Nie tylko panicznie bali się czarów, ale na widok piękna modlili się głośno o zbawienie. A Angela była piękną dziewczyną. Przynajmniej kiedy po raz pierwszy tutaj przyjechała.

Angela uciekła z domu. Przejechała autostopem aż z Maine

autostradą numer 1 i trafiła do Salem w samą porę na kolejne pogańskie święto. Szczęśliwy przypadek; sama nie była czarownicą, ale zapowiadało się zabawnie, więc została. Przez kilka dni wałęsała się po Błoniach, sypiała na ławce w parku i zebrała w pobliżu turystycznych autobusów. Angela została również po wyjeździe pogan i Eva niejedną raz zanosila jej talerz jedzenia, pozwalała spać w ogrodzie albo w altanie, kiedy pogoda się psuła. Pod koniec lata Eva zaczęła wynajdywać sporadyczne zajęcia dla Angeli: okna do umycia, dziecięce przyjęcie urodzinowe, na które potrzebowała kelnerki. W międzyczasie Angela przypadkowo trafiła na jeden z wieców religijnych na wyspie Winter. Cal ją wybrał, co nietrudno zrozumieć: jedyna ładna twarz w morzu rozpacz i uzależnień. Od razu oskarżył ją o czary. Modlił się, żeby opuściły ją demony. Pod koniec egzorcyzmów Cal przekonał Angelę oraz całą kongregację, że jej demony są znacznie silniejsze od przeciętnych i potrzeba osobistego poświęcenia oraz specjalnych metod, żeby je wypędzić.

Nikt oprócz Angeli nigdy się nie dowiedział, na czym polegały specjalne metody Cala. Ale z wyjątkiem prawdziwie wierzących kalwinów nikt w Salem ani przez chwilę nie myślał, że Calowi chodzi tylko o zbawienie nieśmiertelnej duszy Angeli.

Nietrudno było przekonać Angelę, że ma grzeszną naturę. Może zadecydowały kwestie wygody. Robiło się zimno i Angela potrzebowała lepszego miejsca do rozkładania śpiwora niż ławka w parku albo ogród Ewy. A może chodziło o coś, co w niej tkwiło. Uciekła od domowej przemocy, tego Rafferty był pewien. Nigdy nie jest trudno przekonać ofiarę, że to w jakimś sensie jej wina, że coś złego w jej naturze wyzwoliło najgorsze instynkty u oprawcy. Cal był mistrzem takiego przekonywania. Przekonywał Emmę Boynton przez lata, pewnie

również swoją córkę. W garniturze od Armaniego i z Biblią w ręku Cal okazał się dostatecznie przekonujący, żeby Angela uwierzyła, że tylko on może ją zbawić.

Tamtego wieczoru, kiedy Cal oskarżył Angelę o uprawianie czarów, padła na kolana i od razu się przyznała.

Po jej przyznaniu się kalwini przedelfilowali z nią przez całe miasto. Nawet w starym Salem przyznanie się czarownicy wymagało publicznej uroczystości. W siedemnastym wieku wieszano tylko te, które nie chciały się przyznać.

Podczas gdy kalwini świętowali zbawienie Angeli, czarownice się wkurzyły. Angela od początku działała im na nerwy, kiedy zebrała przed ich sklepami albo ubierała się na czarno i pozowała do zdjęć z turystami. Nigdy nie twierdziła, że jest czarownicą, ale z pewnością tak się zachowywała. Angela była oportunistką. Czarownice musiały się z tym pogodzić. Jako osoby przedsiębiorcze nie mogły nie zauważyć jej smykałki do interesów. Nawet czasami dawały jej trochę czarów, paczuszkę kadzidła czy darmowy posiłek. Ann pozwalała jej zrywać zioła ze swoich skrzynek okiennych. Osiągnęły stan pokojowej koegzystencji z Angelą, niektóre nawet jej żałowały, ale pozostała dla nich obca. Wikka jest religią jak każda inna i wymaga nauki oraz dopełnienia stosownych rytuałów, żeby zostać wikanką. Chociaż Angela kręciła się koło sklepów, nigdy nie wykazała żadnego zainteresowania samym kultem.

Jak większość ludzi, Angela miała hollywoodzkie wyobrażenia na temat czarownic albo jeszcze gorsze, zaczerpnięte z masowej historii sprzed wieków. W rzeczywistości w starym Salem nie mieszkały żadne czarownice, teraz natomiast prosperują tutaj w wielkiej liczbie. Największa ironia losu, która nie umknęła żadnej z czarownic. Faktem jest, że zawdzięczają

swoje obecne sukcesy ofiarom prześladowań religijnych, które należały do najbardziej przerażających w historii. Trudne dziedzictwo. Toteż kiedy Angela publicznie przyznała się do uprawiania czarów, nerwowy dreszcz wstrząsnął stowarzyszeniem.

– Co chcecie, żebym z tym zrobił? – zapytał Rafferty, kiedy Ann i kilka innych czarownic przyszły do niego na skargę.

– Nie wiem... cokolwiek – powiedziała Ann.

– Pierwsza poprawka do konstytucji – przypomniał jej Rafferty. – Angela może chodzić i rozgłaszać, że jest drugim Mesjaszem, jeśli zechce.

– Obawiam się, że ta rola jest już obsadzona – burknęła Ann.

– I nie możemy powstrzymać wielbnego Cala, nawet jeśli Bóg jest po naszej stronie? – Rafferty nawiązywał do rady kościelnej, która od dwóch lat próbowała znaleźć jakiś sposób, żeby wykurzyć Cala z miasta. – Kalwini postawili sobie za cel, żeby oczyścić Salem z czarownic – dodał.

– Nie rozumiem – powiedziała Ann. – Widocznie czczą jakiegoś słabego, tchórzliwego boga, skoro tak się boją kilku czarownic.

– Prędzej czy później przekroczą granicę i wtedy ich dopadniemy – zapewnił Rafferty.

– Od razu poczułam się bezpieczniej – prychnęła Ann.

Ale Cal zrobił się za sprytny, żeby przekroczyć granicę. Zbliżał się do niej, ale pilnował, żeby jej nie naruszyć.

Kalwini paradowali z Angelą po całym mieście, głosząc, że czarownica została zbawiona. Zabrali ją do Wioski Pionierów i ustawili za ostrokołem. Cal wysłał zdjęcia do „Salem News” i „Boston Globe”. Wydrukował broszury podające stawki

grupowe za egzorcyzmy. Kalwini rozdawali je na skrzyżowaniach.

Kiedy zaczęli wyławiać ze społeczności następne czarownice, rada kościelna zwołała zebranie w trybie pilnym.

– Powtarza się rok tysiąc sześćset dziewięćdziesiąty drugi – oświadczyła Ann.

– Boże, chroń mnie przed twoimi wyznawcami – jęknął doktor Ward.

Miesiąc później ktoś podpalił jeden z domów czarownic. Wszyscy zakładali, że to któryś z kalwinów, chociaż nie potrafili tego udowodnić. Towarzystwo ubezpieczeniowe złożyło pożar na karb zanieczyszczonych przewodów kominowych i wypłaciło odszkodowanie.



Na zimę kalwini przenieśli się na kolejne pole namiotowe gdzieś na Florydzie. Kiedy wrócili, przywieźli z sobą nową przyczepę pełną kobiet. Wyglądały dość groźnie. Pijaczki. Narkomanki. prostytutki uzależnione od metadonu i kokainy. Wszystkie zdeklarowane czarownice. Wszystkie rzekomo zbawione.

Według zeznań Angeli, kiedy po raz pierwszy zwróciła się o pomoc do Ewy, pobiły ją tak ciężko właśnie te nawrócone czarownice, a nie Cal.

– Ukamienowały – poprawiła zeznanie Eva. – One jej nie pobiły, tylko ją ukamienowały.

– Tak ci powiedziała? – Rafferty próbował ukryć zgrozę w głosie.

– Nie. Zobaczyłam to w koronkach.

– Więc Cal tego nie zrobił – mruknął Rafferty. Nie zdołał ukryć rozczarowania.

– Nie daj się nabrać – ostrzegła Eva. – To robota Cala Boyntona, bez dwóch zdań.

– Myślisz, że kazał im to zrobić?

– Myślę, że je do tego zainspirował. A to jeszcze gorzej... W dawnych czasach przynajmniej sam popełniał złe uczynki. W dawnych czasach można było odróżnić, kto jest zły.

Rafferty stał i patrzył na nią. Widział jej ból. Prawie jakby przez chwilę sam potrafił wróżyć. Eva pozwalała mu spojrzeć w siebie.

– Zniszczył twoją rodzinę.

– Tak – przyznała.

– Twoją córkę, Emmę – powiedział Rafferty. – I innych.

– Żadna z nas nie wyszła bez szwanku.

Eva podniosła na niego wzrok. Coś w jej głosie kazało mu zamilknąć. Nie ośmielił się odezwać.

– Czy wierzysz w odkupienie, detektywie Rafferty?

Nie mógł odpowiedzieć. Ponieważ tak naprawdę nie wiedział, czy jeszcze wierzy.

– Musisz się zdecydować – oznajmiła Eva. – I to szybko.

Cal przysięgał, że nie było go w pobliżu, kiedy doszło do pobicia. Później sama Angela to potwierdziła. Kobiety ją skrzywdziły, powiedziała, ponieważ znalazły parę ozdóbek, które dostała od czarownic. I kawałek koronki. Koronki, którą Eva podarowała Angeli parę miesięcy wcześniej. Koronki tego rodzaju, jakie wyrabiały dziewczęta na wyspie. Koronki tego rodzaju, z jakich Eva wróżyła.

Kiedy Angela nie wróciła do obozu, Cal poszedł na policję. Kilku wyznawców śledziło ją do domu Ewy.

– To znaczy, że ją ścigali? – zapytał Rafferty.

Odbierał już telefony w sprawie kalwinów. Wyjechał do

Evy, zanim jeszcze Cal zjawił się na komisariacie. Tłum zbierał się w parku i przed domem Evy.

– Chcę, żeby pan przeszukał dom – zażądał Cal.

– Nie zamierzam przeszukiwać domu. – Rafferty stał na progu, z Calem za plecami. – Jeśli Eva mówi, że Angeli tu nie ma, to nie ma.

– Ona kłamie.

– Nie mam nic do ukrycia – oświadczyła Eva. – Proszę bardzo, niech pan przeszuka dom, detektywie Rafferty. Pan Boynton może wejść z panem, dopóki pan mu towarzyszy.

– Jeśli się nie mylę, to prawne zaproszenie – powiedział Cal i przestąpił próg.

Rafferty zaczął protestować, kiedy Eva odsunęła się, żeby wpuścić Calą.

Eva przytrzymała mu drzwi.

– Wiem, co robię, detektywie – zapewniła. Na mgnienie przeniosła wzrok na koronkową firankę w oknie. – Proszę wejść.

Rafferty wszedł do środka.



Przeszukali dom. Cal poznał każdy kąt w tym domu za czasów swojego małżeństwa z Emmą. Nawet Eva wydawała się zaskoczona, że tak dobrze znał rozkład piętér. Kierował rewizją, prowadził ich z jednego pokoju do drugiego, czasami sprawdzał kilkakrotnie jakieś pomieszczenie. Był bardzo wzburzony. Dwa razy przeszukał piwnicę i po raz trzeci zmierział na taras, kiedy Rafferty wreszcie odwołał poszukiwania.

– Wystarczy – oznajmił. – Jej tu nie ma.

– Nie ma – przyznała Eva. – I bardzo tego żałuję.

- Weszła do tego domu – upierał się Cal.
- Tak... weszła.
- Świadkowie mówią, że stąd nie wyszła.
- Wasi świadkowie powinni zbadać sobie wzrok – odparowała Eva.



Plotka o czarach szybko się rozeszła. Eva sprawiła, że Angela znikła. Kalwini uwierzyli, że Eva posiada magiczną moc. Nawet czarownice były pod wrażeniem.

– Angela weszła do tego domu, ale nigdy stamtąd nie wyszła – powiedziała Ann do Rafferty'ego. – Wiem to na pewno. Nie wiem, jak Eva to zrobiła, ale zrobiła.



Następnego ranka Cal i grupa jego wyznawców zjawili się na komisariacie, żeby wnieść przeciwko Evie oficjalne oskarżenie o czary. Oskarżenie wyglądało bardzo przyzwoicie, wykaligrafowane staroświeckim pismem z zamienionymi literami „s” i „f”, akademicką średniowieczną angielszczyzną. Było to pierwsze w Salem oficjalne oskarżenie o czary od siedemnastego wieku.

Kalwini wysłali kopię aktu oskarżenia do „Salem News”. Gazeta, nie wiedząc, jak to potraktować, wydrukowała tekst w dziale redakcyjnym.

Dopiero doktor Ward wytknął oczywisty plagiat.

– Zobaczcie sami – powiedział pastor. – To czysty Cotton Mather, aż do „planu przewyciężenia diabła w Nowej Anglii”. Jeśli mi nie wierzycie, sami możecie sprawdzić. Pełny opis procesów czarownic jest na wystawie w Peabody Essex.

- Który to rok, które stulecie? – oburzała się Ann Chase.
- Nie rozumiem, dlaczego w ogóle przyjmujemy jego zeznania – zwrócił się szef policji do Rafferty'ego. – Czary to nawet nie jest przestępstwo. W tym mieście to źródło dochodów.
- Po prostu zbieram materiały do sprawy – wyjaśnił Rafferty. – Na przyszłość.
- Przeciwko Evie? – Szef wydawał się zaszokowany.
- Proszę – westchnął Rafferty.



Upłynęły prawie trzy tygodnie, zanim wyszło na jaw, gdzie była Angela.

Wezwała Rafferty'ego przez radio z Wyspy Żółtego Psa.

– Musicie tu przyjechać i mnie zabrać – prosiła natarczywie. – Popęłiłam okropny błąd.

Szef stał Rafferty'emu nad głową, kiedy odebrano wiadomość.

– Nie wiedziałem, że ona tam jest – powiedział Rafferty.

Widział, że szef mu nie uwierzył.

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Co chcesz, żebym zrobił? – zapytał Rafferty.

– Jedź tam i ją zabierz – rozkazał szef.



Rafferty popłynął łodzią policyjną na wyspę. May czekała na przystani z Angellą. Plecak Angeli leżał oparty o rampę.

– Mogłaś mi powiedzieć, że ona tu jest – zwrócił się Rafferty do May.

– Nie moja polityka – odparła May.

– Więc Eva ci pomogła – zwrócił się Rafferty do Angeli.

– Eva dała jej wybór. Angela przyjechała tutaj dobrowolnie.

– A teraz chcę dobrowolnie wyjechać – odezwała się Angela ironicznym tonem.

– To dobrze – stwierdził Rafferty. – Bo jeśli mi powiesz, że wracasz do Cala Boyntona, zostawię cię tutaj.

– Wróci – zapewniła May.

– Wielebny Cal nigdy mnie nie skrzywdził. – Angela odwróciła się do May. – Mówiłam ci, co się stało. Kobiety obrzuciły mnie kamieniami.

– Ukamienowały cię? – Rafferty zdumiał się dokładnością wizji Ewy.

– Wielebny Cal nigdy mnie nie tknął – powtórzyła Angela.

– No, musiał cię dotknąć przynajmniej raz – zauważyła May.

Angela poczerwieniała.

– Ona jest w ciąży – wyjaśniła May.

– Czy to prawda? – Rafferty przyjrzał się dziewczynie. Nic nie było widać. Na razie.

Angela zaczęła płakać.

– Dlatego wyjeżdżam – zachlipała. – Zwierzyłam ci się w tajemnicy. Nie powinnaś nikomu mówić.

– Nie dotrzymuję tajemnic, które mogą ci zagrozić.

– Mówiłam ci, to nie on mnie skrzywdził.

– Nie mówię o biciu. Mówię o napastowaniu seksualnym.

Angela wyglądała na wstrząśniętą.

– On mnie nie napastował.

– Jasne.

Angela ciągnęła wyjaśnienia. Cal zawsze był dla niej dobry. Gadała i gadała. Mówiła o oskarżeniu o czary, o diabelskich

znamionach. I jak Cal Boynton ocalił ją przed ogniem piekielnym. Miała szczęście, że została wybrana. Miała szczęście, że została zbawiona.

Rafferty patrzył, jak May rezygnuje z Angeli.

– Przyjechała za wcześnie – powiedziała mu potem May.

Widywała już takie przypadki. – Nigdy im się nie udaje, jeśli tu przyjeżdżają, zanim są gotowe.

Rafferty widział, ile to kosztowało May. Przyzwyczaiła się, że dziewczęta wracają. Ale nie lubiła tracić jednej z nich. Zwłaszcza na rzecz człowieka, który zaczął to wszystko, człowieka, który zniszczył jej rodzinę.

Rafferty podwiózł Angelę do miasta, ale zgodnie z zapowiedzią nie chciał jej zawieźć do kalwinów.

– Nie powinnaś tutaj zostawać – powiedział. – Nie masz gdzieś przyjaciół?

Miał dość rozumu, żeby nie wspominać o jej rodzinie.

Powinna wnieść oskarżenie, pouczył ją. Jeśli nie przeciwko Calowi, to przynajmniej przeciwko kobietom, które ją pobiły. Powiedziała, że się zastanowi.

Wydzwaniał wszędzie i szukał dla niej pokoju. Ale pod koniec października nigdzie nie było miejsca.

Zadzwoił do Roberty i wyjaśnił sytuację. Powiedział, że Angela jest w ciąży. Wiedział, że Roberta szukała współlokatorki, żeby podzielić się kosztami czynszu. Obiecał, że pokryje opłatę za pierwszy miesiąc, dopóki Angela nie znajdzie jakiejś pracy.

– Dlaczego to robisz? – zapytała podejrzliwie Roberta. – To nie twoje dziecko, co?

– Bardzo śmieszne – burknął Rafferty.

To nie trwało nawet miesiąca. Pod koniec pierwszego tygodnia Angela wróciła do kalwinów. Tym razem nie do namiotu

kobiet, tylko do maleńkiej przyczepy Airstream, zaparkowanej dogodnie obok domu na kółkach Cala.

Rafferty wiedział, że to tylko kwestia czasu, zanim ciąża stanie się widoczna. Nie miał pojęcia, czy Angela poinformowała o niej Cala. Jeśli kalwini nie zamierzali ogłosić niepokalanego poczęcia, Angela wkrótce stanie się dla nich bardzo niewygodna. A zwłaszcza dla ich przywódcy, który zbił małą fortunę, głosząc własny zestaw przykazań, w którym drugie miejsce zajmował celibat.

Nie zdarza się, żeby dwie Wróżące zobaczyły w koronkach ten sam obraz. To, co widzimy, zależy całkowicie od perspektywy.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 17

Rafferty'ego zaczynały piec oczy. Przekartkował pozostałe dokumenty. Akta Cala były cieńsze niż Ewy i starsze. Pochodziły z lat siedemdziesiątych i opisywały każde zgłoszone pobicie Emmy Boynton, w większości niepotwierdzone albo całkowicie przez nią zdementowane. Aż do złamanej szczęki. Przesłuchiwana w szpitalu, Emma nie chciała nic powiedzieć o mężu. Tylko że spadła ze schodów. Na nalegania May lekarz z ostrego dyżuru wezwał policję. W dzisiejszych czasach to rutyna. Wszędzie wiszą plakaty HAWC i opieki stanowej. Dzisiaj na każdym kroku podejrzewa się przemoc domową. Złamiesz sobie paznokieć i zabierają cię do pokoju z doradcą rodzinnym. Wielu współpracowników Rafferty'ego uważało, że to przesada. On tak nie myślał. Pamiętał dawne czasy. Kiedy wszyscy odwracali wzrok, dopóki nie nadeszła śmierć.

Pod pewnymi względami poglądy Rafferty'ego wcale nie różniły się tak bardzo od poglądów May, chociaż ona nigdy by w to nie uwierzyła. Uważała go za wroga. I rzeczywiście zazwyczaj znajdowali się po przeciwnych stronach prawa.

Rafferty uprzedził ją przez radio, że wybiera się na Wyspę Żółtego Psa. I dlaczego. Wepchnął akta do starego żeglarskiego worka razem z kurtką i resztką kawy w termosie. Wyszedł tylnymi drzwiami i zszedł po stopniach. Zostawił radiowóz. O tej porze roku nawet gliniarzowi trudno było znaleźć miejsce do zaparkowania nad zatoką.

Postanowił iść piechotą. Potrzebował powietrza. Po prawdzie potrzebował wszelkiego możliwego wsparcia. Zwłaszcza jeśli zamierzał przechytryć May Whitney.



May czekała na niego w doku. Bardziej rozgniewana niż zaniepokojona. To nie jest odpowiedni dzień na wizytę, poinformowała go po raz drugi.

– Trudno – odparł.

Wyraźnie wkurzona, odwróciła się i ruszyła w górę po rampie.

– Możesz współpracować – rzucił za nią – albo zdobędę nakaz.

Zatrzymała się i odwróciła do niego przodem.

– Mówiłam ci, Angeli Rickey tutaj nie ma.

– Kiedy ostatnio ją widziałas?

– Powinieneś wiedzieć. Byłeś przy tym.

– I nie próbowała się z tobą kontaktować?

– Nie.

– A gdyby próbowała, tobyś mi powiedziała?

– Właśnie – potwierdziła May.

– Tak jak ostatnim razem?

– Bez komentarza.

– Pozwolisz, że się rozejrzę?

– Mówiłam ci, to nieodpowiedni dzień. – May traciła cierpliwość.

- Muszę się rozejrzeć.
 - Gdybym chciała ukryć Angelę Rickey na tej wyspie, nigdy byś jej nie znalazł.
 - I nie wywoziłaś jej? – podsunął Rafferty.
 - Co?
 - Wczoraj wieczorem próbowałaś kogoś wywieźć. Widziałem twój sygnał.
 - O czym ty mówisz? – Przybrała odpowiednio zniecierpliwiony ton głosu, ale trochę przesadziła z modulacją.
 - Dwa, jeśli morzem – powiedział. – Widziałem twoje światła.
 - Nie rozumiem.
 - Jeśli nie chcesz, żeby cały świat wiedział, co tu robicie, wymyśl lepszy sygnał. Przy odrobinie czasu i chęci byle uczeń to rozszyfruje.
 - Nie wiem, o czym pan mówi, detektywie Rafferty.
 - Czy to była Angela Rickey?
 - Nie wiem, o czym mówisz, ale zapewniam cię, że nikogo nie wywoziłyśmy.
 - Wiem, że nie wywoziłyście. Wiem, bo twój przewoźnik zalał się w trupa w swojej łodzi przy nabrzeżu Derby.
- May wytrzeszczyła na niego oczy.
- Chyba ci odbiło.
 - Wdał się w pijacką bójkę z powodu obraźliwej uwagi o Towner.
- To ją poruszyło.
- Nic jej nie jest? – zapytała ze szczerym przejęciem.
 - Nic – odparł. – Ale Jack LaLibertie jest jak odbezpieczona broń. To tylko kwestia czasu, zanim zrobi coś naprawdę głupiego, a wtedy wszyscy się dowiedzą, co tu robicie.
- May wpatrywała się w niego.

– Więc zapytam jeszcze raz: czy to Angelę Rickey próbo-
wałaś wywieźć wczoraj w nocy?

– Nie – odpowiedziała May.

– Wybacz, jeśli nie uwierzę ci na słowo.

Na szczycie rampy zebrało się kilka zaniepokojonych ko-
biet.

– Wszystko w porządku?! – krzyknęła jedna z nich.

– W porządku! – odkrzyknęła May.

Nie wyglądały na przekonane. Stały i patrzyły na policyjną
łodź.

– Chodź ze mną – rozkazała May.

Ruszyła w górę rampy. Rafferty poszedł za nią. Na szczycie
pomostu skręciła w lewo i pomaszerowała na drugi koniec wy-
spy, obok domu Boyntona, teraz zabitego deskami. Przecięli
boisko do baseballu i w milczeniu podeszli do kamiennej
psiarni.

– Uwaga na królicze nory, detektywie – ostrzegła May,
kiedy zbliżali się do starego budynku. – Łatwo można złamać
nogę.

Rafferty ze zwiększoną ostrożnością stąpał po ścieżce. May,
podobnie jak jej ciotka Eva, posiadała nadnaturalne moce, cho-
ciaż niechętnie się do tego przyznawała. „Uwaga na królicze
nory” mogło oznaczać przestrożę przed futrzastymi stworzon-
kami i skręconymi kostkami. Ale gdyby Eva żyła, nazwałaby
to lepiej. May właśnie oddała przysłowiowy strzał ostrzegaw-
czy.



Rafferty ogarnął szczegóły: kamienna psiarnia z niebieskimi
drzwiami, na zewnątrz turystyczny stolik, przy którym siedzi
dwoje dzieci. Kobieta o zmartwionej twarzy, widocznie ich

matka, podniosła wzrok.

– Przedstawię cię jako przyjaciela – zapowiedziała May. – Nie jako gliniarza. Myślisz, że dasz sobie radę?

– Zrobię, co mogę.

– Lepiej się postaraj – burknęła May. – Ona już dość wycierpiała.

Sam widział.

– To jest mój przyjaciel, John Rafferty – powiedziała May do kobiety. – John, to jest Mary Segee.

Rafferty czekał. Kobieta kiwnęła głową, ale nie podała mu ręki. Widział blizny na jej nadgarstku. Ślady po przypalaniu papierosem. Skrzywiony i złamany nos. Zauważyła jego spojrzenie. Odwrócił wzrok. Spakowane bagaże. Stara walizka w rogu. Przeniósł uwagę na dwoje dzieci.

– A ty kim możesz być? – zagadnął, wyciągając rękę do dziewczynki.

– Mogę być Rebeka – odpowiedziała.

– Może być, ale nie jest – sprostowała May. – Ma na imię Susan.

Dziewczynka się opamiętała. Przez krótką chwilę wydawała się przestraszona.

– Bawiliśmy się w taką grę – oznajmiła. – To mój brat Timothy.

Chłopczyk nie podniósł głowy.

– Miło was poznać – powiedział Rafferty.

Teraz chłopiec podniósł wzrok, spojrzął na matkę i znowu spuścił oczy.

– Wybieracie się w podróż? – zapytał Rafferty.

– Jedziemy do Kanady – wygadała się dziewczynka, zanim matka zdążyła ją powstrzymać.

– Kanada jest piękna o tej porze roku – zauważył Rafferty.

- Będę miał własny rower – pochwalił się chłopiec.
- To wspaniale – przyznał Rafferty. – Fantastycznie.
- Pan Rafferty musi już iść – wtrąciła May. – Chciał tylko się przywitać.

- Pan nie płynie do Kanady? – zapytała dziewczynka, spoglądając na jego łódź.

- Niestety, tylko do miasta – odparł Rafferty i ponownie uściśnął jej dłoń. – Bawcie się tam dobrze, okay?

- Okay – powiedziała dziewczynka.

Rafferty poszedł za May do doku. Cieszył się z kolein na drodze. Cieszył się z milczenia. Trawa zbita w splątany gąszcz. Mewy nad głową. Przy boisku baseballowym kilkoro dzieci zaczęło grać w piłkę z paroma kobietami. Inne pracowały w ogrodzie. Krowa pasła się na drugim końcu pola. Kilka krów. I trochę owiec. I psy. Wszędzie psy. Patrzył, jak jeden z nich doścignął i zabił królika. Przemoc, ale nie osobista, niepodobna do przemocy, która dotknęła ludzkich mieszkańców Wyspy Żółtego Psa.

Zatrzymali się na szczycie doku.

- Zadowolony? – zapytała May.

- Tak.

- Tak naprawdę wcale nie myślałeś, że ona tu wróciła, co?

- Nie – przyznał.

- Myślisz, że on ją zabił?

- Nie wiem, co myśleć.

- Myślisz, że zabił Evę?

Nie odpowiedział.

- Wszyscy tak myślą.

- To dobrze – odparł Rafferty.

Zadając pytanie, Wróżąca musi być pewna, że Szukająca jest gotowa poznać odpowiedź.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 18

Przez całe popołudnie Rafferty walczył z bólem głowy. Wstąpił do starego chińskiego akupunkturzysty przy dokach i pozwolił sobie wbić kilka igieł, ale potem dostał wezwanie i musiał przerwać sesję. Nie zdawał sobie sprawy, że to migrena, dopóki nie przyprowadził łodzi.

Spóźnił się. No cóż, nic nowego.

Czekała na niego na nabrzeżu. Słońce właśnie zaszło za budynkiem Urzędu Celnego i rozświetliło niebo za nią wszystkimi odcieniami barw, intensyfikując aurę, która zawisła nad miastem i rozciągnęła się ponad zatoką hen, na otwarty ocean, aż niebo i woda zlały się w jedno, przecięte tylko pionową sylwetką Towner, otoczoną przez świetlistą aureolę.

Powiedzieć, że wyglądała zjawiskowo, znaczyłoby oddać jej sprawiedliwość, chociaż nie w zwykłym sensie. Eteryczna poświata, tak, ale to efekt zachodu słońca oraz migreny, która wywoływała krótkie spięcia w jego komórkach mózgowych.

Kiedy łódź minęła ją i skierowała się do doku, poświata została z tyłu. Teraz musiał wytężyć wzrok, żeby ją zobaczyć.

W półmroku jego policyjny umysł wypełniał luki obrazu. Obcięte dzinsy, bosc stopy. Ten sam podkoszulek, w którym ją widział u Reda. Stary sweter Evy zarzucony na ramiona i spięty cienkim łańcuszkiem.

- Już myślałam, że mnie wystawiłeś – powiedziała.
- Przepraszam. – Podpłynął do brzegu.

Początki migreny wywierały na Rafferty'ego dziwny wpływ. Dźwięki budziły echa. Bawełniana koszula drapała skórę jak papier ścierny. Zdawało mu się, że nic nie widzi i jednocześnie widzi wszystko. Zupełnie nie mógł skupić wzroku na jej twarzy, ale widział ślady opalenizny, którą dzisiaj złapała w ogrodzie, żałobę pod paznokciami, skąd nie zdołała do końca usunąć ogrodowej ziemi.

Coś kazało mu wracać do domu. Odwołać randkę. Ostatecznie to on ją namówił, ona wcale tego nie chciała.

Znalazła się w łodzi, zanim zdążył się odezwać. Od doku wciąż dzieliło go kilka stóp. Planował idealne lądowanie, może trochę się popisywał. Spodziewał się, że ona chwyci burtę łodzi, zamiast tego wskoczyła do środka. Przyjęła jego wyciągniętą rękę, ale wycelowała perfekcyjnie i nie potrzebowała pomocy. Oto kobieta, która czuje się swobodnie na morzu. Chyba tylko na morzu, pomyślał. No, u niej to wrodzone, prawda? Wyrzucił z głowy tę myśl, gdy tylko się pojawiła. Przynajmniej dzisiaj wieczorem nie chciał myśleć o jej rodzinie.

– Stodziesiątka – powiedziała, podziwiając łódź. Starą, drewnianą. Pomalowaną na brązowo. Ze zwężonymi końcami wyglądała jak czekoladowe cygaro. – Moja pierwsza łódka to była stodziesiątka.

- Żartujesz – powiedział.

Zorientował się, że płyną już w stronę otwartego oceanu, coraz dalej od portowych świateł. To się samo stało. Przepadła szansa, żeby się wycofać.

– Ścigałaś się na niej?

Rafferty skojarzył, że zna już odpowiedź. Widział fotografię Towner jako dziecka, uczestniczki wyścigu w jachtklubie Pleon w Marblehead. Fotografia wisiała na ścianie w domu Evy.

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała.

– Nie – powiedziała w końcu. – Nigdy się nie ścigałam.

Zamurowało go.

Luki, tak to określiła Eva. Towner ma luki w pamięci. Niezbyt się tym przejął. Kto nie miał luk? W programie nazywali je zaćmieniami. Bardziej mu się podobało słowo Evy.

Dzisiaj wzrok mu się ćmił, przed oczami pojawiały się coraz większe luki i puste miejsca. Blask zniknął, ale niebo podzieliło się zbyt wyraźnie. Zbyt ostro. Przez chwilę jak nóż wrzynało się w jego pole widzenia, przecinało je niemal idealnie na pół, zanim ostrze wbiło się w jego czaszkę. Tym razem nie uniknie bólu głowy. Czasami się udawało. Ale teraz ból nadchodził. Napiął mocniej żagiel, musiał zwiększyć szybkość, żeby powstrzymać mdłości.

– Nie przeszkadza ci, jeśli przez chwilę nie będziemy rozmawiali? – zapytał ją.

Chyba przyjęła tę propozycję z ulgą. Usiadła na dziobie, trzymając się burt, odwrócona do niego plecami. Patrzyła przed siebie, na północ, w stronę czarnego oceanu, nigdy za siebie, skąd wyruszyli.

Inna kobieta mogłaby się złościć. Że nie rozmawiają. Ale jej to widocznie odpowiadało.

Wpadli w rytm. Wiatr. Fale. Było w tym coś hipnotycznego, pęd powietrza ułatwiał oddychanie.

Wiedział, że ona też to czuje. Ta randka już udała się lepiej niż tamta z poprzedniego wieczoru. Lepiej, kiedy nie próbowali rozmawiać.



Gdzieś za Manchesterem zupełnie stracił wzrok. Częściowo z powodu ciemności. Najpierw myślał, że zbczyli z kursu, wypłynęli na morze znacznie dalej. Ale potem usłyszał mewy i wiedział, że ląd jest blisko. Nigdy jeszcze nie zaniewidział tak kompletnie. Zwykle ślepił tylko na jedno oko i nie mógł dojrzeć niczego bezpośrednio przed sobą, musiał patrzeć obok przedmiotu, który chciał zobaczyć.

Nie wiedział, czy to ciemność, czy migrena. Wiedział tylko, że nic nie widzi. Poza fażą, pomyślał. Zwykle najpierw występowały zaburzenia wzroku. Teraz też pojawiły się pierwsze. Potem ustąpiły, kiedy zaczął się ból głowy. Ale wróciły. Najgorsze, jakich doświadczył.

– Nic ci nie jest? – usłyszał jej głos.

– Migrena – odpowiedział. – Nic nie widzę. Musisz przejąć ster.

Schylił się nisko, kiedy zamieniali się miejscami. Kręciło mu się w głowie.

– Chcesz wracać? – zapytała.

– Tak.

Dwadzieścia minut, pomyślał. Dwadzieścia minut do pół godziny. Tak długo trwają zaburzenia wzroku. Zmierzy czas. Jeśli potrwają dłużej, pomyśli, że to coś gorszego. Na przykład zawał.

Siedział naprzeciwko niej, wparty plecami w dziób łodzi.

- Często miewasz migreny? – zapytała.
- Tak.

Swobodnie kierowała łodzią. Płynęli teraz pod wiatr, ale miała wprawę. Nie rozwijali takiej szybkości jak poprzednio, ale utrzymywali dobre tempo.

- Bierzesz coś na to? – zapytała.
- Czasami.

Przyłapał się na liczeniu. Pomyślał, że to niemądre. Gdzieś na wysokości Beverly opuścił ręce. Ustępowało. Widział światła na brzegu – fragmentaryczne i rozmazane, ale zawsze. Zmusił się, żeby oddychać.

– Niewiele spałem zeszłej nocy – wyjaśnił, kiedy znowu mógł mówić. – I piłem za dużo kawy.

Powiedział to zarówno do niej, jak i do siebie. Jego głos brzmiał głupio. Żałował, że się odezwał.

Zanim dotarli do Salem, wzrok mu powrócił. Ból umiejscowił się głównie z prawej strony.

- Lepiej ci – stwierdziła.

Nie rozumiał, skąd wiedziała. Prawie się nie ruszał.

- Aha – potwierdził. Pochylił się do przodu, potarł kark.
- Chcesz ją wprowadzić?

– Nie. Płyn do Shetland Park. Tam jest miejsce do cumowania.

Kiwnęła głową.

Siedział na rufie i patrzył, jak manewrowała. W zatoce było pełno łodzi. Wymijała je slalomem jak narciarz, dostatecznie pewna siebie, żeby ścinać zakręty.

- Żeglujesz w Kalifornii? – zapytał.
- Ani razu mi się nie zdarzyło – przyznała.

Widział, że sama się zdziwiła. Jakie łatwe i znajome to się wydawało.

– Jak jazda na rowerze – powiedział, a ona się uśmiechnęła.

Patrzył prosto przed siebie. Mogłaby się poczuć skrępowana, gdyby wiedziała, że odzyskał wzrok, ale nie wiedziała. Patrzył, jak manewruje. Obserwował grę mięśni na jej ramionach.

Stwierdził, że nigdy jeszcze nie miał tak wyczulonych zmysłów. Czuł zapach powietrza. Zapach cytrusów dochodzący od niej. Ze swetra Evy. Jej włosy płynęły swobodnie na wietrze. W nich jakieś rzeczy. Kształty. Muszelka, konik morski. Migrenowe wizje. Fosforyzujący ślad ciągnął się za łodzią, wyznaczał ich kurs.

– W którym miejscu cumujesz? – zapytała, kiedy podплыnęli bliżej.

– Tam – odpowiedział.

Zaczął wstawać. Zorientował się, że to podchwytliwe pytanie. Wiedziała, że ją obserwował. Pewnie wiedziała przez cały czas.

Chwyciła cumę za jednym podejściem.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

– Dziękuję, że nas przywiozłaś z powrotem – powiedział wreszcie.

– Drobiazg.

Nie miał pojęcia, co jeszcze powiedzieć. Sięgnął do klaksonu i zatrąbił trzy razy, żeby wezwać motorówkę.

Siedzieli przez następną chwilę, żadne się nie odzywało. Potem usłyszał warkot zbliżającej się motorówki.

– Jak twoja głowa? – zapytała.

– Boli jak skurwysyn. – Próbował się zaśmiać.

– Biedactwo.

Nie wiedział, czy naprawdę go żałuje, czy robi sobie z niego żarty.

– Możesz prowadzić? – zapytała, kiedy otworzył przed nią drzwi po stronie pasażera.

– Mogę – zapewnił.



Odwiózł ją do domu i odprowadził do drzwi.

– Zaprosiłabym cię, ale...

Rafferty podniósł rękę.

– Muszę wracać do domu – powiedział i przyłożył rękę do czoła.

Kiwnęła głową.

– Mam nadzieję, że czujesz się lepiej.

– Dwadzieścia cztery godziny – odparł. – Albo dobrze przespana noc. Jedno z dwóch.

Zaczął schodzić po stopniach. W połowie drogi zawrócił.

– Muszę cię prosić, żebyś zamknęła drzwi na klucz – powiedział.

– Co?

Stał za blisko. Kręciło mu się w głowie, kiedy próbował na nią patrzeć z takiej odległości. I trochę się go bała, widział to. Zszedł o jeden stopień.

– Cał spróbuje się z tobą zobaczyć. Wkrótce. Nie chcę cię straszyć. Po prostu radzę, żebyś zamykała drzwi na klucz.

– Okay – powiedziała. Głos jej się trochę załamał.

– Nie chcę cię straszyć – powtórzył.

– Okay.

Czekał na stopniu, dopóki nie weszła do środka. Czekał, aż usłyszał szcęk zamka.

Zastanawiał się, czy zostało mu trochę imitrexu. Zapowiedała się ciężka noc.

To ważne, żeby zadać koronce właściwe pytanie. To chyba najważniejszy obowiązek Wróżącej.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 19

Opieram się o drzwi, żeby nie stracić równowagi, czekam, aż opadnie fala adrenaliny. Rafferty nie chciał mnie przestraszyć, ale przestraszył. Wiem, że ma rację. Cal spróbuje się ze mną zobaczyć. Widziałam to we śnie milion razy. Moje nocne koszmary. Wiem, jak to się stanie. Ta scena rozgrywała się we mnie tyle razy, że znam ją niemal na pamięć.

Wprawdzie już nie świruję z tego powodu, przynajmniej w dzień, ale to dla mnie złe miejsce.

Wcale nie jestem rozczarowana, że nasz wieczór wcześniej się skończył. Chociaż żałuję, że Rafferty'ego rozbolała głowa, sama też nie czuję się najlepiej. Nie potrafię określić, czy to fizyczne, czy psychologiczne. Notuję w pamięci, żeby zadzwonić do chirurga w LA i poprosić o załatwienie mi jakiejś pooperacyjnej wizyty kontrolnej u kogoś w Bostonie.

Dopiero po kilku minutach spostrzegam, że zostawiłam sweter Evy w samochodzie Rafferty'ego. Słyszę warkot silnika, kiedy zbiegam po schodach. Zanim zatrzymuję się na ceglany chodniku, radiowóz skręca za róg.

Wchodzę z powrotem po stopniach i sięgam do klamki przy frontowych drzwiach. Przekręca się, ale nie zaskakuje. Drzwi są zamknięte na klucz. Widzę klucz na stoliku w holu, gdzie go rzuciłam.

Mogę się włamać. Zamek łatwo otworzyć. Potrzebuję tylko spinki do włosów albo kawałka drutu. Rozglądam się po ganuku, szukam czegokolwiek. Ale jest za ciemno, bezksiężycowa noc, ganek osłonięty treliązem i obrośnięty bluszczem. Jestem zbyt zmęczona, żeby długo szukać. Jeśli znowu muszę się włamywać, powinnam skorzystać z okna od tyłu, które już rozbiłam. Po co dodawać następną naprawę okna do listy pośredniczek?

Żelazna ogrodowa brama otwiera się ze skrzypieniem. Zamykam ją za sobą i wchodzę do francuskiego ogrodu. Pod moimi stopami chrzęszczą kamyki i odłamki muszelek na ścieżce prowadzącej do tylnych drzwi.

W połowie drogi wyczuwam jego obecność. Spada na mnie jak kot wskakujący do kołyski. Jest gęsta i ciężka, odbiera mi dech.

Odwracam się.

Mężczyzna siedzi bez ruchu na ławce. Zgarbiony. Oświetlony blaskiem ulicznych latarni padającym zza żelaznych prętów ogrodzenia. Tylko oczy się poruszają. Czuję na sobie jego spojrzenie.

Nogi mam ciężkie jak w sennym koszmarze. Utknęłam.

Wraca do mnie ostrzeżenie Rafferty'ego: „On spróbuje się z tobą zobaczyć”.

Słyszę jego oddech.

Nie mogę się ruszyć.

Zamykam oczy i próbuję wezwać psy. W koszmarze albo halucynacjach, jak to uparcie nazywali lekarze, pojawiały się

psy. Ale mój koszmar rozgrywał się na Wyspie Żółtego Psa, nie w ogrodzie Ewy. Tutaj psy nie przybiegną mi na pomoc.

Po raz pierwszy w życiu mam nadzieję, że to halucynacje. Zamykam oczy. Kiedy je otworzę, on zniknie.

Powoli, bardzo powoli rozchyłam powieki. On ciągle tam siedzi. To rzeczywistość.

– Czego chcesz? – próbuję warknąć.

Jego oczy przepalają mnie na wylot. Byłam już tutaj.

– Odejdź. – Warknięcie mi nie wychodzi, mój głos jest cienki, blaszany. Już przegrałam.

Świat się zatrzymuje. Trwamy w zawieszeniu. Doznaję szoku, kiedy wreszcie słyszę jego głos.

– Sophya – mówi niemal szeptem.

Wypluwam na powierzchnię. Wynurzam się z czarnej otchłani. Znowu mogę oddychać.

– Jack – odpowiadam.

Wzrok mi się poprawia albo przyzwyczajają do ciemności i widzę go po raz pierwszy. Moja młodzięcza miłość. W środku, kilka minut później, w jaskrawym elektrycznym świetle zobaczę na nim upływ czasu. Gniew. Zdradę. Ale tutaj, oświetlony tylko księżycem i gwiazdami, on znowu ma osiemnaście lat.

Początkująca Wróżąca musi oprzeć się pokusie interpretowania dostrzeżonych obrazów. Te obrazy należą tylko do Szukającej.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 20

Budzę się w łodzi na morzu. Płynę po otwartym oceanie, żadnego lądu w zasięgu wzroku. Skórę mam popękaną od słońca. Język spuchnięty z odwodnienia. Umieram.

Próbuję uporządkować myśli. Byłam już tutaj, przynajmniej we śnie.

Zmuszam się, żeby usiąść.

Co jest rzeczywiste?

Zmuszam się do jasnego myślenia.

Co jest rzeczywiste?

Jestem w pokoju. W pokoju Evy. Patrzę w górę przez koronkę baldachimu. Szarpnięciem odwracam głowę i wizja gaśnie, zostawiając ślady na ścianach.

Co jest rzeczywiste?

Łóżko Evy stoi na samym środku pokoju, statek płynący po otwartym oceanie. Cztery rzeźbione słupki wznoszą się niczym iglice miniaturowej katedry. Mahoń przywieziono z powrotem jako balast na jednym ze statków Whitneyów, który kursował na Madagaskar. Następnie wyrzeźbił go cieśla okrętowy z

Salem, który miał większe ambicje artystyczne niż stolarskie. Wezgłowie jest z grubsza wyciosane, ale słupki skręcają się i wiją w idealnej symetrii aż do wydętego baldachimu, który Eva zrobiła z koronek klockowych, wiązanych przez lata, a potem pozszywanych w jakiś zwariowany koronkowy patchwork. Łoże wygląda niemal jak katedra albo statek pod żaglami, bardziej jak to drugie, ponieważ wyraźnie się porusza, żagiel baldachimu faluje, rozpięty na czterech masztach.

Uświadamiam sobie, że patrzę na wskroś przez baldachim. Obrazy, które widzę, są ukryte w koronkach. Odwracam wzrok.

Głowa mnie boli. Nie tylko głowa. Każdy mięsień w moim ciele boli. Jeśli to kac, to fatalny. Nie piję. Przynajmniej do zeszłego wieczoru.

Wykończyliśmy butelkę, a potem następną z piwnicy Evy, zanim zdobył się na odwagę, żeby powiedzieć to, z czym przyszedł.

- Jestem martwy – powiedział.
- Nie – zaprzeczyłam, myląc jego gniew z rozpaczą.
- To nie Cala zabiłaś – oświadczył, przepalając mnie wzrokiem – tylko mnie.



Trafiłam do szpitala psychiatrycznego McLean, bo myślałam, że zabiłam Cala. To była halucynacja. Fantazje o spełnianiu życzeń, jak to nazwali lekarze. Zobaczyć Cala Boyntona rozszarpanego przez psy. Ale Cal wciąż jest jak najbardziej żywy. Chciałam zabić Cala za to, co zrobił mojej siostrze i ciotce, ale spuściłam. W rezultacie trafiłam w Jacka.



Kiedy byłam w McLean, Jack odwiedzał mnie prawie codziennie. Przyjeżdżał ciężarówką ojca, wyładowaną pułapkami na homary. Parkował na tyłach, z dala od innych, bardziej eleganckich samochodów.

Kiedy rozpoczęli terapię wstrząsową, zaczęłam tracić pamięć.

– Ona może pana nie poznać – ostrzegli go lekarze. – Czasami pamięć krótkotrwała przejściowo zanika.

Czekał, żebym o niego zapytała. Nastąpiły chłody. Ale on wciąż czekał.

Szedł pod wiatr, z postawionym kołnierzem i spuszczoną głową, ciasno owinięty płaszczem. Patrzyłam, jak wchodzi pomiędzy drzewa.

Przychodził codziennie, aż do pierwszego śniegu. Aż do nocy, kiedy jego ojciec się zalał i skasował ciężarówkę na łacie czarnego lodu.

– On więcej nie przyjdzie – oznajmiła Eva.

Odwróciłam głowę do ściany i patrzyłam na drzewa. Przez całe tygodnie. Patrzyłam, jak liście wreszcie opadły i odsłoniły koronkę czarnych gałęzi. Szukałam Jacka w koronkowych wzorach. Nie znalazłam. Szukałam też Lyndley, ale jej nigdzie nie było. Na jednym drzewie został samotny liść, uczepiony samego końca gałęzi, i obserwowałam również ten liść, dopóki pewnego ranka nie zbudziłam się i nie stwierdziłam, że rozluźnił chwyt. Podeszłam do okna i spojrzałam w dół, myśląc, że rozpoznam ten liść w stosie innych, skoro tak długo na niego patrzyłam, że poznam go wszędzie. Ale teraz wyglądał jak każdy inny liść. Brązowy, umierający. Wkrótce przyjdą i spalą go razem z innymi.

Potem widziałam Jacka jeszcze tylko raz. Prawie rok później. W dniu, kiedy wyjeżdżałam na UCLA. Wypuścili mnie

z McLean tylko dlatego, że miałam plan. Wysłałam na UCLA swoje opowiadania i przyjęli mnie na kurs pisarstwa. Wszyscy chyba się zgadzali, że to dobry pomysł. Wszyscy oprócz Ewy.

Stałam w whalerze, kiedy Beezer odbijał od brzegu. Łódź Jacka właśnie przybijała, kiedy wypływaliśmy. Oboje staliśmy, kiedy nasze łódki się mijały. Jack próbował czytać w mojej twarzy, szukał jakichś oznak, że go rozpoznaję. Odwzajemniłam jego spojrzenie, starając się zachować obojętną minę. Wstrzymałam oddech.

Naprawdę myślałam, że go oszukałam. Aż do wczorajszego wieczoru.



Głowa mnie boli. Baldachim faluje i wiruje. Odwracam się od niego, przekręcam się na łóżku. Od tego ruchu wywraca mi się żołądek. Zaraz zwymiotuję.

Podnoszę się, przytrzymując się słupka. Poruszam się powoli, chwytając się mebli, żeby nie stracić równowagi. Wlokę się do starej marmurowej umywalki w kącie. Odkręcam kran i czekam, aż polecą zimna woda. Opłukuję twarz, potem nalewam szklankę i zmuszam się, żeby wypić do dna. Następnie wymiotuję.

Pot ze mnie spływa.

Potrzebuję powietrza.

Podchodzę do okna i przesuwam w górę dolną połowę, ale jest za ciężka, zerwany sznur dynda obok ramy. Szukam czegoś, żeby podeprzeć okno, znajduję starą linijkę. Przechodzę przez pokój, żeby otworzyć drugie okno naprzeciwko. Trzyma się przez chwilę, potem opada z hukiem, o mało nie przytrąska mi palców. Uderza mocno w ramę, dwie szyby pękają

niemal symetrycznie na pół. Rozbudzam się gwałtownie.

Ostrożnie podchodzę do kolejnych okien, otwieram wszystkie. Gorąca bryza wypełnia pokój, przynosząc hałas ulicy.

Zasłony wydymają się i łopoczą jak stare żagle, koronkowy baldachim faluje i turkocze w przeciągu. Ten dźwięk przyciąga moją uwagę. Czuję powiew słonego powietrza i nagle pokój wypełniają żaglowce. Cofam się w czasie do Salem z epoki handlu z Chinami. Ogromne statki powoli, jeden za drugim płyną po zatoce. Kupcy na ulicach sprzedają przyprawy miejscowym gospodyniom. Kobiety walczą o nie i płacą fortunę za szczyptę pieprzu, którą zabiorą do domu i będą trzymały zamkniętą na klucz w ozdobnej szkatułce, żeby prawie nikomu jej nie podawać.

Przysuwam się do krawędzi łóżka. Sięgam do nisko zwisającego brzegu baldachimu, ściągam go w dół. Wpycham go pod łóżko. W głowie mi się kręci jak na karuzeli. Przewracam się na bok i przykładam rękę do wezgiłowia, żeby unieruchomić pokój. Czekam na sen.



Po raz drugi budzę się w południe. Boli mnie żołądek.

Wyobrażam sobie, jak Eva pyta: „Kiedy jadłaś ostatni raz?”. Miałaby rację. Ten ból to głód.

Wstaję. Myślę, że powinnam zejść na dół na przypaloną grzanekę i herbatę. Kurację Evy na prawie wszystko.

Słyszę dźwięk. Głos.

Początkowo myślę, że to Eva, ale potem rozpoznaję nosowy głos pośredniczki nieruchomości.

Uprowadzała mnie, że zamierza pokazać dom klientom, ale

zupełnie o tym zapomniałam. Nie mówiła, że nie powinnam wtedy być obecna. Po prostu założyła, że znam zasady etykiety.

Wchodzą po schodach. Słyszę, jak pośredniczka opowiada parze klientów o wiszącej klatce schodowej, o belkach wspornikowych osadzonych w ścianach tak, że schody nie mają żadnej widocznej podpory. Najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy z mojej obecności, ponieważ w jej ustach ta historia brzmi inaczej niż wersja, którą jej opowiedziałam. Zatrzymuje się przy oknie na podeście, żeby zwrócić uwagę na ogród w dole, dodaje nowe hybrydy do kwiatowej kolekcji Evy, nie tylko różę nazwaną jej imieniem, ale dwie czy trzy odmiany, o których nigdy nie słyszałam, chyba wymyślone przez nią na poczekaniu. Wspomniała również coś o drzwiach balkonowych na drugim piętrze, coś grubo przesadzonego, ale rozumiem, że pomogłoby w sprzedaży, gdyby zawierało chociaż cień prawdy. Niemniej widzę nawet stąd, że ci ludzie nie są zainteresowani domem, że jej występ to całkowita strata czasu.

„Umarłam dla ciebie”.

Zastygam w bezruchu. To głos Evy. Tak donośny, że z pewnością słyszeli.

Wchodzą po schodach.

Muszę stąd zniknąć, natychmiast.

Zanim zdążyłam się wymknąć, pośredniczka i jej klienci dotarli na podest. Cofam się w stronę tylnych drzwi. Mam zawroty głowy, wymacuję sobie drogę wzdłuż ścian, jakby w pokoju zrobiło się ciemno, chociaż widzę każdą rzecz. Pot ścieka mi po twarzy. Pośredniczka kątem oka zauważa ruch i podnosi wzrok. Widzę, że mnie dostrzega, a potem kieruje spojrzenie na stolarkę Samuela McIntire'a, daje mi czas, żebym uciekła tylnymi drzwiami i schodami dla służby.

Czekam na pośredniczkę w ogrodzie. Jestem bardzo spięta. Podśłuchuję urywki ich rozmowy, kiedy stoją przy bramie. Staram się ich słuchać, zakotwiczyć się w rzeczywistości dzięki ich głosom, prawdziwym głosom. Są skądś ze Środkowego Zachodu. Może z Chicago. Kobieta była kiedyś w Salem, mówi, na wycieczce. Zapamiętała architekturę i pomyślała o Salem, kiedy się dowiedziała, że jej męża przenoszą w okolice Bostonu.

Widzę, że mąż bynajmniej nie pała entuzjazmem, zarówno w kwestii domu, jak i w kwestii miasteczka.

– Ciągłe palą tutaj czarownice? – sili się na dowcip.

– Nie palą, tylko wieszają – poprawia go pośredniczka z uśmiechem. Potem wraca do handlowej gadki. – Ceny nieruchomości w tej okolicy są znacznie bardziej przystępne niż na Beacon Hill – próbuje zbajerować klienta. – Albo na przykład w Back Bay... Za taki dom w Back Bay zapłaciłyby pan trzy do czterech milionów.

Mężczyzna pyta o dojazd. Mówi, że droga z miasta zabrała mu czterdzieści pięć minut. W jego głosie słychać lekką irytację, że zwracają mu głowę.

– To z powodu Wielkiego Wykopu – wyjaśnia pośredniczka. – Powinien pan jechać przez most, a nie przez tunel.

Nie kupuje tego. Ja to widzę i ona to widzi. Opowiada mu o kolei, mówi, że to blisko, dwadzieścia minut na piechotę do North Station. Większość ludzi jeździ pociągiem, mówi, ale widzę, że on nie z tych, którzy jeżdżą pociągami. Ten człowiek lubi panować nad swoim pojazdem.

Całe pokazywanie domu to strata czasu. Pośredniczka mówi później, że od razu wiedziała.

– Chciał zlikwidować ogród – opowiada – żeby zrobić drugie miejsce parkingowe. Wyobraża pani sobie?

Mówi, że ma następny pokaz o czwartej i naprawdę lepiej, żeby mnie nie było w domu, kiedy wróci.

– Obecność właściciela często onieśmiela potencjalnych nabywców – wyjaśnia. – Przynajmniej jeśli wiedzą, że pani tu jest.

Wracam do domu. Nastawiam wodę na herbatę. Zwykła as-sam i przypalona grzanka. Zmuszam się do przełykania. Około południa czuję się trochę lepiej.



Na śmierć zapomniałam, że Ann umówiła się ze mną podczas swojej przerwy na lunch, żeby mi pomóc oberwać zwiędłe kwiaty. Pojawia się akurat wtedy, kiedy syrena na statku wy-cieczkowym rykiem oznajmia południe.

– Dobrze się czujesz? – pyta. – Wyglądasz trochę blado.

– Kac – wyjaśniam. Głupio mi to mówić, ale brzmi przekonująco.

– Wiem coś o tym – odpowiada Ann.

Nie ma dużo czasu, więc od razu zabieramy się do pracy. Dobrze nam się razem pracuje. Przesuwamy się wzdłuż rząd-ków, obrywamy zwiędłe kwiaty z wielkich pęków. Rytmiczne, hipnotyczne zajęcie: zrywanie, zbieranie, podawanie koszyka tam i z powrotem. Żar słońca koi moje obolałe mięśnie.

– Dzięki – mówię.

Na końcu długiego rzędu peonii widzę w krzakach coś bia-łego. Przechyliłam się i podnoszę dzisiejsze wydanie „Salem News” z miejsca, gdzie ją rzucił gazeciarz. Przyzwyczaiłam się, że z pierwszych stron tych gazet spogląda na mnie twarz Evy, więc doznaję ulgi, widząc, że zastąpiła ją inna, młodsza twarz. Ulga szybko mija, kiedy odczytuję nazwisko: Angela

Rickey. Włosy surowo ściągnięte do tyłu w stylu niemal purytańskim. Zniknięcie Angeli wyparło Evę z pierwszych stron gazet. Natychmiast ją rozpoznaję.

– Ona tu była – mówię.

– Co?

– Widziałam ją. Pierwszego dnia, kiedy przyjechałam. Pukała do drzwi. Zanim podeszłam, zniknęła.

– Gdzie masz telefon? – pyta Ann. – Musimy zadzwonić do Rafferty'ego.



Rafferty zjawia się po dziesięciu minutach. Opowiadam mu o tamtym incydencie. Jak myślałam, że wróciła, ale to byli Beezer i Rafferty.

– Jesteś pewna, że to była ona? – Rafferty wyciąga następną fotografię, taką samą jak jedno ze zdjęć w gazecie, ale lepszej jakości.

– Oprócz znamienia – odpowiadam.

– Jakiego znamienia?

– Miała znamię koloru truskawki z boku twarzy. – Przesuwam ręką od skroni do podbródka.

Rafferty i Ann wymieniają spojrzenia.

– Co? – pytam.

– Czy ta dziewczyna, którą widziałas, była w ciąży? – pyta Rafferty.

– Tak – potwierdzam. – Wyraźnie.

– To musi być ona – mówi Ann. – Szukała Evy.

Patrzę, jak Rafferty się zastanawia.

– Czy to możliwe, że nie wiedziała o zaginięciu Evy? – pyta Ann.

– Wszystko jest możliwe – odpowiada Rafferty. Zachowuje się formalnie. Profesjonalnie. Twarz jak kamienna maska.

– Może chciała oddać Evie klucz? – podsuwa Ann. – Albo szukała pomocy?

– Okay – mówi Rafferty. – Dzięki.

Odwraca się, żeby odejść. Zaskakuje mnie.

– Czekaj – mówię i odstawiam koszyk. Odprowadzam go do bramy. – Jak głowa? – pytam.

– Świetnie. A twoja? – Głos ma urywany, ton sarkastyczny. – Muszę iść – rzuca i odchodzi ode mnie.

Wracam do pracującej Ann.

– Kłótnia kochanków? – pyta na widok mojej miny.

– Co? Nie... nie wiem.

– Może jestem staroświecka, ale nawet kiedy alkohol wchodzi w grę, nowy chłopak z reguły jest wkurzony, jeśli spędzasz noc z dawnym.

Wyrzeszczam na nią oczy.

– To małe miasteczko – przypomina Ann. – Nowiny szybko się rozchodzą.

– To nieprawda – protestuję. – Jack był tutaj, ale z nim nie spałam.

– Hej, to nie moja sprawa. – Ann wraca do obrywania zwiędłych kwiatów.

Przykładam ręce do oczu, ale świat kręci się i przechyła. Wymiotuję po raz drugi do koszyka ze zwiędłymi kwiatami.



Ann zostawia mnie na kanapie Evy. Mam gorączkę.

– Pewnie od upału – mówi. – Albo może po operacji.

Mówię jej o operacji. W razie gdyby to było ważne. Również

żeby wyjaśnić, dlaczego nie mogłam się przespać z Jackiem LaLibertie. Ani z nikim innym. Chcę, żeby wiedziała.

– Przyjdę po pracy – obiecuje Ann. – Mam różne zioła, które cię postawią na nogi.

Kiwam głową. Chcę tylko spać.



Prześladują mnie gorączkowe sny. Śnię o wspinaczce. O tej, którą odbyła Lyndley w dniu, kiedy skoczyła, i tej, której próbowałam później, kiedy May starała się utrzymać mnie przy życiu.

Ciężko zniosłam śmierć Lyndley. Sama o mało nie umarłam. Nawet Eva uważała, że powinnam iść do szpitala. Ale May powiedziała: nie. To nasza sprawa. Nawet pierwszego dnia, kiedy mnie przyłapała na skałach, ciągle myślała, że sobie poradzi. Myliła się oczywiście. Tak samo jak myliła się w wielu sprawach.

Zareagowała z typową dla siebie logiką. Wezwała ślusarza, żeby założył zamki na wszystkie wyjścia z domu. A potem kazała mu zabić deskami dom Boyntonów. Frontowe drzwi były zamknięte na klucz, na podwójną zasuwę. Ślusarz bez problemu zainstalował podwójny zamek na drzwiach cioci Boynton (ich dom był opuszczony i zabity deskami), ale nie chciał założyć takiego na naszych drzwiach. Podwójne zamki były nielegalne w Massachusetts, ponieważ nie pozwalały szybko wydostać się z domu w nagłym wypadku. Stolarz wytknął to May, ale założył już zamki we wszystkich oknach na parterze i w kilku innych miejscach, a May odmówiła zapłaty, jeśli robota nie zostanie dokończona zgodnie z jej życzeniem. Więc w końcu ustąpił.

Zamki służyły nie do tego, żeby nie wpuszczać intruzów,

tylko żeby nie wypuszczać mnie z domu. Trzymali mnie pod samobójczą strażą. Nawet wtedy ludzie wiedzieli, że skłonności samobójcze są dziedziczne, więc May wołała nie ryzykować.

Ale w kwestii zamków May nie mogła się ze mną równać. Nawet nie zawracałam sobie głowy zasuwą. Wystarczyło mi jakieś trzydzieści sekund, żeby unieszkodliwić zamki w oknie. Potrzebowałam tylko spinacza z szuflady jej biurka.



Księżyc był w pełni, jego przyciąganie silne. Nie mieli racji w kwestii samobójców. Nie szukałam spokoju, w każdym razie nie wiecznego spokoju. Zależało mi na perspektywie. Żeby spojrzeć jej oczami. Wszyscy tłumaczyli to maltretowaniem. Mówili o tym, co Cal jej zrobił. Wszyscy powtarzali, że powinniśmy byli przewidzieć, co się święci. Ale ja wiedziałam, że chodzi o coś więcej. To była moja wina tak samo jak jej. Cal mógł ją maltretować. Ale ja jej odebrałam jedyną nadzieję ucieczki.

Więc znowu podjęłam wspinaczkę. Żeby zobaczyć wszystko jej oczami. To było coś, co musiałam zrobić.

Wspinaczka była długa. Znacznie trudniejsza, niż się wydawało. Kilka psów wyszło z jaskiń, żeby popatrzeć. Ptaki kołowały i skrzeczały. W połowie drogi do szczytu rozciąłam stopę na muszli, którą widocznie upuściła mewa. Skorupa wierznęła się pomiędzy pierwszy i drugi palec, rozdzieliła je i poszerzyła odstęp pomiędzy nimi. Nie krwawiło tak bardzo, ale nieprzerwanie, i nie mogłam zatamować upływu krwi, więc przestałam próbować. Po prostu wspiniałam się dalej, zostawiając za sobą ślad czerwonych kropli jak w bajce o Jasiu

i Małgosi, w razie gdybym nie mogła znaleźć drogi powrotnej do domu.

Długo trwało, zanim dotarłam na szczyt, częściowo ze względu na ciemność, częściowo z powodu rany.

Przez długi czas stałam nad przepaścią, na wysuniętej skale. W tym samym miejscu, z którego skoczyła. Spoglądałam na czarny ocean w dole. Potem zobaczyłam, że moje ubranie się zmieniło. Nie miałam już na sobie obciętych džinsów i podkoszulka, w których wyszłam z domu, tylko białą koszulę nocną, jaką Lyndley nosiła w dniu śmierci.

Sen znowu przesuwając perspektywę i nie stoję już na skałach, tylko w salonie Evy w poranek Bożego Narodzenia, ubrana w białą koronkową koszulę nocną, prezent od Evy. Lyndley dostała taką samą. I chociaż widok morza się nie zmienił, nie jest prawdziwy, tylko uwieczniony na obrazie, który Lyndley namalowała dla mnie w ostatnie święta, kiedy jeszcze żyła. Zatyłowała ten obraz *Popłynąć na księżyc*.

Właśnie odpakowałam prezent i stoję nad nim, patrząc na fakturę wody i postać mojej siostry Lyndley, z włosami dziko rozwianymi na wietrze, z jedną ręką wyciągniętą przed siebie, sięgającą do ścieżki, która biegnie bez końca, coraz węższa, aż do pełnej tarczy księżyca tuż nad horyzontem. Ten obraz mnie fascynuje, najbardziej ze wszystkich jej prac. Słyszę głosy wokół mnie, Eva i Beezer komentują malowidło, mówią mi, jakie jest piękne. Pytam ich, jak im się udało mnie zaskoczyć. Słyszę ze znajdowania moich prezentów przed Gwiazdką. Jakim cudem zdołali ukryć przede mną tak duży przedmiot aż do świątecznego poranka?

W pokoju zapada martwa cisza. Sen znowu odmienia formę. Ludzie zniknęli. Nawet ramię Lyndley zniknęło, kiedy z bliska wpatruję się w obraz, badając szczegółowo ślady pędzla,

zdumiewające kolory, jakie widać tylko tuż nad wodą. Każdy kolor ma odbicie, jeśli zbliżysz się wystarczająco, żeby to zobaczyć. Wychylam się za daleko, całkiem jak Lyndley, zanim spadła ze skał, i tracę równowagę, tak jak ona tamtej nocy. Zdaję sobie sprawę, że pode mną jest przepaść. I że wcale nie stoję tam, gdzie myślę, nie na skałach, z których skoczyła Lyndley, ani w salonie Evy, ale na moście Golden Gate. Oglądam własną śmierć, banalne samobójstwo pokazane w realiach snu. Palce mgły sięgają w górę na most, próbują mnie złapać, ściągnąć w dół. Ale ja już koziołkuję i wiem, że na pewno nie przeżyję. Czuję, że spadam pomiędzy kolory na obrazie, ale farba wyschła na kamień i zdaję sobie sprawę, że to za wysoko, nawet jeśli farba nie jest całkiem sucha, że upadek z tej wysokości do wody to jak uderzenie o beton. Jeśli nie ustawisz się idealnie prosto, nie masz szans przeżyć. Ale zanim dokończyłam tę myśl, barwy pode mną zaczynają się poruszać, znowu płynne, perspektywa jeszcze raz się zmienia i wślizguję się pomiędzy kolory, w chłód wody.

Nie tonę jak Lyndley. Nie jestem w wodzie, lecz w obrazie, i płynę po powierzchni poprzez mgłę kolorów. Płynę na księżyc. Próbuję doścignąć Lyndley, która mnie wyprzedza, ciągnąc za sobą wachlarz rudoblond włosów. Oddala się ode mnie, płynie szybko, próbuję ją gonić, ale nie pływam tak dobrze jak ona i odległość pomiędzy nami się zwiększa. Po lewej stronie jest wyspa Children's, a prosto przed nami księżycową ścieżkę przestoniła mgła.

Zmarznięta i wyczerpana, wołam jej imię. Teraz mgła jest wszędzie. Obracam się dookoła, ale kolory zniknęły. Ocean jest ciemny i pusty. Nie mogę złapać tchu, ale dalej płynę tam, gdzie zniknęła, tłumiąc rozsądek, który każe mi zawrócić.

Wołam jeszcze raz: „Lyndley!”. Mój głos rozcina mgłę.

Znowu widzę włosy, splątane kosmyki i obrazy, które zawierają, muszelkę, konika morskiego. Znowu wołam jej imię. Słyszysz mnie, odwraca się. Ale nie widzę twarzy Lyndley. Patrzę w twarz Evy. Łagodną i kochającą. Próbuje coś powiedzieć. Przestaję płynąć na jedno uderzenie rąk. Wytężam słuch. – Uciekaj, bo zginiesz! – krzyczy.



I znowu stoję na skałach. Schodzę z nich, czując krew. Teraz jest wszędzie, pokrywa wszystko. Kamienie są śliskie od krwi. Z trudem docieram na dół.

Wyczuwam obecność Cala, zanim go dostrzegam. Chwyta mnie za nadgarstek.

Potem zaczynają się pojawiać psy, patrzą, czekają. Czekają, żebym dała im pozwolenie.

Rzucają się na niego. Szybko. Rozdzierają go na strzępy. Mogłam je powstrzymać; wiem, że mam taką moc. Ale nie powstrzymuję ich. Pragnę śmierci Cala.



Huk wystrzału budzi mnie z gorączkowych snów. Nie... nie strzał. Grom.

Spościłam się i jest mi zimno. Ale czuję się lepiej. Upał minął. Deszcz bębni o szyby i spływa po parapetach, jakby dom zmienił się w wielki statek, który nabiera wody. Biegam dookoła i zamykam okna. Potem widzę zegar. Spałam prawie trzy godziny. Za dziesięć minut zjawi się pośredniczka z następnymi klientami. Chwytam żółty płaszcz nieprzemakalny Evy i wybiegam na deszcz.

Powietrze się ochłodziło. Nie tylko z powodu deszczu.

Czuję, że zbliża się zimny front. Przecinam Błonia, jeszcze nie całkiem rozbudzona. Nie wiem, dokąd idę, zmierzam prosto w burzę. Przystaję na rogu, żeby przepuścić autokar Duck Tour. Na boku widnieje napis: POJAZD AMFIBIA. Z przodu wygląda bardziej jak czołg niż autobus wycieczkowy. Głos z mikrofonu opisuje mijane obiekty, pyta, czy ktoś wie, czyj to pomnik. Wszyscy zgadują, że czarownicy. Przewodniczka odpowiada, że myślą się całkowicie, ale nie oni jedni. Pomnik przedstawia ojca założyciela Salem, ale niech się nie przejmują, że nie zgadli, bo ogólnokrajowy magazyn też popełnił błąd. Kiedy opublikowali artykuł o Salem, zamieścili zdjęcie pomnika Rogera Conanta z podpisem, który nazywał naszego ojca założyciela „zdeklarowaną czarownicą”.

To surrealistyczne. Chyba jeszcze śnię. Turyści wychylają się z okien, trzaskają zdjęcia, kiedy autobus skręca, zmiennokształtni, wyciągają ramiona jak gałęzie drzew, machają i próbują mnie dotknąć. A może to drzewa przesuwają się za nimi, kolejna sztuczka perspektywy.

Deszcz przywraca mnie do życia. Zatrzymuję się na Przystani Pickeringa przed sklepem Ann, zaglądam do środka przez okno wystawowe. Mój wzrok przenika przez szkło, skupia się na świecie poza światem. W kącie asystentka Ann siedzi przy okrągłym stoliku, przed nią rozłożone karty do tarota. Klientka skupia na nich uwagę, językiem ciała mówi więcej niż karty, które stają się niepotrzebne. Potrafię ją odczytać nawet stąd: utracona miłość, smutno zwieszona ramiona. Oto kobieta, której marzenia umarły. Przyjechała tutaj szukać nadziei. Zobaczmy: podróżniczka, czekają ją podróże. Może wcale jej nie odczytuję, bo sprawa z podróżami jest oczywista, kobieta to wyraźnie turystka, więc przynajmniej przyjechała tutaj. A jednak widzę następne podróże w jej przyszłości. Powiedz jej to,

myślę. Daj jej coś, czego może się trzymać. „Wyjeżdżaj, podróżuj po świecie, nie ma nic innego”. Głos Evy, cytuje Tennessee Williamsa. Nie rozumiem, dlaczego ktoś chce w ten sposób zarabiać na życie, przepowiadać ludziom przyszłość. To takie smutne.

Turyści kłębią się dookoła. Jeden bardzo zaokrąglony jegomość, który zapomniał płaszcza nieprzemakalnego, nałożył czarny plastikowy worek na śmiecie z wyciętymi otworami na ręce. Autokary parkują po obu stronach jezdni. Nie pamiętam, żeby kiedyś na przystani panował taki tłok. Ludzie stoją w drzwiach, pod daszkami, czekają, aż się przejaśni. Jak mówił Mark Twain: „Jeśli nie podoba ci się pogoda w Nowej Anglii, zaczekaj chwilę”. Przy tej alejce jest sześć sklepów czarownic. Widzę w środku turystów, jak kupują mydła, olejki, małe paczuszki z magicznymi ziołami, zanim wrócą do autobusów, jadących do Ohio i Nebraski. Każą autobusom czekać. „Och, proszę, proszę zaczekać. Potrzebuję czegoś dla wnuczki. Nie wiem, kiedy znowu tutaj będę. W przyszłym roku jedziemy do Atlantic City”.

Asystentka Ann inkasuje opłatę od klientki, której wróżyła. Talia kart tarota leży obok kasy fiskalnej. Dziewczyna podnosi na mnie wzrok.

– Jest Ann? – pytam.

– Na zapleczu – odpowiada asystentka. – Zaraz wróci.

Kobieta, która właśnie zapłaciła, cofa się i próbuje się odsunąć, ustąpić jej z drogi, ale zawadzam o talię kart i zrzucam je na podłogę.

– Przepraszam – mówię i schylam się, żeby je pozbiierać.

– Nie dotykaj ich! – ostrzega sprzedawczyni.

Klęka i podnosi karty. Talia jest nietknięta oprócz jednej karty, która wylądowała licem do góry obok moich stóp.

Sprzedawczyni dramatycznie podnosi wzrok.

– Karta śmierci. – Ujmuje kartę za krawędzie, jakby była gorąca albo skażona. Kładzie ją na kontuarze. Następnie powoli podchodzi do koszyka z kryształami, wyjmuje ametyst na łańcuszku. Wciska mi go do ręki.

– Noś to na szyi – nakazuje. – Nigdy nie zdejmuj, nawet pod prysznicem.

– Co?

– Potrzebujesz ochrony – oświadcza.

Wtedy wraca Ann i widocznie dostrzega wyraz mojej twarzy.

– Co się dzieje? – pyta. Spogląda na mnie podejrzliwie. – Nic ci nie jest?

Sprzedawczyni odwraca się do niej.

– Ona wyciągnęła kartę śmierci.

– Przyszedł sobie powróżyc? – pyta Ann z niedowierzaniem.

– Nie – odpowiadam. – Zrzuciłam talię.

– Karta śmierci wylądowała tuż u jej stóp. Ona potrzebuje ochrony.

Ann chwytą moją głowę i ciągnie w dół, przesuwa rękami po całej czaszce, ugniata i obmacuje.

– W porządku – ogłasza. Podaje sprzedawczyni kryształ. – Odlóż to.

Po chwili zwraca się do mnie:

– Przepraszam za tę głowę. To jedyny sposób, żeby się od ciebie odczepiła. Dobrze się czujesz? – pyta z troską.

Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Chodź – mówi Ann. Prowadzi mnie do swojego gabinetu.

– Karta śmierci nic nie znaczy – zapewnia. – No, coś

znaczy, ale zwykle chodzi o przemianę. Koniec jednego życia, początek następnego. Zwykle to dobra rzecz. No i trzeba ją odczytywać w połączeniu z innymi kartami. – Robi zniesmaczoną minę. – Nie powinnam jej pozwalać na wróżenie. Przypomnij mi, żebym ją wylała. Próbuję się uśmiechnąć.

– Wyglądasz lepiej – pociesza mnie Ann. – Trochę.

Długo siedzę na jej futonie. Poi mnie ciepłą herbatą z korzeniem waleriany.

– To naturalne valium – wyjaśnia. – Piję to przez cały czas.

– Muszę ci zadać pytanie – mówię w końcu. Po to tutaj przyszedłam.

– Chcesz, żeby ci powróżyć? – dziwi się.

– Nie takiego rodzaju pytanie. Coś w związku z Evą.

– Okay. – Spogląda na mnie.

– Czy według ciebie to możliwe, że Eva się zabiła?

To pytanie ciągle do mnie powraca. Nie mogę o nim zapomnieć.

– Chodzi ci o samobójstwo?

Słowo wydaje się niewłaściwe.

– Sama nie wiem, o co mi chodzi.

Ann kręci głową.

– Eva była najszcześliwszą osobą, jaką znałam. Nie była typem samobójczyni.

Kiwam głową.

– Dlaczego w ogóle pytasz?

Nie chcę jej mówić o głosach.

– Wiedziała, że przyjadę – mówię. – Na pewno.

Ann się zastanawia.

– Cóż, Eva była wróżką. Wiedziała dużo rzeczy, prawda?

– Przysłała mi swój wafek. Ten, na którym wiązała koronki. Dlaczego to zrobiła?

– Może po prostu chciała ci go dać – sugeruje Ann. To powinno mnie uspokoić, ale jakoś nie działa. – Nie znalazłaś żadnego listu ani nic. – To raczej pytanie niż stwierdzenie.

– Nie.

– Nie sądzę, że to było samobójstwo – mówi Ann. – To nie miałoby sensu.

Chce dodać coś jeszcze, ale się rozmyśla.

Popijam herbatę.

Zostaję w gabinecie Ann przez długi czas. Koczuję na futonie. Ona przynosi obiad. Wlewa we mnie jeszcze więcej ziołowej herbaty. O ósmej mierzy mi temperaturę.

– Nie jest tak źle jak wcześniej – ogłasza. – Ale wciąż masz gorączkę.

– Chyba pójdę do domu – mówię i zbieram swoje rzeczy.

– Podwiozę cię, jeśli zaczekasz do zamknięcia.

Spoglądam na dom. Widzę go z tego miejsca.

– Mogę pójść pieszo.

– Zadzwoń później. – Ann ściska mnie na pożegnanie. – Wracaj do zdrowia.

Prawdę mówiąc, już czuję się lepiej. Dużo lepiej niż przedtem. Trochę odpoczynku i wyzdrowieję.

Idę po nabrzeżu, przecinam na ukos Błonia, przechodzę na drugą stronę ulicy i przez tylną bramę wchodzę do ogrodu. Jeszcze jest dość jasno i widzę kilka zwiędłych kwiatów, które przeoczyłam, tuż obok tylnych drzwi. Schylam się i zrywam pierwszy kwiat, potem uświadamiam sobie, że Ann na pewno zabrała koszyk, kiedy zwymiotowałam, więc wkładam kwiat do kieszeni.

Pochylam się i sięgam po drugi. Nie trafiam i moja dłoń chwyta łodygę zamiast kwiatu. Przyginam go nisko i patrzę, jak odskakuje niczym mała katapulta i wyrzuca coś w powietrze.

Słyszę brzęknięcie, kiedy coś spada na ceglany chodnik. Dźwięk jest metaliczny, łatwy do rozpoznania. Zmysł pamięci. Nieunikniony. Schylam się, żeby zobaczyć, co to jest. Podnoszę... klucz.

Ten klucz.

Gapię się na niego. Jest stary, nie żaden duplikat dorobiony przez policję, ale klucz Ewy, ten, który dawniej mi zostawiała w kwiecie peonii, kiedy wiedziała, że przyjadę.

Miałam rację. Ona wiedziała. Wiedziała, co się z nią stanie, i wiedziała, że to oznaczało mój przyjazd.

Stoję pochylona. Nie mogę się wyprostować. Przerażliwy ból rozłupuje mi głowę na pół. Pulsowanie gorączki. Zimne dreszcze przebiegają po rękach i nogach.

Kiedy próbuję się podnieść, dostrzegam włoski jedwab.

Cał stoi blisko, na wyciągnięcie ręki. Jego usta się poruszają, ale bezgłośnie. Modli się.

Wreszcie wydaje z siebie głos, donośny ryk.

– Panie, ocal tę dziewczynę przed ogniem piekielnym!

Wznosi ręce do nieba. Nie spuszcza ze mnie oczu, śledzi każdy mój ruch, każde drgnięcie mięśni, jak psy, kiedy osaczają zdobycz.

Zamieram.

On znowu zaczyna mówić, ale nie rozróżniam słów. Przemawia językami.

Mam halucynacje. Na pewno.

Ale wtedy uderza we mnie zapach. Zmysł pamięci. Znam jego zapach. Przyprawia o mdłości.

Rozglądam się za psami. Teraz powinny się pojawić. Żeby mi pomóc. Żeby go zabić. To sen.

Ale chociaż tego pragnę, wiem, że to nie sen. Nie ma żadnych psów. Właśnie przed tym ostrzegał mnie Rafferty.

Czuję, że tonę, tracę przytomność. Zaciskam klucz w dłoni i twardy metal przywraca mi świadomość. Klucz... drzwi. Oceniam dystans. Zaczynam biec.

On depta mi po piętach.

Czuję go za plecami. Dogania mnie.

Walczę z kluczem. Wreszcie wpycham go do zamka, kiedy Cal mnie chwytą.

Potrząsa mną. Błaga diabły, żeby wyszły.

– Klęknij i módl się! – rozkazuje. – Klęknij i módl się ze mną.

Próbuję mnie zmusić, żebym uklękła, ale utrzymuję się na nogach.

– Kim jesteś, demonie?! – ryczy. – Podaj swe imię! – Jego oczy pałają złotym blaskiem.

Popycham mocno i drzwi ustępują. Portal się otwiera i przechodzę do innego świata, świata Ewy.

Obluzowany zawias przesuwają ciężar drzwi i Cal się chwytają. Odpycham go drzwiami, zamykam je.

– Jezus umarł za twoje grzechy! – wrzeszczy na mnie. – Jezus umarł za ciebie!

Słyszę go przez pęknięte wole oko szyby, wciąż błaga, żąda, żeby demony odeszły.

– Klęknij i módl się!

Sięga poprzez stłuczone szkło, chwytają garść moich włosów i szarpie moją głowę do tyłu, wali nią o drzwi.

– Odejdź, demonie! – krzyczy, waląc moją głową dostatecznie mocno, żeby je wypędzić. Czuję, jak odłamek szkła

rozcina mi skórę.

Mrocзки latają mi przed oczami. Dzielą nas centymetry poprzez odłamki szyby, tej samej szyby, którą rozbiłam pierwszego wieczoru po przyjeździe.

On próbuje mnie zabić. On próbuje mnie zbawić.

„Umarłam dla ciebie”. To nie głos Cala. To głos Ewy, który mnie budzi.

– Klęknij i módl się – żąda ponownie Cal i tym razem jestem posłuszna, chwytam jego rękę i padam na kolana, ściągając jego nadgarstek na potrzaskane szkło.

Jego wrzask brzmi jak skowyt rannego zwierzęcia.

Zatrzymuje czas.

„Uciekaj, bo zginiesz”, słyszę głos Ewy.

Uciekam do telefonu, wykręcam 911.



Wrzeszczę o Rafferty'ego, a potem upuszczam telefon i zrywam połączenie ze wszystkim, co rzeczywiste.

CZEŚĆ TRZECIA

Trzymaj koronkę przy twarzy. Jeśli osoba, której wróżysz, jest nieosiągalna albo zmarła, czasami wystarczy jakiś przedmiot należący do tej osoby albo jej fotografia... chociaż siła życia zawsze jest potężniejsza od wszelkich wizerunków.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

PRZEDMIOTY ZABRANE Z MIEJSCA ZBRODNI:

*Dwa jednakowe czerwone dzienniki
w czerwonych skórzanych oprawach*

Pierwszy dziennik: *Podręcznik wróżenia z koronek* autorstwa Evy Whitney. Zawiera wróżby z koronek, przepisy, codzienne obserwacje. Jak się wydaje, głównie podręcznik wróżenia poprzez odczytywanie koronek. Drugi dziennik: *Napisany przez Sophyę Whitney w 1981 roku*. Wydaje się, że wykonywany w leczeniu psychiatrycznym jako rodzaj terapii. Zawiera jedno opowiadanie, oparte przynajmniej częściowo na prawdziwych wydarzeniach. Kontynuację opowiadania stanowią datowane wpisy w dzienniku. Przypuszczenie, że niektóre wydarzenia są fikcyjne, dziennik powstał na warsztatach pisania kreatywnego dla pacjentów hospitalizowanych, warsztaty sponsorowane przez Szpital Psychiatryczny McLean w

1980 roku. Konieczne dalsze badania w celu ustalenia, czy coś z tych materiałów można wykorzystać jako dowód przeciwko Calvinowi Boyntonowi w którejkolwiek sprawie.

Szpital McLean, 1981, Warsztaty pisania kreatywnego

ZABAWA W CHOWANEGO

Towner Whitney

Bawiliśmy się każdego lata, czasami dwa, trzy razy w tygodniu, ale nigdy przed przyjazdem Lyndley, co zwykle następowało gdzieś pomiędzy Dniem Pamięci a Czwartym Lipca. Nigdy nie uprzedzali telefonicznie, nawet telefonem statek-wybrzeże, a kiedy wreszcie wpływali do portu, zawsze pod pełnymi żaglami, dzieciaki z lądu i wysp zewnętrznych przyjmowały to za znak, że zabawa się zaczyna.

Jeśli chodzi o zabawę w chowanego, May stosowała „politykę otwartych drzwi” i na początku, kiedy zaczynaliśmy, nawet kilkakrotnie bawiła się z nami, zanim rywalizacja stała się zbyt ostra. Częściowo dlatego, że Beezer też chciał się bawić i nie chciał „zostać na stojce”, jak to wtedy nazywaliśmy, więc May tworzyła z nim zespół dla wyrównania szans. Pozwalaliśmy na to tylko dlatego, że Beezer był taki mały i kiedy się go przestraszyło, wydawał z siebie niesamowity ni to krzyk, ni to śmiech. W tym bezgłośnym wrzasku twarz mu się wykrzywiała jak na filmie grozy; kiedy wciągał powietrze, hukał jak sowa, częściowo z powodu astmy, a częściowo dlatego, że był najzabawniejszym dzieciakiem na świecie. Kiedy słyszało się jego pohukiwania, nie można było powstrzymać chichotu (nawet jeśli akurat się chował), więc to często działało na jego

korzyść. Na przykład przestraszył się jednej osoby, która biegła zaklepać, i samym śmiechem wypłoszył z kryjówki trzy następne. Kiedy podrósł, zaczął to wykorzystywać jako taktykę: zbliżywszy się do potencjalnej kryjówki przeciwnika, gasił latarkę, podkładał się i hukał na niego, aż ten ze śmiechu nie mógł zaklepać i się uratować.

Zasady zabawy w chowanego z latarką są proste. Na pewno je znacie. To odmiana zwykłej zabawy w chowanego, tylko że odbywa się w ciemnościach i nie wolno zapalać żadnego światła oprócz latarki, którą dostaje osoba szukająca. Na początku, kiedy zaczynaliśmy, żeby zwyciężyć, wystarczyło znaleźć tego, kto się ukrywał, trafić go światłem latarki i również promieniem światła „zaklepać” wielki, stary dąb, który zawsze był „domem”.

Ale zabawa szybko nam się znudziła, ponieważ okazała się naprawdę zbyt łatwa dla szukającego. Musiał tylko zgasić latarkę i czekać przy dębie, aż ludzie zaczną zaklepywać, potem włączyć latarkę i ich wyeliminować. W rezultacie po jakimś czasie nikt nie chciał ryzykować zaklepania, więc jedna tura zabawy ciągnęła się godzinami, aż wszyscy się męczyci i szli do domu, zostawiając szukającego samego w ciemnościach. To właśnie nazywaliśmy „stójką”. Okropnie jest zostać całkiem samemu w lesie. Można zwariować. Nie wiesz, czy wszyscy po prostu dobrze się schowali, czy też zostawili cię pośrodku wyspy i mewy zaczynają z tobą rozmawiać, wymawiają twoje imię jak zawsze, kiedy zbyt długo przebywasz z nimi sam na sam. Siedzisz w nieskończoność, oparta plecami o drzewo, i nie możesz się ruszyć ze strachu. Raz naprawdę zostałam tam przez całą noc, kiedy na mnie wypadło, ale narobiłam sobie kłopotów, bo May mnie przyłapała, kiedy się zakradałam z powrotem o świcie, i postanowiła, że musimy skończyć z tymi stójkami.

– Dlaczego nie możecie się bawić jak normalne dzieci? – zapytała Lyndley i mnie, kiedy znowu zaczęła z nami rozmawiać, czyli następnego popołudnia. Pamiętam, jak Lyndley wybuchnęła śmiechem, bo pytanie zabrzmiało tak głupio, że nawet May musiała się uśmiechnąć, chociaż bardzo się starała powstrzymać. Ale kazała nam zmienić reguły gry albo skończyć z tą zabawą. Taki mieliśmy wybór.

Więc zmieniliśmy reguły. I ta zmiana wyszła nam na dobre. Zabawa zrobiła się trudniejsza. Jak w zwykłej zabawie w chowanego, kiedy się kogoś znalazło, trzeba było jak najszybciej dobiec do domu. Ten sposób sprawdzał się znacznie lepiej. Zmuszał do rywalizacji. Wtedy właśnie inne dzieciaki zaczęły przyjeżdżać, żeby się z nami bawić. Lyndley powiedziała jednemu z miejscowych, a Beezer – chłopcu, z którym żeglował na wyspę Baker's.

Plotki się rozchodzą. W szczycie popularności urządzaliśmy zabawę cztery czy pięć razy na tydzień, od Czwartego Lipca do weekendu Święta Pracy. Ale nie zrezygnowaliśmy ze stójki, po prostu wyewoluowała w coś innego. Zmodyfikowaliśmy ją. Zamiast taktyki stała się rytmem inicjacji. Za każdym razem, kiedy nowy dzieciak przyłączał się do zabawy, niepisana zasada wymagała, żeby nowy został szukającym w ostatniej rundzie. Czasami kończyliśmy szybciej, wbrew własnym chęciom, żeby tylko do tego doprowadzić. Kiedy indziej wcześniej zaklepywaliśmy i mówiliśmy, gdzie się schował nowy, żeby go wystawić na następną rundę. Potem nowy szukający stawał twarzą do pnia dębu i liczył do stu. Podczas gdy on odliczał, zabawa się kończyła i wszyscy szli do domu. Nowy dzieciak stał pod drzewem, dopóki się nie zorientował albo nie dostał świra, kiedy to trwało za długo, i nie zaczął myśleć o najgorszym – że jakiś morderca wyłapuje nas po jednym albo że nas

porwał latający spodek. Rzadko komu przychodziło do głowy, że po prostu wróciliśmy do domu. Dzieciaki tego nie robiły, przynajmniej z własnej woli. Ale w końcu do nowego docierało, że to żart, zdrada. Jeśli potem wracał, jeśli wracał po więcej, był jednym z nas. Jeżeli nie, uznawaliśmy, że to niewielka strata. Nikt nigdy nie wspominał o tym podłym podstępie. To był nasz niepisany kodeks, nasz ryt przejścia.

I oczywiście rozumie się samo przez się, że obowiązywała zasada „żadnych mięczaków”. Jeśli się przestraszyłeś albo skaleczyłeś, nie skarżyłeś się nikomu. Pewnego razu chłopak z innej wyspy wpadł do króliczej nory i skręcił nogę w kostce. Taki był z niego twardziel, że nie pisnął ani słowa i uczestniczył w zabawie do końca, chociaż biegał tak powoli, że go wyśmiewano. Lepsze to niż przyznać się do słabości, bo wtedy więcej cię nie zaproszą. Okazało się, że później chłopak prawie przez całe lato chodził o kulach, więc i tak nie mógł wrócić, ale zdobył nasz szacunek i od tamtej pory bawił się z nami każdego lata.



Po jego wypadku próbowaliśmy, za radą May, oznaczać królicze nory małymi białymi chorągiewkami, które widać w ciemnościach, ale to nie pomogło. Nor było zbyt wiele, a jeden dzieciak próbował przeskoczyć nad chorągiewką i „prawie się nadział” na czubek, jak to określiła Lyndley, kiedy później opowiadała o tym May. Więc zrezygnowaliśmy z chorągiewek. Poza tym właściwie lubiliśmy królicze nory. Cieszyliśmy się, że znamy przeszkody, których inni nie znają, podobnie jak znaliśmy najlepsze kryjówki. Te miejscowe dzieciaki ostro grały, więc potrzebowaliśmy przewagi, jaką mają gospodarze na własnym boisku, jeśli mnie rozumiecie.

Nasza wyspa miała kształt cyfry osiem: nasz dom stał na jednym końcu, dom Lyndley na drugim. Na środku obok przystani wznosił się czerwony budynek szkoły, a dalej, bardziej po naszej stronie wyspy niż po stronie Lyndley, znajdował się staw ze słoną wodą, gdzie w lecie się kąpaliśmy i myliśmy włosy. W zimie May topiła śnieg do kąpieli, którą braliśmy raz w tygodniu, „trzeba czy nie trzeba”, jak lubił powtarzać Beezer. W umywalni na piętrze stała stara miedziana wanna; wstawialiśmy garnki z gorącą wodą do windy kelnerskiej i wciągaliśmy na górę, żeby napełnić wannę. W lecie May wysyłała nas do stawu ze słoną wodą, zaopatrzonych w kostkę mydła Ivory i piankę do golenia, którą myliśmy włosy. Beezer, Lyndley i ja rozbieraliśmy się, wskakiwaliśmy, do wody, wyskakiwaliśmy, namydłaliśmy się i znowu wskakiwaliśmy, zostawiając za sobą ślad mydlin ciągnący się przez cały staw. Teraz nie wolno tak robić, bo to szkodliwe dla środowiska, ale wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy z takich rzeczy. Ponieważ myliśmy się słoną wodą, nigdy nie mogliśmy się porządnie domyc i przez całe lato chodziliśmy z białawym nalotem na opaleniznie. Czyści bywaliśmy tylko po deszczu, kiedy May wysyłała nas z mydłem na dwór i kazała tańczyć w ulewie, aż przestawaliśmy się pieniść albo wargi nam siniały, jedno z dwóch. Oczywiście nigdy nie wysyłała nas w czasie burzy, tylko w zwykły deszcz.

Zwykle kąpaliśmy się w słonym stawie. Pamiętam, jak kiedyś zapomnieliśmy przynieść z powrotem mydło i May kazała nam po nie wrócić, ale zniknęło. Następnego dnia znaleźliśmy je wyrzucone przez prąd na Back Beach, gdzie przedtem znaleźliśmy również mojego psa Skybo, którego Cal zabił wcześniej tamtego lata. Cal zawsze twierdził, że to był wypadek, lecz my wiedzieliśmy lepiej. Ale to inna historia, smutna

historia, i nie chcę jej tutaj opowiadać. Wystarczy powiedzieć, że te zbiegi okoliczności wywołały wiele spekulacji z naszej strony. Ponieważ staw ze słoną wodą był bardzo głęboki, Lyndley i ja zaczęłyśmy podejrzewać, że nie ma dna i jakoś łączy się z oceanem na wysokości Back Beach. Uważałyśmy, że Wypadek z Mydłem Ivory potwierdza naszą teorię, ale Beezer upierał się, że wcale nie mamy racji, bo przede wszystkim mydło Ivory unosi się na wodzie i nigdy nie opadnie na dno.

– To nie dowód, że staw jest bez dna – oświadczył.

Był wyraźnie zniesmaczony i bardzo zirytowany, i nie chciał więcej o tym rozmawiać z żadną z nas, więc w końcu porzuciliśmy ten temat i nigdy do niego nie wracaliśmy.

Beezer tak się zdenerwował tą całą sprawą, że Eva musiała ze mną o tym pomówić. W rezultacie rozmawiałyśmy bardziej o różnicach pomiędzy mną a Beezerem niż o słonym stawie.

– Są mistycy i są mechanicy – powiedziała Eva – i jedni patrzą na świat inaczej niż drudzy.



Tamtego lata, kiedy bawiliśmy się po ciemku w chowanego z Jackiem i Jay-Jayem, Lyndley zaczęła się zmieniać. Patrząc wstecz, zdaję sobie sprawę, że wiedziałam o tym jeszcze przed tamtym wieczorem. Kiedy Lyndley przyjechała na początku lata, było w niej coś dziwnego. Coś, czego nie potrafiłam nazwać. Nie zbiegła z łodzi i nie popędziła po rampie, nie złapała mnie i nie zaczęła się ze mną mocować jak zwykle, aż obie ze śmiechem wpadłyśmy do wody, żeby przytapiać się nawzajem. Zamiast tego pomachała z uśmiechem, ale zeszła na przystań jak dorosła. W ogóle nie biła się ze mną, tylko mnie uściskała.

– Och, Towner, ale wyrosłaś – powiedziała, chociaż to ona stała się dorosła, nie ja.

Powiedziała to ze smutkiem, całkiem jak starsza pani. Nawet głos jej się zmienił tamtego roku. Ślad południowego akcentu, który przywoziła każdego lata i traciła pod koniec, skryzalizował się i stał się bardziej afektowany. Wytknęłam jej to, ale odparła, że nie rozumie, o co mi chodzi.

Inni też nie rozumieli, o co mi chodzi. May niczego nie zauważyła, a z Beezerem nie dało się rozmawiać o takich rzeczach. Zupełnie jak w *Inwazji porywaczy ciał*, jakby ktoś zastąpił Lyndley sobowtórem sklonowanym z kosmicznego zarodka i ten sobowtór nie umiał się zachowywać jak człowiek. Wiedziałam, co powinnam zrobić: powiedzieć komuś, że to nie moja siostra, zażądać, żeby oddali mi Lyndley... ale nie wiedziałam, komu powiedzieć. Ciocia Boynton i Cal zachowywali się dziwnie jak zawsze, więc wiedziałam, że na pewno nie zastąpiły ich klony. Później, kiedy już się skończyło to zwariowane lato, opowiedziałam o tym Evie i przynajmniej mnie wysłuchała, chociaż nie wyciągnęła żadnych wniosków, w każdym razie ze mną się nimi nie podzieliła. Wiedziałam, że nie uwierzyła w inwazję kosmicznych zarodków, bo nawet nie oglądała tego filmu. A jednak to Eva najbardziej zbliżyła się do zrozumienia, jak zawsze.

– Kim jest Lyndley, tak naprawdę? – zapytała mnie Eva, kiedy skończyłam perorować.

Często zadawała mi takie niezwykle pytania, więc się nie dziwiłam. Ale nie zależało mi na tej akurat odpowiedzi, więc nawet nie próbowałam odpowiadać. Zamiast tego rzuciłam jej spojrzenie pełne frustracji.

– Pomyśl o tym. – Tylko tyle powiedziała.

Eva miała swoje sposoby, żeby pokazać mi sprawy w innym

świcie, co pomagało mi się rozeznąć w sytuacji. Naprawdę zmuszała mnie do myślenia. Dużo myślałam o Lyndley. Dopiero po kilku dniach zrozumiałam, o co chodziło Evie. Szybka odpowiedź, odpowiedź udzielona każdemu, kto pytał, brzmiała: Lyndley to moja siostra bliźniaczka i znam ją od urodzenia.

Ale prawdziwą odpowiedź nie tak łatwo sformułować. Ponieważ właściwie zaczęłam poznawać moją siostrę dopiero w wieku trzynastu lat. Moja matka oddała ją wkrótce po urodzeniu, zapakowała ją jak prezent i podarowała swojej przyrodniej siostrze, mojej ciotce Emmie Boynton, która nie mogła mieć dzieci. Chociaż pragnęłam poznać siostrę bliźniaczkę, wcale jej nie znałam. Mieszkali na południu, gdzie Cal, mąż Emmy, zarabiał na życie, startując w regatach żaglówek. Dlatego wcale nie znałam Lyndley, dopóki nie skończyłam trzynastu lat i Boyntonowie zaczęli spędzać tutaj lato, kiedy Cal pływał w barwach Eastern Yacht Club w Marblehead.

Boyntonowie spędzili w Nowej Anglii pięć sezonów letnich, czyli w sumie trochę więcej niż rok. Jeśli wyliczyć to arytmetycznie, jak mógłby zrobić mój brat Beezer, gdyby Eva zadała mu to samo pytanie, sprawa zaczyna wyglądać całkiem inaczej. Lyndley spędziła większość życia z dala ode mnie. Więc kiedy Eva zapytała mnie, kim naprawdę jest Lyndley, przyszło mi na myśl kilka odpowiedzi i w końcu odkryłam, że właściwie nie wiem. Wszystkie zdarzenia, które ukształtowały moją siostrę, które wpłynęły na jej życie, rozegrały się poza mną, w życiu, do którego nie należałam. W nadchodzących latach sama niejeden raz zadawałam sobie pytanie Evy. Zanim Lyndley umarła, doszłam do przekonania, że właściwie wcale jej nie znałam.

Tego lata, kiedy po raz ostatni bawiliśmy się w chowanego, Lyndley zaczęła się spotykać z Jackiem LaLibertie. On i jego brat Jay-Jay kilka razy przyszli się z nami pobawić. Dużo miejscowych dzieci bawiło się z nami, włączając Jacka i jego młodszego braciszka. Jeśli doliczyć dzieciaki letników z wyspy Baker, zwykle w zabawie uczestniczyło dziesięcioro czy dwanaścioro dzieci, głównie chłopców. Zarówno Jack, jak i Jay-Jay już odstali swoje pod drzewem. Mieliśmy nowego kolegę, Williego Maysa, gwiazdora baseballu z Beverly High. Naprawdę nie nazywał się Willie Mays, ale dobrze biegał i wszyscy mówili, że pewnie przejdzie na zawodowstwo, i rzeczywiście przez jakiś czas grał zawodowo, ale nigdy nie wyszedł poza drugą ligę i nawet wtedy rzadko wychodził na boisko.

Wszyscy wiedzieli, że Jack się zabujał w Lyndley. Tamtego lata miała szesnaście lat, a Jack siedemnaście, chociaż wyglądał na starszego. To dlatego, jak mówiła Lyndley, że spędzał tyle czasu na słońcu, pracując na łodzi ojca. Był fantastyczny. Widywaliśmy go przedtem, LaLibertie mieli kilka pułapek w pobliżu Back Beach i Jack je przejął, kiedy jego ojciec wpadł w kłopoty z powodu postrzelenia kłusownika, co wówczas nadal było legalne w stanie Massachusetts, ale źle widziane. Uśmiechnął się raz do nas, kiedy razem z Lyndley podglądałyśmy go z brzegu, i o mało nie padłyśmy z wrażenia.

Tamtego lata Cal zaczął pić nałogowo, więc bawiliśmy się tylko „jeśli pogoda pozwalała”, co naprawdę znaczyło: „jeśli Cal pozwalał”. Urządzaliśmy zabawę wyłącznie pod nieobecność Cala, którego i tak najczęściej nie było. Miał pokój w Eastern Yacht Club i zwykle tam nocował, ponieważ stawiali mu drinki, dopóki dla nich zwyciężał. Zachęcali go, żeby został w klubie, bo wtedy przynajmniej mieli nad nim jakąś kontrolę

i wiedzieli, że zjawi się następnego dnia na regatach. Poza tym mogli mu rozcieńczać drinki, jeśli za bardzo się zalał. Tak mi powiedziała Lyndley. Nie wiem, skąd ona wiedziała.

Więc „dobra pogoda” zaczęła się przekładać na to, czy i kiedy rampa jest spuszczone. Dzieciaki szybko się zorientowały. Nie wiem, czy się połapały, że rampa jest spuszczone tylko wtedy, kiedy łódź Cala nie cumuje przy naszym pływającym pomoście. Jeśli tak, nikt o tym nie wspomniał ani słowem, przynajmniej w mojej obecności.

Jak się okazało, przez cały tamten lipiec bawiliśmy się prawie co wieczór. Ostatnim razem mieliśmy szesnaścioro uczestników, w tym dziewczynkę z innej przybrzeżnej wyspy, żeglarzkę, którą Beezer poznał w Pleon, dziecięcym jachtklubie. Właściwie była za mała na zabawę, ale ją przyjęliśmy, żeby wyrównać niedobór płci żeńskiej. Kiedy mieliśmy dwójkę nowych, zwykle rzucaliśmy monetą, kto zostanie na stojce, ale w tym roku wypadło oczywiście na Williego Maysa, bo dziewczynka była za mała i nie mogliśmy jej zostawić samej w ciemności.

Jay-Jay i Beezer bardzo się zaprzyjaźnili. Tak bardzo, że Beezer pokazywał Jay-Jayowi niektóre swoje kryjówki, całkowicie wbrew zasadom, ale pozwalaliśmy mu na to, bo zawsze pozwalaliśmy Beezerowi na wszystko. Zresztą i tak najlepsze kryjówki ja i Lyndley zatrzymałyśmy dla siebie.

Jeśli nie chowałyśmy się razem, co często robiłyśmy, stosowałyśmy podział terytorialny. Ona miała zachodnią stronę wyspy, obok boiska do baseballu, a ja całą resztę za słonym stawem. Ona lepiej sobie radziła, bo jej teren znajdował się dalej i szukający zwykle nie odchodzili tak daleko od domu, żeby inni gracze nie zaczęli zaklepywać. Ja miałam niniejszy

teren, ale lepsze kryjówki. Wdrapywałam się na jeden konar, gdzie nikt mnie nigdy nie złapał, nawet Lyndley. Przechodziła pode mną tam i z powrotem, rozglądała się dookoła, ale nigdy nie pofatygowała się, by spojrzeć w górę, chociaż siedziałam zaledwie kilka stóp nad jej głową.

Tamtego wieczoru rozegraliśmy już sześć rund, sporo jak na nas, zwłaszcza że mieliśmy wielu graczy i długo trwało, zanim wszyscy zakleпали. Postanowiliśmy już, że to Willie Mays zostanie na stojce, ale nie mogliśmy go złapać, więc Jack sam dał się złapać, żeby wystawić Williego. Jack kazał nam wszystkim się schować, aż Willie Mays zaklepie. Potem Jack policzył do stu, zgasił latarkę i po prostu siedział przy drzewie, czekając na Williego. Trochę to trwało, ale w końcu Mays przybiegł zaklepać, a wtedy Jack, który usłyszał jego kroki, wstał, oświetlił go latarką i zaklepał. Potem, zanim Willie zdążył zaprotestować, Jack zawołał: „Koniec, wychodzić”, wszyscy wyszli z kryjówek i zakleпали przy drzewie.

Jeśli Willie wiedział, że go wystawiono, nie dał nic po sobie poznać. Przyjął porażkę w sportowym duchu, podszedł do drzewa i zaczął odliczać. Wszyscy wymieniliśmy spojrzenia, które mówiły: „Dobra, zabawa skończona”, i zwyczajnie poszliśmy do domu. Dzieciaki z miasteczka i innych wysp ruszyły do swoich łodzi. Każdy rozumiał, że musi przepłynąć na wiosłach obok małej wysepki do kanału, zanim zapuści silnik, bo dźwięk się niesie po wodzie i nie chcieliśmy, żeby Willie Mays się zorientował.

Beezer i ja poszliśmy do domu bez słowa, ale kiedy dotarliśmy na miejsce, w pokoju May paliło się światło i nie chciałam wejść do środka.

– Ty idź – powiedziałam.

– Dokąd idziesz?

Widziałam, że Beezer się martwił. Taki przyjął *modus operandi* tego lata. Martwił się o mnie i denerwowało go wszystko, co robię.

– Po prostu nie chcę jeszcze wracać do domu.

– Nie możesz po prostu sobie pójść, wiesz, jak ona tego nie znosi.

– Ona się nie dowie.

– Światło się u niej pali. Jeszcze nie poszła spać.

– Ale nie wyjdzie z pokoju.

– Taak, a jeśli wyjdzie?

– Powiedz jej, że wróciłeś wcześniej. Powiedz, że zabawa jeszcze się nie skończyła.

– No, nie wiem – bąknął. – Powinnaś zostać.

– Przecież wrócę, na litość boską.

Zaczęłam się wkurzać i on to zobaczył.

Spojrzał na dom Lyndley, myśląc, że tam się wybieram.

– W ogóle nie powinnaś tam chodzić – dodał.

– Ale pójdę.

Rzucił mi następne zmartwione spojrzenie.

– Nawet go nie ma w domu – powiedziałam, mając na myśli Cala.

Wiedział o tym, ale się nie rozchmurzył.

– Powiem jej, że jeszcze się bawisz – oznajmił, jakby sam wpadł na ten pomysł.

– Grzeczny chłopiec.

– Nie bądź złośliwa – zwrócił mi uwagę. – Ja tylko próbuję cię chronić.

Poczułam się wtedy paskudnie, bo wiedziałam, że mówi prawdę. Chociaż nie bałam się gniewu May. Od dawna przestałam się bać matki.

Rzucił szybkie, zmartwione spojrzenie w stronę przystani, potem odwrócił się i wszedł do domu, gasząc światło na ganku, jakbym ja też wróciła. Bystry dzieciak, dobry dzieciak. Siedziałam przez chwilę na ganku, żeby się upewnić, czy horyzont jest czysty. Potem zdecydowałam, że przejdę się do Lyndley i spróbuję ją wyciągnąć na przejażdżkę do Willows. Czasami tak robiłyśmy, kiedy wystarczało nam odwagi, żeby się wymknąć z domu. Czasami jeździłyśmy elektrycznymi samochodzikami albo wygrywałyśmy pieniądze w grze papierosowej, bo chociaż gracze musieli mieć ukończone osiemnaście lat, faceci z obsługi nas lubili i nigdy nie sprawdzali naszych dowodów tożsamości.

Postanowiłam przejść ścieżką od tyłu, bo widziałam snop światła latarki przecinający drogę, co znaczyło, że Willie Mays tam idzie i zaczyna nas szukać. Kiedy skręcił w stronę słonego stawu, przebiegłam na przełaj przez wydmy do normalnej ścieżki. Zanim dotarłam do ganku Boyntonów, zdjęłam tenisówki. Widziałam stąd ciocię Boynton, jak siedziała przy oknie i czytała przy świecy. Pomyślałam, że Lyndley jest na górze. Oczywiście mogłam podejść do frontowych drzwi i zapukać, ciocia ucieszyłaby się z mojej wizyty. Ale chciałam, żeby Lyndley się wymknęła z domu, bo ciocia Boynton nigdy nie puściłaby nas do miasta, w każdym razie nie tak późno. Poza tym Cal w ogóle nie pozwalał Lyndley chodzić do Willows. Na palcach przekradłam się do tylnego wejścia. Drzwi siatkowe były zamknięte na haczyk. Znalazłam cienki kijek, wsunęłam go w szparę w drzwiach i podniosłam haczyk tak zręcznie, że nawet nie brzęknął.

Weszłam po tylnych schodach. Wiedziałam z doświadczenia, że trzeci stopień od góry skrzypi, więc nad nim przestąpiłam. Zanim dotarłam na górę, zobaczyłam, że w pokoju

Lyndley jest ciemno. Nic dziwnego: Lyndley nigdy nie zapalała świec, bo chciała, żeby wszyscy myśleli, że już śpi. Podeszłam do jej łóżka. Nie znalazłam jej. Wiedziałam, że nie ma jej na dole, bo zaglądałam przez okna. Pomyślałam, że poszła do łazienki, więc usiadłam na łóżku i czekałam na jej powrót.

Siedziałam tak przez jakieś pięć minut, kiedy usłyszałam kogoś na ganku. W pierwszej chwili pomyślałam, że Lyndley została odcięta i musiała obchodzić przez Back Beach, żeby ominąć Williego Maysa, ale pokazała mi uniesiony kciuk i widziałam, że odeszła w stronę domu, więc się zdziwiłam. Potem usłyszałam na dole głos Cala i zamarłam.

Głos miał donośny, wkurzony i bardzo, bardzo pijany. Wściekał się o coś i dopiero po chwili zrozumiałam, że chodzi mu o Williego Maysa, chce wiedzieć, czyja łódź cumuje na przystani. Ciocia Boynton zaklinała się, że nie wie, co go wcale nie uspokoiło.

– Gadaj, kto to jest! – ryczał jak zazdrosny mąż, który podejrzewa, że żona ukrywa mężczyznę w szafie czy pod łóżkiem. Bałam się, że ją uderzy, co już się zdarzyło niejedną raz. Chciałam, żeby Lyndley wróciła, bo nie miałam pojęcia, co robić. Chciałam nawet wyskoczyć przez okno, byle tutaj nie zostać. Wiedziałam, na co się zanoszę, i zdawałam sobie sprawę, że nie polepszę sytuacji, jeśli Cal mnie tutaj znajdzie. Liczyłam, że uda mi się wyskoczyć i uciec, ale okno było wysoko i na dole sterczał duży skalny występ. Pomyślałam jednak, że powinnam przynajmniej uciec i sprowadzić May. Najlepiej tylnymi schodami.

I wtedy to się stało. Rozległ się donośny trzask i na chwilę zapadła cisza. Czekałam na krzyk cioci, ale nic nie słyszałam. Potem rozbrzmiały kroki i nagle, zanim się zorientowałam, Cal wszedł na piętro i zbliżał się do tego pokoju, szukając Lyndley.

Zaskoczył mnie, bo przyszedł w mgnieniu oka. Nigdy nie widziałam, żeby Cal poruszał się tak szybko. Zrozumiałam, że napędzał go gniew. Czułam jego furię nawet z daleka. Mogłam dotknąć jego myśli, gdybym chciała, ale nie chciałam za nic w świecie, bo nawet stąd wyczuwałam, że to ciemne, okropne myśli, i zrobiło mi się niedobrze.

Powstrzymałam impuls, żeby rzucić się do ucieczki. Za późno. Nie zdążę już dobiec do tylnych schodów, nie zdążę go prześcignąć. Ale po drugiej stronie pokoju było otwarte okno, zasłony falowały łagodnie na wietrze jak w każdą inną noc, kiedy nie dzieje się nic złego. Za oknem widziałam ocean, cały czarny i rozmigotany w blasku księżycy; na skutek jakiejś sztuczki perspektywy wydawał się tak bliski, jakbym mogła z okna zanurkować prosto w tę piękną wodę i odpłynąć, ale oczywiście nie mogłam ze względu na skały. Wolałam jednak zaryzykować spotkanie ze skalnym urwiskiem niż z Calem i okropną ciszą na dole, gdzie powinien się rozlegać głos cioci Boynton. Przez sekundę o mało naprawdę nie wyskoczyłam pod wpływem paniki, ale coś mi kazało nie ruszać się, stać w cieniu, opierając się plecami o ścianę obok wielkiej starej szafy. Cal nie mógł zapalić światła, ponieważ w tym domu nie było elektryczności. Widziałam już, że nie zabrał z sobą latarki ani nawet świecy. I wiedziałam, że Lyndley nie ma w domu. Bo inaczej zbiegłaby na dół albo złapałaby nóż czy cokolwiek i rzuciła się na Cala.

„Nie odzywaj się” – usłyszałam głos w głowie i wiedziałam, że nie mam innego wyjścia. Przycisnęłam plecy do zimnej ściany, wbiłam spojrzenie w okno i ze wszystkich sił pragnęłam znaleźć się gdzie indziej. I nagle poczułam go w pokoju.

Cal wielkimi krokami podszedł do łóżka Lyndley i dosłownie je rozszarpał, aż koce i poduszki i fruwały w powietrzu.

Wyrzucał z siebie plugawe przekleństwa, wszystkie najgorsze słowa, jakie znałam, i kilka, których nie znałam.

– Kurwa, gdzie ona jest?! – na wpół warknął, na wpół wrzasnął na ciotkę, ale od strony schodów nie doleciał żaden dźwięk.

Cal cisnął na podłogę podstawkę na świecę z rżniętego szkła, która roztrzaskała się na kawałki. Odłamek szkła trafił mnie w nogę i przez minutę piekło, a potem poczułam wilgoć w miejscu, gdzie ranka zaczęła krwawić. Nie mogłam sięgnąć w dół ani nic i miałam tylko nadzieję, że Cal nie potrafi zwęszyć krwi jak pies ani zwęszyć strachu.

– Ladacznica! – ryknął nad pustym łóżkiem. – Kusicielka i ladacznica!

Okręcił się na pięcie, jakby wyczuł czyjaś obecność. Próbowalam o niczym nie myśleć, żeby stać się niewidzialna. Mocno zacisnęłam powieki, żeby zablokować myśli. „Nie ruszaj się, nawet nie oddychaj” – powiedział głośno i nagle w głowie poczułam pustkę.

Udało się. Następne, co pamiętam, to Cal zbiegający po schodach i wypadający frontowymi drzwiami.

Niemal sfrunęłam po tylnych schodach i wyskoczyłam z domu, zanim jeszcze dotarł na ganek. W przelocie spojrzałam w okno salonu i zobaczyłam ciocię Boynton siedzącą na kanapie, wyprostowaną, ale oszołomioną. Z boku twarzy spływała jej krew. Próbowwała wstać, ale niepewnie, przytrzymując się oparcia kanapy. Poznałam po wyrazie jej twarzy, po zgrozie w oczach, że myślała o Lyndley i co się stanie, jeśli Cal ją złapie. Nawet ranna, zachowała silny instynkt macierzyński. Ale nie była wystarczająco silna, nigdy.

Dotarła do drzwi, wyszła na ganek, wołała go, krzyczała, żeby zostawił Lyndley w spokoju, że to nie tak, jak myśli, że

przedtem go okłamała, kiedy mu powiedziała, że Lyndley nocuje poza domem. Pozwoliła Lyndley pójść się pobawić, nic więcej.

– Na litość boską – wrzeszczała za postacią szarżującą po ścieżce – na litość boską, to tylko dzieci!

Ale wołała pod wiatr, zresztą i tak miała słaby głos. Nie niósł się daleko. Poza tym Cal już zniknął.

Nie wierzyłam, że Lyndley jeszcze uczestniczy w zabawie. Dała mi znak, że wraca. Pomachałyśmy sobie na pożegnanie i widziałam, jak odchodziła w stronę domu.

To nie miało sensu. Nawet Willie Mays już przerwał zabawę. Z ganku widziałam, jak schodził po rampie, światło latarki podskakiwało, kiedy wsiadł do skifu i zapuścił silnik. Widziałam światła pozycyjne, kiedy odbijał od przystani. Przez chwilę żałowałam, że Lyndley z nim nie odpłynęła, że nie uciekła przed Calem, przynajmniej na jakiś czas. Ale nie uciekła. Nadal gdzieś się chowała i to Cal ją znajdzie, jeśli szybko czegoś nie zrobię.

Sprawdziłam we wszystkich zwykłych miejscach: w jaskini na Back Beach, gdzie mieszkały psy. Sprawdziłam słony staw, nawet nie jej teren, gdzie jednak czasami przychodziła, kiedy chciała oszukiwać, czyli bardzo często. Szukałam jej nawet w kamiennej psiarni i pustej przestrzeni pod ceglany budynkiem szkolnym, chociaż tamto miejsce należało do moich ulubionych, nie Lyndley. Przez cały czas próbowałam wysłać jej sygnały myślowe, co zwykle się udawało, jeśli była dostrojona; ale ona nie słuchała, nie tamtej nocy.

Wreszcie wdrapałam się na skały przy wieży ciśnień. Widziałam mewy wzbijające się w powietrze spod nóg Cala, kiedy minął kubły na śmiecie na końcu przystani. Ruszył ścieżką prowadzącą do sosnowego zagajnika. Modliłam się, żeby

Lyndley chociaż raz nie oszukiwała i schowała się na własnym terenie.

Ogarniała mnie rozpacz. Musiałam ją znaleźć przed Calem, ale ona była najlepsza z nas w tej zabawie i nie miałam pojęcia, gdzie się schowała. Wtedy zrobiłam coś dziwnego. Zamiast patrzeć w dół, podniosłam wzrok na gwiazdy. Wpatrywałam się w nie, aż przestałam je widzieć i wszystko rozmyło się w koronkowy wzór, a potem gwiazdy całkiem znikły. Wtedy, kiedy wszystko odpłynęło, wzięłam tę zamazaną wizję i przywróciłam jej ostrość. A gdy to zrobiłam, gdy znowu skupiałam wzrok, widziałam Cala w czerwonym budynku szkolnym i nawet słyszałam, jak woła ją przez zamknięte drzwi. Widziałam moją matkę May, która zasnęła w pokoju nad książką, widziałam Beezera siedzącego przy stole w salonie i próbującego nie zasnąć, dopóki nie wrócę. Widziałam ciocię Boynton siedzącą na najwyższym stopniu ganku, zbyt oszołomioną, żeby wstać, trzymającą się poręczy. Widziałam żółte psy, setki zwierząt śpiących w jaskiniach na Back Beach, jedno przy drugim, jakby ktoś rzucił żywy dywan z sierści na kamienistą plażę. Widziałam całą wyspę w kształcie ósemki, domy, klify i ocean dookoła. A potem za boiskiem baseballowym, w następnym zagajniku drzew, zobaczyłam jakiś rozjarzony punkt. Nie miałam pojęcia, co tam się żarzy, może Lyndley zapaliła papierosa, bo czasami chodziła tam zapalić, do starego wraku samochodu. Księżyc oświetlał całą wyspę, ale tam wyraźnie coś się żarzyło. Nie mogło być bardziej oczywiste, gdyby nawet gwiazda przewodnia spadła z nieba i wskazała samochód wielką migającą strzałką z napisem: LYNDLEY! LYNDLEY! LYNDLEY!

Zlazałam ze skał i pobiegłam na drugi koniec wyspy, do samochodu. Spieszyłam się, bo wiedziałam, że lada chwila

Cal opuści czerwony budynek szkoły i zawróci w stronę boiska.

Przebiegłam boisko na skos. Brakowało mi tchu. Potknęłam się, zawadziłam stopą o króliczą norę i o mało nie upadłam, ale biegłam z taką szybkością, że stopa nie utknęła głęboko, więc jakoś złapałam równowagę i pędziłam dalej. Zbliżałam się i wyraźnie widziałam samochód, dwa tylne koła zagrzebane w ziemi. Ojciec May i jego przyjaciele przywieźli go tutaj na barce, a kiedy ugrzązł na środku pola, porzucili go na zawsze. Trawa rosła wokół sflaczałych, przegniłych opon, nawet na samym kole, jakby samochód dosłownie wyrósł tutaj z ziemi i tutaj umarł, i powracał do natury.

Kiedy dotarłam do samochodu, szyby były całe zaparowane. Sięgnęłam po klamkę, linię mety. Szarpnięciem otworzyłam drzwi.



W pierwszej chwili nie rozumiałam, co widzę. Ręce i nogi poruszają się, próbują usiąść. Potem dotarło do mnie, że patrzę na Lyndley i że nie jest sama.

– Cholera, Towner, zamknij drzwi! – warknęła Lyndley i zobaczyłam, że Jack szuka ubrania i usiłuje się okryć.

– Cal wróci! – wydyszałam.

Z tonu mojego głosu Lyndley poznała, że jest źle. Potem jak idiotka rzeczywiście zamknęłam drzwi i czekałam na nich, bardziej zaszokowana tym, co widziałam, niż zagrożeniem ze strony Cala.

Kij baseballowy opadł ciężko, roztrzaskał przednią szybę samochodu, odłamki szkła rozprysły się dookoła. Lyndley krzyknęła, ranna, krwawiąca, a potem nagle Jack wyskoczył

z samochodu, gotów za nią walczyć. Gotów zabić Cala, jeśli trzeba, bardziej niż gotów.

Cal cofnął się w cień, czekał na następny ruch przeciwnika. Musiałam szybko coś zrobić. Widywałam już napady szалу Cala. I czułam instynktownie, że jeśli dojdzie do walki na śmierć i życie, zginie Jack, nie Cal.

Pobiegłam szybko jak nigdy w życiu. Pobiegłam po May, po jej broń.



May stała zamrożona w czasie i przestrzeni, z bronią wyceLOWANĄ w Cala.

– Ubierzcie się – poleciła.

Lyndley i Jack pospiesznie sięgnęli po ubrania.

– To jego powinnaś zastrzelić – oświadczył Cal.

Ale May nie słuchała, patrzyła na kij baseballowy wiszący u jego boku.

– Całkowicie się mylisz – powiedział Cal, szukając luki. – Ja tylko próbowałem jej bronić. Nie masz pojęcia, co się tutaj działo.

Jack naciągnął koszulę.

– Wracaj do domu – rozkazała mu May.

Jack zaczął protestować, ale May nie chciała słuchać.

– Jesteś odrażający – powiedział do niego Cal. – Ty śmieciu!

Widziałam, jak na karku Jacka napinają się mięśnie. Obrócił się w stronę Cala.

May trzymała karabin wymierzony w Cala, ale zwracała się do Jacka:

– Idź!

Jack zaczekał, aż Lyndley kiwnie głową, złapał kurtkę i

ruszył na przystań. Sporo go kosztowało, żeby ją zostawić, ale usłuchał.

– Śmiało, strzelaj – powiedział Cal do May. – Powieszę cię. Ciebie i całą twoją cholerną rodzinę.

Nawet kiedy to mówił, wiedział, że to nieprawda.

May odwidła kurek. Zamierzała to zrobić.

A potem zobaczyłam ciocię Boynton. Przechodziła przez wzgórze. Poruszała się z trudem. Tylko siłą woli. Szczeka jej zwisała dziwacznie na bok, krew spływała z boku posiniaczonej twarzy. Stała jak wryta, kiedy nas zobaczyła.

– Nie – jęknęła. – O Boże, proszę, nie.

Cal dostrzegł swoją jedyną szansę. Rozegrał to po mistrzowsku. Z troską i skruchą. Jakby nie wierzył własnym oczom. Prawie się spodziewałam, że ją zapyta, kto jej to zrobił. Jaki potwór?

– O Boże – powiedział. – O mój Boże, Emma.

Płakał prawdziwymi łzami.

Zrobił krok w stronę mojej ciotki.

– Nie dotykaj jej – ostrzegła May, unosząc broń.

Cal zamarł. Wiedział, że posunął się za daleko.

Ciocia Boynton weszła pomiędzy nich, resztką sił próbowała chwycić karabin, upadła.

May ją podniosła. Nie Cal. Zareagowała instynktownie. Od-ruchowo. Jak każdy porządny człowiek.

Ja złapałam broń. Chciałam go wykończyć. Ale zanim wy-celowałam, Cal zniknął.

– Nigdy tutaj nie wracaj – krzyknęła za nim May – bo przysięgam, że cię zabiję!

Ale było za późno. Straciła szansę. Stałyśmy razem w mar-twym punkcie. Gdzie łączą się przeszłość, przyszłość i teraz-niejszość. Na mgnienie ujrzałyśmy przyszłość. Jak mogłyśmy

ją zmienić, gdybyśmy wykorzystały szansę, którą nam dano. Ale potem, jak wszystkie wizje, ta też zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, i pozostała nam tylko rzeczywistość.

I ciocia Boynton na ziemi, z wybitą szczęką. Należało zająć się bieżącymi sprawami. Nie w przyszłości, ale tu i teraz.



Ciocia Boynton miała złamaną szczękę, podbite oczy i liczne rany szarpane. Założono jej siedemnaście szwów na lewą powiekę i policzek. Lekarze w szpitalu skierowali ją do chirurga plastycznego, ale nigdy tam nie poszła. Nie zgodziła się wnieść oskarżenia. Matka chciała wystąpić w jej imieniu, ale nie była naocznym świadkiem, a chociaż tamtej nocy byłam w domu i słyszałam, co się działo, technicznie biorąc, też nie byłam świadkiem naocznym, zwłaszcza że ciotka wszystkiemu zaprzeczyła. Zeznała na policji, że pośliznęła się i spadła ze schodów. Eva i May naciskały na władze, jak tylko mogły, próbowały uzyskać przynajmniej zakaz zbliżania się dla Cala, lecz bez współpracy ze strony ciotki nie miały szans. Cal był miejscowym bohaterem. Zarówno Salem, jak i Marblehead rościły sobie do niego prawo, wszyscy stawiali na niego w następnych regatach o Puchar Ameryki. Marblehead potrzebowało tego zwycięstwa, ponieważ szybko traciło reputację światowej stolicy jachtingu na rzecz Newport i San Diego. Za kilka dni Cal i tak wracał na Florydę, więc policja uznała, że „już po kłopotcie”. Rozmawiali z nim i jak twierdzili, zapewnił ich, że zostanie w klubie, aż przyjdzie czas odpłynąć.

Za zgodą cioci Boynton Eva pociągnęła za różne sznurki i umieściła Lyndley w szkole panny Porter. Cal się wściekał,

groził Evie, groził mojej matce. Pewnej nocy wezwano policję, kiedy sąsiad usłyszał, jak Cal wrzeszczy przed domem Evy, ale Eva powiedziała policjantom, że wszystko w porządku, że tylko „odbyli małą pogawędkę” z Calem. Zaprosiła go do środka i poczęstowała filiżanką herbaty.

Podczas tej „małej pogawędky” Eva przypomniała Calowi, że ma drugą hipotekę na jego domu na Florydzie, niefortunna okoliczność, która stała się koniecznością, kiedy nie wypaliły pewne finansowe przedsięwzięcia Cala i jego kumpli od żeglowania. Eva zapewniła Cala, że szkoła panny Porter pomoże utemperować Lyndley, która rzeczywiście ostatnio się rozpuściła. Ponadto Eva zwróciła Calowi uwagę, że raczej nie wystarczy mu czasu na opiekowanie się córką, kiedy zostanie kapitanem załogi w Pucharze Ameryki. Przypomniała mu, że to jego jedyna szansa na sławę.

– Okazja tylko raz puka do drzwi – tak mu powiedziała.

Przy tych słowach spuściła wzrok na koronkę i nawet Cal nie potrafił ukryć przejęcia.

– Co widzisz? – Musiał wiedzieć.

– Widzę, że nie możesz się rozpraszać, że to twoja wielka szansa, żeby naprawdę się wyróżnić.

– Ale czy wygram? – Nie mógł się powstrzymać, żeby nie zapytać.

Eva tylko uśmiechnęła się do niego.

– Tego ci nie powiem – odparła. – Gdybym ci powiedziała, zepsułabym całą zabawę, prawda?

W końcu Cal zgodził się, żeby Lyndley chodziła do szkoły panny Porter, pod warunkiem że Eva opłaci chesne i inne wydatki, co mu obiecała. Ale zapowiedział, że następnego lata, kiedy wygra puchar, wyciągnie córkę z tej cholernej szkoły, żeby ostatni rok nauki spędziła w domu.

– Oczywiście – powiedziała Eva, jakby nie miała nic przeciwko temu. – Jak już zdobędziesz Puchar Ameryki, cała rodzina powinna być razem.

Nie wiem, czy się przejęzyczyła, czy umyślnie mówiła dwuznacznie, ale Cal właśnie to chciał usłyszeć.

– Albo – ciągnęła – sława otworzy przed tobą nowe możliwości.

Teraz go zaintrygowała.

– Jakiego rodzaju możliwości?

– Nigdy nie wiadomo – odparła. – Może coś na zachodzie. Albo w mediach.

Połknął haczyk.

– Mamy cały rok do namysłu – zakończyła.

Cal wyszedł od Ewy, uśmiechając się do siebie. Kilka dni później opuścił miasto pod eskortą policji i ze stosowną pompą, uroczyście żegnany przez kluby, które go sponsorowały, ale bez słowa pożegnania z rodziną, co w danych okolicznościach odpowiadało wszystkim.

Lecz jego nowa pewność siebie nie trwała długo.

May przygotowała w naszym domu pokój dla Emmy, którą traktowała bardziej jak rodzoną siostrę niż przyrodnią. Dom cioci Boynton nie był zabezpieczony na zimę i gdyby chciała zostać na północy, musiałyby zamieszkać u nas albo u Ewy. Moja matka bardzo się cieszyła, że ma gościa, toteż nikt nie ośmielił się nawet napomknąć, że bardziej logiczny wydawałby się dom Ewy. Ostatecznie to Eva była matką Emmy. Lecz May za bardzo się zaangażowała. Opatrywała rany ciotki. Robiła dla niej koktajle mleczne, dopóki nie wyjęto jej drutów ze szczęki. Nigdy nie widziałam May tak szczęśliwej, jak podczas tych kilku tygodni, kiedy opiekowała się moją ciotką. May wprawdzie

nie była najlepszą matką, ale (jak się wydawało) była urodzoną pielęgniarką.

Potem zaczęły się zmiany. Na tydzień przed Świętem Pracy motorówka z jachtklubu przywiozła na wyspę list. Zaadresowany do mojej ciotki i zapieczętowany woskiem z emblematem jachtklubu. Przekonana, że to jakieś zaproszenie w rodzaju tych, które otrzymywałam z okazji rozmaitych imprez, osobiście dostarczyłam jej list.

Owszem, to było zaproszenie, ale nie takie, jakiego się spodziewałam. „Wróć do mnie. Niech Bóg mi będzie świadkiem, że nigdy więcej cię nie skrzywdzę. Nie chcę żyć bez ciebie”.

Nowo odnaleziona pewność siebie Cala przetrwała niecały tydzień.

Następnego ranka ciocia Boynton spakowała się do odjazdu. Wezwała wodną taksówkę, zanim jeszcze May wstała.

Matka dogoniła ją na przystani. Próbowwała odnieść bagaże z powrotem i musiała dosłownie fizycznie walczyć z Emmą. To przypominało zły film. Jedna rączka skórzanej walizki ciotki prawie całkiem się oderwała.

– Zostaw mnie w spokoju – warknęła ciocia Emma przez zaciśnięte zęby. – Puść mnie!

– Zwariowałaś! – oświadczyła May. – Nie wiesz, co robisz.

– On jest moim mężem.

– On tylko próbuje tobą manipulować.

– On mnie potrzebuje.

– Proszę.

– On mnie kocha.

Kobiety są takie głupie. Tak myślała May. Czytałam jej niedowierzanie, że do tego dojdzie. Musiała podnieść poprzeczkę.

- Tak samo jak „kocha” twoją córkę?
- Co to ma znaczyć?

Milczenie May powiedziało wszystko.

– Powiedz mi – nalegała ciotka. – Powiedz mi, co to miało znaczyć.

– Otwórz oczy – poradziła jej May.

– Jesteś chorą, zбочzoną kobietą – oświadczyła ciocia Boynton.

May milczała.

– Jesteś obrzydliwa – dodała ciotka.

– A ty jesteś ślepa.

Świat jakby zatrzymał się na chwilę, kiedy słowo wybrane przez May uderzyło w moją ciotkę.

– Nic dziwnego, że on nienawidził tego miejsca – powiedziała ciocia Boynton. – Nic dziwnego, że musiał odejść... Oskarżasz go o okropne rzeczy. Niewyobrażalne rzeczy.

– Jak długo on wytrzyma, zanim ją zabierze z tej szkoły? Tydzień? Miesiąc?

– Nie chcę tego słuchać.

– Przynajmniej pomyśl o swojej córce.

Ciotka chwyciła walizkę i wrzuciła do łodzi.

– No dobrze – powiedziała May. – Skoro chcesz się zachowywać jak idiotka, nie mogę cię powstrzymać. Ale nie pozwolę ci narażać dziecka.

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że jeżeli spróbujesz ją sprowadzić z powrotem, powstrzymam cię.

– I ty mówisz o narażaniu dziecka!

Spojrzała ponad moim ramieniem w stronę Beezera, który właśnie pojawił się na przystani, z inhalatorem w ręku.

– Chodź – powiedziała do mnie May i ruszyła z powrotem.

Nie poszłam za nią. Stałam na przystani i patrzyłam na moją ciotkę. Nie wierzyłam, że naprawdę odjeżdża, to się wydawało niemożliwe. Patrzyłyśmy na siebie i widocznie odczytała moje myśli, ponieważ pierwsza odwróciła wzrok, chwyciła naderwaną rączkę, zaciągnęła walizkę na koniec pomostu i zepchnęła do łodzi. Sternik ją złapał. Zobaczyłam, że zauważył sińce na twarzy ciotki, które zaczynały już zmieniać barwę z sinej na żółtą.

May obejrzała się, stojąc na końcu przystani.

– Chodź! – zawołała mnie i klasnęła jak na psa. – No już!

Poszła przodem. Beezer zaczekał na mnie. Znowu psiknął inhalatorem.

Beezer złapał mnie za ramię w samą porę, żebym nie wpadła do króliczej nory. Nigdy jeszcze nie widziałam tej nory, głębokiej i niebezpiecznej, dokładnie na środku ścieżki. Zdziwiłam się na jej widok. Myślałam, że znam położenie wszystkich króliczych nor, ale ta była nowa. Widocznie króliki wykopały ją zeszłej nocy, kiedy wszyscy spali.

Słyszałam, jak motorówka odbija, ale się nie obejrzałam. Próbowałam nie myśleć, co to znaczyło. Nie mogłam uwierzyć, że ciocia Boynton naprawdę odpływa. Nie mogłam uwierzyć, że to się skończy w ten sposób.

Zima i lato...

Lubię ten szpital. Dobrze mi tu. Czuję się bezpiecznie. Ale tak bardzo tęsknię za zapachem oceanu. Chciałam tylko to napisać.

Próbuję sobie przypomnieć, co się stało zeszłej zimy, ale nie

mogę. Większość pamięci straciłam wskutek terapii wstrząsowej. Pamiętam tylko okropne zimno i okropną samotność. Chyba wcale nie miałam wiadomości od Lyndley.

Pamiętam, że następnym razem zobaczyłam ją dopiero latem. Tego dnia, kiedy przyjechała, była piękna pogoda. Nareszcie było mi ciepło.

Gdy rok szkolny się skończył, Lyndley sama przyjechała do Salem.

Ponieważ ani Cal, ani ciocia Boynton nie pozwalali Lyndley zbliżyć się do May, moja siostra oficjalnie mieszkała u Ewy w pokojach, które później ja zajmowałam. Ale Lyndley i tak odwiedzała wyspę. Przez cały czas kursowała pomiędzy wyspą a stałym lądem i nikt dokładnie nie wiedział, gdzie zamierzała nocować danego dnia, więc nikt się o nią nie martwił, kiedy się nie zjawiała, co jej zdecydowanie odpowiadało. Gdy nocowała na wyspie, spała w pokoju, który May przygotowała dla cioci Boynton.

Nigdy przedtem ani potem nie widziałam jej takiej szczęśliwej. Była wolna. Lubiła szkołę i niecierpliwie czekała na ostami rok. Wypełniała ją lekkość, jakiej nigdy w niej nie dostrzegałam, wrodzona, nieskrępowana dzikość. Lyndley zawsze była ładna, ale teraz stała się zniewalająca. Podobnie jak kiedyś May. Początek legendy. Każdy szukał jej towarzystwa. Musiałam walczyć o swoje prawa.

– Pojedźmy na Harvard Square – zaproponowała Lyndley pewnego dnia, a ja skwapliwie skorzystałam z okazji. – Weź kurtkę – poradziła – później się ochłodzi.

Pojechałyśmy autobusem do Haymarket, co trwało wieczność, a potem tramwajem na Harvard Square. W mieście zrobiło się gorąco i Lyndley przehandlowała moją kurtkę zebrzącemu hipisowi za parę sandałów huarache z rzemyków, bo nogi

ją rozbolały, ale sandały okazały się o numer za duże, więc chodziła boso, dopóki nie weszliśmy do sklepu tytoniowego. Wtedy nałożyła sandały i człapała w nich, co brzmiało trochę jak cichutkie popierdywanie. Facetów za ladą to kręciło, ale facetów zawsze kręciło wszystko, co robiła Lyndley, bo była taka ładna; poza tym mieli przekrwione oczy, więc widocznie się naćpali, a wtedy wszystko wydaje się śmieszne. Co jakiś czas, kiedy pierdnęło naprawdę skandalicznie, Lyndley rumieniła się i mówiła: „Przepraszam” albo *Pardonnez-moi s'il vous plaît*, a oni mało nie pospadali z krzeseł. Zanim wyszliśmy, Lyndley dostała dwudziestoprocentowy rabat na jedwabne sari i całkowity rabat na bibułkę do papierosów, bo tamci udawali, że nie widzą, jak ją chowa do kieszeni. To jej uszło na sucho tylko dlatego, że obiecała dać jednemu z nich swój numer telefonu, niezły przekręt, skoro nawet nie miała telefonu. Miała nadzieję, że on zapomni, ale wyszedł za nami ze sklepu z długopisem, więc w końcu nabazgrała mu na ramieniu numer Ewy.

– Hej, jak się nazywasz?! – zawołał za nią, potykając się o krawężnik, kiedy usiłował odcyfrować gryzmoły na rękę.

– Eva Braun – odpowiedziała.

Lyndley uważała, że to bardzo zabawne, ale facet nie załapał dowcipu, a ja się nie śmiałam nie tylko dlatego, że wcale mnie to nie rozbawiło, lecz zaczęłam się wkurzać z powodu kurtki, chociaż i tak jej nie lubiłam. Jednak nawet ja wiedziałam, że nie oddaje się pięćdziesięciodolarowej kurtki za parę sandałów kosztujących dziesięć dolarów. To zwykła głupota.

Widziałam, że Lyndley w końcu też się zrobiło przykro z tego powodu, bo zabrała mnie do Marimekko, gdzie zamierzała

coś mi kupić, ale tamtejsze modele uznała za zbyt krzykliwe, przynajmniej tak mi powiedziała, więc poszliśmy do Pier 1 i kupiła dla nas dwie narzuty w indyjski deseń. Powiedziała, że ze swojej uszyje spodnie, bo Eva miała maszynę do szycia. Ale ja nie muszę szyć spodni ze swojej, zapewniła, mogę zatrzymać narzutę, jeśli wolę.

W następnym sklepie zobaczyłam naprawdę ładne kolczyki i pokazałam je Lyndley, która weszła i je również kupiła, ale nie dla mnie, tylko dla siebie. Znowu się wkurzyłam, bo przecież to ja je wypatrzyłam, nie dlatego, że nie kupiła ich dla mnie, już za dużo mi nakupowała, ale że w ogóle musiała je kupić. Kiedy mnie zapytała, co myślę, powiedziałam, że dobrze w nich wygląda, ale widziała, że jestem wściekła.

– Skąd masz tyle pieniędzy? – zapytałam.

– Eva daje mi kieszonkowe – odpowiedziała. – Nie wie, ile dzieci powinny dostawać, więc daje mi o wiele za dużo.

Popatrzyłam na nią. Wiedziała, że ją osądzam, wszystkie umiemy czytać w myślach, nawet Lyndley, która lubi udawać, że nie umie.

– Chodź, poszukamy kadzidła! – zawołała i złapała mnie za ramię.

Lyndley kupiła kadzidło z uroczynu czerwonego i purpurowy podkoszulek farbowany na nitki. Potem wstąpiłyśmy na ulung i earl greya do Tivoli i ona znowu zapłaciła, ale obie przyznałyśmy, że herbata nie jest za dobra, bo nie rozgrzewali imbryczków jak Eva, kiedy parzyła nam herbatę.

Wróciłyśmy autobusem do Marblehead i wysiadłyśmy przy Fort Sewall tuż przed zachodem słońca, kiedy wystrzały armatnie ze wszystkich jachtklubów budzą niezliczone echa. Zbiegłyśmy po schodach do whalera, którego przywiązałyśmy

na cudzym miejscu do cumowania. Na szczęście Łódź na nas czekała. Dotarliśmy na wyspę akurat wtedy, kiedy May pojawiła się na początku pomostu. Lyndley zgubiła jeden sandał, kiedy biegła po rampie, całkiem jak Kopciuszek, ale wróciła po niego, zamiast go zostawić dla jakiegoś księcia.

– Myślałam, że byliście w Salem – powiedziała do nas May i odgadłam, że obserwowwała, skąd płynie Łódź.

– W Marblehead – odparłam.

– Powiedziałaś, że wybieracie się do Salem.

– Wcale nie.

Popatrzyła na nas, potem na torbę i na jeden sandał Lyndley. Przez chwilę się bałam, że zechce zajrzeć do torby; miałam nadzieję, że Lyndley trzyma bibułki do papierosów w kieszeni, że ich nie przełożyła do torby, ale May ruszyła z powrotem po rampie.

– Następnym razem, kiedy się spóźnicie – ostrzegła – podniosę rampę i możecie przez całą noc spać na wodzie.

Moja matka była taka dziwna.

Rzeczywiście się ochłodziło i zaczęło padać. Przez następne kilka dni siedzieliśmy w domu i grałyśmy w remika z Beezerem, który zaczynał rzezić. Lyndley próbowała go zabawiać, rysując mu na rękach fałszywe tatuaże długopisem i pociągając je tuszem – feniksa na jednym ramieniu, rekina ludojada na drugim. Potem wyjęła szkicownik i rysowała Skybo leżącego na dywaniku, ale pies ciągle przebierał łapami przez sen, więc w końcu się zniechęciła i tylko wypisywała swoje imię rozmaitymi charakterami pisma, szukając takiego, który jej odpowiada.

W czwartek Lyndley już nie mogła usiedzieć na miejscu, a May potrzebowała produktów spożywczych i efedryny na

astnę Beezera, więc zaproponowałyśmy, że pojedziemy do miasta. Eva właśnie wychodziła, kiedy się zjawiliśmy, ale miała dla nas przygotowaną efedrynę i różne zioła, a także herbatę. Potem Lyndley zapytała, tak przy okazji, czy możemy pożyczyć trochę mebli z powozowni.

- Chcecie moje meble?
- Tylko stare graty. Starocie, których nie potrzebujesz.
- Po co?

Niemal widziałam, jak w głowie Ewy obracają się trybiki, szukając rozwiązania. Popatrzyła na mnie, żeby lepiej zrozumieć sytuację, ale ja nie miałam pojęcia, co zamierzała Lyndley, więc moje myśli niczego nie zdradziły.

– Chcemy urządzić na nowo nasz dziecięcy domek – wyjaśniła Lyndley. – Wygląda jak po przejściu huraganu.

Specjalnie użyła jednego z wyrażeń Ewy, żeby wkraść się w jej łaski. Eva jednak wciąż przyglądała nam się podejrzliwie, bo od lat nie zbliżyliśmy się do domku. Patrzyłam, jak rozważa ten pomysł.

– W powozowni leżą jakieś stare graty. Jeśli chcecie je wyciągnąć, wasza sprawa. Oszczędzę sobie kosztów wywiezienia.

Lyndley pocałowała ją w policzek.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję! – zawołała i ruszyła do drzwi. – Jesteś wspaniałą kobietą i wielką Amerykanką.

Eva zatrzymała ją, jakby coś sobie przypomniała.

– Jeszcze jedno – powiedziała. – Wczoraj wieczorem dzwonił jakiś młody człowiek i zaprosił mnie na randkę. Zakładam, że szukał ciebie.

Lyndley przystanęła.

– Co mówił?

– Mówił, że poznał mnie w jakimś sklepie w Cambridge i że może „skołować brykę na czwartek wieczorem”, gdybym chciała gdzieś wyskoczyć i „strzelić w płucko”.

– A ty co odpowiedziałaś? – dociekała Lyndley, powstrzymując śmiech.

– Powiedziałam, że mam szlaban do końca lata.

To rozbawiło Lyndley.

– Dobrze – pochwaliła – naprawdę dobre.

– Ja nie żartuję – ostrzegła Eva.

– Co? – zdziwiła się Lyndley.

– Koniec z wyjazdami do Bostonu – oświadczyła Eva. Potem się zastanowiła. – Dokładnie rzecz biorąc, granice miasta do wyspy. I ciesz się, że tylko tyle. Jeśli twoja matka się dowie, że jeździsz na Wyspę Żółtego Psa, zabije mnie.

– Okay – powiedziała cicho Lyndley.

– I za każdym razem masz mnie uprzedzić, gdzie nocujesz – ciągnęła Eva.

– Okay.

Eva czekała.

– Od tej chwili – podpowiedziała, kiedy Lyndley nie rozumiała wskazówki.

– Na wyspie – odparła Lyndley. – Dzisiaj.

– W porządku. – Eva kiwnęła głową i ruszyła do drzwi, zostawiając Lyndley lekko ogłuszoną. – A przy okazji, ta aluzja do Evy Braun bynajmniej nie była dowcipna.

Na pewno chodziło o coś więcej, bo nigdy nie widziałam Evy tak zdenerwowanej. Przytrzymałam przed nią drzwi, a ona wyszła bez słowa podziękowania, bez jednego spojrzenia.

Kiedy znalazła się poza zasięgiem słuchu, zwróciłam się do Lyndley:

– Jak mogłaś im dać prawdziwy numer telefonu?

Wzruszyła ramionami. Jak na taką bystrą dziewczynę, Lyn-
dley bywała czasami strasznie głupia.

- Chodź – powiedziała w końcu.
- Dokąd?
- Urządzić nasz domek.
- Naprawdę chcesz to zrobić?
- No tak, przecież cały czas o tym mówimy.

Musiałam przyznać, że nic nie rozumiem.

- A dlaczego mam ci pomagać?
- Bo jesteś moją siostrą i mnie kochasz, a ja potrzebuję twojej pomocy.

– Nie kupuję.

– No dobra, może tak: bo jesteś moją siostrą, kocham cię i wiem, że nie masz nic lepszego do roboty.

Nasz domek to był właściwie hangar Evy. Stał na palach obok doków, nad samą wodą. Z mojego pokoju na wyspie hangar Evy wyglądał jak wielka, rozdziawiona gęba wystawiona w morze, gotowa złapać wszystko, co wpłynie do zatoki. Zbudowany pierwotnie jako szopa na żagle, kiedy jeszcze Whitneyowie zajmowali się handlem morskim, został później przesunięty i ustawiony na palach, a od strony zatoki wycięto w nim wielki otwór, otwierając go na żywioły, przez co wyglądał, jakby zaraz miał się zawalić. Na tyłach znajdował się składzik, gdzie zostawialiśmy żagle i wiosła na zimę. Za składzikiem wąziutkie schody prowadziły na strych. Oświetlało go duże okno, nie pochodzące z oryginalnego budynku, lecz wycięte dużo później, podobnie jak drzwi. Podczas przyływu z tego okna świetnie się nurkowało do wody.

May mówiła, że oryginalny strych zbudowano prawdopodobnie do przechowywania szmuglowanych towarów czy unikania brytyjskich podatków, jak tunele pod Błoniami, które

dopiero później wykorzystywano do altruistycznych celów, jak Kolej Podziemna*, ale to nieważne. Właśnie strych stanowił nasz domek, wspańiałe miejsce. Eva podarowała go Lyndley i mnie tamtego pierwszego lata, kiedy Cal zrobił się taki zły, żeby Lyndley miała dokąd uciekać, żeby mogła się przed nim schować.

* Kolej Podziemna (*Underground Railroad*) – umowny szlak ucieczki amerykańskich zbiegłych niewolników, Murzynów, czyli sieć dróg i bezpiecznych domów.

Latem nikt z naszej rodziny nie zbliżał się do hangaru, co zapewniało całkowitą prywatność. Zimą trzymaliśmy tutaj niektóre łodzie: whaler Beezera, płaskodenną łódź i wszystko, czego nie chcieliśmy zostawiać na wyspie, żeby się nie objało. Poziom wody zmieniał się w zależności od pływów, od dziesięciu czy dwunastu stóp podczas przyprływu do zaledwie kilku stóp przy największym odpływie. To bardzo niewygodne dla wszystkiego, co ma kil, i nawet w małej łodzi należało podnieść silnik przed odejściem, bo inaczej po powrocie łódź kręciła się w kółko czy nawet opierała się na śrubie, a to niedobrze dla silnika. Z tych względów nikt już nie wykorzystywał budynku jako prawdziwego hangaru, więc w lecie należał do nas. Cuchnął solą, wilgocią, starymi żaglami i guanem mew; trzeba było mnóstwo wybielacza, żeby przestał tak strasznie śmierdzieć, ale dało się zrobić. W pełni lata zamieniał się w łaźnię parową i wtedy zwykle porzucałyśmy go dla innych kryjówek. Ale to było wspańiałe miejsce. Przy otwartym oknie na strychu nie czuło się żadnych zapachów z dołu, nawet jeśli na zewnątrz temperatura sięgała trzydziestu stopni, co się prawie nigdy nie zdarzało.

Odbyłyśmy kilka wypraw do powozowni Ewy, taszczyłyśmy krzesła, stół, nawet stary materac z końskiego włosia, całkiem

do niczego, ale Lyndley nie mogła bez niego żyć. Oprócz krzesła nic się nie zmieściło na schodach, więc musiałyśmy przynieść sznury i wciągnąć stół oraz materac przez okno na strychu. Na północy niebo zrobiło się czarne i chociaż sztorm miał nas ominąć, zerwał się silny wiatr i materac o mało nam nie wpadł do wody. Kiedy wreszcie go wciągnęłyśmy przez okno, plasnął na podłogę, wzbijając wieloletni kurz. Lyndley zaciągnęła go do kąta i nakryła nową indyjską narzutą, którą z sobą zabrała.

– Myślałam, że chcesz z niej uszyć spodnie.

– Wcale nie chcę. Mówiłam tylko, że ty powinnaś z niej uszyć spodnie.

Nie znosiłam, kiedy tak wykręcała kota ogonem. Zwykle się z nią wyklócałam, ale tak mnie zmęczyło wciąganie mebli, że chciałam tylko się położyć na materacu. Cieszyłam się, że go przykryła.

Przyniosła w plecaku dwie rzeczy: narzutę i butelkę burgunda, którą ukradła z piwnicy Ewy. Dziwne, ponieważ Lyndley nie piła – tego jednego nie robiła – i nie cierpiała pijaków.

– Co robisz? – zapytałam.

– Zobaczysz.

Nie miała korkociągu, więc wzięła starą poprzeczkę wioślarską i wepchnęła korek do butelki. Trochę wina wykpięło dookoła korka, przelało się przez szyjkę i poplamiło jej podkoszulek, aż się rozżłóściła. Podeszła do okna i wylała resztę wina do wody. Widziałam, jak głęboka czerwień robi się różowa, potem szara, aż całkiem znika. Patrzyłam z przyjemnością, jak wino traci swoją moc; myślałam, że to jakiś uzdrawiający rytuał, że Lyndley egzorcyzmuje demona alkoholu, który opętał jej rodzinę, coś w tym rodzaju. Ale potem usiadła na materacu

i skręciła sobie jointa, i moja teoria wyleciała za okno razem z winem.

Chciałam zwrócić jej uwagę na ironię tej sytuacji, lecz Lyndley niezbyt sobie ceniła ironię, a poza tym właściwie nie wiedziałam, co robiła z butelką, więc milczałam. Czułam się coraz bardziej nieswojo, nie żebym się przejmowała, że ona zapali skręta, prawie wszyscy moi znajomi popalali, tylko że należę do nielicznych niepalących i wstydziłam się tego. Próbowałam palić zeszłego lata z Lyndley i nic się nie stało. Tylko od tego kaszlałam, więc czułam się podle i bardzo drętwo.

Znowu zaczęłam się wkurzać na Lyndley.

- Więc urządzamy sobie palarnię opium?
- To nie opium.
- Wiesz, o co mi chodzi.
- Nie dramatyzuj.

Przeszłam przez pokój i usiadłam jak najdalej od niej, pod oknem, na lepszym z dwóch krzeseł, które zabraliśmy od Evy. Na siedzeniu nie zostało nic z plecionki, więc balansowałam na krawędzi i starałam się nie wpaść do środka.

Zmarszczyłam brwi. Lyndley wzięła następnego macha, zaciągnęła się głęboko, potem wstała z materaca i podeszła do mnie. Myślałam, że wydmuchnie na mnie dym; próbowałyśmy tego zeszłego lata i nie podziałało, tylko moje ubranie i włosy śmierdziały trawką. Zamiast dmuchnąć, nachyliła się i pocałowała mnie w usta. Przynajmniej tak pomyślałam i odepchnęłam ją, a ona zaczęła się śmiać, krztusząc się dymem.

- Jezu, Towner, nie bądź taką świętoszką.
- Pierdol się – burknęłam, żeby jej udowodnić, że nie jestem.

W końcu zdjęła papierowe opakowanie ze świec i zrobiła rurkę, przez którą wdmuchnęła mi dym do płuc.

Pozwoliłam jej na to i nie zakrztusiłam się, i po kilku razach rzeczywiście złapałam fazę. Wiem, bo usiadłam z powrotem na materacu i patrzyłam, jak Lyndley wysypuje z torby ogarki świec na stół. Potem wzięła pustą butelkę po winie, zapaliła świecę i nakapała na butelkę roztopionym kolorowym woskiem. Zużyła świecę do końca, potem zapaliła następną i następną, aż butelka znikła całkowicie pod tęczowymi warstwami wosku. Wiem, że miałam odlot, bo uznałam to za najbardziej fascynujący widok w moim życiu.

– Chyba się upaliłam – powiedziałam w końcu, a Lyndley zaczęła się śmiać.

– Tak myślisz? – zapytała i obie śmiałyśmy się do rozpuku.

Wzięła ostatnią świecę, wetknęła ją do butelki i powiedziała:

– *Voilà.*

A potem zasnęłam. Kiedy się obudziłam, Lyndley siedziała na krześle i wyglądała przez okno. Przypomniała mi te obrazki, na których żony kapitanów spoglądają na morze, wypatrując masztu na horyzoncie. Pokój został całkowicie urządzone. Wyglądał przytulnie. W kącie paliła się świeca. W dogasającym świetle zachodu i łagodnym blasku świecy Lyndley wyglądała pięknie. To znaczy zawsze wyglądała pięknie, ale teraz słońce rozświetlało jej włosy, które jaśniały złotem i czerwienią wokół głowy jak aureola czy coś w tym stylu, czego normalnie się nie widuje. Dopiero po chwili narkotyczna wizja się rozwiła i wróciłam do rzeczywistości.

– O Boże, która godzina?! – zawołałam, podrywając się z materaca.

– Nie tak późno.

- May czeka na efedrynę.
- Wiedziała, że nie wrócisz od razu.
- Podniesie rampę.
- Nie podniesie. Błefuje – odparła Lyndley.
- Akurat. May nie błefuje.

Biegałam po pokoju, przewracałam wszystko do góry nogami i szukałam torebki z ziołami, którą nam dała Eva.

Znalazłam ją, pozbierałam resztę rzeczy i ruszyłam w stronę drabiny. Obejrzałam się.

- Idziesz?
- Zostanę jeszcze trochę.
- Mówiłaś Evie, że nocujesz na wyspie.
- Rozmyśliłam się.
- Dlaczego?
- Tu jest miło... Chcę tu zostać.

Widziałam, że kłamie.

- Nie możesz tutaj spać.
- Dlaczego?
- Bo narobisz sobie kłopotów.
- Kto na mnie naskarży? Ty?
- Nie, ale to nie miejsce dla ciebie.
- O co ci chodzi?
- To doki.
- Doki są całkiem bezpieczne.

Wtedy zobaczyłam przybijającą łódź Jacka, głęboko zanurzoną w wodzie, wyładowaną homarami, pewnie z Kanady, gdzie wtedy było ich więcej. Patrzyłam z okna, jak cumuje. Podniósł wzrok, błysnął uśmiechem. Był bez koszuli, bardzo opalony.

Czułam, że się rumienię na widok tego intymnego uśmiechu, i naprawdę się wściekłam, a potem Lyndley stanęła za

mną i natychmiast zrozumiałam, że uśmiech był przeznaczony dla niej.

Jack stał obok mężczyzny z podkładką w rękę, wskazywał ładownię, negocjował cenę za połów. Oferta, przeczący ruch głowy, potem facet poszedł na dół i jeszcze raz zajrzał do ładowni. Jack podniósł wskazujący palec i przewrócił oczami, sygnalizując, że to chwilę potrwa. Mężczyzna odwrócił się, zawadził o knagę i wydarł sobie wielką dziurę na siedzeniu spodni. Jack szeroko otworzył oczy. Szybkie spojrzenie „co robić?” w stronę Lyndley, która przyłożyła palec do ust: „nic nie mów”, więc Jack próbował zachować kamienną twarz, kiedy mężczyzna wracał do niego powolnym krokiem, nieświadomy szkody. Nastąpiła dalsza dyskusja i wreszcie uścisk dłoni. Jack i Lyndley wymieniali spojrzenia, kiedy facet obliczał sumę. Potem Jack podpisał pokwitowanie, mężczyzna wyjął książeczkę czekową i interes został ubity.

– Złapią cię – syknęłam do Lyndley, kiedy Jack ruszył w stronę hangaru. Próbowałam udawać głos rozsądku, ale to brzmiało raczej jak głos demona z jakiejś upiornej kreskówki.

– Nie, jeśli nie zakapujesz.

– No to ciąża, zajdziesz w ciążę.

– Na razie nie zaszłam.

– Jeden raz. Po prostu miałaś szczęście.

– Spotykam się z nim od roku. Poza tym stosuję antykoncepcję. Nie jestem głupia.

Ale ja utknęłam na pierwszym zdaniu.

– Spotykasz się z nim od roku?

– Przyjeżdża do szkoły... na weekendy.

Zagapiłam się na nią.

– Nie chciałam ci mówić, bo wiedziałam, że to ci się nie spodoba.

Wielka zdrada.

– Kochamy się, Towner. On chce się ze mną ożenić i wyjechać do Kanady.

Nic nie rozumiała. Z każdym słowem tylko pogarszała sprawę. Najbardziej mnie zabolalo nie to, że się spotykała z Jackiem, ale że mi nie powiedziała.

– On chce się żenić – powtórzyła, jakby to miało pomóc.

– To najstarszy bajer świata. – Chciałam zacytować któryś z banałów Evy, ale skończyłam na powielaniu Cala.

Trafiłam w dziesiątkę.

– Chyba mi nie powiesz, że wierzysz w te bzdety „żyli długo i szczęśliwie”? – drążyłam.

– A jeśli nawet? – Siliła się na wyzywający ton, ale głos miała już słabszy.

– Po co kupować krowę, jeśli masz mleko za darmo?

Nie chciałam mówić nic więcej, ale gniew mnie poniósł. Tak łatwo poszło. Nie musiałam sięgać do plugawych wyrażań Cala, wystarczyły mi banały Evy. Za pomocą kilku celnych docinków wprowadziłam do pokoju Cala Boyntona, zupełnie jakby wszedł po schodach we własnej osobie, miotając obelgi i przekleństwa. Zdobyłam miażdżącą przewagę.

– Powinnaś wrócić do domu – zakończyłam. Po wyrazie jej twarzy widziałam, że posunęłam się o wiele za daleko, i żałowałam tego.

Na dole rozległy się kroki i Lyndley drgnęła. Potem Jack zawołał: „Cześć!”. Głos miał rześki i radosny, ostro kontrastujący z nastrojem, który właśnie stworzyłam.

– Nie wracam do domu – odpowiedziała. Próbowwała się cieszyć, ale straciła humor. Przeze mnie.

Czułam, że powinnam ją przeprosić. Miałam ochotę się rozplakać i ją przytulić. Ale nie chciałam, żeby tu z nim została.

Nie mogłam zapomnieć oskarżeń Cala z zeszłego lata. Jakaś cząstka mnie, mała cząstka myślała, że może on miał rację. Może moja siostra jest ladaczną, tak jak mówił. Próbowałam wymazać tę myśl. Ale Lyndley wiedziała, co myślę.

– Nie będę cię kryła, jeśli na to liczysz – powiedziałam w końcu.

– Nikt cię nie prosił – odparła, udając twardą, ale głos miała głuchy. Nie mogła odczytać moich myśli bardziej wyraźnie, gdybym je wypisała na ścianie.

Zeszłam po schodach tuż przed wejściem Jacka. Poziom wody był za niski, inaczej wyskoczyłabym przez okno. Schowałam się w cieniu, żeby mnie nie zobaczył. Potem wsiadłam do whalera. Słyszałam, jak rozmawiają na górze. Widziałam ich sylwetki w okiennej ramie.

– O co chodzi? – zwrócił się do Lyndley.

– O nic – odpowiedziała, siląc się na pogodny ton. – Wszystko w porządku.

Wtedy podszedł do niej i ją pocałował. Ręce miała opuszczone wzdłuż boków. Nie oddała pocałunku.

Ściemniało się, kiedy wróciłam. Lyndley miała rację. May nie podniosła rampy. Blefowała.

Mój zły nastrój tak się rzucał w oczy, że nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Ani May, ani Beezer nie zapytali o Lyndley, więc nie musiałam kłamać. Nikt nie lubi ze mną rozmawiać, kiedy miewam te humory, zwykle omijają mnie z daleka.

Lyndley miała rację w obu kwestiach. May nie podniosła rampy i nie musiałam jej kryć. Ale kryłabym, gdyby zaszła taka potrzeba. Ja również blefowałam.

Pod koniec sierpnia Cal zabrał Lyndley ze szkoły panny Porter. W jego jachtklubie zdarzył się „wypadek” i wyrzucono

go z załogi. Załamał się. Zaczął pić w ciągu dnia. Zadzwoił do szkoły Lyndley i strasznie zwymyślał dyrektorę. Obwinił ją i szkołę za zepsucie jego córki. Zanim Eva zadzwoniła do dyrektorki, dokonała się nieodwracalna szkoda. Nawet gdyby się zgodzili przyjąć Lyndley z powrotem (można się domyślać, że nie należała do najbardziej zdyscyplinowanych uczennic), nie chcieli mieć do czynienia z Calem Boyntonem. Sprawa zamknięta.

Eva się wściekała. Nie mogła ich przekonać, żeby zmienili zdanie. Wreszcie zadzwoniła do kogoś znajomego w szkole Pingree i w tajemnicy zapisała Lyndley na semestr jesienny. Potem oddała Lyndley pod troskliwą opiekę May i wyjechała na Florydę, gdzie mieszkali Boyntonowie. „Nie wypuszczaj jej z wyspy – ostrzegą – i podnoś rampę”.

Życie w niewoli mogło pokrzyżować plany Lyndley. Prawie przez całe lato bawiła się w dom z Jackiem w hangarze na łodzi i nie została przyłapana. Powinna się martwić. Ale wydawała się zrezygnowana, pogodzona z losem. Przyjęła to niemal z ulgą.

Przepraszałam ją po stokroć. Zapewniałam, że nie mówiłam poważnie. Nie kłóciłyśmy się. Powiedziała mi, że rozumie. Że miałam rację.

Wtedy naprawdę zaczęłam się o nią martwić.



Eva nie wyglądała za dobrze, kiedy wróciła z Florydy.

– Cal przenosi rodzinę na Zachodnie Wybrzeże – powiedziała do May. – Pływa dla klubu w San Diego.

Sprzedali dom na Florydzie i Cal zwrócił Evie dług, co znaczyło, że ona nie ma już nad nim żadnej władzy.

– Emma jedzie z nim? – May nadal miała jakieś nadzieje.

– Tak, on chce tam zabrać całą rodzinę.

Eva wyjęła z torebki bilet lotniczy, położyła na stole. Najwyraźniej przeznaczony był dla Lyndley.

– Wykluczone – oświadczyła May.

Eva wyjęła list napisany charakterem pisma Emmy. May przeczytała list raz, a potem drugi.

– Ona chce się zrzec prawa do opieki? – zapytała.

Widziałam, że tego się nie spodziewała.

– Namówiłam ją – odparła Eva. – Nie poszło łatwo.

– Nie rozmyśli się?

Eva wzruszyła ramionami.

– To właściwie nie ma znaczenia. Rozmawiałam już z moim adwokatem. List nie utrzyma się w sądzie. Jeśli Cal wniesie sprzeciw, co jest oczywiste... Gdyby Emma zgodziła się przedstawić wszystkie fakty, miałybyśmy jakąś szansę.

– Nigdy się nie zgodzi – stwierdziła May.



Wszyscy wiedzieliśmy, że coś się dzieje. Nawet Beezer podsłuchiwał pod zamkniętymi drzwiami, ale niczego nie usłyszał, więc w końcu dał spokój. Eva i May znały się na rzeczy. Zamknęły się w kuchni na klucz, żeby nikt ich nie słyszał, oddzieliły się od nas pokojami tłumiącymi dźwięk, z jednej strony spiżarnią, z drugiej tylną werandą. Ale ja mogłam się dostać na werandę. Otworzyłam zamek wytrychem. W środku schowałam się za wieszakiem, żeby mnie nie zobaczyły.

Nie odważyłam się poruszyć, dopóki nie skończyły rozmowy. May przez długi czas po wyjściu Ewy siedziała przy stole. Wreszcie wstała i zaczęła robić kanapki dla wszystkich, ohydne kanapki z masłem orzechowym, na które Beezer był uczulony, i z przyprawą do pikli, od której mnie mdliło.

W końcu przekazałam Lyndley, co podsłuchałam – wybiórczo. Poinformowałam ją, że Cal chciał ją sprowadzić do San Diego, ale jej matka napisała w liście, że pozwala jej zostać z nami. Poinformowałam ją, że zmieni szkołę. Patrzyła na mnie trochę podejrzliwie, ale chyba spodobał jej się pomysł, żeby tu zostać, chociaż coraz trudniej mi przychodziło ją zrozumieć.

Niemniej wydawała się zaniepokojona. Naciskała mnie o więcej szczegółów dotyczących San Diego. W końcu jej powiedziałam, że Cala wyrzucili z załogi na Florydzie. Widziałam, że się tym zmartwiła, ale próbowała robić dobrą minę do złej gry.

– San Diego to lepszy klub – powiedziała. Jakby myślała, że to poprawi sytuację i uszczęśliwi Cala.

Nie wspomniałam jej o żądaniach Cala. Zachowywałam się tak, jakby on też się podpisał pod listem. Nie miała powodów sądzić, że chciał ją stąd zabrać, skoro w zeszłym roku pozwolił jej tu mieszkać.

Sumienie trochę mnie gryzło z powodu tego, co opuściłam, ale nie mogłam jej powiedzieć. Potem starałam się oczyścić umysł, bo ona też umiała czytać w myślach, a nie chciałam, żeby nabrała podejrzeń.

– Jak się czuje moja matka? – pytała kilka razy, zanim wreszcie jej odpowiedziałam.

– Czuje się dobrze – odparłam i oczyściłam umysł, próbowałam nie myśleć o Emmie, żeby Lyndley nie odczytała moich myśli.



Ale nie podziałało. Nie na długo. May i Eva prowadziły zbyt wiele rozmów za zamkniętymi drzwiami. I nikt oprócz Evy nie miał wstępu na wyspę.

- Co tu się naprawdę dzieje? – zapytała Lyndley pewnego wieczoru. Nie mogła spać. Miała podkrążone oczy.
- Mówiłam ci.
- Może trochę mi powiedziałaś, ale na pewno nie wszystko. Wzruszyłam ramionami.
- Nic więcej nie słyszałam – odparłam. Wiedziała, że kłamie.



Wszyscy prawnicy mówili to samo, że list cioci Boynton, przekazujący prawo do opieki Evie albo May, nie utrzyma się w sądzie, jeśli Cal zechce odzyskać Lyndley. A ciocia Boynton zgodziła się oddać Lyndley pod warunkiem, że nikt nie będzie dyskredytował Cala. Powstała więc patowa sytuacja. W końcu May i Eva postanowiły jednak iść do sądu, jeśli trzeba. Wyliczyły, że mają dość czasu i pieniędzy, żeby uprzykrzyć życie Calowi. Jeśli szczęście nam dopisze i Cal zacznie wygrywać dla San Diego, zabraknie mu czasu, żeby ciągle tkwić w sądzie i walczyć o prawo do opieki, zwłaszcza jeżeli rozprawy będą się odbywały w Massachusetts. W dodatku Eva miała więcej pieniędzy niż Cal. Więc May i Eva zapewniły swojego adwokata, że zdają sobie sprawę, jak długa i żmudna droga je czeka.

– Przygotujcie się do walki na śmierć i życie – brzmiała jego odpowiedź.

Za niecały tydzień Lyndley kończyła siedemnaście lat – liczyli, że jeśli zdołają odwlec rozprawę o rok, wygrają, bo kiedy skończy osiemnaście lat, Cal nie będzie mógł jej ściągnąć z powrotem wbrew jej woli. Lyndley nareszcie będzie wolna.



Kilka dni później Lyndley znowu przyparła mnie do muru.

– Tym razem powiedz mi prawdę – zażądała. – Całą prawdę i tylko prawdę.

Uległam. Powiedziałam jej wszystko. Tak się zadręczałam z powodu wcześniejszych przemilczeń, że teraz jakby tama pękła i wszystko się ze mnie wylało.

I pomogło. Nie stałyśmy się sobie bliskie jak dawniej, ale widziałam, że znowu mi ufa.



Kiedy nadeszła i minęła data odlotu wydrukowana na bilecie, Cal zaczął wydzwaniać do Lyndley telefonem statek-wybrzeże. Byłam w kuchni, kiedy May przechwyciła jeden jego telefon.

– Czego chcesz? – zapytała go.

– Chcę odzyskać córkę.

– Przywyknij do rozczarowań – poradziła mu.

– Powiedz jej, że matka jej potrzebuje. Powiedz, że jeśli sama tutaj nie przyjedzie, nie biorę odpowiedzialności za to, co się stanie.

– Musisz grozić bardziej konkretnie – zwróciła mu uwagę May. – Nagrywam tę rozmowę.

Potem wyłączyła radio. Ale zobaczyłam cień przesuwający się przez korytarz i wiedziałam, że Lyndley wszystko słyszała. Dwa dni później Jack podrzucił list adresowany do Lyndley. Leżał nieotwarty na kuchennym stole, dopóki May mnie nie zapytała, co się dzieje.

Zaniosłam list na górę i położyłam na łóżku Lyndley. Nie dotknęła go. Za trzy dni były nasze urodziny. Otworzyłam list.

„Wyjeżdżam do Kanady dzień po twoich urodzinach” – pisał Jack. „Wydź za mnie”. Do listu był przyklejony taśmą pierścionek owinięty w bibułkę. Srebrny, z małym brylancikiem w prostej oprawie. Pewnie wydał zarobek z miesięcznych połowów homarów, żeby go kupić.



Lyndley patrzyła przez okno na dom Boyntonów. Przeczytałam jej list na głos i czekałam na jej odpowiedź. Jak czekałby Jack, gdyby przyjechał ją zapytać osobiście.

Wyrzałam przez okno, żeby sprawdzić, na co ona patrzy. Dom wymagał remontu. Otaczający go ganek zniknął w połowie – Cal zdjął go zeszłego lata, żeby wymienić gnijące deski, ale nigdy nie dokończył roboty.

– Zawali się – powiedziała, patrząc na dom.

– Możliwe.

– A jeśli następnym razem on ją zabije? – ciągnęła, wspominając złamaną szczękę matki. – A mnie nie ma w San Diego, żeby go powstrzymać.

– Nie powstrzymywałaś go w tym roku – wytknęłam, żeby jej dodać otuchy.

Wtedy się uśmiechnęła.

– Od kiedy wierzysz w te bzdety, że „żyli długo i szczęśliwie”?

– Nie wiem – odpowiedziałam szczerze. – Może od dzisiaj.



Po południu spakowała manatki.

Przed piątą pojawiła się mgła. Eva przekazała przez radio,

że nie może wypłynąć z zatoki. Miała cztery torby artykułów spożywczych dla May na nasz urodzinowy obiad, ale utknęła na lądzie.



Właściwie odetchnęłam z ulgą, kiedy się okazało, że Eva nie przyjedzie. Urodzinowy obiad, który co roku Eva i May przygotowywały dla nas, był wspaniałą tradycją. Ale co roku na nasze urodziny Eva wróżyła z koronek, a dzisiaj bałam się tego, co może zobaczyć.

Mgła w końcu się podniesie, a wtedy zawiozę Lyndley do Jacka. Nie chciałam, żeby ktoś nam przeszkodził.

May zrobiła, co mogła, żeby wyprawić nam urodziny. Ograniczyła się do kanapek, bo tylko to mieliśmy. Ale upiekła ciasto z jedną wielką świecą na śmietankowym lukrze.

Po obiedzie siedzieliśmy przy stole. Nikt nie wiedział, co robić. Przyzwyczailiśmy się, że Eva kieruje naszymi przyjęciami. Ale Ewy nie było.

Po chwili Beezer wstał i pozmywał naczynia. May została przy stole i przyglądała się nam. Patrzyliśmy na mgłę, która gęstniała z każdą chwilą.

– Gdybym was nie znała – odezwała się May – myślałabym, że pilno wam gdzie indziej.

– Nie – zaprzeczyłam zbyt szybko.

– To wspaniałe – powiedziała Lyndley. Podeszła i pocałowała May w policzek, czego nigdy nie robiła. – Dziękuję za cudowne przyjęcie.

– Proszę bardzo – uśmiechnęła się May.

– Zagrajmy – zaproponował Beezer, który wrócił do pokoju.

Poszedł po planszę do monopolu, ale May podniosła rękę, bo coś sobie przypomniała.

– Zapominacie o naszej tradycji – powiedziała.

Otworzyła górną szufladę kredensu i wyjęła koronkową serwetkę.

– Nie umiesz wróżyć – wytknęłam jej.

– Nie widziałaś, jak wróżę, ale to nie znaczy, że nie umiem – odparła May.

– Powróż mnie pierwszej – poprosiłam, byle odwlec wróżenie dla Lyndley.

May uniosła koronkę przed moją twarzą. Próbowałam oczyścić umysł, nie myśleć o Lyndley ani o Jacku, o niczym ważnym. Wstrzymałam oddech.

Obraz szybko uformował się w płataninie nitek. Wszyscy go zobaczyli. Wszyscy oprócz Beezera. May twierdziła później, że nic nie widziała, ale ja wiedziałam lepiej. Widziałam, jak zmieniła się na twarzy.

Obraz cioci Boynton. Ciężko pobitej, z poharataną twarzą i podbitymi oczami.

Lyndley się zachłysnęła. May upuściła koronkę.

Siedziałyśmy w milczeniu przez długi czas.

– Co widziałyście? – zainteresował się Beezer.

– Nic – odparła May. – Absolutnie nic.

Wstała i schowała koronkę.

– Już późno – oznajmiła, odprawiając nas. – Wyglądacie na zmęczonych.

Lyndley i ja w milczeniu poszłyśmy do naszego pokoju. Nie chciała, żebym widziała jej łyzy.

– Dlaczego ona od niego nie odejdzie? – zapytała.

– Nie wiem – odparłam, otwierając drzwi.

Podniosłam roletę i wyrzałam przez okno. Przez chwilę

widziałam promień światła latarni morskiej na Marblehead Neck. Tylko błysk zieleni, ale wyraźny.

– Podnosi się – oznajmiłam, wskazując promień.

Lyndley odwróciła się do okna.

– Synchronia – dodałam.

– Co?

– Mgła się podnosi. To znak, że wszystko będzie dobrze. Spróbowała się uśmiechnąć.



Lyndley musiała zaczekać na przypływ, żeby się wydostać z wyspy. Przeciągnęłam już whalera na Back Beach i przywiązałam mu do dzioba długą linę. Liczyłam, że podczas przypływu mogę wsadzić Lyndley do łodzi i odholować, idąc po nabrzeżnych skałach, ciągnąc linę, aż wyprowadzę łódź bezpiecznie za cypel. Wtedy rzucę linę, Lyndley ją wciągnie i podryfuje w whalercie w stronę Miseries. Uruchomi silnik dopiero wtedy, kiedy minie barierę wysp, żeby nikt jej nie usłyszał. Dopłynię do doków przed północą.

W domu było ciemno, kiedy się wysliznęłyśmy. Zamknęłyśmy siatkowe drzwi powoli, żeby nie skrzypnęły.

Szłyśmy w milczeniu, po kolei dźwigając walizkę, na przełaj przez boisko do baseballu. Minęłyśmy porzucony samochód, gdzie znalazłam Lyndley z Jackiem zaledwie zeszłego lata, chociaż to się wydawało tak dawno. Minęłyśmy dom Lyndley, gdzie fragmenty ganku wciąż leżały zwalone na stertę obok schodków, butwiejące. Lyndley nie spojrzała na dom ani na ganek, tylko patrzyła prosto przed siebie.

Chociaż się namordowałam, plan się udał. Od liny zrobiły

mi się odciski na dłoniach. Przez wiele dni musiałam chować ręce w kieszeniach, żeby nikt nie zauważył. W końcu i tak wszyscy się domyślili, że pomogłam Lyndley. Wiedzieli, że sama w żaden sposób nie mogłaby odpłynąć.

Jeśli nawet wody przy Back Beach nie rozstąpiły się dla nas, przynajmniej nie powstały przeciwko nam, chociaż z perspektywy czasu żałuję, że nas nie zatrzymały. Ciągnęłam linę po skałach tak daleko, jak mogłam, pod czujnym wzrokiem psów. Kiedy minęłam cypel, rzuciłam linę daleko do wody. Wylądowała gdzieś przy bakburcie i Lyndley ją wciągnęła. Stała w łodzi i przez minutę tylko patrzyłyśmy na siebie, ale potem łódź zaczęła się kołysać i Lyndley musiała usiąść. Wtedy mi pomachała. Odprowadzałam ją wzrokiem, dopóki mogłam. Patrzyłam, jak dryfowała obok cypla, zgodnie z moim planem. Nie czekałam, aż zniknie mi z oczu, nie tylko dlatego, że płakałam i łzy zaćmiły mi wzrok, ale również dlatego, że pamiętałam, co zawsze powtarzała Eva: odprowadzanie kogoś wzrokiem do samego końca przynosi pecha.



Znalazłam pierścionek Jacka dopiero następnego ranka. Leżał na wierzchu, na moim nocnym stoliku, gdzie Lyndley go zostawiła, ale było ciemno, kiedy wróciłam, więc nie zobaczyłam go od razu. Zbiegłam po schodach i przeszukałam serwantkę, gdzie, jak widziałam, May schowała bilet od Cala. Przewróciłam wszystko do góry nogami, zanim zrozumiałam, że bilet zniknął.

Eva pojechała do San Diego, żeby odebrać Lyndley, ale się nie udało. Wróciła sama.

Jesień i zima...

May ciężko zniosła odejście Lyndley. Przedtem lubiła samotność, teraz jednak wykazywała pierwsze prawdziwe objawy agorafobii. Jeśli w ogóle pojechała do miasta, tak się denerwowała, że musiała zaraz wracać. Twierdziła, że nie może oddychać, kiedy jest tylu ludzi dookoła.

Tamtego roku wcześniej nadeszły chłody. Beezer, który (za namową Petera) był już w szkole z internatem, pisał w listach, jak bardzo się martwi, że wcale nie chodzi do szkoły.

Eva przyjechała i próbowała namówić May, żeby przeniosła się na zimę do miasta. Obiecała, że odda nam całe drugie piętro na mieszkanie. Stamtąd May mogłaby wychodzić na taras i mieć oko na wyspę. Nie będzie musiała schodzić na parter aż do wiosny, zapewniała Eva półzartem, szukając jakiegoś sposobu, żeby przekonać moją matkę. May odmówiła. Eva mnie też zaprosiła, właściwie kazała mi przyjechać, ale bałam się zostawić May. To prawda, że nienawidziłam matki, ale nawet ja widziałam, że nie wolno jej zostawiać samej na wyspie. Prawie nie sypiała. Paliła lampę w dzień i w nocy. Przestała brać witaminy. Nie pokrzykiwała na mnie przez cały czas i nawet przestała robić kanapki.

W październiku pojawili się ludzie z wydziału socjalnego. Ktoś im doniósł, że na wyspie jest dziecko, które nie chodzi do szkoły. Wtedy w Massachusetts domowe szkoły były nielegalne. Zawsze myślałam, że to Cal ich zawiadomił, ale z perspektywy czasu widzę, że również Eva mogła do nich zadzwonić. May się rozzłościła i nie chciała z nimi rozmawiać. Zostawiła ich ze mną w salonie. Nie wiedziałam, co im powiedzieć. Ciągle myślałam, co zrobiłaby Eva w takiej sytuacji. Poczęstowałam ich herbatą.

Potem pewnego dnia pod koniec miesiąca May zeszła na dół, jakby wszystko było w porządku. Przygotowała płatki na śniadanie. Powiedziała mi, że podjęła decyzję. Doszła do wniosku, że powinnam zamieszkać u Evy.

– Możesz wrócić w lecie, jeśli chcesz – powiedziała – ale teraz będzie lepiej, jeżeli przeniesiesz się do Evy. – Jakby po namyśle dodała: – A kiedy Beezer przyjedzie do domu na wakacje, powinien zamieszkać z tobą w mieście.

I tak po prostu May oddała swoje pozostałe dzieci. Jakby wreszcie sobie przypomniała sposób, który już raz wykorzystowała z powodzeniem, kiedy czuła się przytłoczona tym, że ma dwójkę dzieci zamiast jednego. Oddaj jedno, brzmiała odpowiedź, i chociaż tamto rozwiązanie przyniosło tyle cierpień i kłopotów, May uznała, że skoro wtedy się sprawdziło, sprawdzi się i teraz. Spakowała moje manatki i zanim się obejrzałam, wylądowałam u Evy. May obiecała Evie, że dołączy do nas, kiedy przyjdą mrozy, i Eva chyba jej uwierzyła. Ja nie.

Tydzień później dostałyśmy list od Beezera. Pisał, że chciałby wrócić do domu i pójść do publicznej szkoły razem ze swoim kumplem Jay-Jayem. List był utrzymany w lekkim tonie, ale ja zawsze potrafiłam czytać między wierszami. Martwił się o May tak samo jak ja. Eva natychmiast odpisała, że to zły pomysł, że nawet gdyby wrócił, jego szkolny plan nie ma szans. LaLibertie mieszkali w Witchcraft Heights. Szkoła w Witchcraft nie należy do naszego okręgu, więc nie mogłby chodzić do niej z Jay-Jayem. Zapewniła go, że wszystko w porządku i że powinien „zostać na miejscu”.

Eva zapisała mnie do Pingree. W końcu zapłaciła za miejsce dla Lyndley więc to miało sens. Nie przyjmowano już zapisów na szkolny autobus, więc Eva wynajęła kierowcę, żeby codziennie mnie odwoził. Pierwszego dnia, kiedy poszłam do

szkoły, uderzył huragan. Ewakuowano nas przed południem i gdy tylko kierowca wrócił do Salem, musiał zaraz jechać z powrotem, żeby mnie odebrać i odwieźć do domu. Resztę dnia spędziłam na tarasie, szalejąc z niepokoju, że May ciągle jest na wyspie. Nie miałam pojęcia, czy moja matka w ogóle wie, że nadciąga huragan. To ja albo Beezer zawsze słuchaliśmy radia, nie May. Próbowaliśmy jej wysłać sygnał SOS, potem inne sygnały alfabetem Morse'a, ale deszcz padał tak ulewnie, że nie widziałam nawet świateł posterunku straży przybrzeżnej na wyspie Winter, a co dopiero naszego domu. Sterczałam na tarasie, aż wiatr zrobił się naprawdę groźny i Eva kazała mi wejść do środka. Powiedziała, że lada dzień spodziewa się przyjazdu May. Wydawała się pewna swego. Ale nigdy się nie doczekała.

W szkole trzymałam się na uboczu. Pierwszy listopada przyszedł i odszedł. Do tej pory nawet łodzie rybackie prawie przestały wypływać, ale moja matka się nie zjawiała. Żeby mnie oderwać od ponurych myśli, Eva dała mi zajęcie w herbaciarni. I na lekcjach tańca. W listopadzie otrzymałam zaproszenie na bal kotyliionowy w Hamilton Hall. Dawniej zawsze wyrzucałam zaproszenia i tak samo robiłam tym razem, ale Eva wyłowiała je ze śmieci i wysłała potwierdzenie. Kiedy przez dwa dni nie widziałam świateł w domu May i prawie cały weekend spędziłam na tarasie, Eva miała dość. Wynajęła poławiacza homarów, żeby ją zawiózł na wyspę, i pojechała po May, tak jak wcześniej po Lyndley, ale znowu wróciła sama. Widziałam, że się denerwuje i że nie chce mnie martwić. Pamiętam, że to był Dzień Weterana*, bo nie mieliśmy lekcji.

* Dzień Weterana – amerykańskie święto narodowe, obchodzone 11 listopada.

– Ona wcale nie zamierzała przyjechać – oświadczyłam, bo znałam prawdę, wiedziałam, że May raczej nas odda, niż opuści swoją wyspę.

– To nie takie proste – zaprzeczyła Eva, czytając w moich myślach, ale ja się nie zgadzałam.

– Właśnie że takie proste.

– Na litość boską, Sophya, okaż trochę współczucia.

– Zawsze to samo. – Ze zdenerwowania nie mogłam usiedzieć na miejscu.

– O co ci chodzi?

– Jak z Lyndley.

– Co z Lyndley? – Wymawiała każde słowo powoli, jakby chciała sprawdzić, ile wiem.

– Oddała Lyndley, a teraz oddaje Beezera i mnie.

– Co ty wygadujesz? – Eva szeroko otworzyła oczy.

– Wiesz, co się dzieje z Lyndley, co on jej robi. – Skóra na mnie cierpła, kiedy sobie przypomiinałam tamtą noc w pokoju Lyndley. – Nic takiego by się nie stało, gdyby May nie oddała Lyndley. Wszyscy wiedzą, co on jej robi! – krzyczałam, nie panując nad sobą. Nie mogłam oddychać.

Eva tuliła mnie przez długi czas.

– Wszystko się ułoży – pocieszała mnie.

Nie rozumiałam, jakim cudem cokolwiek może się ułożyć.



Zabrała mnie do terapeuty w Bostonie. Lekarz przepisał mi łagodne środki antydepresyjne. Eva miała nadzieję, że z nim porozmawiam. Ale nie potrafiłam.

– Opowiedz mi o swojej siostrze – prosił.

Ale ja nie mogłam. Mogłam powiedzieć Evie, ale takich

rzeczy nie mówi się obcym. Po sześciu wizytach przerwałam leczenie.



Zamiast tego Eva wzięła mnie do pomocy przy lekcjach tańca. Wyszukiwała mi zajęcia. W swoich planach uwzględniła również bal w Hamilton Hall, na którym miałam się zachowywać jak dama. Eva kupiła mi długie rękawiczki, które sięgały za łokcie, i nauczyła mnie podwijać palce rękawiczek przy obiedzie, tak aby zostawiać tylko rękawy, i jeść kurczę po królewsku przy zatłoczonym stole bankietowym, nie poruszając łokciami i nie zrzucając ani jednego ziarenka groszku na suknię balową. Kiedy zapytałam, co mam robić, jeśli podadzą coś innego, nie kurczę po królewsku, Eva roześmiała się i zapewniła, że nigdy do tego nie dojdzie, „nawet za milion lat”, jak się wyraziła.

Kilka tygodni przed kotylionem dostałam zaproszenie od dziewczyny z Pingree, żeby pojechać na bal małym autobusem, wynajętym na tę okazję przez jej rodziców. Prawie nie znałam tej dziewczyny, pamiętałam tylko, że wyglądała na panienkę z dobrego domu i lubiła nadużywać słowa „kurwa”, żeby szokować otoczenie. Powiedziałam do Ewy, że to śmieszne, skoro autobus odjeżdża z Beverly Farms, a ja mogę dojść od nas do Hamilton Hall na piechotę, ale Eva odparła, że nie rozumiem, o co chodzi. Kazała mi przyjąć na piśmie „uprzejme zaproszenie” koleżanki i jej kierowca zawiózł mnie aż do Beverly Farms, skąd wróciłam do Salem zatłoczonym, cuchnącym autobusem.

Tańce nie były takie straszne, chociaż z zeszłego stulecia. Każda dziewczyna miała dwóch partnerów, po jednym na każde ramię, a jednym z moich towarzyszy był chłopak, którego

znałam z jachtklubu Pleon w Marblehead. Za każdym razem, kiedy orkiestra robiła przerwę, rzucali w tłum filcowe kapelusze z nazwą zespołu wyhaftowaną na rondzie i chłopcy próbowali je łapać, żeby wręczyć wybranym dziewczynom. I chociaż nie znosili takiej muzyki, kapelusze im się podobały. Walczyli o nie, wyskakiwali w powietrze, żeby je łapać, jak przy baseballu.

Podczas któregoś antraktu ktoś schował pałeczkę dyrygenta i tańce przerwano, opiekunowie zaś szukali pałeczki i przepytывali młodzież. Chłopcy wyszli na dwór, żeby zapalić, włącznie z oboma moimi towarzyszami, co uznałam za dobry pomysł, zważywszy na hiszpańską inkwizycję szalejącą w środku. Przystanęliśmy w parku po drugiej stronie ulicy, chłopak w szarfię z madrasu zapalił marlboro i rozpoczął własną inkwizycję dotyczącą Cala i jak mu idzie w San Diego.

Do tej pory nikt niczego nie skojarzył. Dla chłopców, którzy uprawiali żeglarstwo, Cal był miejscowym bohaterem, człowiekiem, jakim każdy chciałby zostać, gdyby mu się poszczęściło.

– To chyba najlepszy żeglarz na świecie – powiedział chłopak na zakończenie. – I jest bogaty. Kurczę, ma na własność całą wyspę.

– Nie ma na własność wyspy, wyspa należy do rodziny mojej matki – odpowiedziałam trochę zbyt ostro.

– Co za różnica?

– Widziałam jego zdjęcie w gazecie – oznajmiła z rozmazaniem jedna z dziewczyn.

– Kurwa, on wygląda jak Paul Newman – westchnęła dziewczyna od autobusu.

Poczułam, że mięśnie mi się napinają. Jedna z dziewczyn zadrżała.

- Jak długo każą nam tu stać?
- Dopóki nie znajdą sprawcy. – Szarfa mrugnął do mnie.
- Co nam daje trochę czasu – stwierdził chłopiec z jachtklubu, zerknąwszy na Szarfę, który wyjął z kieszeni marynarki srebrną piersiówkę i puścił ją w obieg.
- Wracam do domu – oznajmiłam.
- Co?
- Nie ma mowy.
- Nie możesz wrócić, autobus przyjedzie dopiero o jedenastej.
- Nie będę czekała do jedenastej na autobus, skoro mieszkam sześć przecznic stąd.
- Impreza u Towner! – ogłosił jeden z chłopców.
- Mieszkam z cioteczną babką Evą.

Dziewczyna od wynajętego autobusu mierzy mnie wzrokiem.

- Impreza u babki Towner!
- Eva pewnie już śpi.
- Wierz mi, nie chcesz tam urządzać imprezy – powiedziała jedna z dziewczyn.
- No – potwierdziła ta od autobusu. – Jej ciotka to Emily Post, kurwa.
- Słucham?! – Szarfa uniósł brew. – Powiedziałaś, że jej ciotka to Emily Post czy kurwa?

Dziewczyna zaczęła chichotać, jakby nigdy w życiu nie słyszała równie śmiesznego dowcipu.

- Wiesz, o co mi chodzi.



Odeszłam, zanim ktoś zdołał wymyślić alternatywny plan z uwzględnieniem mojej osoby. Po chwili przypomniałam sobie,

że zostawiłam płaszcz, ale nie chciałam wracać, bo bałam się, że za drugim razem tak łatwo mnie nie puszczą. Zamiast tego zacisnęłam dłonie i podciągnęłam rękawiczki jak najwyżej, żeby okryć ramiona. Skręcając zza róg, słyszałam, że orkiestra się stroi, i widziałam ludzi wracających do środka.

Przeszłam obok domu, ale Eva jeszcze nie spała i nie chciałam wchodzić, więc po prostu szłam dalej. Coraz bardziej złościłam się na May za to wszystko: za postawienie mnie w takiej sytuacji, że musiałam mieszkać u Evy i chodzić na bale. I złościłam się, że Beezer odszedł na dobre, no bo po szkole z internatem będzie co, liceum, a potem studia? Odszedł, odszedł, odszedł. Zaczynałam sobie uświadamiać, jak wiele się zmieniło i jak szybko. Chyba już nigdy nie zamieszkamy wszyscy na wyspie. W mgnieniu oka nasz świat się zmienił i żadne z nas nie mogło tego cofnąć. Lyndley odeszła, mój brat odszedł. A moja matka May wpadła w depresję albo zwariowała, albo zwyczajnie miała wszystko w nosie.

A potem zaczęłam obracać w głowie naprawdę zwariowany pomysł. Pomyślałam, że jednak mogę to cofnąć, jeśli się pośpieszę; że może nie jest za późno, muszę tylko wrócić do domu zaraz, tego wieczoru. Jeżeli zadzwonię do Beezera i każę mu przyjechać, posłucha. Miałam jeszcze nad nim władzę, chociaż coraz mniejszą. Poszłam do publicznego telefonu na przystani i próbowałam zadzwonić do Beezera do szkoły, ale było już po gaszeniu świateł i nie odbierali telefonów. Pomyślałam, że nie szkodzi. Za kilka dni Beezer wróci do domu na Święto Dziękczynienia, a kiedy przyjedzie do Evy i dowie się, że jestem na wyspie, przyleci tam jak na skrzydłach i wszystko znowu będzie dobrze. Znałam go. Jakoś się dostanie na wyspę. Nawet gdyby miał wynająć helikopter.

I tak znalazłam się w hangarze na łodzie, gdzie odstawiono whalera na zimę. Sprawdziłam bak i rzeczywiście zostało

trochę benzyny, i noc była spokojna, więc zepchnęłam łódź na wodę i wsiadłam, niszcząc sukienkę, ale kogo to obchodzi? Jeśli miałam kiedyś wrócić do domu, to dzisiaj. Nie mogłam czekać.

Odepchnęłam łódź i podryfowałam na zatokę. Był odpływ, Księżyc prawie w pełni, ale żadnej innej łodzi w pobliżu, więc przynajmniej nikt nie będzie mi zadawał pytań ani nie spróbuje mnie zatrzymać.

Myślałam, że zmarnuję trochę benzyny przy zapalaniu, ale poszło łatwiej, niż się spodziewałam. Podniosłam kanister; okazało się, że jest w połowie pełny. Morze było spokojne, świecił księżyc, więc łatwo mogłam wypatrzeć skały. Wiedziałam, że nic mi się nie stanie, jeśli nie zrobię żadnego głupstwa, jeśli nie wypadnę. Pamiętałam, jak Eva kiedyś powiedziała Lyndley, że pięćdziesięciolatek ma pięćdziesiąt procent szans, żeby przepłynąć pięćdziesiąt jardów w wodzie o temperaturze pięćdziesięciu stopni Fahrenheita i przeżyć. Dlatego nie należy pływać, jeśli wypadniesz za burtę. Trzeba zostać na miejscu, zużywać jak najmniej energii i czekać, aż ktoś cię uratuje. Jeżeli zaczniesz płynąć, przepompujesz krew od głównych organów do kończyn. W ten sposób umrzesz dużo szybciej, i to w temperaturze pięćdziesięciu stopni Fahrenheita, czyli dziesięciu stopni Celsjusza. Tutaj woda nie osiągała takiej temperatury od początku października.

Kiedy wyplłynęłam z zatoki, spod osłony lądu, zimny wiatr zmarszczył wodę i zobaczyłam, że jednak jest fala, chociaż niezbyt duża, i do wyspy nie miałam daleko, więc się nie przejmowałam. A jednak czułam się dziwnie i nie na miejscu. Gwiazdy błyszczały jasno jak w zimie i pomyślałam, że chociaż spędzałam poprzednie zimy na wyspie i oglądałam to samo niebo, nigdy nie pływałam łódką o tej porze roku.

Wyciągaliśmy łodzie na brzeg wcześniej, zaraz po Dniu Kolumba*. Nawet jeśli utrzymywała się ciepła pogoda, musieliśmy podnieść pływający pomost przed Dniem Weterana, bo wtedy zamykano stocznię na zimę, a robotnicy stoczniovi wykonywali całą pracę. O tak późnej porze roku pływały tylko wielkie łodzie z Gloucester. I kilka łodzi poławiaczy homarów.

* Dzień Kolumba – amerykańskie święto narodowe, obchodzone 21 października na pamiątkę dnia, kiedy Kolumb przybył do Ameryki.

Prawie dopłynęłam na wyspę, zanim załapałam ten dowcip. Wielki kosmiczny żart, który dotarł do mnie w jednym przebłysku. I wtedy zaczęłam się śmiać. Tak się śmiałam, że musiałam wyłączyć silnik, bo bałam się, że wypadnę z łodzi.

Co takiego mówiła Eva? „Nie możesz wrócić do domu”. Na tym polegał ten żart. Nie żadna przenośnia czy figura retoryczna. Dosłownie. Kiedy dopłynęłam do wyspy, zobaczyłam, że pomost zniknął. Rampa wisiała wysoko nad wodą, jak co noc, kiedy May ją podnosiła. Ale pomost, z którym była połączona, zniknął. Wyciągnięto go z wody na zimę, jak co roku przed Dniem Weterana, ale z jakiegoś powodu o tym nie pamiętałam. Właśnie dlatego Eva się martwiła i dlatego popłynęła po May, ponieważ po wyciągnięciu pomostu May nie mogła opuścić wyspy aż do wiosny, chyba że helikopterem, czego nigdy by nie zrobiła. Wiedziałam o tym, rozmawialiśmy o tym zaledwie w zeszły weekend. Ale zapomniałam, że jeśli May nie może odbić od wyspy, ja również nie mogę do niej przybić. Jedyne na Back Beach, ale nie na zimowych wodach, o tej porze roku łódź się roztrzaska na kawałki. Oto zdobyłam się na wielki gest, próbowałam wrócić do domu, ale cioteczna babka Eva

miała rację, kiedy mówiła, że „nie mogę wrócić do domu”. I z jakiegoś powodu to mnie ogromnie rozbawiło. Siedziałam w łodzi z wyłączonym silnikiem, spoglądając na wyspę, odległą zaledwie o kilkaset jardów, chociaż dla mnie równie dobrze mogła leżeć milion mil stąd. Wiedziałam, że powinnam uruchomić silnik i wrócić do miasta, ale nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam iść naprzód i nie mogłam się cofać. Więc siedziałam w łodzi w swojej balowej sukni i zaśmiewałam się do łez.



Jack myślał, że łódź się zepsuła albo coś. Wracał z drugiej strony wyspy, gdzie jego ojciec wciąż trzymał kilka pułapek. Wyciągnął je na zimę i miał ich pełną łódź, labirynt małych skrzynek. Powiedział mi później, że nie chciał wypływać tamtej nocy, ale ojciec suszył mu głowę od tygodni i miał już dość wysłuchiwanie ojcowskiego zrzędzenia. Chciał to załatwić i mieć wreszcie trochę spokoju. W blasku księżyca od razu zobaczył whalera. Chyba nie wiedział, że to ja, dopóki nie podpłynął bliżej.

Widziałam, jak ogarnia wzrokiem suknię i rękawiczki. Nie pytał, co tu robię, nawet nie pytał o silnik. Po prostu chwycił mnie za ramię i wciągnął na pokład. Przywiązał whalera do rufy swojej łodzi i wepchnął na mnie swoją kurtkę. Nie przywitał się ze mną. Widziałam, że jest wkurzony. Przez długi czas w ogóle się nie odzywał, aż wreszcie zapytał:

– Jesteś zwyczajnie głupia czy masz poważny problem?

Nie bardzo wiedziałam, jaka odpowiedź będzie prawdziwa, więc milczałam.

Znowu lato...

Następnego lata jednak wróciłam na wyspę. Podjęłam tę decyzję razem z Evą i moim terapeutą. May czuła się dobrze i ja też. Napisała mi w liście, że chciałaby, abym przyjechała na lato. Beezer nie wrócił. Skorzystał z okazji, żeby wyjechać na obóz naukowy w Caltech. Wszyscy się zgodzili, włącznie z May, że powinien jechać.

Pomiędzy mną a May już nie układało się tak jak przedtem. Ale znośnie. May lepiej sobie radziła. Pokonała depresję, na którą tak długo cierpiała. Zaczęłam myśleć, że może jednak May wiedziała najlepiej, co jest dla niej dobre. Że może, w przeciwieństwie do reszty z nas, znała swoje ograniczenia i potrafiła się z nimi pogodzić.

Na początku sierpnia przyjechała Lyndley. Ni stąd, ni zowąd. Zjawiła się bez zapowiedzi i oświadczyła, że tęskniła za mną i chciała spędzić razem nasze urodziny. Wydawała się szczęśliwa. Została przyjęta do dwóch szkół plastycznych, RISD* i CalArts**. Powiedziała, że Cal i ciocia Boynton nalegają, żeby wybrała CalArts. Chcieli, żeby została blisko domu.

* RISD (*Rhode Island School of Design*) – Szkoła Wzornictwa stanu Rhode Island.

** CalArts (*California Institute of the Arts*) – Kalifornijski Instytut Sztuk Pięknych.

Spotykałam się z Jackiem od świąt, od tamtego balu w Hamilton Hall. To stało się nieuchronnie jak we śnie. On najpierw chyba nawet mnie nie lubił, po prostu wściekał się na mnie, częściowo pewnie dlatego, że wyglądałam jak siostra. Wiedziałam, jak bardzo Lyndley go zraniła. Wszyscy wiedzieli. Kiedy związałam się z Jackiem, mówiłam sobie, że to nie ma

znaczenia, że to w porządku, bo przecież Lyndley z nim zerwała. Ona podjęła tę decyzję.

Przez całe lato wyciągałam pułapki z Jackiem, dlatego czasami nie pokazywałam się w domu przez kilka dni. Pracowaliśmy trzy dni tutaj, potem cztery w Maritimes, tuż za kanadyjską granicą. Jack zastawił tam trzysta pułapek. Plus następne trzysta za naszą wyspą i przy wyspie Baker's. Ojciec Jacka był chory. „Od picia i od picia” – jak to określał Jack, mając na myśli długie lata łowienia i odwiedzania nadbrzeżnych barów. Miał zniszczoną wątrobę. Cierpiał na artretyzm. Nie mógł już łowić.

Jack próbował nakłonić swojego brata Jay-Jay a, żeby przejął miejscowe pułapki, ale Jay-Jaya nie interesowało łowienie homarów. Dostawał choroby morskiej. Więc Jack wynajął mnie. Chociaż oficjalnie mieszkalam na wyspie z May, większość czasu spędzałam na łodzi z Jackiem.

W tygodniu, kiedy Lyndley wróciła, Jack i ja popłynęliśmy do Maritimes. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się na Isle of Shoals i obozowaliśmy tam na plaży, bo oboje mieliśmy już dosyć łodzi. Po powrocie chciałam spędzić kilka dni na wyspie, po prostu pomieszkać na suchym lądzie. Wróciłam po północy. May spodziewała się mnie najwcześniej następnego dnia, ale lampa w kuchni się paliła. Wiedziałam, że Beezer wyjechał do Kalifornii. Miałam tylko nadzieję, że May nie czeka na mnie do tej pory.

Ale to nie May siedziała przy kuchennym stole, tylko Lyndley. Długo mnie obejmowała.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam – powiedziała. – Myślałam, że już nigdy nie wrócę. Boże, ale wyładniałaś w tym roku.

– Sądziłam, że pójdziesz do CalArts – odparłam.

– Zapomnij o Cal Arts – rzuciła. – Moja noga nie postanie w CalArts.

Spała ze mną w moim łóżku, powiedziała, że nie chce być sama. Przez całą noc leżałam bez ruchu, żeby jej nie przeszkadzać, i patrzyłam w okno, aż słońce weszło na najczerniejszym niebie, jakie widziałam w życiu.

Nosiła przy sobie naturalne zdjęcie Jacka. Wypadło z kieszeni jej dzinsów, kiedy podniosłam je z podłogi, gdzie je rzuciła. Fotografia była pognieciona i wytarta. Miałam taką samą, chociaż w lepszym stanie.

Rozmawiałam przez radio z Jackiem, kiedy Lyndley zeszła na śniadanie. Wydawała się szczuplejsza niż dawniej, starsza, chociaż za miesiąc obie kończyłyśmy osiemnaście lat.

– Z kim rozmawiałaś? – zapytała.

– Z Jackiem.

– Z moim Jackiem?

Wstałam i przyniosłam płatki. Widziałam, że chciała wiedzieć, co się dzieje, ale nie miałam ochoty o tym mówić.

– Powiedziałaś mu, że wróciłam? – zapytała nieśmiało. Nie miała pewności, jak on to przyjmie.

– Jeszcze nie – odparłam, jakbym robiła z tego wielki sekret. Owszem, miałam sekret, ale inny.

Pokroiłam kilka truskawek i położyłam na płatkach, bo wiedziałam, że tak lubi.

– Szpanowanie na śniadanie – mruknęła.

Ale zjadła truskawki z trzema łyżkami cukru. Sprzątnęła z miseczki do czysta. A potem zrobiła coś dziwnego. Zdjęła srebrne kolczyki, te same, które wybrałam na Harvard Square. Przesunęła je po stole w moją stronę.

– Co robisz? – zapytałam podejrzliwie.

– Co moje, to twoje – odparła i stąd wiedziałam, że ona

wie. Wytrzymała mój wzrok przez długą chwilę, potem wstała i poszła po dokładkę płatków.

Zostawiłam kolczyki na stole między nami. Nie miałam pojęcia, co robić. Lyndley wróciła do stołu i zjadła drugą miskę płatków, jakby nic szczególnego się nie stało.

Skończyła jeść, zaniósła obie miski do zlewu i opłukała je w słonej wodzie. Wytarła ścierką, żeby nie zostały smugi od soli. Nawet odstawiła do kredensu, czego nigdy nie robiła.

– Bardzo ładny dzień – zauważyła. – Będzie upał. Niebo wciąż nosiło ślady czerwieni.

– Przejdę się i sprawdzę, co z domem – oznajmiła.

To należało do tradycji – oglądanie domu Boyntonów, sprawdzanie, jak przetrwał zimę, i zwykle robiłyśmy to razem. Ale w tym roku nie zapytała, czy z nią pójdę. I nie zabrała kolczyków.



Nie powiedziałam Jackowi, że Lyndley wróciła. Teraz wydaje się dziwne (po wszystkim, co się stało), że nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale to prawda.

Zmierzchało, kiedy przyplłynął. Nadciągał sztorm i morze zaczęło się burzyć. Czekałam na niego na przystani. Nawet nie pozwoliłam mu zacumować, tylko wskoczyłam do łodzi – niezbyt mądrze z mojej strony, bo woda już się kotłowała. Myślę, że chciał zostać na wyspie, przynajmniej na trochę.

– Zabierz mnie stąd – poprosiłam.

Widział, że jestem zdenerwowana. Pewnie myślał, że pokłóciłam się z May albo co. W tamtym okresie to się często zdarzało, kłótnie z matką. Jeśli nie błądziła gdzieś myślami, ciągle się sprzeczałyśmy, zwykle o głupstwa. Na przykład kto nie zakręcił kranu albo kto nie podniósł rampy. Tak się między

nami układało. Nie tak, jak marzyłam zeszłej zimy, kiedy chciałam tylko wrócić na wyspę, kiedy liczyłam dni dzielące mnie od powrotu do domu.



W pułapce na homary są maleńkie drzwiczki, nazywane deską widmem. Zrobione są z drewna. Zauważyłam je któregoś dnia, gdy wyciągaliśmy pułapki. Kiedy zapytałam, Jack wyjaśnił mi, że drzwiczki mają wypuścić homara, w razie gdyby poławiacz nigdy nie wrócił po zdobycz. Jeśli nie wraca dostatecznie długo, drzwiczki zgniją i uwolnią homara. Uważa się to za humanitarne. Nie wiem, czy to stosunkowo nowy wynalazek, czy zawsze go stosowano w pułapkach. A może był niepotrzebny w czasach, kiedy wszystkie pułapki robiono z drewna.

Pod koniec ostatniego wspólnie spędzonego dnia wyciągnęliśmy starą drewnianą pułapkę, jedną z niewielu, których Jack nadal używał. Szukałam deski widma, ale nie znalazłam. Jack wymienił już przynętę i chciał wrzucić pułapkę z powrotem, ale ja wciąż obsesyjnie wypatrywałam drzwiczek. Oglądałam pułapkę ze wszystkich stron, szukając drogi ucieczki dla homara.

– Co robisz? – zapytał w końcu Jack.

Wtedy mu powiedziałam, że nie chcę go więcej widzieć.

Prawie się roześmiał, takie to było niespodziewane. Ale kiedy na mnie spojrział, płakałam. Nigdy przedtem nie widział moich łez. Nie należę do osób, którym płacz przychodzi łatwo.

– Nie mogę się dłużej z tobą spotykać – powiedziałam. Widział, że mówię poważnie.

– Co się dzieje, do cholery?

Nie mogłam mu powiedzieć. Nie chciałam, żeby wiedział o Lyndley, przynajmniej na razie. Musiałam mieć pewność, że mu na mnie zależy, a gdybym mu powiedziała o Lyndley, nie przejmowałaby się zanedo zerwaniem. Sama nie wiem, jaką logikę stosowałam, po prostu tak czułam.

Najpierw poczerwieniał, później kolory powoli odpłynęły z jego twarzy. Zamarłam, spodziewając się uderzenia. Widywałam już białą furję; nigdy u Jacka, ale wiele razy u Cala. Białej furii nie da się z niczym pomylić. Naprawdę się spodziewałam, że mnie uderzy. Ale myliłam się. Nie uderzył mnie. Tylko stał i patrzył na mnie chyba przez wieczność.

– Znowu? – zapytał wreszcie głosem jak lód.

Przez chwilę nie rozumiałam, o co mu chodzi. „Znowu?”. Nigdy z sobą nie zrywaliśmy, nigdy nawet się nie kłóciliśmy. „Znowu” to była niewłaściwa reakcja.

A potem mnie olśniło. Absolutnie właściwa. Pomimo wszystko wiedziałam, że instynkt słusznie mnie ostrzegał, że bym nie mówiła Jackowi o powrocie Lyndley. Jack zakochał się w Lyndley, gdy tylko ją zobaczył. Ja byłam zaledwie substytutem, najlepszą namiastką tego, czego naprawdę pragnął, czyli mojej siostry bliźniaczki. Gdybym była z sobą szczerą, musiałabym przyznać, że wiedziałam o tym przez cały czas, tylko po prostu nie chciałam o tym myśleć. Cios dosięgnął mnie prosto w serce, znacznie bardziej bolesny niż wszelkie fizyczne rany.

Jack ze złością przerzucił silnik na przedni bieg i zwiększył obroty do maksimum.

Kiedy opływaliśmy wyspę od nawietrznej, przy skałach Back Beach, łódź zwolniła, początkowo niemal niedostrzegalnie. Podniosłam wzrok. Niebo było jaśniejsze, niż pamiętałam, chociaż na północy całkowicie zakryte przez chmury, czarne

i puste, jakby ktoś wymazał fragment nieboskłonu. Prawie odezwałam się do Jacka, prawie go ostrzegłam, żeby tutaj nie zwalniał, bo prądy i fala łatwo mogą pochwycić łódź i roztrzaskać na skałach. Pobiegłam na dziób, wychyliłam się i wypatrywałam cieni oznaczających skały.

– Nie zatrzymuj się! – wrzasnęłam i wlałam na dziób. Widziałam czarne kontury skał tuż pod powierzchnią. Pomyślałam, że rozbijemy się tutaj jak wiele łodzi przed nami. Znowu zaczęłam na niego wrzeszczeć, ale powstrzymał mnie wyraz jego twarzy. Jack patrzył na coś na skałach.

Mój wzrok podążył za jego spojrzeniem. Zamrugotałam z niedowierzaniem. Na szczycie skały, jakieś sto stóp wyżej, stała Lyndley. Była bosa, ubrana w moją nocną koszulę, którą dostałam od Ewy na gwiazdkę, białą z koronką. Wiatr rozwiewał jej włosy i białą szatę. Wyglądała jak bogini z jakiegoś greckiego mitu. Zalała mnie fala ostrej zazdrości. Nie tylko dlatego, że Lyndley wyglądała tak pięknie, że Jack patrzył na nią takim wzrokiem, ale ponieważ cały scenariusz wydawał się okropnie sztuczny. Widocznie stała tutaj od dawna i czekała, żebyśmy ją zobaczyli, czekała na odpowiedni wiatr, czekała, aż łódź wpłynie w jej pole widzenia. To było takie wykalkulowane, że aż śmieszne, nie mogłam uwierzyć, że Jack dał się nabrać. W tamtej chwili nienawidziłam mojej siostry. Całkowicie i absolutnie. Chciałam, żeby umarła. Chciałam, żeby spadła ze skał i roztrzaskała się na milion kawałków.

Sztorm wciąż wisiał nad horyzontem, ale szybko zbliżał się do nas i nasycał wilgocią powietrze, gęste i czarne, niezdadne do oddychania.

Lyndley wychylała się do przodu, na wiatr, jak galion na starym statku z Salem, koronkowa szata falowała wokół niej,

rozświetlona sierpem Księżycy w ostatniej kwadrze, gwiazdy i ich odbicia błyszcząły na czarnym niebie i jeszcze czarniejszej wodzie. Twarz miała idealną i pozbawioną wyrazu, niczym puste płótno, którego jeszcze nie zapełniła, pozwalając nam później domalować nasze własne impresje na temat tego, co widzieliśmy tamtej nocy. Całe jej ciało przechylało się do przodu pod niemożliwym kątem i w chwili, kiedy zrozumiałam, że się nie utrzyma, oderwała się, posłuszna prawu grawitacji, lecz gwałcąc zasady perspektywy, i rozpoczęła długi, milczący upadek do zimnego, czarnego oceanu. Tylko raz przekoziółkowała przez głowę, potem skrzyżowała ramiona na piersi, jakby już umarła, i przeszła czarną wodę jak igła, nie wywołując nawet zmarszczki. I znikła na zawsze. Tak po prostu.

Usłyszałam, że Jack wciągnął powietrze, i ten dźwięk przywrócił mnie do rzeczywistości. Oboje patrzyliśmy niemal przez wieczność, czekając, żeby wypłynęła na powierzchnię, żeby pojawiła się chociaż raz, ale nie wypłynęła. Potem byłam w wodzie, nurkowałam. Słyszałam, jak Jack krzyczy przez radio: „Mayday! Mayday!” wśród trzasków zakłóceń. Zatrąbił klaksonem, trzy alarmowe sygnały, i nakierował reflektor na wodę, żeby mi pomóc. Usłyszałam plusk i wiedziałam, że on też wskoczył.

Nurkowałam i nurkowałam, ale ocean był pusty. Nie mogłam dotrzeć na dno. Wypłynęłam po raz trzeci, zrobiłam całkowity wydech, potem nabrałam powietrza w pękające płuca i znowu wystrzeliłam w dół, jak najgłębiej, wypuszczając po drodze powietrze, żeby dotrzeć do skał na dnie, gdzie spoczywało jej ciało. Poczułam, że skała obciera mi nogi, kiedy przeszorowałam po dnie, zmuszając swoje ciało, żeby płynęło w dół. Potem nagle ocean nie był już pusty, tylko wypełniony

wszystkim, co ktokolwiek kiedykolwiek zgubił: kotwica, butelka, stara pułapka na homary. Płuca mnie bolały, najpierw od wstrzymywania oddechu, teraz z braku powietrza. Każda cząstka mnie pragnęła się wynurzyć, ale wiedziałam, że jeśli teraz wypłynę, już nigdy nie zejść tak głęboko.

Istnieje punkt, w którym siła życia pokonuje wolę i ciało po prostu samo oddycha. To się samo staje. Boli jak cholera, kiedy wdychasz morską wodę, ale ból szybko ustępuje i wtedy czujesz przepływ wody i słyszysz muzykę sfer. Coś dosłownie ciągnie cię do światła i pamiętam, jak to zarejestrowałam i zrozumiałam, że ci wszyscy ludzie, którzy przeżyli własną śmierć, pisali prawdę. Pamiętam, jak się uśmiechałam, szczerząc zęby, jak zimna woda zamroziła ten uśmiech na zawsze.

Kiedy przebiliśmy powierzchnię, zobaczyłam, że May też jest w wodzie i płynie w naszą stronę. Światło, które widziałam, nie pochodziło z zaświatów, ale z reflektora na łodzi Jacka, i to ręka Jacka przyciągnęła mnie z powrotem do życia. To było okropne, równie bolesne, jak piękne jeszcze przed chwilą. Teraz Jack próbował mnie udusić, jego usta na moich ustach, wdychał we mnie powietrze, utrzymywał nas oboje na powierzchni, dopóki nie nadeszła pomoc.

May zaholowała nas oboje na brzeg i stała nad nami, taka zatroskana o mnie. Próbowałam jej powiedzieć, żeby wróciła po Lyndley, ale nie mogłam wydobyć głosu. Za każdym razem, kiedy zaczynałam mówić, krztusiłam się i wymiotowałam słoną wodą, i znowu się krztusiłam. Niewyobrażalny ból ścisnął mi płuca. Jack powinien mnie zostawić, pozwolić mi umrzeć z Lyndley. Umieranie nie boli, ale powrót do życia to męczarnia.

– Leż spokojnie – mówiła do mnie May, trzymając moją głowę na kolanach, odgarniając mi włosy z twarzy. Widziałam,

że Jack klęczy kilka stóp dalej, kaszląc. Powiedz jej, próbowałam wykrztusić, na litość boską, powiedz jej, że Lyndley ciągle tam jest. May dobrze pływała. Zrozumiałam teraz, że niepotrzebnie się o nią martwiłam. May była silniejsza, niż potrafiłam sobie wyobrazić. Tylko ona spośród nas miała tyle siły, żeby uratować Lyndley. Ale nie mogła jej uratować, jeśli nie wiedziała, że Lyndley leży na dnie. Ciągle próbowałam jej powiedzieć. Lecz ani ja, ani Jack nie mogliśmy mówić.

Patrzyłam bezradnie, jak Jack zachwiał się i upadł wyczerpany na piasek, szlochając.

CZEŚĆ CZWARTA

Z chaosu i wirowania wzorów zaczynają się wyłaniać obrazy. Pierwszy pojawi się w martwym punkcie. To są Przewodnicy. Wróżąca musi wykorzystać Przewodników, żeby podążyć poza martwy punkt i poza zastonę. Strzeżcie się obrazów, które ukazują się w tym miejscu. Nie są prawdziwe. Przewodnicy to oszuści. Pokażą wam swoją magię i zaproszą do pozostania. Jeśli zdołają i jeśli Szukająca okaże się podatna, wmówią wam, że to oni sami stanowią odpowiedź. Każdy z nich ma wielkie ego. Wróżąca musi oprzeć się pokusie i nie pozwolić Szukającej tam się zatrzymać, choćby obrazy wydawały się najbardziej urzekające i prawdziwe. Zadaniem Wróżącej z koronek jest przesunąć Szukającą poza martwy punkt do rzeczywistej prawdy, która leży nie wewnątrz zastony, lecz tuż poza nią.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 21

Siedzieli razem na ganku jak para starszków na statku wycieczkowym, z kocem na nogach, leżaki przysunięte do samej poręczy starego wiktoriańskiego domu wymagającego remontu, który Rafferty kupił swojej pierwszej zimy tutaj i odtąd zawsze tego żałował.

„Wycieczka donikąd” – tak nazywała Towner przesiadywanie na ganku, które stało się jej głównym zajęciem po wyjściu ze szpitala. Zalecane przez lekarzy. Odpoczywaj, radzili. Kiedy poczuje się na siłach, może trochę popływać, pod warunkiem że w słonej wodzie. Ten ostatni pomysł wyszedł od Rafferty'ego, nie od Towner. Rafferty wiedział, że umiała pływać, wszystkie kobiety Whitneyów świetnie czuły się w wodzie, więc zapytał o to lekarza. Dobry pomysł, orzekł lekarz. Na razie Towner nawet nie zbliżyła się do wody.

Spędziła w szpitalu trzy tygodnie, pierwszy pod kroplówką z wankomycyny. Ciężka infekcja. Pooperacyjna, oznajmili. Z komplikacjami. Nie określili charakteru tych komplikacji,

ale nie musieli. Komplikacje należały do stylu życia Towner i głównie, dlatego Eva tak się martwiła o swoją cioteczną wnuczkę. Najnowsze komplikacje wydawały się nieuniknione – nie ze względu na to, co się wydarzyło, ale z powodu reakcji Towner. Wciąż powracały do niego słowa Ewy: „Jest wiele sposobów, żeby się zabić”.

W tygodniach po infekcji Rafferty przeczytał wszystko, co zdołał znaleźć, na temat bliźniąt i żałoby. Bliźnięta to coś wyjątkowego. Stracić bliźniaka w dowolnym wieku to stracić część siebie. Połowa ciebie umiera. Nawet ludzie, którzy nie wiedzieli, że mają bliźniacze rodzeństwo, którzy stracili bliźniaka jeszcze w łonie matki albo zostali rozdzieleni przy urodzeniu, żyją w poczuciu osamotnienia i żalu, jakby zgubili połowę siebie i nigdy nie mogli jej odnaleźć.

Odkąd przeczytał dziennik Towner, wciąż przewijała mu się przed oczami scena samobójstwa Lyndley. Klasyczne poczucie winy tego, kto przeżył. Samobójstwa prawie nigdy nie można przeboleć. Współlokator Rafferty'ego na uniwersytecie w Fordham popełnił samobójstwo, a co gorsza, nie mówiono o tym, ponieważ Kościół katolicki uważa samobójstwo nie tylko za zbrodnię, ale też za grzech. Pod pewnymi względami rzeczywiście wydawało się grzechem. Przynajmniej dla kogoś, kto został przy życiu. Wywoływało takie samo mdlące uczucie jak wtedy, kiedy popełnimy nieodwracalny czyn, po którym nigdy nie możemy dojść do siebie. Jak grzech albo wirus.



To Rafferty znalazł swojego współlokatora. Nigdy nie zapomniał tego widoku. W przeciwieństwie do Towner Rafferty

nigdy nie próbował się zabić, nie bezpośrednio. Ale zawsze pozostawała taka możliwość. Jak wirus. Jeśli raz miałeś z nim kontakt, zostawał w tobie na zawsze i tylko czekał, aż osłabiesz. Nigdy nie wiedziałeś, którego dnia twoja odporność zaniknie i choroba cię zaatakuje.

Rafferty odwiedzał Towner w szpitalu w Salem. Wpadał tam prawie codziennie w drodze z pracy do domu. Niewiele rozmawiali, tylko siedzieli na ganku na dachu i spoglądali na zatokę. Kiedy ją wypisano, wydawało się naturalne, że zabrał ją na swój ganek, skąd roztaczał się lepszy widok i gdzie miał ją na oku.

Nie mogła wrócić do Kalifornii, jeszcze nie. Nie chciała wracać do domu Ewy i on też nie chciał, żeby tam wracała. Więc zaofiarował jej pokój córki. Tylko na parę tygodni, powiedział, widząc jej wahanie. Dopóki nie nabierze sił.

Podobał jej się pokój jego córki, chyba dobrze się czuła wśród pamiątek życia, które nie miało nic wspólnego z jej życiem: plakat z Tupakiem Shakurem nad komodą, Beanie Babies zawieszony pod sufitem w prowizorycznym hamaku.

– Ile lat ma twoja córka? – brzmiało jedno z nielicznych pytań, jakie Towner kiedykolwiek mu zadała.

– Leah ma prawie piętnaście lat – odpowiedział. Skończy piętnaście tego lata podczas wakacji, które miała spędzić z nim tutaj, gdyby nie zmienił daty wizyty.

– Jak myślisz, może przyjedziesz parę tygodni później? – zapytał Leah, kiedy do niej zadzwonił w zeszłym tygodniu. – Możemy popłynąć łodzią do Maine.

– Dużą łodzią czy małą? – chciała wiedzieć.

– Dużą.

– Okay – powiedziała. – Jak chcesz.

Jego była żona wsiadła na niego, że zmienił datę. I że z nią tego nie uzgodnił.

– Nie możesz ciągle wszystkiego zmieniać – narzekała.

– Nie zmieniam wszystkiego. Zmieniłem tylko jedną rzecz.

Leah nie ma nic przeciwko.

– To, czego nie wiesz o dzieciach, wypełniłoby całą książkę.

Rafferty pomyślał, że pewnie miała rację.

– Prowadzę sprawę.

Właściwie to nie była żadna wymówka, ale nie miał innej, więc trzymał się tej.

– Powiedz mi coś nowego.

– Sprawę morderstwa.

Po tym słowie zaległa długa cisza.

– Myślałam, że przeprowadziłeś się tam, żeby uciec od morderstw – powiedziała wreszcie jego była żona.

– Przeprowadziłem się, żeby uciec od wielu rzeczy.

Cios dosięgnął celu i Rafferty o tym wiedział. Chociaż właściwie nie chciał jej ranić. Przyzwyczajenie.

– Nie możesz wszystkiego zmieniać – powtórzyła w końcu. – A gdybym miała jakieś plany?

– Więc tak naprawdę chodzi o ciebie.

Klik. Przyzwyczał się, że rzucała słuchawkę. Tak się kończyła większość ich rozmów. Zwykle z powodu czegoś, co powiedział.

Gryzł się tą całą historią przez jakąś godzinę. Wiedział, że Leah raczej nie przejęła się zmianą daty. Ale wiedział również, że dla jego córki to nie były wakacje, tylko „obowiązanie”. Leah sama wymyśliła to słowo. Częściowo wakacje. Częściowo obowiązek. Jego córka miała dryg do słów. Trochę się obraził, kiedy stworzyła to słowo, nawet jeśli trafnie opisywało

ich wzajemne stosunki. Oboje czuli się niezręcznie w swoim towarzystwie. Te wizyty kosztowały ją tyle samo wysiłku co jego. Nie żeby jej nie kochał. Bardzo ją kochał. Ale miał okropne poczucie winy, że ją zostawił. Kiedy wyjechał z Nowego Jorku, chciała jechać z nim. Nie lubiła mężczyzny, dla którego jej matka go rzuciła, powiedziała:

– Chcę być tylko z tobą.

– Twoja matka nigdy się nie zgodzi – odpowiedział.

Oczywiście mówił prawdę, ale to żadna odpowiedź.

Nigdy więcej go nie poprosiła. To nie było w jej stylu. Na to liczył. Podobnie jak nie w jej stylu było pytanie o zmianę daty wakacji. Nie zadawała pytań. I dobrze, przynajmniej w tym przypadku. Rafferty nie życzył sobie, żeby Leah знаła prawdziwy powód zmiany. Nie chciał, żeby wiedziała, że zakochał się w Towner Whitney.



Wieczorami Rafferty zwykle przygotowywał obiad dla Towner. Najczęściej makaron, ponieważ chętnie go zjadała. Lubiała też lody. Czasami ciężarówka lodziarza wjeżdżała w Willows i Rafferty schodził na małą plażę, żeby kupić dla niej lody. W inne wieczory, kiedy pracował do późna, wpadał do Dairy Witch w drodze do domu. Lubiała wszystko z posypką – czekoladową, nie kolorową.

– Na co patrzysz? – zapytał ją.

Prawie przez cały czas miała nieobecne spojrzenie. Zadawał jej już to pytanie, ale zazwyczaj nie otrzymywał odpowiedzi.

– Na światła – rzekła. Spoglądała w stronę okna May. – Ona zwykle zapala tylko jedną lampę.

Wskazała dwa światła, które znowu paliły się w oknie May.

Jedno, jeśli łądem, i dwa, jeśli morzem, pomyślał Rafferty. W ostatniej chwili ugryzł się w język, żeby nie wypowiedzieć tego na głos.

Zdziwiło go, że zauważyła światła, taki szczegół. Wziął to za dobry znak.

To, że chyba nie zauważyła łodzi Jacka wypływającej na zatokę, potraktował również jako dobry znak, chociaż z innych powodów. Noc, którą Towner spędziła z Jackiem LaLibertie, tkwiła pośrodku pokoju jak słoń, o którym żadne nie mówiło. Nie żeby dużo z sobą rozmawiali. Ale z pewnością nie mówili o Jacku LaLibertie.

Musiał przyznać, że poczuł ulgę, kiedy wciąż patrzyła na światła May i nie odprowadzała wzrokiem łodzi Jacka, zmierzającej do Miseries, gdzie rozmieścił większość pułapek; potem zgasyły światła pozycyjne i łódź skręciła ostro na sterburtę, za Wyspę Żółtego Psa.

Niewiele rozmawiali, to prawda. Gdyby rozmawiali, mógłby ją zapytać o Jacka. Z pewnością zapytałby o dziennik. Czy raczej zbiór opowiadań? Rafferty nie wiedział dokładnie, do jakiej kategorii go zaliczyć. Historie, które usłyszał od Ewy, nakładały się na wersje Towner i nadawały im nowy charakter. Wiedział, że wypełniała luki we własnej historii, co miało znaczenie terapeutyczne; tak mu powiedziała, kiedy zapytał, czy może przeczytać dziennik. Tak, zgodziła się, jeśli to mu pomoże w zbieraniu materiałów przeciwko Calowi. Ale sama nie chciała z tym mieć nic wspólnego.

Czytał go w kółko. Za każdym razem lektura przynosiła więcej pytań niż odpowiedzi. Na dole stron znajdowały się nabazgrane uwagi wykładowcy. Pisała to na zajęcia na Uniwersytecie Bostońskim, chociaż nigdy nie przyjęto jej tam

na studia. Raczej to należało do programu jej terapii w ostatnim roku pobytu w szpitalu McLean.

Tyle Rafferty zdołał sprawdzić. Ale wykładowca z kursu dawno odszedł. Nazwa kursu, „Warsztaty pisania kreatywnego”, też niewiele wyjaśniała. Wykładowca mógł wierzyć, że Towner tworzy fikcję, bo rzeczywiście dziennik zawierał sporo fikcji. Ale także faktów, których bardziej normalna osoba nie chciałaby ujawniać.

Zapytałby ją o Lyndley, o miłosny trójkąt i wniosek, że Jack naprawdę kochał Lyndley, nie ją. Były to pytania zbyt bolesne i osobiste, jednak nie mógł się powstrzymać, żeby nie czytać dziennika wciąż od nowa, szukając jakiegoś punktu zaczepienia, szukając odpowiedzi na pytania, które mógł zadać, powinien zadać, gdyby kiedykolwiek nadeszła odpowiednia chwila.

Ten fragment dziennika znosił najgorzej. Dlatego zdawał sobie sprawę, że wpadł. Czytał w kółko nie fragmenty o Calu, ale o Towner i Jacku.

Rafferty wiedział wszystko o Jacku i Towner na długo, zanim ją poznał. Nie od Ewy, ale od Jacka, który opowiadał tę historię na zebraniach AA. Nie raz, lecz wiele razy.

Wiedział, jak się spotkali i jak Jack godził się na rzeczy, z którymi nigdy nie powinien się pogodzić, bo ją kochał. Jak codziennie jeździł do szpitala w nadziei, że ona się do niego odezwie. Jak po wyjściu ze szpitala Towner udawała, że go nie poznaje. „Nawet nie chciała mnie znać!”. Jack prawie płakał, kiedy to mówił. Rafferty oczywiście żałował Jacka, ale również go osądzał i zdecydował, że Towner widocznie nigdy go nie kochała tak naprawdę.

Ale Rafferty zmienił zdanie, zarówno ze względu na ostatnie wydarzenia, jak i z powodu dziennika. Po przeczytaniu jej

zapisków Rafferty zrozumiał, że przynajmniej przez jakiś czas Towner była zakochana w Jacku LaLibertie. Prawdopodobnie wciąż go kochała.



Właśnie z powodu Jacka LaLibertie Rafferty przestał chodzić na spotkania AA w Salem. Nie dlatego, że nie chciał go spotkać – nie, Jack raczej nie zamierzał się tam pokazywać w najbliższym czasie. Rafferty przestał przychodzić dlatego, że wszyscy wiedzieli o Towner, więc czuł się winny jak cholera. Miał swoje powody. Dawniej, zanim Jack znowu zaczął pić, Rafferty go sponsorował.

– Sprawdź swoją uczciwość, Rafferty – powiedziała mu Roberta ostatnim razem na spotkaniu w Salem.

W pokoju zapadła cisza. Wszyscy chcieli mu to powiedzieć, ale nikt się nie odważył.



W pracy zrobiło się jeszcze gorzej.

Każdym włóknem swojego policyjnego mózgu Rafferty wiedział, że dzieje się z nim coś złego. Inni też zaczęli to zauważać. Szef go ostrzegł.

- Nie zepsuj sprawy tylko dlatego, że nie panujesz nad sobą.
- Wal się – burknął Rafferty.



Towner przebywała w szpitalu od trzech dni, zanim Rafferty arestował Cala za napaść na nią. Mógł to zrobić wcześniej – nawet szef na niego naciskał – ale wiedział, że Cal prawdopodobnie wyjdzie po dwudziestu czterech godzinach. Jeśli

zaczeka do szesnastej w piątek, oskarżenie nastąpi dopiero w poniedziałek rano. Przynajmniej Cal spędzi weekend w więzieniu. Niewiele, ale zawsze coś. I Rafferty będzie miał okazję przesłuchać kilku kalwinistycznych wyznawców bez wszechobecnego nadzoru Cala.

Przesłuchania nic nie dały. Kalwini okazali się jeszcze bardziej dogmatyczni od swojego przywódcy. Albo zwyczajnie przeszli pranie mózgu.

Rafferty miał jeszcze inny pomysł, chociaż strzelał w ciemno.

Podczas oskarżenia Rafferty poprosił sędziego, żeby nie zgodził się na kaucję, argumentując, że Cal stanowi zagrożenie dla społeczeństwa, przytaczając jako dowód pobicie przez niego Emmy Boynton, pobicie, wskutek którego straciła wzrok i doznała uszkodzenia mózgu. Przedstawił raporty medyczne i sądowe na poparcie swoich żądań.

Adwokat Cala oczywiście to przewidział i skontrolował, przedstawiając nieskazitelną kartotekę Cala za ostatnie trzynaście lat oraz podziękowania za służbę publiczną od burmistrza San Diego.



W dniu przesłuchania Cala sala sądowa pękała w szwach.

Najpierw szef przedstawił liczne skargi na Cala wniesione przez miejscowych kupców, którym kalwini bruździli w interesach, oraz przez kilka matek, które zeznały, że egzorcyzmy Cala obejmują kary cielesne graniczące z maltretowaniem.

Następnie Rafferty zabrał głos i poinformował sędziego, że Cal jest głównym podejrzanym w sprawie zaginięcia Angeli Rickey, która nosi jego nieślubne dziecko.

Adwokat Cala zgłosił sprzeciw i oznajmił, że Angela Rickey odeszła od kalwinów za ich zgodą i wróciła do domu rodziców, żeby urodzić dziecko.

Rafferty zripostował, że Angela nigdy nie dotarła do domu i wątpliwe, żeby tam się pojawiła.

Obrońca pokazał zaprzysiężone oświadczenie podpisane przez Cala Boyntona, w którym zapewniał, że nigdy nie miał stosunków seksualnych z Angelą Rickey.

Rafferty odparł, że Angela wyraźnie wskazywała Cala jako ojca swojego dziecka i koniecznie chciała urodzić, chociaż nie miała pewności, jak Cal to przyjmie. Najwyraźniej ten nie był zachwycony. Rafferty wykazał również, że Cal miał zarówno sposobność, jak i motyw.

– Ojcostwo to nie najlepszy interes dla mężczyzny, który zarobił tyle pieniędzy, propagując celibat.

Cal zapytał, czy może coś powiedzieć na swoją obronę. Wygłosił ni to kazanie, ni to reklamę własnej osoby, w której porównał się do Johna Newtona, autora hymnu *Amazing Grace*. Cal wyjaśnił, że podobnie jak on sam, Newton był zatwardziałym grzesznikiem, zdeprawowanym łotrem bez czci i sumienia – w rzeczy samej handlarzem niewolników. I podobnie jak Cal, Newton odnalazł zbawienie na morzu. Dzień jego nawrócenia niewiele się różnił od nawrócenia Cala, obaj też zostali kaznodziejami.

– Ocalony przez bożą łaskę i interwencję – oznajmił Cal. – Kto spośród was nie wierzy w odkupienie? – zagrzmiał, zwracając się do kongregacji, czyli prawników, sędziego, kalwinów oraz kilku miejscowych, którzy przyszli na rozprawę. – Kto spośród was pierwszy rzuci kamieniem? – ciągnął.

W tylnym rzędzie siedziało kilku członków rady kościelnej.

Pastor prezbiteriański mruknął do pastora metodystów, że chętnie rzuciłby kamieniem, gdyby z tej odległości mógł trafić Cala w głowę. Usiłował żartować. Prezbiterian najbardziej obrażała działalność Cala i przybranie nazwy „kalwin”, nazwy od dawna utożsamianej z ich odłamem protestantyzmu. Nie żeby im zależało na tej nazwie; etykieta kalwinów stanowiła PR-owy koszmar dla prezbiterian i ciężko pracowali przez lata, żeby wymazać to skojarzenie. Popularność, jaką cieszył się Cal, pod żadnym względem nie była dla nich korzystna.

– Ja chciałam rzucić kamień albo dwa – powiedziała jakaś kobieta, wstając. Jej czerwony kapelusz i purpurowa suknia wyróżniały się w morzu brązów i szarości.

Obok niej stanął następny Czerwony Kapelusz.

– Rzućmy głaz – zaproponowała.

Sędzia gestem przywołał kobiety. Jeszcze pięć Czerwonych Kapeluszy przyłączyło się do nich, kiedy wyszły na środek sali.

– Dzień dobry paniom – powiedział sędzia.

Nie mógł się powstrzymać. Rzadko widywał czerwień i purpurę w sali sądowej. Wiedział, kim są, jego żona groziła, że przystąpi do Czerwonych Kapeluszy, odkąd stuknęła jej pięćdziesiątka.

– Wysoki Sądzie, chcemy powiedzieć kilka słów dotyczących niebezpiecznego zachowania Calvina Boyntona.

Grupa wybrała Ruth na oficjalną rzeczniczkę i Rafferty pouczał ją przez godzinę.

– Proszę mówić dalej – powiedział sędzia.

– Jak wielu tu obecnych wie, byłyśmy stałymi klientkami herbaciarni Evy Whitney – zaczęła Ruth. – Mamy powody wierzyć, że zaginięcie Evy nie było wypadkiem. – Kobieta

ciągnęła jednym tchem, zanim sędzia zdążył zwrócić jej uwagę, że ta informacja nie dotyczy rozpatrywanej sprawy. – Byliśmy świadkami ustawicznego nękania Ewy Whitney, nie tylko jej interesów, ale jej osobiście. Groził jej wiele razy.

– To cholerne kłamstwo! – wykrzyknął Cal, podrywając się na nogi.

– Proszę usiąść, panie Boynton – rozkazał sędzia. – Jakiego rodzaju to były groźby? – zwrócił się do kobiety.

– Po pierwsze groził, że spali ją na stosie – oświadczyła matka ofiary wojny w Zatoce, która była na pogrzebie Ewy. Rafferty zauważył, że pozbyła się pastelowego kapelusza i pyszniła się teraz jaskrawoczerwonym.

– Słucham?

– Nazwał ją czarownicą i przy różnych okazjach groził, że ją powiesi albo spali, albo utopi.

– Groził, że ją zabije, Wysoki Sądzie – włączył się trzeci Czerwony Kapelusze. – Któregoś dnia, kiedy nie wiedział, że jesteśmy w herbaciarni.

– A jak pani Whitney zareagowała na te groźby?

– No, oczywiście wezwała policję.

– To prawda, Wysoki Sądzie – wtrącił się Rafferty. – Otrzymaliśmy wiele zgłoszeń o takim nękanii. Na początku kwietnia Eva Whitney uzyskała zakaz zbliżania się dla Cala Boyntona.

Zademonstrował sędziemu kopię zakazu.

– Powiedziała nam – ciągnęła matka ofiary wojny w Zatoce – że jeśli coś jej się stanie, sprawcą jest Cal Boynton.

– Znalaziono ją aż przy wyspie Children's – dodał kolejny Czerwony Kapelusze. – Wszyscy wiedzą, że oni tam wyrzucają ciała.

Kilka lat wcześniej przy wyspie Children's znaleziono inne ciało. Sprawa tamtego morderstwa właśnie została rozwiązana. I wszystkim się skojarzyło. Podobnie jak Eva i może jak Angela, tamta kobieta zaginęła na jakiś czas, zanim jej zwłoki wypłynęły przy wyspie Children's.

– Eva nigdy nie wypływała poza zatokę – podjęła Ruth. – Miała osiemdziesiąt pięć lat, na litość boską. Sama nigdy nie dopłynęłaby tak daleko.

Adwokat Cala przypomniał, że zwłoki Evy poddano autopcji. Nie znaleziono żadnych śladów przemocy.

– Nie znaleziono w ogóle żadnych śladów – przerwał mu Rafferty. – Zanim wyłowiliśmy Evę, dobrały się do niej homary. Musieliśmy ją zidentyfikować na podstawie karty dentystrycznej.

Sędzia zatrzymał Cala na trzydzieści dni.

– Jeśli chcecie, żebym go przymknął na dłużej, musicie mi pokazać ciało.

Nie mówił o Evie, tylko o Angeli Rickey. Po opuszczeniu sali sądowej Rafferty podszedł do Czerwonych Kapeluszy.

– Dobra robota, moje panie – pochwalił.

– Myśli pan, że to pomogło? – zapytała matka ofiary wojny w Zatoce.

– Bardzo.

– Co z tamtą dziewczyną... Angelą? – chciała wiedzieć Ruth.

– Myśli pan, że ją też zabił? – zapytał następny Czerwony Kapelusz.

– Sam nie wiem, co myśleć – wyznał Rafferty.

Miał złe przeczucia w związku z Angelą. Wiedział tylko, że musi ją znaleźć. I to szybko.

Kiedy tłum się rozchodził, Rafferty uświadomił sobie, że przypuszczalnie tylko on jeden w całym mieście nie uważał Cala za mordercę Ewy Whitney. Rafferty wykorzystał opinię publiczną, żeby osiągnąć swój cel, czyli wziąć Cala pod klucz, przynajmniej na jakiś czas. Lecz ani przez chwilę nie myślał, że Cal naprawdę zabił Evę. Z prostego powodu. Gdyby ten drań to zrobił, wystarczyłoby mu sprytu, żeby wyrzucić ciało w zatoce, gdzie Eva zwykle pływała. Fakt, że Evę znaleziono „tam, gdzie wyrzucają ciała”, stanowił jedyny słaby punkt w jej planie powstrzymania Cala. Lokalizacja przy wyspie Children's miała przyciągnąć uwagę. I przyciągnęła. Ale Rafferty'ego intrygowało to z całkiem innych powodów.

Wyplięnięcie to dobry pomysł, ale Eva posunęła się za daleko. Poza tym pochodziła z Whitneyów. Każda kobieta z rodu Whitneyów mogła tam dopłynąć. W każdym wieku. To należało do ich magii, w którą właśnie zaczynał wierzyć.



Rafferty powiedział Towner, że zatrzymano Cala. Nie opowiedział jej reszty. Uważał, że nie musiała tego wiedzieć.



Nie bardzo wiedział, co myśleć o Angeli. Nie mylił się co do dziecka. I nie mylił się co do motywu. I chociaż dręczyło go przecucie, że Angela już nie żyje albo wkrótce umrze, miał nadzieję, że przynajmniej co do tego się myli.



Rafferty niewiele mógł zrobić w sprawie Angeli. Mógł za to pilnować Towner. Tak sobie powtarzał. Teraz powinna

odpocząć i nabrać sił, więc opiekował się nią najlepiej, jak potrafił. Gotował. Siadywali na ganku i patrzyli na łodzie.

– Czy Leah żegluje? – zapytała Towner.

W Marblehead trwał tydzień regat. Spoglądała ponad zatoką na linię łodzi z postawionymi spinakerami.

Zaskoczyło go to pytanie, tak odległe od jego myśli.

– Co?

– Czy twoja córka żegluje?

– Tak – powiedział – trochę.

To był jeden z nielicznych wieczorów, kiedy Towner w ogóle się odezwała. Powinien rozwinąć temat, żeby przedłużyć rozmowę.

– Żaglówka, o którą mnie prosiła, to Scarab.

Towner kiwnęła głową, jakby rozumiała.

– Lubi szybkość – stwierdziła. – Wyrośnie z tego. Gusta się zmieniają.

– Naprawdę? – zapytał z nadzieją.

– Oczywiście – potwierdziła.



Tego wieczoru Rafferty zaproponował makaron, a potem steki z grilla, ale nic jej nie odpowiadało. Kończyły mu się pomysły. Był zmęczony.

– Nie jestem głodna – powiedziała. Wstał z leżaka i rozprostował nogi.

– Więc pójde pobiegać – oznajmił.

– Teraz? – Wydawała się zdziwiona. Przez cały wieczór ziewał.

– Aha. A potem wpadnę do Willows na kanapkę z chop suey.

- Ty i te twoje kanapki z chop suey – mruknęła.
- Chcesz się przyłączyć?

Zawsze pytał. Nigdy nie chciała, ale on wciąż pytał.

- Jestem zmęczona – odparła.
- Lody? – spróbował jeszcze raz. Nigdy nie odmawiała lodów.
- Nic mi nie trzeba.



Rafferty zrobił trzy okrążenia do Derby Street, zanim zwolnił. Za każdym okrążeniem przebiegał obok wyspy Winter. Cał, co prawda, siedział w więzieniu, ale reszta kalwinów była równie niebezpieczna jak on.

Rafferty biegał, dopóki się nie zmęczył. Na ścieżce prowadzącej na przelaj do Willows Park wreszcie zwolnił do marszu. Ociekał potem. Mijał sąsiadów siedzących na gankach, dzieci grające w hokeja na jezdni. Na plaży dzieciak z sąsiedztwa przestał palić trawkę i schował zapas za skałą. Na końcu chodnika sąsiadka wołała psa.

– Przepraszam – powiedziała do Rafferty'ego, biorąc psa na smycz zgodnie z przepisami miasta Salem. Rafferty próbował się uśmiechnąć. Był gliną, co automatycznie tworzyło dystans pomiędzy nim a resztą obywateli.

Ktoś łowiący na końcu mola wyciągnął morskiego okonia. Ryba zakołysała się w powietrzu jak wahadło, chwytając promienie zachodzącego słońca i kreśląc czerwoną smugę na niebie.

Harleye stały szeregiem po drugiej stronie alei, za nimi odziani w skóry motocykliści w pełnym rynsztunku. Księgowi i dentyści, pomyślał Rafferty, ale nie, byli tam również Aniołowie Piekieł. Dwa razy w roku odbywali pielgrzymkę do Salem, na tysiącach motocykli. Zamykano dla nich ulice. To

robiło wrażenie. Kiedy wjeżdżali do miasta, ryk silników słychać było aż na Highland Avenue na długo, zanim się pokazali. Ludzie siadali wzdłuż ulic na ogrodowych krzesłach, żeby oglądać ich przejazd.

Motocykliści uczestniczyli również w Heritage Parade. I w Halloween. Jechali za czarownicami. Dokładnie pomiędzy przedszkolakami a orkiestrą dętą.

Roberta spostrzegła go, zanim ją zauważył. Przestała sączyć dietetyczną colę i podziwiać rząd motorów. Na widok Rafferty'ego odwróciła się w drugą stronę.

Rafferty stanął w kolejce po kanapkę z chop suey, potem zajął miejsce pomiędzy dokiem a muszlą dla orkiestry. Gdy tylko usiadł, orkiestra zrobiła przerwę.

Wspaniale, pomyślał.

Ale chyba dobrze się stało. Kiedy orkiestra ucichła, odgłosy z wyspy Winter niosły się ponad hałasem z alei i wiedział, że Towner jest bezpieczna. Zdążyłby dobiec do domu w niecałe dwie minuty, gdyby musiał, znacznie szybciej, niż ktokolwiek mógł do niej dotrzeć.

Ale tego wieczoru kalwini chyba nie wygłaszali kazań. W hangarze panowała ciemność, kiedy przebiegał obok. Zamiast tego kilku z nich nawracało w okolicy. Jeden nosił z przodu i z tyłu tablice z identycznym wydrukowanym napisem: JEZUS SCHYLI SIĘ NAD PIEKŁEM I ZBAWI ANIOŁÓW PIEKIEŁ.

Motocykliści patrzyli obojętnie, ale kilka miejscowych czarownic połknęło przynętę. Wyklócali się, przerzucali cytatami i epitetami.

– Wracajcie na Derby Street! – wrzeszczeli kalwini na czarownice, które rozstawiły stragan, żeby sprzedawać celtycką biżuterię.

– Och, idź i skocz do oceanu! – odrzyknęła jedna z czarownic do wyznawcy prawdziwej wiary, którego nazywano Janem Chrzcicielem. Dzisiaj jednak Jan nie odprawiał oceanicznych chrztów. Zamiast tego apostoł w długiej szacie zorganizował sobie przenośny zestaw do chrztu. Trzymał wiadro i wielką gąbkę, nadającą się raczej do mycia samochodów niż do misji zbawiania dusz. Rafferty pomyślał, że facet powinien zmienić napis na transparencie i oferować darmowe mycie harleya jako dodatek do każdego nawrócenia. Niektórzy motocykliści przyjechali z daleka i motory mieli bardzo zakurzone.

Przez ostatnie kilka tygodni Rafferty sprawdził przeszłość większości kalwinów, zwłaszcza tych w długich szatach oraz kobiet, które za pierwszym razem ścigały Angelę. Jan Chrzciciel naprawdę nazywał się Charlie Pedrick. Nie pochodził z Jerusalem, jak uparcie twierdził, kiedy Rafferty go przesłuchiwał. W rzeczywistości wychował się w Braintree. Przed dwudziestym rokiem życia zdiagnozowano u niego schizofrenię. Charlie miał swoją porcję zatargów z prawem, ale tylko dopóki nie został „zbawiony”.

W kontrowersyjnym rytuale, który Cal nazywał „egzorcyzmem farmakopei”, chorych psychicznie zachęcano, żeby wyrzucili swoje lekarstwa do morza. Następnie poddawano ich rytuałowi oczyszczenia, co przypominało szafas potu rdzennych Amerykanów. Cal, wiecznie kradnący doktryny innych religii, nazwał nawet ten rytuał Poszukiwaniem Wizji. Nazwa wydawała się stosowna. Po dwóch dniach bez jedzenia i prawie bez wody każdy z tych byłych pacjentów oddziałów psychiatrycznych musiał doznać jakiejś wizji. Porównując to doświadczenie do swojej katastrofy na morzu, Cal nakazywał wyznawcom słuchać głosu Boga i pozwolić, żeby ten głos pokierował ich życiem.

Wśród kobiet, których system wierzeń faworyzował takie rzeczy, znajdowały się trzy Maryje Dziewice i dwie Joanny d'Arc. Głos, który Charlie Pedrick usłyszał podczas Poszukiwania Wizji, poinformował go, że jest wcieleniem Jana Chrzciciela.

Rafferty dowiedział się o rytuale, kiedy przyjechał do Salem, ale nie brał go poważnie, dopóki pewnego ranka nie zobaczył pomarańczowych buteleczek z lekarstwami na receptę, pływających po zatoce Salem. Na ich wyłowienie poświęcił kilka godzin, a potem po raz pierwszy aresztował Cala Boyntona. Za zaśmiecanie środowiska.



Teraz dwie grupy ścierały się przed kasynem i robiło się naprawdę gorąco.

– Zabierajcie swoje pogańskie idole i wracajcie do domu! – krzyczał jeden z kalwinów.

– Wolna przedsiębiorczość! – odrzyknęła jedna z czarownic. Wskazała bok straganu, gdzie na licencji wielkimi literami wypisano nazwę sklepu Ann. – Każdemu wolno wystąpić o licencję.

Każdemu wolno zjeść obiad, pomyślał Rafferty.

– Hej, przyciszcie się ździebko! – zawołał. – Dostanę przez was niestrawności.

Kalwini odebrali to jako zaproszenie, żeby wylać na niego swój jad.

– Niech Bóg zbawi twoją nieśmiertelną duszę! – wrzasnął do niego Jan Chrzciciel. – I duszę kobiety, z którą żyjesz w grzechu!

– Rudowłosa ładacznic! – bluznął jeden z kalwinów.

– Zatwardziała grzesznica! – podchwycił inny.

Na obrzeżach tłumu wybuchła bójka. Któraś Matka Boska przyłożyła którejś czarownicy.

– No dobrze – powiedział Rafferty, odłożył kanapkę i wstał. – Wystarczy.

W parku zapadła cisza. Ludzie wstrzymali oddech, oglądali się na niego, czekali, co zrobi.

Potem zobaczył strach na twarzach kalwinów. Zdziwił się. Znał ich na tyle, żeby wiedzieć, że nie cofną się przed żadną konfrontacją. Ale oni nie patrzyli na niego, tylko na coś za nim. Rafferty odwrócił się i ujrzał kobietę ubraną na czarno, z uniesionymi ramionami. Donośnym głosem, wbijając oczy w kalwinów, rozpoczęła inkantację.

– *Gallia est omnis divisa in partes tres**... – zaintonowała głosem tak niskim i głębokim, że wydawało się, jakby dochodził nie od niej, lecz z całkiem innego miejsca. Ten głos poderwał mewy w powietrze i sprawił, że zawisły nieruchomo, walcząc z wiatrem.

* *Gallia...* (łac.) – „Galia jako całość dzieli się na trzy części...”, Juliusz Cezar *Wojna galijska*, Ossolineum 1978, przeł. Eugeniusz Konik.

Kalwini zamarli.

Czarownica zaczerpnęła tchu. Potem wymierzyła oskarżycielski palec w grupę i znowu zniżyła głos.

– *...quarum unam incolunt Belgae***.

** *Quarum...* (łac.) – „Jedną z nich zamieszkują Belgowie...”, tamże.

To załatwiło sprawę. Kalwini rozbiegli się niczym kuleczki rtęci i umknęli z parku.

Wszyscy wpatrywali się w wyniosłą postać Ann Chase w paradnym stroju czarownicy. Wyglądała imponująco.

– I jeszcze jedno... – zawołała za nimi, tym razem normalnym głosem. Potem zachichotała, przełamując nastrój. Wytarła ręce jedna o drugą, jakby chciała zmyć z siebie całą scenę.

Następnie uniosła lekko szatę obiema rękami, nagle dama w każdym calu, i usiadła na ławce obok Rafferty'ego.

– Bardzo ładnie – zaśmiał się Rafferty. – Jeśli jeszcze pamiętam trochę łaciny z ogólniaka, cytowałaś fragment *Jazona i Argonautów*.

– *Wojnę galijską* Cezara – sprostowała. – Chociaż byłeś blisko. Ale i tak uratowałam twój nędzny tyłek.

– Przynajmniej mój obiad – przyznał ze śmiechem.

– Uratowałam cię, dobrze wiesz. A w ogóle... co to za sła-by, tchórzliwy bóg, skoro jego wyznawcy boją się kilku czarownic?

– Nie boją się kilku czarownic, tylko ciebie. Cholera, sam się ciebie przestraszyłem.

– Naprawdę? – ucieszyła się Ann.

– Mówię ci.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

– Więc co tu robisz taka wystrojona? – zagadnął Rafferty.

– Sprawdzam, jak tam moje dziewczyny – wyjaśniła, wskazując stragan czarownic, które przed chwilą miały konfrontację z kalwinami. Teraz świętowały swój oszołamiający sukces, flirtując otwarcie, kiedy pomagały motocyklistom przymierzać łańcuszki z pentagramami i amulety. Uszczęśliwieni harleyowcy aż nazbyt chętnie przyjmowali względy ładnych młodych czarownic.

– Nie powinniśmy na nich uważać? – zapytał Rafferty, spoglądając na facetów w czarnych skórach.

– Lepiej niech oni uważają na mnie – odgryzła się Ann. Ze słodką minką pomachała do najtwardszego na oko faceta, który nieco przywiądnął w jej obecności. – Tak, mamusia czuwa – zapewniła uprzejmie, chociaż trochę protekcjonalnie. – Bójcie

się – zanuciła słodkim głosem. – Bójcie się bardzo.

– Hej, ja tam wolę nie wchodzić ci w drogę – zapewnił Rafferty. – Jeszcze mnie wyślesz na wojnę galijską.

– Święta racja.

– Jedno pytanie – podjął. – Dlaczego nie rzuciłaś prawdziwego zaklęcia na tego typka Jana Chrzciciela?

– Ile razy mam ci powtarzać... – westchnęła. – Nie uprawiamy czarnej magii. Mylisz czarownice z satanistami. Albo voodoo.

– Voodoo? Czy to po łacinie?

– Wiesz, o co mi chodzi.

– To ci z laleczkami i szpilkami?

Przytaknęła i jedną ręką wykonała gest potwierdzenia, a drugą chwyciła resztki sandwicza.

– Częstuj się – powiedział.

Wybuchnęła śmiechem.

– Nie rzucam złych uroków – zapewniła. – To wbrew mojej religii. Chociaż świetnie mi wychodzą uroki miłosne. W razie gdybyś takiego potrzebował.

Odpowiedź Rafferty'ego, trudna do odczytania, wahała się pomiędzy burknięciem a chrząknięciem. Ann zauważyła, że powiódł wzrokiem za łodzią Jacka znikającą za Miseries.

– Wiesz, ona z nim nie spała.

– Co?

– Towner. Nie spała z Jackiem LaLibertie.

– Odgadłaś to szóstym zmysłem?

– Powiedziała mi.

Rafferty wydawał się zdziwiony.

– Chyba jej zależało, żeby w tej kwestii była jasność – ciągnęła Ann.

Rafferty milczał.

– Może powiem parę słów w twojej sprawie, kiedy wrócę do sklepu – zaproponowała Ann. – Za darmo.

– Nie rób mi przysługi – poprosił.

– Gdyby kochała Jacka LaLibertie, zamieszkałaby u niego, nie u ciebie. Pomyślałeś o tym?

– No tak. Może.

– Ale cię wzięło – stwierdziła Ann.

Rafferty się roześmiał. Mało powiedziane, pomyślał.

We wrózeniu z koronek nie ma złej odpowiedzi. Niemniej łatwo otrzymać zły wynik, po prostu zadając złe pytanie.

PODRĘCZNIK WRÓZENIA Z KORONEK

Rozdział 22

Rafferty nie wrócił do domu, dopóki nie miał pewności, że Towner poszła spać. Rano wyszedł wcześniej, żeby zdążyć na zebranie AA w Marblehead.

Kiedy dotarł na komisariat, czekały na niego trzy wiadomości od May. Zabrał kawę do swojego gabinetu, zamknął drzwi i zadzwonił do niej.

– Właśnie dzwoniłam do szpitala i powiedzieli mi, że wypisali Sophyę tydzień temu. Z własnych źródeł wiem, że ona mieszka u ciebie.

– I? – Żałował, że May kupiła sobie telefon komórkowy.

– I chcę wiedzieć dlaczego.

Rafferty sięgnął do szuflady.

– Mam wolny pokój. Zaproponowałem jej.

– Tutaj lepiej mogę ją chronić – oświadczyła May.

– Wątpię.

– Ona potrzebuje ochrony.

– Mam więcej broni niż ty – odparł, nie całkiem żartując.

– Nie możesz jej pilnować bez przerwy.

– Ani ty – zripostował. – Poza tym Cal siedzi w więzieniu. Twoje źródła cię nie zawiadomiły?

– Chwilowo – burknęła.

To jej zamknęło usta. Ale tylko na moment.

– To się nie uda – oznajmiła, jakby z góry o czymś zdecydowała.

– Co?

– Wy dwoje.

To z kolei jemu zamknęło usta.

– Przeciwności się przyciągają – oznajmiła.

– No i co?

– Wy nie jesteście przeciwnościami... Oboje zostaliście zranieni. Żadne z was nie potrafi stworzyć normalnego związku.

Rafferty zastanowił się, skąd May tyle o nim wiedziała. Czy ona również umiała wróżyć, czy może Eva jej opowiedziała jego historię? Tak czy owak, nie miał ochoty z nią dyskutować o swoim antytalencie do związków. Próbował wymyślić ciętą ripostę, a ona ciągnęła:

– Kiedy zerwiecie, a możesz mi wierzyć, że zerwiecie, nie rozstaniecie się po prostu jak zwykli ludzie, tylko skoczycie sobie do oczu.

– Dziękuję za radę – powiedział i się rozłączył.

Wyciągnął rękę nad biurkiem, żeby odłożyć słuchawkę, zawadził sznurem o kubek z kawą i zalał wszystkie papiery.

Dzień nie zapowiadał się najlepiej.



Szef przyszedł, kiedy Rafferty właśnie wychodził.

– Znowu jadę do Portlandu – oznajmił. – Żeby popytać.

- Dobry pomysł – przytaknął szef. – Więc widzimy się jutro.
- Jutro mam wolne.
- Racja – przypomniał sobie szef.



Po drodze wpadł do domu, żeby zawiadomić Towner o wyjeździe. Nie zastał jej. Zaczął już panikować, kiedy dostrzegł ją przez okno, jak nadchodziła od strony zatoki. Miała na sobie obcięte džinsy i górę od kostiumu kąpielowego jego córki. Jej włosy były mokre. Pływała.

Wyglądała jak inna osoba. Młodsza. Niemal zdrowa.

- Cześć – powiedziała.
- Wpadłem cię uprzedzić, że jadę do Portlandu.
- Portlandu w Maine?
- Tak – potwierdził. – Chcesz pojechać ze mną?

Gdy tylko to powiedział, pożałował. Wyjeżdżał służbowo, to nie był dobry pomysł. Poza tym nie zniósłby kolejnej odmowy.

- Tak – odparła. – Chętnie.

Każda Wróżąca z koronek musi nauczyć się istnieć w pustych miejscach, które tworzą pytanie.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 23

Rodzice Angeli Rickey mieszkali na północ od Portlandu, w miasteczku stanowiącym nieciekawe połączenie parku przyczep i podupadłego osiedla robotniczego. Wszystkie budynki stały przodem do rzeki i dawno zamkniętej papierni, która zajmowała jedyną okazałą nieruchomość w miasteczku. Ceglana fabryka zapadła się pośrodku niczym hamak, chociaż na obu przeciwnych końcach dokonano nieudanych prób renowacji. Park przyczep, gdzie mieszkała rodzina Angeli, znajdował się tuż za fabryką, na tyłach parkingu należącego w połowie do Agwaya i w połowie do miejscowej loży masońskiej. Pośrodku parku na wpół ukończona rampa wjazdowa, mająca połączyć miasteczko z autostradą 1-95 i turystycznymi dolarami, rzucała długi cień na przyczepę należącą do Rickeyów.

Towner zaczekała w samochodzie, kiedy Rafferty wszedł do środka.

Wizyta trwała krótko. Nie widzieli jej. Nie mieli od niej żadnych wiadomości. Rafferty wiedział, że to strzał w ciemno – był już tutaj – ale pomyślał, że warto spróbować.

– Lepiej niech nie wraca – powiedział ojciec Angeli. – Jest mi winna pieniądze.

Ojciec wyłożył pieniądze na jej szkołę kosmetyczną. Powtarzał to Rafferty'emu kilka razy.

– Jeżeli ona myśli, że będę utrzymywał ją i dzieciaka... – Nie dokończył zdania.

– Jeśli dostaniecie od niej wiadomość, musicie do mnie zadzwonić – powiedział Rafferty.

– W jakie kłopoty się wpakowała tym razem? – zapytał starszy mężczyzna.

– W żadne – odparł Rafferty. – Ale możliwe, że ona nie żyje.

To mu zamknęło usta. Zabrzmiało okrutnie, ale przynajmniej przestał gadać.



Rafferty podrzucił Towner do Public Market i pojechał na Congress Street, do szkoły kosmetycznej Angeli. Zadawał pytania. Czy ktoś ją widział? Nie. Czy miała jakieś przyjaciółki w mieście? Nie. Tak. No, może. Jest jedna dziewczyna, Susan jakaś tam, pracuje w Old Port w sklepie, który sprzedaje wyroby z konopi. Rafferty podziękował kobiecie, zostawił swój numer.

– Jeśli pani ją zobaczy, proszę natychmiast zadzwonić.

Przeszedł piechotą ulicą Congress do Old Port. Znalazł sklep z konopiami. Susan już tam nie pracowała i nikt nie rozpoznał Angeli ze zdjęcia. Rafferty pokazał fotografię jeszcze w kilku sklepach przy uliczkach wybrukowanych kocimi łbami. Potem pojechał z powrotem do Public Market, zaparkował

samochód na drugim poziomie i przeszedł pomostem na galerię, gdzie siedziała Towner, jedząc placek z jagodami. Wyciągnęła do niego ciastko.

– Gryza?

– Dzięki, ale już minęło południe. Pora na lunch.

Zeszli długimi schodami z galerii na poziom sklepów. Nie mógł nie zauważyć, że schodziła znacznie swobodniejszym krokiem i już nie trzymała się poręczy. W jej ruchach wyczuwało się lekkość, jej nastrój wyraźnie się poprawił.

– Na co masz ochotę? – zapytał Rafferty, rozglądając się dookoła. – Tutaj można dostać prawie wszystko.

– Ty wybieraj – zaproponowała.

Popatrzył na budki z serami, z pieczywem. W kilku podawano zupę rybną i inne zupy. Odwrócił się do niej. Nadeszła odpowiednia chwila.

– Lubię zupę, a ty?

Wytrzeszczyła na niego oczy.

– Dwa z moich licznych talentów – wyjaśnił. – Kłamstwo i oszustwo.

W kącikach jej ust pojawił się uśmiech. Próbowwała go powstrzymać, ale nie zdołała. Rozlał się na całą twarz. Potem zaczęła się śmiać.

– Cholera – powiedziała.



Jadąc na południe, Rafferty dostał ostrzeżenie za przekraczanie szybkości na szosie 95.

– Powiniennem wlepić panu mandat – powiedział młody policjant stanowy. – Przekroczył pan limit o dwadzieścia mil, ale hej, solidarność zawodowa, co?

Rafferty uśmiechnął się i podziękował chłopakowi, potem wepchnął ostrzeżenie do schowka na rękawiczki, obok wszystkich mandatów za parkowanie, których zapomniał zapłacić. Kiedy wjechali na podjazd, zobaczyli psa przywiązanego do słupka poręczy na tarasie. Przed nim leżała przewrócona miska na wodę. Wyraźnie próbował uciec. Oczywiście miał dzikie.

– To jeden z psów May – oznajmiła Towner i wyskoczyła z samochodu.

Do obroży psa przywiązano kartkę.

– „Nazywam się Bizancjum” – przeczytała Towner.

Pies wyszczerzył kły i zawarczał. Niezrażona Towner usiadła na tarasie, nie bezpośrednio obok psa, tylko na jego poziomie. Siedziała przez długi czas, patrząc na zatokę, zachowując się w najbardziej naturalny sposób. Kiedy oddech psa zwolnił, sięgnęła pod jego kaganiec i zaczęła go głaskać pod brodą.

– Cześć, Biz – powiedziała łagodnie.

Wreszcie spojrzała na niego. Położył się powoli jak zahipnotyzowany i przetoczył na bok. Pogłaskała go po brzuchu.

– Dobry piesek – powiedziała.

Rafferty przez cały czas siedział w samochodzie z otwartymi drzwiami. Teraz wysiadł.

– Jak myślisz, dlaczego May go przysłała? – zapytała Towner.

– Pewnie żeby mnie torturować – odparł Rafferty i kichnął.

– To nie jest dobry pomysł – oceniła Towner.

Ale Rafferty wbrew sobie pomyślał, że może jednak dobrze się stało. May miała rację, nie mógł jej pilnować bez przerwy. Nawet się ucieszył, że dostała psa.

– W porządku, on może zostać – powiedział. – Pod warunkiem że nie zje mi butów.

Towner się roześmiała.

– A jak myślisz, co on je? – zapytała. – Oprócz królików i szczurów.

– Purinę taką czy inną – odparł Rafferty.

Podniósł przewróconą miskę, napełnił ją wodą z węża ogrodowego i postawił przed psem, który zaczął chleptać.

– On wygląda jak Skybo – stwierdziła Towner.

Rafferty przypomniał sobie to imię. Skybo był jej pierwszym psem, tym, którego Cal przypuszczalnie zabił. Przeczytał o tym w dzienniku. Eva też o tym wspomniała. Skybo był przyjacielem i obrońcą Towner. Więc skoro ten pies wyglądał jak Skybo, natychmiast powstała między nim więź.

Rafferty wszedł po schodach. Kichnął dwukrotnie, mijając psa, który zawarczał.

– Hej, chłopie, jesteśmy po tej samej stronie – zwrócił się do Bizancjum, a Towner się roześmiała.

– Leżeć – rozkazała psu, który usłuchał.

Rafferty nie wstawił samochodu do garażu. Wiedział, że za chwilę musi pojechać do Crosby's po psią karmę. Zanotował sobie w pamięci, żeby kupić benadryl przeciwko alergii. Potem zamierzał iść do łóżka. Musiał się porządnie wyspać. Przez ostatnie tygodnie, odkąd Towner u niego zamieszkała, niewiele sypiał.



Rafferty wziął dwa benadryle i spał do południa. W końcu obudziło go groźne warczenie Biza. Uchylił drzwi. Pies siedział z nosem przyciśniętym do przesuwanej szyby, spoglądał na zatokę i warczał na wpływające i wypływające łodzie. Rafferty słyszał, że w łazience leci woda. Towner myła zęby.

Włączył czajnik elektryczny, zrobił sobie kawę w małym zaparzaczu, który dostał od Leah w zeszłym roku na gwiazdkę. Oplukał filiżankę gorącą wodą, żeby się ogrzała. Potem odsunął szybę i wyszedł na taras.

– Chodź – powiedział do Biza – stąd je lepiej zobaczysz.

Pies zawahał się, potem wyszedł na zewnątrz.

Rafferty łyknął kawy. Wytężył wzrok, żeby zobaczyć, co przyciągnęło uwagę psa. Początkowo myślał, że to łódzie wpływające na zatokę. Albo ogromny statek wchodzący do portu, żeby zrzucić węgiel do elektrowni. Potem zauważył coś innego... cumy się poruszały.

Wstał. Około dwudziestu pachołków do cumowania, tuż za dokiem pomiędzy Willows a wyspą Winter, przesuwało się powoli i metodycznie wzdłuż brzegu. Rafferty przyjrzał się uważniej i odkrył, że to nie pachołki, tylko boje nurków... Szukali ciała.

Nie zwracając uwagi na skomlenie Biza, zamknął go w domu. Z kawą w ręku zeszedł ze wzniesienia do doku. To mógł być każdy. Pewnie jakiś żeglarz upił się i postanowił wrócić wpław na brzeg. Boże, miał nadzieję, że to nie jakiś dzieciak.

Widział radiowozy na skarpie. Szef rozmawiał z jednym z nurków.

– Co się dzieje? – zapytał Rafferty.

Szef odprawił nurka i odwrócił się do Rafferty'ego.

– Próbowałem cię złapać wczoraj przez komórkę – powiedział. – To się stało zaraz po twoim wyjściu. Dostaliśmy cynk. Od Cala. On uważa, że Angela Rickey spoczywa na dnie zatoki Salem.

– Cal się przyznał? – zdziwił się Rafferty. Taki scenariusz wydawał się mało prawdopodobny.

– Nie całkiem – sprostował szef.

- Co to znaczy?
- Właściwie nie złożył zeznania. Ale jego słowa powinny wystarczyć, jeśli znajdziemy ciało. Powiedział, że widział ją martwą. Dał nam wskazówki, gdzie szukać.
- Dla mnie to przyznanie się do winy.
- Nie całkiem – powtórzył szef. – Powiedział, że Bóg mu przekazał tę wiadomość. We śnie.

Rafferty spojrział przez zatokę w stronę wyspy Winter. Kalwini ustawili się w szeregu na plaży Waikiki i oglądali całą akcję. Kilku z nich klęczało. Przypominało to kiepskie przedstawienie teatralne.

- On was robi w chuja – oświadczył Rafferty.

Zdawał sobie sprawę, że szef działa pod presją. Kupcy wściekali się z powodu kalwinów, którzy przeszkadzali w interesach z czarami i odstraszaali turystów. Zaledwie poprzedniego dnia Izba Handlowa zażądała, żeby grupa Cala przeniosła się na kemping w Cape Ann. Na miejscu szefa Rafferty postąpiłby tak samo.

- Podobno masz wolny dzień? – zapytał szef.
- Racja – przyznał Rafferty. – Mam.



Towner schodziła po ścieżce z Bizem na smyczy. Miała na sobie kostium kąpielowy.

- Zabieram go popływać – oznajmiła z uśmiechem. Pies deptał jej po piętach, pełen zapału, gotów na każdą przygodę.

Rafferty zastanowił się szybko. Miał dość tej całej historii. W końcu to był jego wolny dzień, jak mówił szef.

- Znam dużo lepsze miejsce do pływania – powiedział – jeśli wy dwoje chcecie się przejechać łódką.

Czasami Wróżąca musi obracać koronkę pod wieloma różnymi kątami i patrzeć na nią w różnym świetle, zanim zaczną się ukazywać obrazy.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 24

Rafferty i ja zatrzymujemy się w Beverly, żeby kupić lunch w knajpie z homarami na wynos, prowadzonej przez jego kumpla. Rafferty zabiera jedzenie na łódź.

Karmi Biza małżem, którego pies wypluwa na pokład. Małż więźnie w szczelinie pomiędzy deskami. Rafferty na czworakach próbuje go wydłubać, w końcu wyrzuca go za burtę.

- Taka to wdzięczność – mówi ze śmiechem.
- Biz chyba woli królika – odpowiadam.
- No jasne.

Zanim znowu ruszamy w drogę, Rafferty schodzi do doków i wstępuje do małego sklepiku spożywczego po drugiej stronie szosy 1A po zapasy. Przynosi torbę jedzenia i wstawia do kambuza. Wyciąga psi przysmak.

Rafferty oddaje mi ster i pozwala wypłynąć z zatoki. Jestem przyzwyczajona do łodzi poławiaczy homarów. Ta trochę zjeżdża na bakburtę, ale prowadzi się dobrze. I reaguje. Rafferty doskonale ją wyremontował. Rozumiem przez to, że łódź nie śmierdzi jak przynęta na homary.

Płyniemy w stronę Miseries, potem Rafferty kieruje mnie dalej, na otwarty ocean.

– Gdzie jest to miejsce? – pytam.

Wskazuje na horyzont.

– Tam – mówi.

– Naprawdę? – dziwię się, zaintrygowana.

Dzień jest piękny. Biz siedzi na dziobie jak galion, wiatr szczesuje mu sierść do tyłu. Kiedy zwalniamy, podbiega zobaczyć, czy czegoś nie jemy. Sprawdziwszy, że nie ma jedzenia, wraca na dziób i szczeka na mewy.

– Zabawny pies – mówi Rafferty.

Uśmiecham się.

Wyspa Rafferty'ego leży dalej na morzu, za Miseries, za Bakers. Wygląda jak kawałek Polinezji: wąska plaża, piasek biały jak cukier, otaczająca niewielkie wzgórze. Natychmiast ją rozpoznaję. Byłam już tutaj. Jako dzieci bawiliśmy się w piratów na tej wysepce.

– Nie znajdziesz jej na żadnej mapie – informuje mnie Rafferty. – Nawet nie ma nazwy.

Nie wiem, dlaczego mu nie mówię, że już tutaj byłam. Przyływaliśmy tu kilka razy, Beezer, Lyndley i ja, ale zawsze wydawała się trochę zbyt odległa i trudno tam wylądować – skały blokują dostęp do brzegu. Nawet nie bardzo można rzucić kotwicę, bo za skałami dno się wygładza i robi się śliskie jak lód. Kotwica zsunie się do morza, nie mając się o co zaczepić. Zostawiasz łódź i kiedy wracasz, już jej nie ma. Podryfowała i zniknęła w oddali.



Raz nam się to zdarzyło z Beezerem. W pierwszej chwili nie wierzyłam. Myślałam, że Lyndley zrobiła nam piracki kawał;

tak też powiedziałam Beezerowi, który się rozplakał i jeszcze bardziej wystraszył, chociaż chciałam go tylko pocieszyć. „Nie chcę, żebyś mówiła takie rzeczy” – szlochał. Nie bardzo wiedziałam, które moje słowa wprawiły go w taką rozpacz, ale i tak znaleźliśmy łódź, po drugiej stronie wyspy. Tamtego dnia nie wiało zbyt mocno, więc dotarłam wpław do whalera i nikomu nic się nie stało. Więc nie wiem, dlaczego Beezer tak źle to zniósł, ale nigdy więcej nie chciał popłynąć na Bezimienną Wyspę. Tak ją nazwaliśmy, Bezimienna Wyspa.

Widzę, że Rafferty odwiedzał ją wiele razy. Opracował system. Przywiózł linę, mnóstwo liny, którą przywiązał do cumy dziobowej. Potem brodzi przez wodę, wspina się na zbocze i obwiązuje linę wokół jedyne drzewa rosnącego na wyspie.

Wraca, żeby mnie zabrać, ale ja już stoję w wodzie i podaję mu torby z jedzeniem. Gdy tylko docieram na brzeg, on pozwala łodzi podryfować, aż lina się napina. Podaje mi rękę i razem wdrapujemy się na zwietrzałe urwisko.

Po drugiej stronie wyspy nie widać nic, tylko otwarty ocean. To jedno z nielicznych miejsc stąd do Rockport, gdzie naprawdę spoglądasz prosto na morze, nie na osłoniętą zatokę ciągnącą się aż do Cape Ann. W tym dzikim, smaganym wiatrem, pozbawionym roślinności zakątku czujesz się jak na powierzchni Księżycy albo na Wyspie Skarbów, albo na Błękitnej Lagunie.

Biz i ja pływamy, podczas gdy Rafferty zbiera wyrzucone przez fale drewno na ognisko.



Później siedzimy na plaży przodem do morza i spoglądamy, jak słońce opada coraz niżej. Ogień przygasa na tyle, że można

gotować. Patrę, jak Rafferty dorzuca wodorosty, żeby wytworzyć parę, i kładzie na ognisku kolby kukurydzy. Potem wyjmuję ser, krakersy i ogromny stek. Kocha to miejsce. Opowiada mi, że nigdy nikogo tu nie spotkał. „Ani żywej duszy” – mówi i podaje mi lemoniadę.

Jemy steki i kukurydzę. Trzy talerze, dla każdego z nas. Biz garbi się nad swoją porcją, przełyka głośno.

Później patrzymy, jak niebo powleka się smugami i ciemnieje. Nad wodą wschodzi księżyc. Rafferty zauważa, że drzę, i okrywa mi ramiona swoją kurtką. Kurtka jest stara, pachnie oceanem.

Biz zagrzebuje się w piasku i zaczyna chrapać.

– Ta wyspa nie ma nazwy – powtarza Rafferty, jakbym nie usłyszała za pierwszym razem albo dlatego, że nie zareagowałam. – Tamta piaszczysta łąka ma nazwę, nawet ona, ale tego miejsca nigdy nie nazwali. Przeoczyli je – mówi, uszczęśliwiony, że coś, cokolwiek pozostało nietknięte.

– Może ta wyspa wcale nie istnieje – podsuwam – może to myśmy coś przeoczyli.

W pierwszej chwili ma zaskoczoną minę, potem zaczyna się śmiać. Niezbyt głośno, ale szczerze.

– Interesująca z ciebie kobieta – przyznaje. – Żyjesz na granicy.

– Na jakiej granicy? – pytam, chociaż dobrze wiem, o jaką granicę mu chodzi. Taką, którą dawno przekroczyłam.

Zastanawia się, zanim odpowie.

– Tej pomiędzy światem rzeczywistym a światem możliwości.

– Poetycko powiedziane – stwierdzam.

– Czasami świat rzeczywisty jest dużo bardziej szalony.

Widzę, że mówi poważnie. Coś się dzisiaj tutaj stało.

– Jak idzie sprawa? – pytam. To brzmi zbyt zdawkowo i widzę, że on nie ma ochoty o tym rozmawiać, więc nie nalegam na odpowiedź.

– Nie mówmy o tym dzisiaj – proponuje.

Księżyc jest prawie w pełni. Maluje ścieżkę na ciemniejącej wodzie i przez chwilę myślę o Lyndley. Łzy stajami w oczach. Nie chcę, żeby to zobaczył, więc odwracam twarz, dopóki łzy nie wyschną.

Rafferty wstaje. Schodzi na brzeg. Nachyla się, nabiera wody w dłonie, patrzy na nią, potem pozwala, żeby przeciekła mu między palcami. Podnosi rękę do ust i smakuje sól. Widzę, że podejmuje decyzję.

– Chodźmy popływać – proponuje.

Zdumiewa mnie.

Pływamy przez długi czas. On dobrze pływa, nie poddaje się wodzie, ale jest dostatecznie silny, żeby ją pokonać. Pływa z wynurzoną głową; widocznie pracował jako ratownik podczas wakacji na Long Island. Ratownicy zawsze pływają z głowami nad wodą, zawsze czujni, pilnują innych. Inaczej jest, kiedy on żegluje. Żeglowanie jest dla Rafferty'ego tym, czym pływanie dla mnie.

Tej nocy w wodzie jest magia, fosforescencja. Każdy nasz ruch pozostawia roziskrzony ślad.



Oboje czujemy zmęczenie, kiedy wracamy na brzeg. Noc jest piękna. Zasypiamy na piasku.

Budzi mnie Biz, który wbiegł na wzgórek i ujada do księżyca. Dosłownie wyje, jak psy na wyspie, kiedy zbliża się pełnia. Księżyc wisi mi teraz nad głową, więc wiem, że na pewno minęła jedenasta. Wspinam się na szczyt urwiska, na środek

wysepki, i przysiadam na małej skalnej półce, skąd roztacza się widok na wszystkie strony. Widać stąd krzywiznę brzegu, wejścia do kilku zatok. Dostrzegam statek wycieczkowy wypływający w ostatni nocny rejs, obwieszony sznurami świateł, wyglądający trochę jak most Golden Gate. Z tej odległości nie słyhać muzyki, pozostaje tylko widok, światła przesuwiają się powoli, unoszą się przedziwnie tuż nad wodą, statek widmo.



Pamiętam, jak pierwszy raz zobaczyłam most Golden Gate. Przez krótki czas spotykałam się z pewnym mężczyzną. Jego rodzina miała dom w okręgu Sonoma i pojechaliśmy go zobaczyć. Z niewiadomego powodu, kiedy przejeżdżaliśmy przez Golden Gate, opowiadał mi, ilu ludzi co roku popełnia samobójstwo, skacząc z tego mostu. Zerwaliśmy wkrótce potem.



Pozwalam Rafferty'emu spać. Nie mam nic pilnego i wiem, że on niewiele sypia. Cieszę się, że zaproponował tę wyprawę. Gdyby to ode mnie zależało, wcale nie wracałabym do miasta. Tutaj czuję się znacznie swobodniej.

Rafferty wreszcie się budzi i przychodzi nas szukać.

– Która godzina? – pyta.

– Nie wiem. Właśnie widziałam, jak przybija statek wycieczkowy.

– Północ – ocenia. – Lepiej wracajmy.

Kiwam głową, ale nie wstaję.

Widzę, że on czuje to samo, że wcale nie ma ochoty wracać. Siada obok mnie. Żadne z nas się nie rusza.

– Jak to jest – pyta wreszcie – że stąd wszystko wygląda tak ładnie?

– Bo jest ładne – mówię – nawet stamtąd. Tylko ludzie sprawiają, że wygląda brzydko... czasami.

– Nie wszyscy – odpowiada, patrząc mi w oczy.

Nie odwracam spojrzenia.

Nie jestem pewna, kto kogo całuje. To najbardziej wzajemny pocałunek na świecie. To perfekcyjny kompromis, idealne współdziałanie. Nic nie może po nim nastąpić. Wszystko inne przyniosłoby rozczarowanie. Oboje jesteśmy dostatecznie dośrośli i dostatecznie mądrzy, żeby to zrozumieć.

– A co z Jackiem? – pyta Rafferty.

– Nie ma żadnego Jacka – odpowiadam.

Patrzę, jak podejmuje decyzję. Zdecydował, że mi uwierzy. Potem bierze mnie za rękę i razem schodzimy do łodzi.



Wracamy do domu dopiero po drugiej. Rafferty i ja zasypiamy razem na jego łóżku, moja głowa w zgięciu jego ramienia. Przesuwam się, przetaczam w stronę otwartego okna i jego ramiona mnie obejmują, mięśnie napięte nawet we śnie. Śpi spokojnie, nie tak, jak należało się spodziewać. Kiedy się poruszam, dopasowuje się do mnie.

Budzę się o pierwszym brzasku i odkrywam koronkę w oknie. Nie widziałam jej wczoraj w nocy. Gdybym widziała, nigdy nie weszłabym do tego pokoju. Ale teraz ją widzę. Wciąga mnie w swoje zawirowania i wyciska ze mnie oddech, jakby samo powietrze stanowiło jedynie część splotu, część tworzącą negatywną przestrzeń, żeby wzór mógł zaistnieć. Widzę wzór wyraźnie dopiero wtedy, kiedy mnie wciąga w świat poza światem. Znam to miejsce, boję się go. To martwy punkt.

Wszelki ruch zamiera w tym miejscu, oddech ustaje na szczycie fali, która nie wznosi się ani nie opada, jakby cały ocean zamarznął. Pozostanę tutaj, uwięziona i sparaliżowana, dopóki nie nadejdzie odwilż, lecz odwilż nie nadejdzie, dopóki korona nie pokaże mi tego, co chciała pokazać. Wstrzymuję oddech. Fala zastyga, ale rytm pozostaje, równie regularny, jak fale na piasku.

Widzę broń. Słyszę trzask, kiedy pada strzał. Wącham zapach prochu. Czuję, jak kula przesywa mój bok, to nawet nie fizyczny ból, tylko rozcięcie, stworzenie podziału. Rytm fali się zmienia, wcale nie fali (teraz rozumiem), tylko oddechu. Wiem, że to oddech, kiedy rytm się zmienia, skraca. Wtedy czuję ramię Rafferty'ego wokół mnie, ciasno, ciaśniej, słyszę jego oddech, czuję, jak gwałtownie wciąga powietrze. Został trafiony. Kałuża ciepłej krwi rozlewa się wokół nas. Strzał nas spoił, połączył. To śmiertelny strzał. Strzelano, żeby zabić.

– Nie! – krzyczę, podrywam się, zdzieram koronkę z okna. Nie wytrzymam tego, nie. Nie on.

Instykt bierze w nim górę. Wyskakuje z łóżka, dopada do okna, odpycha mnie, odsuwa z linii strzału.

Twardo lądujemy na podłodze. Dopiero po chwili dociera do niego, że nic nam się nie stało.

– Cał – mówi.

– Nie – zaprzeczam.

On też to słyszał. Wiem, bo tak powiedział.

Wygląda na zewnątrz. Potem widzi Biza, który gapi się na nas z drugiego pokoju. Gdyby padł strzał, pies zareagowałby inaczej, bardziej żywo.

Rafferty usiłuje odzyskać jasność myśli. Widzi koronkę na podłodze.

– Widziałem Cala... – zaczyna.

- To był sen.
- On tu był.
- Nie – mówię.

Pociera skronie.

– Śniło ci się – powtarzam. Wskazuję Biza, który nam się przygląda. – Gdyby padł strzał...

Rafferty unosi ręce, już rozumie. Siada na łóżku.

– Boże – mówi. – To się wydawało takie realne.

Nie spojrzę na niego. Jeśli to zrobię, nigdy nie zdołam odejść. A muszę odejść. Widziałam to w koronce. Kula przeszła przez niego i trafiła we mnie. Czułam, jak życie z niego uchodzi i zostaję sama. Wciąż byliśmy złączeni, wciąż spojeni, ale on nie żył.

„Przyłóż rękę do mojej, jakbyś się modliła” – mówiła do mnie Lyndley. „Potem przesun kciukiem i palcem wskazującym przez obie... Taki jest dotyk zmarłych”.

Nie, nie Rafferty. Proszę, nie on.

Wyciąga do mnie ręce, chce mnie przytulić.

Wywijam się.

- To był błąd – mówię.
- W porządku. To tylko sen.
- Nie. – Odsuwam się. – Nie to. Tamto. – Pokazuję na łóżko, na nas. – To był wielki błąd.

Widzę, że go zraniłam, mocno zraniłam. Ale nawet nie bardzo się zdziwił. Rafferty ma więcej parapsychicznych zdolności, niż sam podejrzewa. W głębi duszy wiedział, że do tego dojdzie.

– Przepraszam – mówię. Nie patrzę na niego. Nie mogę na niego patrzeć, bo nie zdołam odejść. Jeśli zostanę, on umrze. Widziałam to w koronce. Kula nas połączy, ale mężczyzna, którego kocham, umrze.

Zastygam w bezruchu, kiedy uświadamiam sobie, co czuję. Ale tylko na chwilę. Wiem, co muszę zrobić. Niezdarnie wy-
macuję smycz Biza, przypinam mu do obroży.

– Dokąd idziesz? – pyta Rafferty.

– Przepraszam – powtarzam. Ciągnę Biza do drzwi, spro-
wadzam po schodach.

Spoglądam w stronę miasta i domu Evy. Jedyne miejsce, dokąd mogę pójść. Wydaje się tak odległe, że chyba nigdy tam nie dojdę. Jeśli mi się uda, zadzwonię i wyjadę do Kalifornii. Ponownie zrobię to, co już raz zrobiłam. Ucieknę stąd na drugi koniec świata.

CZEŚĆ PIĄTA

Jeśli pytanie jest prawidłowe i Szukająca jest przygotowana na odbiór, odpowiedź nadejdzie natychmiast.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 25

Rafferty odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek. Leah przyjeżdżała o trzeciej. Miał czas.

Tym razem postąpił mądrze i rozmawiał bezpośrednio ze swoją byłą.

– Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli wrócę do pierwotnego planu? – zapytał.

Widocznie coś w jego głosie przemówiło do niej, bo nie odłożyła słuchawki.

– To znaczy jutro? – upewniła się.

– To znaczy jak najszybciej.

– Tak, chyba tak. Jeśli Leah się zgodzi – powiedziała i dodała: – Jedyne kłopot z tym, że mamy już plany na tydzień przed Świętem Pracy. Muszę je zmienić, jeśli ona wcześniej wróci.

– Nie chcę, żeby wcześniej wracała – odparł Rafferty. – Cholera, wcale nie chcę, żeby wracała.

– Mówisz jakoś dziwnie. Dobrze się czujesz? – zapytała.

– Bywało lepiej.



Nie powiedział szefowi, że Towner wyjeżdża. Nie wróci na proces, nie będzie zeznawała przeciwko Calowi w odpowiednim czasie. Powiedziała mu, że chce wycofać oskarżenie. Odpowiedział, że to niemożliwe. Że nie ona wniosła oskarżenie, tylko stan. Oświadczyła, że nie będzie zeznawać. Teraz mieli szansę przygwoździć Cala tylko wtedy, gdyby znaleźli ciało Angeli. Nie chciał liczyć na taką szansę.

Wszyscy się zgodzili, że powinien przekazać sprawę nowemu człowiekowi, młodziakowi świeżo awansowanemu na detektywa. Rafferty za bardzo się zbliżył, powiedział szef. Szef nie znał nawet połowy.

Rafferty zapakował akta do pudełka dla nowego dzieciaka, wyjął tylko bardziej osobiste materiały dotyczące Towner. Zaniósł te stare tekturowe teczki z powrotem do archiwum i odłożył na miejsce. Jeśli nowy dzieciak zechce kopać tak głęboko w tej sprawie, niech sam się pofatyguje. Tylko tyle mógł dla niej zrobić, tak niewiele. Rafferty umył kubek do kawy i uporządkował biurko. Wiedział, że traci czas. Wcale się nie palił, żeby zawiadomić szefa, że sprawa o napad przeciwko Calowi Boyntonowi praktycznie przestała istnieć.

Szef wszedł i popatrzył na Rafferty'ego.

– Skończone – oznajmił, jakby czytał Rafferty'emu w myślach. Na jego twarzy malowało się zdumienie i niedowierzanie.

– Zamierzałem panu powiedzieć – odezwał się Rafferty. – Towner wraca do Kalifornii. Nie będzie zeznawała.

Szef spojrział dziwnym wzrokiem.

– Nie mówię o Towner – odparł.

– Nie rozumiem.

– Proszę ze mną.

Rafferty wyszedł za szefem do holu. Przy biurku dyżurnego stała Angela Rickey i rozmawiała z dyżurnym. Siniaki zniknęły z jej twarzy. Miała na sobie ciężowe ubranie, niemal modne.

– Co do...? Gdzie pani była, do cholery? – zwrócił się do niej Rafferty.

Angela obejrzała się na niego.

– Byłam w Nowym Jorku, odwiedziłam moją przyjaciółkę Susan – wyjaśniła. – Ktoś zadzwonił z Maine i powiedział, że mnie szukacie.

– To eufemizm stulecia – burknął szef.

– Całe miasto myśli, że pani nie żyje – rzekł Rafferty.

– Przyjechałam, gdy tylko się dowiedziałam.

– Ona chce, żebym jej powiedział, gdzie jest Cal – odezwał się dyżurny.

– Siedzi w więzieniu, podejrzany o zamordowanie pani.

Nagle już nie wyglądała tak dobrze.

– Muszę go zobaczyć. – Głos jej zadrżał.

– Mówiłem jej, że tu go nie ma, ale ona mi nie wierzy – wtrącił dyżurny.

– On jest w Middleton – oznajmił szef.

– Muszę go zobaczyć – powtórzyła.

Rozdział 26

Jack powiedział Jay-Jayowi, że nie wróci, ale pominął drugą połowę: że May go wylała. Rafferty mógł się zorientować, że Jack przemyca dziewczyny w nowej Kolei Podziemnej May, ale jego brat Jay-Jay nie miał żadnych poszlak. Jego zdaniem Jack kręci się w pobliżu z nadzieją, że Towner wróci, co również było prawdą.

– Wiesz, że cię kocham, Jack – powiedziała May. – Ale stajesz się ciężarem. Pijesz. Muszę z tym skończyć.

Sprzedał już swój slip. Tkwił tutaj tylko dlatego, że musiał się spotkać z facetem i odebrać czek. Sprzedał pułapki w zeszłym tygodniu, kiedy już wiedział, że naprawdę wyjeżdża.

Zobaczył, że drzwi hangaru Ewy się otwierają. Zobaczył, że Towner wychyla się, żeby uruchomić silnik whalera. Na dziobie siedział pies, wielki, potężny żółty bydlak z ogromnymi zębiskami.

Jack zanurkował z powrotem do kabiny; nie chciał jej widzieć. A jednak zerkał, kiedy łódź go mijała.

Wyglądała lepiej. Dzięki Bogu. Nigdy by jej nie tknął,

gdyby wiedział o operacji. I tak nie powinien. Nie mogła pić. Nigdy. Bał się, że to przez niego nabawiła się choroby – ta myśl towarzyszyła mu w każdej godzinie dnia. Ona mogła umrzeć. Prawie umarła, zdaniem May, chociaż May nawet sobie nie wyobrażała, co się między nimi wydarzyło tamtej nocy, nie miała pojęcia, że to jego wina.

Wykorzystał ją tak, jak to robią na studenckich balangach. Nie użył pigułki gwałtu, niczego takiego, ale ona była... jak to określić... W stanie wskazującym na spożycie. Nienawidził siebie za to. Jak tylko jej dotknął, znienawidził siebie. Ale to go nie powstrzymało. Leżała bez ruchu, patrzyła w przestrzeń, nie na niego. Jakaś jego cząstka, głęboko ukryta, chora, romantyczna cząstka jego umysłu wierzyła, że jeśli ją pocałuje, ona się obudzi i wróci do niego. Nie podziałało. Potem z jeszcze bardziej chorych powodów pomyślał, że powinien zrobić więcej. Im dłużej jej dotykał, tym dalej odpływała, aż jej oczy, wciąż otwarte, zrobiły się martwe i nieobecne. Odeszła na dobre.

Nie kochała go. Już nie. Kochała tamtego faceta. Może nigdy go nie kochała.

Znał jedną kobietę w Kanadzie. Spotykał się z nią od dawna. Nie potrafił się z nią związać. Ona też nie chciała się z nim związać z powodu jego picia.

– Umrzesz – powiedziała mu. – Jeśli nie przestaniesz, któregoś dnia po prostu padniesz trupem, a ja nie chcę tego oglądać.

Patrzył, jak Towner płynie przez zatokę w stronę Wyspy Żółtego Psa. Żałował, że nie mogą się cofnąć w czasie i zmienić różnych rzeczy. Żałował, że nie zabił Cala tamtej nocy w samochodzie, kiedy miał jedyną okazję.

Żałował, że nie mógł teraz zabić Rafferty'ego. Nie, nie-prawda. Rafferty był porządnym facetem. Znacznie lepszym niż on. Dlatego to jeszcze mocniej bolało.

Kurwa. Musi rzucić picie. Wie o tym. Czuł swoją cholerną wątrobę, kiedy dotykał się z boku. Ogromną.

Zaczął płakać. Nie mógł przestać.

Zgwałcił ją. To fakt. Może ona nazwałaby to inaczej, gdyby w ogóle coś pamiętała, ale tak wyglądały fakty. Zgwałcił ją i prawie zabił. Chciał tylko, żeby do niego wróciła. A w rezultacie postąpił dokładnie tak samo jak Cal. Okazał się równie zły jak Cal Boynton. Nawet gorszy, bo przecież znał już okropną historię Cala.

Prawda wyglądała tak, że przez całe życie miał nadzieję na coś, co nigdy się nie stanie. Miał nadzieję, że Towner wróci i zobaczy go, i pozna go jak dawniej, i odtąd będą żyli długo i szczęśliwie, jak zawsze wierzył w głębi duszy. Ona też kiedyś równie mocno jak on wierzyła w te bzdety „długo i szczęśliwie”. Wiedział o tym.

Tamtej nocy chciał tylko obudzić ją pocałunkiem, żeby ujrziała w nim swojego księcia, swojego cholernego księcia, na litość boską, czy to takie głupie? Chciał, żeby widziała w nim swojego księcia, podczas gdy w rzeczywistości wcale go nie widziała. Nie mogła go widzieć, nie mogła nawet na niego patrzeć od dnia, kiedy wyskoczyła z jego łodzi i próbowała się utopić, a on skoczył za nią tak bohatersko i wierzył, że naprawdę zdoła ją uratować.

Rozdział 27

Angela nalegała, że chce zobaczyć Cala. Policja zawiozła ją do Middleton.

Kiedy wyszła, miała na palcu jego pierścień, ten, który dawał do pocałowania wyznawcom. Pierścień wydawał się ogromny na jej dłoni. Tuliła go jak skarb.

– Pobieramy się – oznajmiła z oczami pełnymi łez. – Jędziemy do Las Vegas i bierzemy ślub, gdy tylko on stąd wyjdzie.

– Czyli dzisiaj wieczorem – dodał adwokat Cala.

Ani Rafferty, ani nowy detektyw nie odzywali się w drodze powrotnej.

Chciała, żeby ją wysadzili przy wyspie Winter.

– Żeby przekazać kongregacji dobre nowiny – promieniała.
– I muszę zabrać swoje rzeczy.

Nowy detektyw czekał na reakcję Rafferty'ego, ale się nie doczekał. Gdy tylko wrócili na komisariat, Rafferty pojechał na lotnisko po córkę. Miał dosyć.

Rozdział 28

May stała na pomoście i patrzyła, jak whaler wpływa do kanału. Pies siedział na dziobie jak galion. Z daleka miała wrażenie, że czas się cofnął i Towner ze Skybo wpływają spoza bariery wysp do przystani. W tamtej chwili Towner wcale nie wyglądała na starszą.

Czas dzisiaj dawał się May we znaki. Towner zadzwoniła i powiedziała, że odwozi psa z powrotem, że to byłoby okrutne zabierać go do Los Angeles, gdzie nawet nie ma własnego mieszkania.

– Możesz kupić mieszkanie – zasugerowała May. – Masz teraz dużo pieniędzy.

Nie przewożą psów samolotami w lecie, poinformowała Towner. To zbyt niebezpieczne. Zanim go dostarczą do L.A., Biz znowu zdziczeje. To byłoby okrutne, powtórzyła. Jego miejsce jest na wyspie.

May zrozumiała, co to znaczy: Towner więcej nie zobaczy Biza. Dopiero kiedy to pomyślała, dotarło do niej, że według wszelkiego prawdopodobieństwa sama nigdy więcej nie zobaczy Towner. Smutne, ale prawdziwe. Chyba że May się zmieni. Chyba że opuści wyspę i przeleci trzy tysiące mil. Chciała tego i w tamtej chwili wierzyła, że to możliwe. Ludzie się

zmieniają, robią różne rzeczy. Ale gdy tylko napłynęła ta myśl, May zrozumiała, że za nią kryje się zaprzeczenie. Że nie mogła opuścić wyspy i pojechać do Los Angeles, tak samo jak Towner nie mogła do niej wrócić.

Serce w niej zamarło. Łzy zapiekły w oczach. Ale nie płakała.

Towner musiała stąd wyjechać. Tu nie było bezpiecznie. Czasami ucieczka to jest właśnie to, co należy zrobić. Jedyne, co można zrobić. Wiedziała, że Eva by się nie zgodziła. Eva uważała, że wszystkie problemy Towner można rozwiązać, gdyby tylko Towner znowu tu zamieszkała, ale Eva się myliła. Pracując z maltretowanymi kobietami w nowej Kolei Podziemnej, May nauczyła się jednego: czasami można tylko uciekać i nie oglądać się za siebie.

Rozdział 29

May cumuje whalera, kiedy przybijamy do brzegu.

Biz kręci się w małej łodzi, która kołysze się szaleńczo. Kilka innych golden retrieverów spało na kupie na szczycie przystani. Teraz stoją i wyciągają szyje, żeby zobaczyć, co się dzieje. Podskakują z emocji na jego widok.

To za wiele. Biz cały drży, próbuje się powstrzymać, czeka, aż go wypuszczę.

– Idź – mówię, kiedy już nie może wytrzymać.

Biegnie do nich, nie wiedząc, że to ostatnia wizyta, nie rozumiejąc, że nie wróci ze mną. Psy skaczą na siebie i przewracają się na powitanie, bawią się, tarzają po ziemi.

– Wyjeżdżasz dzisiaj wieczorem – mówi May.

– Tak.

Podnoszę wzrok, dostrzegam ciocię Boynton w ogrodzie warzywnym. Ona też się prostuje, wyczuwając moją obecność. Macha ręką na przywitanie i wraca do pielienia. Moja ręka wędruje do serca. Widzę, że May to zauważa. Przez chwilę nie wiem, gdzie jestem. Nie mogę wykrztusić słowa, to dla mnie za wiele. Wreszcie biorę się w garść.

– Przyjechałam się pożegnać – mówię.

Rozglądam się po wyspie. Widzę wszystkie kobiety, które

urządziły sobie tutaj dom. Krzątają się przy codziennych zajęciach. To jest teraz ich życie, wszystkie pracują razem. Żyją razem.

Podnoszę wzrok i widzę, jak ciocia Boynton wraca do domu z koszykiem warzyw na wieczorny posiłek. Wyobrażam to sobie. Wszystkie kobiety i dzieci gotują razem, siedzą razem przy długim stole May. Ogarnia mnie dziwna tęsknota.

– Możesz tu zostać – mówi May. – Zawsze o tym wiedziałas.

Obie wiemy, że to nieprawda. Ale dobrze jest usłyszeć te słowa.

– Nie mogę.

Ona kiwa głową.

Przez chwilę to wszystko, czego chcę. Wszystko, czego zawsze chciałam. Wszystko się zmieniło i nic się nie zmieniło. A jednak wiedziałam, że jeśli chcę to powstrzymać, muszę stąd wyjechać.

Powinnam wejść na górę i pożegnać się z ciocią Boynton, ale po prostu nie mogę. Patrzę, jak ciocia drepcze do domu z koszykiem warzyw, wraca do tego, co teraz stanowi jej życie, i ten widok sprawia mi ból. Nie mogę tego znieść. I nie mogę się zmusić, żeby do niej pójść. May czyta we mnie te wszystkie emocje. Widzi, że mnie sparaliżowały. I wiem, że ona rozumie.

– Pożegnasz się w moim imieniu?

Kiwa głową i odpowiada:

– Kiedy przyjdzie pora.

Stoimy w milczeniu innego rodzaju.

– Nie spodziewam się, że wrócisz – dodaje May – skoro Eva odeszła.

– Nie – odpowiadam.

Obejmuje mnie. To nie w stylu May i nie w moim stylu. Przez długą chwilę wymieniamy uścisk.

– Uważaj na siebie – mówi, kiedy wreszcie się odsuwam.

I wiem, że naprawdę jej na mnie zależy.

Biz siedzi na szczycie rampy i patrzy na mnie z przechyloną głową, zastanawia się, co dalej. Jaka będzie nasza następna wielka przygoda? Uświadamiam sobie, że jeśli w ogóle mam odejść, muszę odejść teraz. Odwracam się i ruszam do whalera.

– Sophya! – woła May.

Oglądam się tylko na sekundę.

– Tak?

Widzę, że ona namyśla się ponownie, może nawet po raz trzeci, zanim decyduje się to powiedzieć.

– Nie mogłabym cię kochać bardziej, gdybyś naprawdę była moją córką – mówi.

Rozdział 30

Otwarty ocean. Mgła. Ręka drży od wibracji silnika. Odgaduję odległość z echa krzyków mew. Odgaduję kierunek z powietrza. Jeszcze przed chwilą nie było mgły, ale tak się dzieje w tej części świata. Mgła nie napływa kłębami. Opada płatami – nie jak koc, raczej jak puchowa pierzyna. Dusi.

Nie mogę oddychać w gęstej mgle. Nie, nieprawda. Hiperwentyluję.

„Nie mogłabym cię kochać bardziej, gdybyś naprawdę była moją córką”.

Ręce się zaciskają, spazm, hiperwentylacja.

Duszę się. Umieram.

Nie mam papierowej torby. Nie mam do czego oddychać. Składam dłonie w miseczkę. Beznadziejne.

Rozglądam się na wszystkie strony. Nie mam dokąd pójść.

Wyłączam silnik. Odrywam ręce. Siadam i wkładam głowę między kolana. Potem przypominam sobie o stelazynie. W razie potrzeby stłuc szybę.

Przełykam na sucho. Utknęła. Przełykam ponownie. Krztuszę się.

„Nie mogłabym cię kochać bardziej...”.

Odruchowo wstaję, łódź kołysze się szaleńczo. Zmuszam się, żeby usiąść.

To mgła z mojego snu. Mrużę oczy. Czekam na Evę albo Lyndley, czekam, żeby mnie poprowadziły. Ale nie przychodzą.

Siedzę skulona w łodzi. Boję się, że znowu wstanę. Boję się, że zrobię to bezwiednie. Nie ufam sobie.

Teraz nie ma dźwięków. Nie ma ptaków. Nie ma powietrza. Tylko wzór na wodzie, ciemna koronka.

Potem przez mgnienie wydaje mi się, że widzę konika morskigo.

W pierwszej chwili instynkt każe mi odwrócić wzrok, ale umieram. Czuję się tak, jakbym już umarła.

Tylko wrócić do domu. Samolot. Tylko wsiąść do samolotu i wrócić do Kalifornii.

Odpalam silnik. Nie mogę się ruszyć.

Unieruchomiona. Przytłoczona. Cal jest tutaj. Cal leży na mnie. Cal mnie dusi. Potem zmiana kształtu i twarz się zmienia. To nie Cal, to Jack.

Płaczę. Pozwól mi wrócić. Proszę. Puść mnie.

Wrzucam bieg. Potem widzę części ciała. Unoszą się w wodzie przede mną. Ramię, noga, tors. Wydają się naturalnej wielkości, dopóki nie podpływam bliżej. Jednak nie, nie naturalnej wielkości, miniaturowe. Plastikowe? Nie, ceramiczne. Religia. Ceremoniał. Widziałam takie w L.A., na Olvera Street. Płynę śladem dryfujących *milagros*, aż mgła rzednie i widzę prosto przed sobą krzywiznę Salem Willows.

Zmuszam się do myślenia. Sporządzam listę. Wrócić do L.A. Zadzwoić do doktor Fukuhary. Uzyskać pomoc. Potrafię

to zrobić. Muszę wierzyć, że potrafię, bo inaczej tu umrę. Wrócić do L.A. Zadzwoń do doktor Fukuhary...

„Nie mogłabym cię kochać bardziej, gdybyś naprawdę była moją córką”.

Rozdział 31

Angela zdjęła *milagros*, owinęła każdy papierem toaletowym i włożyła pomiędzy ubrania, żeby się nie potłukły, jeden do skarpetki, drugi podwójnie owinięty do tenisówki.

Poskładała czarną koronkową mantylę i wyrzuciła do kosza. Cal nie znosi koronek. Nie lubi też obrazków Matki Boskiej, ale ten zostawiła na ścianie. Kiedy tu wróca, ona zamieszka w przyczepie Cala, a następnemu lokatorowi tej przyczepy może spodoba się ładny obrazek.

Przyjechała przekazać dobre wieści pozostałym kalwinom. Że urodzi dziecko, dziecko Cala. Że wreszcie przyznał się do ojcostwa. Że jadą do Las Vegas, żeby się pobrać.

– Wielebny Cal nigdy nie pojedzie do Las Vegas – oświadczył Charlie Pedrick. Angela nie chciała nazywać go Janem Chrzycielem, chociaż słyszała plotkę, że oficjalnie wystąpił o zmianę nazwiska.

– Wielebny Cal nienawidzi Las Vegas – poparła go jedna z kobiet. – I San Francisco.

– W Las Vegas można dostać pozwolenie na małżeństwo o każdej porze dnia i nocy – wyjaśniła Angela.

– Będę się za to modlił – obiecał Charlie.

Proszę bardzo, pomyślała Angela i zaczęła przenosić swoje rzeczy do przyczepy Cala.

Jan Chrzciciel zwołał zebranie modlitewne. Świetnie. Niech sobie robią, co chcą. Niech Charlie zwołuje zebranie modlitewne, ona ma dużo roboty, zanim Cal wróci. Musi spakować ich oboje i przygotować do wyjazdu.

Napełniła plecak, dorzuciła zmianę ubrania dla Cala i jego najlepszy garnitur od Armaniego na ślub. Pomyślała, żeby zadzwonić do rodziców i oznajmić im dobrą nowinę – matce, nie ojcu. Ale nie ma czasu. Musi sprawdzić rozkład promów. Musi kupić bilety na samolot.

Wzięła portfel Cala i kilka kart kredytowych, potem sobie przypomniała, że nie spakowała dla niego bielizny. Dziwnie było wybierać bieliznę dla wielebnego Cala. Złapała jego grzebień, rozejrzała się za szczoteczką do zębów. Nie wiedziała, co jeszcze zabrać.

Plecak jej ciążył, kiedy zeszła po metalowych schodkach na trawę.

Wszyscy na nią czekali. Charlie, kobiety i kilku innych, których Cal nazywał swoimi ochroniarzami.

– Co jest? – zapytała, myśląc, że byłoby miło, gdyby przynajmniej pomogli jej z plecakiem.

– Mam tylko jedno pytanie – powiedział Charlie.

– Jakie?

– Czy możesz mi wyrecytować Modlitwę Pańską, zanim odejdiesz?

– Żartujesz, prawda?

Uśmiechnął się do niej.

– On żartuje – zwróciła się do innych, szukając potwierdzenia.

Nerwowy dreszcz przeszedł przez tłum. Nikt się nie odezwał.

– Daj spokój. Nie potrzebujesz, żebym ci wyrecytowała Modlitwę Pańską. Znasz Modlitwę Pańską.

– Znam. Chciałem tylko sprawdzić, czy ty znasz – odparł Charlie.

– To śmieszne – prychnęła Angela.

– Ona nie zna – odezwała się jedna z kobiet.

– Ona nie zna Modlitwy Pańskiej.

– Oczywiście, że znam.

– Więc wyrecytuj.

– Nie, nie wyrecytuję, to śmieszne. Wielebnemu Calowi się nie spodoba, kiedy mu powiem, jak mnie traktujecie.

– Modliłem się i Pan mi odpowiedział... – Charlie utkwiał wzrok w Angeli. – Noga wielebnego Cala nigdy nie postanie w Las Vegas.

– Ale on tam jedzie ze mną. Dzisiaj wieczorem.

– Nie sądzę – odparł Charlie i zastąpił jej drogę.

– Twoje dziecko nie należy do wielebnego Cala! – zawołała jedna z kobiet.

– Twoje dziecko należy do diabła – oświadczył Charlie. Angela się roześmiała.

– Do diabła, akurat.

Ciągle jeszcze myślała, że żartują.

– Ona ma znak – ogłosiła inna kobieta. Następna zemdlą.

To się nie dzieje naprawdę. Oczy Angeli strzelały na boki, szukając drogi ucieczki.

Charlie złapał ją szybko, trzasnął jej twarzą o bok przycze-
py. Angela się zatoczyła, zobaczyła krew.

– Wyznaj swoje imię, demonie! – ryknął Charlie.

Jedna z kobiet podniosła kamień i rzuciła.

Angela upuściła plecak i pobiegła na drugą stronę plaży Waikiki, w stronę skał i miasta.

– Łapcie czarownicę! – krzyknął jeden z ochroniarzy.

– Łapcie ją! – zakomenderował Charlie.



Roberta widziała wszystko ze swojej budki. Szybko zadzwoniła do Rafferty'ego, a kiedy nie mogła się z nim połączyć, wybrała 911.

Rozdział 32

Mgła się rozwiewa, kiedy wpływam do zatoki. *Milagros* znikają, woda przybiera odcień głębokiego błękitu. Powietrze jest tu cieplejsze. Widzę Derby Street.

Byle wrócić do domu.

Zauważam dwa radiowozy na parkingu na wyspie Winter, kiedy przepływam obok.

Zamiast zwolnić, przyspieszam. Robi się późno. Muszę zdążyć na samolot.

Kiedy wpływam do kanału prowadzącego do hangaru, dostrzegam kalwinów na końcu nabrzeża Derby wychodzącego na środek zatoki, obok miniaturowej latarni morskiej. Gramolą się po skałach otaczających nabrzeże, szukają czegoś.

Dwóch siedzi przed hangarem.

Powinnam odstawić whalera, ale nie chcę się do nich zbliżyć. I nie mogę czekać, aż sobie pójdą. Więc przywiązuję whalera i zostawiam na przystani. Z lotniska zadzwonię do May i powiem, żeby przysłała kogoś po łódź.

Mdli mnie. To nie najlepszy pomysł łykać pigułkę na pusty żołądek. Albo w ogóle. Ale jestem tutaj. Jestem bezpieczna.

Idąc ulicą w stronę domu, widzę następnych kalwinów.

Szukają w bramach, za Urzędem Celnym.

Przecinam ulicę, staram się na nich nie patrzeć, odwracam oczy. Muszę tylko zabrać walizki i wezwać taksówkę. Odechnę, kiedy dojadę na lotnisko.

Ręce mi się trzęsą, kiedy otwieram kluczem drzwi. Zamykam je na klucz, idę do kuchni po kawałek chleba, wkładam głowę do zlewu i piję z kranu.

Za mną rozlega się brzęk rozbijanego szkła.

Sztywnieję, czekam na następny dźwięk. Słyszę głucho łupnięcie ciała spadającego na podłogę.

Ktoś jest w domu.

Cal.

Ruszam do drzwi.

– Ratunku! – woła jakiś głos.

Kobiecy głos. Którego nie słyszałam nigdy w życiu, który znam tylko ze snów.

Odwracam się i widzę Angelę Rickey. Stoi przede mną, drżąca i przerażona. Siniak, który mylnie wzięłam za znamię, zbladł już do cienia na prawym policzku, ale tworzą się nowe siniaki, jeden przecina brew, drugi bardziej krwawy powstał w miejscu, gdzie kieł rozgniółł górną wargę.

– Oni chcą zabić moje dziecko. – Teraz płacze, dygocze, próbuje mnie przekonać.

– Cal?

– Nie. – Gwałtownie kręci głową. – Tamci.

Patrzę w kierunku, który pokazuje, w stronę parku, i widzę kalwinów stojących szeregiem na chodniku. Obserwują dom, czekają. Jak ptaki u Hitchcocka zlatujące się na boisko szkolne w Bodega Bay.

– Oni myślą, że z czarowałam Cala. Myślą, że nasze dziecko jest diabłem!

– To dziecko Cala? – pytam słabo. Uświadamiam sobie, że powinnam wiedzieć. Ten jeden szczegół wszyscy ukrywali przede mną.

Dłoń na ustach. Dusząca. „Nie ruszaj się, nie mów nic”.

Wymiotuję. Prosto na podłogę pośrodku spiżarni. Widzę popękaną niebieską tabletkę stelazyny, jeszcze nierozpuszczoną.

Teraz przechodzą przez ulicę. Jest ich coraz więcej. Zapala się pochodnia, potem następne zapalają się od tej pierwszej.

Rozlega się hałas. Skandowanie.

– Łapać czarownicę!

Angela zaczyna płakać.

Chwytam telefon, wybieram 911.

– O Boże. – Angela zastyga. Patrzy przez okno, nieruchoma jak śmierć.

Telefonistka pod 911 podnosi słuchawkę.

– W czym problem?

– Mam tutaj Angelę Rickey. Ona jest w ciąży i została pobita.

– Proszę się nie rozłączać – mówi telefonistka. – Znam pani lokalizację.

Słyszę ją w tle, jak podaje namiary przez radio.

– Zaraz przyjadą – zwracam się do Angeli. Szlocha.

– Ona jest ciężko ranna – mówię do słuchawki.

Angela szlocha coraz głośniej.

– Moje dziecko! – zawodzi.

Widzę, jak przechodzą przez ulicę z płonącymi pochodniami. Wstrzymują ruch, tworzy się zator gapiów. Widzę rozba-
wione miny turystów. Myślą, że oglądają kolejne widowisko
historyczne, których tyle widzieli w tym mieście.

– Łapać czarownicę! – skandują.

Turyści myślą, że to polowanie na Bridget Bishop czy inna
inscenizacja. Próbuje również tego wieczoru odgrywać swoją
rolę, próbują włączyć się do masowej hysterii, pokazać, że to
dla nich nie nowina. Próbuje wciągnąć również swoje dzieci.

– Łapać czarownicę! Łapać czarownicę! – krzyczą.

Jakaś kobieta zatrzymuje samochód, wysiada, żeby popa-
trzeć razem ze swoimi dziećmi, sadza je na masce, żeby dobrze
widziały. Kalwini przepychają się obok nich, przechodzą przez
jezdnię, wlewają się na podwórze.

– Idą!

Głos Angeli wznosi się o oktawę. Angela nie może ustać w
miejscu, coraz szybciej chodzi po pokoju. Podchodzi do okna i
wzywa pomocy. Tłum klaszcze.

Pochodnie podskakują bez końca, zbliżają się jak w kosz-
marze.

– Proszę – mówię do telefonistki. – Oni nadchodzą!

– Radiowozy już jadą – uspokają mnie.

– O Boże, o Boże! – jęczy Angela.

– Proszę sprawdzić, czy drzwi i okna są pozamykane –
mówi telefonistka, dobrze wyszkolona, żeby nie wywoływać
paniki.

Słyszę odgłosy kroków na drewnie, kiedy pierwsi kalwini
wchodzą po frontowych schodach.

– Są na ganku! – wrzeszczę do słuchawki.

Pospiesznie sprawdzam, czy wszystko jest pozamykane.

Z trudem przesuwam kredens, żeby zasłonić okno, które wybiła Angela.

– Łapać czarownicę! – brzmi coraz głośniejsze, rozbrzmiewa w mojej głowie.

To niemożliwe. To chyba sen. Albo halucynacja. Muszę walczyć, żeby tu zostać. Część mnie już odpływa, oddala się od nieuniknionego. Zanurzam się.

Przez minutę patrzę z dystansu na to, co się dzieje. To nie jest prawdziwe. Za bardzo poza czasem, żeby było prawdziwe. Nierealne i jednocześnie bardzo realne. Hiperprawdziwe. Każdy szczegół rysuje się wyraźnie, wszystko rozgrywa się jakby w zwolnionym tempie.

„Zabić ją! Zabić ją!”.

W tym miejscu ta scena staje się prosta i uniwersalna. Widzimy historię, która się powtarza, jedna scena nałożona na drugą. Jesteśmy jednocześnie tutaj i w starym Salem z prawdziwymi kalwinami, tymi pierwszymi. Ogarnia nas przecucie nieuchronnej zguby i kiedy patrzę na Angelę, przez mgnienie widzę ją w surowej, burej, purytańskiej sukni, z włosami związanymi z tyłu i w czepku na głowie. I cofamy się w historii do czasów, kiedy przychodzili po ciebie, bo byłaś sama na świecie albo byłaś inna, miałaś rude włosy albo nie miałaś dzieci ani męża, żeby cię obronił. Albo nawet dlatego, że miałaś coś, czego chciał jeden z nich.

Każda cząstka mnie chce się oderwać od tej sceny. Stworzyć dystans. To nie jest prawdziwe. Ja nie jestem prawdziwa.

Lecz Angelą jest prawdziwa. To jedyna prawda w tej scenie, jedyna pewna rzecz. I przez całe życie to pamiętam. Stojąc tutaj poza czasem z tą kobietą, uświadamiam sobie, że rozpoznałam ze snów chwilę, kiedy zobaczyłam ją w drzwiach

herbaciarni, kiedy przyszła po pomoc najpierw do Evy, a potem do mnie.

Głosy wciąż skandują w mojej głowie: „Zabić ją!”. Odpycham je, staram się usłyszeć głos telefonistki.

– Mam samochód w waszej okolicy – mówi. – Czy możecie się schować w bezpiecznym miejscu, dopóki do was nie dotrzemy?

– Chyba tak – odpowiadam. Myśli pędzą, skupiają się na tarasie, jedynym miejscu, gdzie się nie dostaną. Jeśli wyjdziemy na taras i usiądziemy na klapie, nikt nie wypchnie jej od spodu. Robiłam tak, kiedy potrzebowałam samotności. Na taras prowadzi tylko wąska drabina, miejsce tylko dla jednej osoby. Jeden człowiek nie zdoła dźwignąć kłapy. – Taras – mówię, żeby wiedziała, gdzie nas szukać. – Będziemy na tarasie.

– Idźcie! – ponagliła nas, więc biegniemy.

Hamują ruch, kiedy przechodzą przez ulicę, wciąż nadchodzą. Chyba z pięćdziesiąt osób. Tak dużo. Nie tylko mężczyźni, również kobiety. Oczy Angeli desperacko przeszukują tłum, wypatrują Cala. Powtarza, że on ją uratuje. Powtarza to w kółko. Ale Cala nigdzie nie ma. Siedzi w więzieniu. A kiedy Angela czeka na ratunek, który nie nadejdzie, motłoch wdziera się do ogrodu, tratuje kwiaty, otacza dom.

Widzę ich twarze. Zaglądają przez okna.

Kolejny brzęk szkła. Zmiana w powietrzu, zapach zapamiętany z innego czasu i miejsca. Zapach lata i słońca na drewnie w dokach Willows albo może Trani, kiedy Jack tankuje łódź, zanim wypłyniemy na cały dzień wyciągać pułapki. Leżę na pokładzie i wystawiam plecy do słońca, zanim odbijemy, pozwalam mu wykonać całą robotę. Wciąż zmęczona po poprzedniej nocy, szczęśliwa. Drzemię i marzę, kiedy on nalewa benzynę do baku.

Kochałam wtedy ten zapach, zapach benzyny. Sprawiał mi taką przyjemność, że dopiero po chwili uwalniam się spod jego hipnotycznego wpływu i uświadamiam sobie, że zapach jest z nami w pokoju, że ktoś wlał benzynę przez wybite okno i podłoga nią nasiąka.

Odgłos jakby strzelającego korka od szampana, kiedy ktoś wrzuca przez otwór pochodnię. Większa eksplozja i pokój staje w płomieniach. Skandowanie natychmiast się zmienia. Potrafią improwizować ci kalwini, potrafią zmieniać tekst stosownie do okoliczności. „Łapać czarownicę” przechodzi w starsze, bardziej poprawne historycznie „Spalić czarownicę!”. A potem jeszcze krótszy okrzyk, który przed chwilą słyszałam w głosie:

– Zabić ją! Zabić ją!

Wyglądam przez okno na tłum, który nagle ucichł. Niektórzy wydają się zmieszani, niepewni, co właściwie oglądają. Czy to teatr? Czy Salem tyle zarabia na efektach specjalnych, że budżet miejski stać na spalenie prawdziwego domu? Patrzę, jak jeden człowiek, jedyny człowiek w tłumie, który się zorientował, biegnie na róg ulicy obok hotelu Hawthorne i pociąga za dźwignię na czerwonej skrzynce alarmu pożarowego.



– Dom się pali! – krzyczy Angela i rusza po schodach w stronę tarasu. Chwytam ją.

– Nie! – wrzeszczę. – Nie idź na górę!

– Wyjdźcie z domu! – rozkazuje telefonistka. Ciągle jest na linii, jak się okazuje, ale to zły pomysł. Jeśli wyjdziemy z domu, zabiją nas. Z zewnątrz dobiega jęk syren, ale zbyt odległy,

za długo trzeba czekać. Tłumy widzów całkowicie zablokowały ulice. Klaksony wyją. Kilku kierowców wysiada z samochodów, żeby lepiej widzieć, co się dzieje.

– Piwnica – mówi Angela i rusza do drzwi. – W piwnicy jest tunel!

Wchodzę za nią w czerń, zamykam za nami drzwi, odcinam dym. Wiem, że postępujemy właściwie, na dole jest groź przeciwożarowa za domem i przypuszczam, że możemy tamtędy wyjść. Może tam nas nie zobaczą i jakoś przekradniemy się obok nich. Ale nie ma już żadnych tuneli, o ile mi wiadomo. Beezer i ja szukaliśmy ich, kiedy byliśmy dziećmi. Poświęciliśmy długie godziny na poszukiwania, nawet całe dni. Tunele istniały sto lat temu, tworzyły zwodniczą sieć pod Błoniami Salem, chroniły przed brytyjskim poborcą podatków. Może zachowały się później, w czasach Kolei Podziemnej, ostatni przystanek w drodze do Kanady i wolności. Przydałyby się do nowej Kolei Podziemnej May. Ale wszystkie tunele zasypano. W każdym razie tak nam powiedziała Eva, kiedy miała już dość naszych poszukiwań albo kiedy przykro jej było, że niczego nie znajdujemy, albo może po prostu zdecydowała, że powinniśmy dla odmiany pobawić się na dworze, na świeżym powietrzu, zamiast ciągle tkwić w jej piwnicy. Eva powiedziała nam to samo, co mówili nauczyciele w szkole, że miasto Salem zasypało wszystkie tunele pod koniec zeszłego stulecia. Żałowali tego, kiedy wybuchła druga wojna światowa, a jeszcze bardziej podczas zimnej wojny, ponieważ mogli wykorzystać tunele na schrony przeciwlotnicze, zamiast wydawać ciężkie pieniądze na budowę nowych schronów.

Angela maca ścianę w głębi, skrobie paznokciami.

– Wiem, że jest gdzieś tutaj – mówi. – Tędy Eva mnie stąd wyprowadziła ostatnim razem.

Więc to prawda. Tak to się stało. Dzięki tunelom Eva sprawiła, że Angela „znikła”. Dlatego Cal i jego wyznawcy uważali Evę za czarownicę. Co takiego mówił Rafferty? Widzieli, jak Angela wchodzi do tego domu, otoczyli cały dom, lecz Angelą nigdy stąd nie wyszła. Pojawiła się dopiero na wyspie, z dziewczętami May. Stamtąd Rafferty ją przywiózł. May złościła się na Rafferty'ego, że pomagał Calowi, ale nie rozumiała, o co chodzi. Chodziło o to, że Cal bał się zarówno Ewy, jak i May. Wierzył we własne oskarżenia pod ich adresem. Nie wiedział o tunelach. Wierzył, że z wyjątkiem jego byłej żony wszystkie kobiety z rodu Whitneyów mają magiczną moc.

Teraz otoczyli dom tak samo jak tamtej nocy. Przez wysokie okna sutereny widzę stopy w sandałach. Nie ma mowy, żeby wyjść przez klapę pożarową. Stoją na niej. Blokują wyjście. Widzimy ich sylwetki niczym cienie marionetek oświetlonych od tyłu, ich profile rzucane na ściany piwnicy przez reflektory nielicznych samochodów, które zdołały przejechać ulicą, które nie utknęły w korku.

Angela znowu napiera na ścianę, pcha z całej siły, mało się nie przewraca. Powstrzymuję ją.

– Co ty wyprawiasz?

– Wiem, że tu jest! – upiera się. – Za tą ścianą. Tam jest cały pokój. Eva mnie tam schowała ostatnim razem. Do czasu, aż mogła mnie wyprowadzić.

Zrobi sobie krzywdę. Kaszle. Tu jest pełno wilgoci i dymu... wilgoć i dym, i lekki zapach pleśni...

Przypomina mi się pośredniczka nieruchomości zaglądnąca

do piwnicy na wino, oceniająca kałużę wody na podłodze. To musi być tam. Zawsze mnie dziwiło, dlaczego Eva zgromadziła dobrze zaopatrzoną piwnicę win, chociaż wcale nie piła. Sekretne drzwi ukryte są w ścianie piwnicy win. Na pewno. Zamaskowane przez listwy i regały. Płyn na podłodze nie pochodził z nieszczelnej beczki czy przeciekającej rury. To była słona woda, od której kwiaty pleśniały. Tunel zalewały przyprływy.

– Dokąd prowadzi tunel? – pytam, żeby sprawdzić, żeby się upewnić, że przeczucie mnie nie zawiodło. Ale właściwie mam pewność. Przysuwam się do stojaków na wino. Zanim jeszcze zadałam pytanie, już znam odpowiedź.

– Do hangaru – odpowiada Angela.

Powoli przesuwam palcami po ścianie, wyczuwam szczeliny, świat poza światem: szorstkie drewniane stojaki, koronkę drewna i butelek, kurz. Szukam tego, co inne. Jak napisała Eva w swoim dzienniku? „Podczas wróżenia z koronek Wróżąca musi szukać jednej z dwóch rzeczy: albo czegoś, co wzmacnia wzór, albo czegoś, co go przerywa”.

Dym coraz bardziej ogranicza widoczność. Obmacuję kłujące regały, odczytuję je palcami jak pismo Braille'a. A potem opuszki palców natrafiają na małą szczelinę przecinającą ziarno drewna. Wąską jak ostrze żyłki. Przesuwam palcami wzdłuż szczeliny, która biegnie przez wysokość trzech butelek w górę, skręca pod kątem prostym, biegnie przez szerokość czterech butelek poziomo i znowu opada po ścianie. Znalazłam. Naprawdę.

To sekretne drzwiczki Alicji w krainie czarów, mniejsze ode mnie, może odpowiedniej wielkości dla kogoś w roku, w którym je zbudowano, ale nie teraz. Sięgam pomiędzy butelki na wysokości, na której powinna być klamka, i znajduję niedużą dźwignię. Naciskam ją. Działa, słyszę, że zapadki się

przesuwają, ale drzwi się nie otwierają. Zamknięte na klucz. Macam dookoła, szukam gałki zamka, dziurki od klucza, czegokolwiek, druga ręka już w kieszeni szuka, czym otworzyć zamek. Potem palce napotykalają gładką, okrągłą płytkę, gdzie powinien być klucz, ale go nie ma. Serce we mnie zamiera. To zamek na zasuwę.

Coraz trudniej oddychać. Wołam do Angeli, ale ona mnie nie słyszy przez narastający huk płomieni.

Pachnie starym drewnem i tynkiem z końskim włosiem, kiedy ogień przepala ściany herbaciarni nad nami. W gorącym powietrzu unoszą się zarodniki pleśni. Czuję zapach kwiatów lawendy, które Eva suszyła na stojakach, kwiatów, których zapomniałam wyrzucić.

I wtedy przypominam sobie inspekcję domu. Pośredniczka od nieruchomości mówiąca mi, że to połowa problemu. Stęchlizna w piwnicy od schnących kwiatów. Wiszących do góry nogami niczym flaga rozpaczy.

„Kto suszy kwiaty w piwnicy?”. Zirytowała mnie, kiedy zadała to pytanie, jakby uważała Evę za głupią czy zdzieciniałą staruszkę. Ale muszę przyznać, że sama też się zastanawiałam. Kto suszy kwiaty w piwnicy? Odpowiedź brzmiała: nikt. W każdym razie nikt przy zdrowych zmysłach. Nie Eva. To następna rzecz, która przerywa wzór, która się wyłamuje, oczywiście kwiaty. Kto jak kto, ale Eva postępowała logicznie. Klucz do zasuwki znajduje się w spleśniałych suszonych kwiatkach.

Chwytam pęczki jeden za drugim, ściągamy je z haczyków, potrząsam nimi tak samo, jak Beezer potrząsał dzwoneczkami w ostatnie święta Bożego Narodzenia, kiedy byliśmy dziećmi. Potrząsam każdym pęczkiem powoli, starannie, jakbym się spodziewała, że któryś wyda inny ton.

Nad nami belka z trzaskiem przebija podłogę, wstrząsa domem aż po fundamenty. Angela odskakuje. Słysząc odległe zawodzenie syren strażackich. Zbliżają się, ale jeszcze są za daleko.

– Co ty robisz? – Angela wpada w szal. – Musimy stąd uciekać!

Myśli, że mi odbiło, bo stoję i potrząsam kwiatami, kiedy dom się wali wokół nas. Boi się, że to prawda, co o mnie slyszała. Zaczynam podejrzewać, że ona ma rację, bo wciąż nie znajduję klucza. Teraz ciągnie mnie za ramię. Chce się wycofać, może wrócić tą samą drogą. Ale za późno. Całe piętro nad nami stoi w ogniu. Angela wali pięściami w klapę, napiera całym ciałem, krzyczy do gapiów, wrzeszczy na nich. Albo jej nie słyszą, albo wolą nie słyszeć. Potem pada na podłogę obok mnie, zalana łzami.

– Umrzemy tutaj! – zawodzi.

Sięgam po ostatni pęczek kwiatów, ledwie go widzę przez gęstniejący dym. Potrząsam mocno i klucz spada na podłogę. Wymacuję go, zaciskam na nim palce, drugą ręką przesuwam po drzwiach, aż znajduję zasuwę. Powoli, ostrożnie wkładam klucz do zamka i przekręcam w prawo. Rozlega się szczęknięcie, drzwi odskakują.

– Wchodzimy – mówię, chwytam Angelę za rękę, ciągnę ją, na wpeł prowadzę, na wpeł dźwigam, aż jesteśmy w środku, zamykam drzwi za nami, odcinam się od inferna, które teraz szaleje w piwnicy.



Angela zna ten pokój. Przesuwa się wzdłuż ściany w głębi, aż znajduje latarkę. Słabo świeci. W pierwszej chwili zakładam, że baterie się wyczerpały, ale to nie wina baterii, tylko dymu.

To bardziej jaskinia niż ukryty pokój, nora wydrążona w ziemi, ze ścianami wzmocnionymi przez drewniane wręgi starych statków. Podłoga brukowana kocimi łbami, bruk urywa się nagle w miejscu, gdzie budowniczym zabrakło kamieni i nie mogli ukraść więcej z ulic Salem.

Są tu również skarby: kość słoniowa – rzeźbiony trzonek noża, którego ostrze zardzewiało i rozsypało się w kopczyk rudego pyłu. Nóż spoczywa na starej drewnianej skrzynce na przyprawę, z rodzaju tych, jakie widywałam w domach starego Salem, o ściankach wypaczonych od wilgoci. W kącie stoi stare drewniane łóżko z naciągniętymi na ramę sznurami zamiast sprężyn. I wszędzie mnóstwo chińszczyzny, z pewnością zrabowanej, kiedy przodkowie G.G, przerzucili się na korsarstwo. Prawdopodobnie zbyt znanej albo zbyt trefnej, żeby się nią chwalić na gorze.

Oprócz niektórych chińskich ozdób większość przedmiotów w tym pokoju jest uszkodzona. Zauważam to. Wszystko inne w końcu zabrano na górę i wykorzystano. Zostały przedmioty mało funkcjonalne. Z wyjątkiem łóżka. Łóżko zostawiono tutaj dla ludzi, którzy czekali.

Pokój jest wypełniony oczekiwaniem. I strachem. Wyraźnie czuję jedno i drugie. Oczywiście teraz obie się boimy, ale tutaj mieszka nie tylko nasz strach. W tym pokoju niewolnicy czekali na wolność. Ostatni przystanek w podróży na północ. Czekali tutaj i nigdy nie wiedzieli, czy się stąd wydostaną, czy zginą. Zaufali abolicjonistom, pochodzącym z tej samej krwi, zaledwie kilka pokoleń później, co właściciele statków, którzy ich tutaj przywieźli i sprzedali w niewolę. Zaufali ludziom niegodnym zaufania. Nie mieli innego wyboru. Pozostało im tylko wierzyć, że historia zatoczy pełny krąg, jak musi uczynić

wszelkie zło, zanim napotka swój ostateczny koniec.

W tym pomieszczeniu unosi się strach. Ale jest również nadzieja. Widzę ją – tam, po drugiej stronie pokoju, w małym czarnym otworze, który prowadzi w dół, w stronę wolności. Nadzieja jest w tunelu.

– Nie możemy tutaj zostać – mówię i widzę, że Angela siada na łóżku. Widzę, jaka jest zmęczona.

– Jest przyływ – odpowiada, wiedząc, jaki popełniła błąd.

– Nie możemy stąd wyjść, dopóki woda nie opadnie. Podczas przyływu całe wejście do tunelu jest zalane.

Mówi, że chce spać.

– Tylko na chwilę. Jestem wykończona.

Ma rację co do przyływu. Zapach wody dochodzi aż tutaj. Ale dochodzi również zapach dymu, o wiele mocniejszy. Nie ze zmęczenia Angela zrobiła się senna, tylko od dymu.

– Chodź! – nalegam i podnoszę ją z łóżka.

Ona chce zaczekać. Aż nas uratują. Ale pokój wypełnia się dymem. Dym już na nią działa. Wydaje jej się, że myśli logicznie, ale to nieprawda. Nie możemy czekać, aż nas uratują, nawet jeśli ktoś im powie, że jesteśmy w domu. Jeśli po nas przyjdą, wejdą na taras. Powiedziałam, że tam będziemy. Nawet jeśli zajrzą do piwnicy, nie znajdą nas. Nikt nie wie o tunelu.

– Chodź – powtarzam. – Nie możemy tu zostać.



Szczury wyprzedzają nas w tunelu. Staram się nie patrzeć na nie. Przepychają się po bokach, wszystkie uciekają w tym samym kierunku, jak najdalej od dymu.

Oprócz skrobania szcurzych pazurów w tunelu panuje ci-sza. Kiedy zatrzymujemy się na odpoczynek, dym nas dogania.

Tutaj, w pewnej odległości od pożaru, Angeli łatwiej się oddycha.

– Może zaczekamy – mówi, trochę podniesiona na duchu.

– Kiedy dojdziemy do końca tunelu... może zaczekamy na odpływ.

– Może – mówię, żeby nie odbierać jej nadziei. Ale dym jest tuż za nami. Nie możemy czekać.

Woda sięga nam do kostek. Biorę latarkę od Angeli, świecę do przodu. Widzę, jak wejście do tunelu się zwęża, maleje, kiedy woda wokół nas się podnosi.

– Jak daleko do końca? – pytam.

Albo nie potrafi, albo nie chce odpowiedzieć.

– Na oko – mówię.

– Nie wiem... jakieś pięćdziesiąt jardów?

– Połowa boiska futbolowego?

Przytakuje.

– Mniej więcej.

– Prosto czy skręca?

– Prosto – odpowiada – ale nie możemy...

Teraz woda sięga nam do pasa. Szczury przed nami się zatrzymały. Tunel ma teraz tylko stopę wysokości. Półksiężyc powietrza. Szczury się poddały. Przywierają do ścian jak najbliżej tafli wody. Dotarły tak daleko, jak mogły. Dotarły do końca.

Za nami dym kłębi się i powoli pełźnie do przodu.

– Nie wejść tam – mówi Angela. – To samobójstwo wchodzić do wody.

Ale wtedy widzi dym. Ukradkiem podpełzający coraz bliżej.

– Nie mamy wyboru – mówię i patrzę na szczury. Pokazuję jej Angeli.

W jej oczach widzę własną historię. Słyszała opowieści o mnie. Sądzi, że popełniła kolejny wielki błąd, że powierzyła swoje życie wariatce.

Widzę, jak o tym myśli.

– Nie dam rady – szlocha. – Nie dopłynę tak daleko pod wodą.

– Ja dopłynę – odpowiadam.

Woda podchodzi nam do piersi. Za blisko do szczurów. Patrzy na nie, a potem na mnie. Wie, że jestem dla niej jedyną szansą.

– Nie pływ – mówię do niej – nie wiosłuj rękami. – Kiwa głową. – Nawet nie ruszaj nogami. – Znowu kiwa głową.

Pokazuję jej, jak to się robi. Jak zrobić wdech i wydech. Przed długim nurkowaniem. Najpierw wydechasz całe powietrze, żeby zaczerpnąć jeden głęboki oddech, który wystarczy na dłużej.

– Boże, pomóż mi – mówi Angeli, ciągle wierząca.

– Boże, pomóż nam obu.

Wydechamy wszystko. Biorę jeden palący oddech, wypycham ją do wody. A potem się zanurzam.



Chwytam ją za włosy. To jedyny sposób. Kazać jej się rozluźnić i chwycić ją za włosy. Zębami, żeby obie ręce miała wolne. Stopy na zmianę kopią i odpychają się od dna albo od ścian tunelu. Powoli przesuwiają nas do przodu.

Wydaje się, że trwa to godzinami, latami, całą wieczność w tej czerni. Czuję Angelę pod sobą albo obok siebie. Martwy, bezwładny ciężar, który pozwala się ciągnąć.

Płuca mnie bołą. Czas się zmienia.

Czerń jest wszędzie. Od dawna nie dotknęłam ściany. Ani podłogi. Może tunel się poszerzył. Nie przestawaj, myślę, trzymaj rytm.

Tracę czucie, nie czuję wody, jej zimna.

Zgubiłyśmy się. Wszędzie wokół nas jest tylko pusta ciemność, ogromna, rozciągająca się bez końca we wszystkich kierunkach. Po raz pierwszy uświadamiam sobie, czym jest śmierć. Nie fantazja, tylko rzeczywistość. Nie koniec bolesnego życia, tylko nieskończona nicość.

Angela miała rację. To samobójstwo. Upadek Lyndley. Skok z mostu Golden Gate. Płynę na księżyc. To jest śmierć, której zawsze pragnęłam, jak mi się wydawało, której szukałam każdego dnia, odkąd skończyłam siedemnaście lat. Teraz wreszcie jest moja, jeśli zechcę. Nicość otacza mnie ze wszystkich stron.

I nadchodzi chwila, kiedy się poddaję. Zaczynam umierać. To takie łatwe. Spocząć tutaj, wśród muszelek i gładkich kamieni. Byłam już tutaj przedtem i było idealnie. Spokojnie. Ale nie teraz. Już nie. Bo już tego nie chcę. Lyndley tego pragnęła, nie ja. Nie chcę umierać w wodzie i nie chcę umrzeć w tym tunelu. Próbuję tego chcieć. Ale nie mogę. Muszę uratować Angelę. I jej dziecko. I po raz pierwszy w życiu zaczynam rozumieć, że muszę uratować również siebie.

Włosy Angeli wyslizgują mi się z zębów. Sięgam po nie, chwytam zwoje w garść, uwalniając wszystko, co ukryte. Podobnie jak włosy May, włosy Angeli zawierają tajemnice. To koralowa sieć, która zagarnia w siebie magię, a potem oddaje skarby po jednym: *milagros*, mantyla, obrazek Matki Boskiej. Wszystkie schwytane w koronkową sieć włosów, wszystkie wskazujące drogę.

Popycham Angelę przed sobą, widzę koronkę jej włosów, przez którą prześwieca blask. Konik morski płynie przed nami w sieć światła. To ten sam konik morski, którego po raz pierwszy widziałam we włosach May jako dziecko. Rozumiem teraz, że to jest mój symbol, więc płynę za nim w sieć i dostrzegam coś w oddali... i widzę... słabą zieloną poświatę. Potem, kiedy zagarniam rękami wodę, włosy Angeli przesuwają się na bok, ale poświata zostaje. Znalazłyśmy wyjście z tunelu. Płyniemy w stronę światła.

Wynurzany się na powierzchnię w hangarze. Pod dokiem. Wpycham Angelę przed sobą. Łapiemy powietrze.



Pomagam jej wejść na górę, na strych. Siada na łóżku, przekręca się na bok.

– Nic ci nie jest? – pytam.

– Chyba nic – odpowiada, chociaż widzę, że źle się czuje. Znowu się przekręca, jęczy.

– Wezwę pomoc – mówię i otwieram okno, żeby wpuścić trochę światła.

Z trudem kiwa głową.

W dokach jest budka telefoniczna. Schodzę po schodach i widzę wyznawców w długich szatach. Siedzą po drugiej stronie kanału, na ławce, którą zwykle zajmuje kilku starszków. Starszkwowie zwolnili ławkę. Poszli obejrzeć pożar, jak wszyscy w mieście. Na ich miejscu siedzi trójka kalwinów, spoglądających w stronę hangaru. Potem, kiedy patrzę ponad wodą na molo naprzeciwko, widzę ich więcej. Wylewają się z domu. Pochodnie wciąż płoną. Motłoch. Podpala trawę, budynki, wszystko, co się zajmie ogniem.

Wbiegam z powrotem po schodach. Angela klęczy.

- On po mnie przyjdzie, wiem, że przyjdzie – mówi.
 - Kto?
 - Wielebny Cal.
 - Cal siedzi w więzieniu – mówię.
 - Nie, wcale nie, wyszedł. Powinien tu przyjść. Wielebny Cal przyjdzie po mnie. Jedziemy do Las Vegas. Pobieramy się.
 - Wstawaj. – Pomagam jej się podnieść z łóżka.
 - Powinien już tu być, mówili, że przyjdzie. – Wygląda przez okno, przepatruje tłum. – Wielebny Cal przyjdzie. Obiecał.
 - Odsuń się od okna! – Chwytam ją i odciągam.
- Angela zaczyna płakać. Wzrok mnie zawodzi. Widzę...



Lyndley stoi w tym samym miejscu. Płacze. Nasze pierwsze wspólne lato. Mamy trzynaście lat. Ciągłe powtarzamy, jak to dobrze, że już jesteśmy nastolatkami, że wszystko się teraz dla nas zmieni na lepsze, ale wszystko już się zmieniło, tamtego lata. I nie na lepsze. Jest okropnie. Czuję jej ból. Okropne rzeczy się stały. Rzeczy, o których nie mogę mówić ani nawet myśleć. Stały się z Lyndley, ale ja też je czułam: w jakimś ciemnym bliźniaczym miejscu czułam każde bicie, wiedziałam za każdym razem, kiedy Cal przychodził do jej łóżka. Powiedziała, że wytrzyma. I ja jej uwierzyłam. Wytrzyma, dopóki jesteśmy razem, dopóki mieszka z nami na wyspie. Tak powiedziała, ale myliła się. Nie mogła wytrzymać. Nie mogła wytrzymać więcej ode mnie.

Musimy komuś powiedzieć, szepnęłam.

On mówił, że przestanie. Obiecał.



Do rzeczywistości gwałtownie przywraca mnie wycie syren kolejnych wozów strażackich, pędzących do Salem ze wszystkich okolicznych miast.

Pochodnie przesuwają się do przodu. Ognie płoną teraz na ulicy prowadzącej od domu Evy. Tylne podwórze. Szopa.

Zbliżają się do nas.

To wszystkie rasy, wszystkie religie. To halucynacje. Przebłąski. Rozjuszony motłoch: farmerzy dotknięci nieurodzajem, sąsiedzi z martwo urodzonym dzieckiem. Wszyscy, których życie skrzywdziło lub rozgniewało dostatecznie mocno, żeby zaczęli szukać winnego.

– Co zrobimy? – Angela odwraca się do mnie.

Jakbym знаła odpowiedź. Jakbym znała jakiegokolwiek odpowiedzi.

A potem ją widzę. Odpowiedź. Przychodzi natychmiast, jest wszędzie wokół nas. Jest w blasku księżyca złocącym dach Urzędu Celnego. Myślę o Hawthornie i opowieściach, które pisał, siedząc tam przy biurku. Nawet kiedy wyjechał z miasta, nie mógł się uwolnić. Pisał ciągle o Salem.

I myślę o Ann Chase. O tym, co powiedziała o kalwinach w wieczór po pogrzebie Evy. „Nie chciałabym ich boga, skoro jego wyznawcy tak się nas boją. Co to za słaby, tchórzliwy bóg?”.

Wracam pamięcią do Ann i pierwszego czaru, który rzuciła na naszych oczach. Lyndley i ja siedziałyśmy w zatoce za molem i podglądałyśmy z ciemności. Chichotałyśmy, patrząc, jak Ann i jej hipisowskie przyjaciółki unoszą ręce do księżyca w pełni i tańczą w kółko na końcu mola. Odprawiają miłosne czary. A my się śmiejemy, bo chociaż ich nie słyszałyśmy z tej odległości, wyglądały cholernie głupio, jak prawdziwe

wyznawczynie, kiedy tak tańczyły w koło z rękami uniesionymi do księżyca w pełni, przywołując miłość swojego życia. Pamiętam, jak myślałam, że chociaż są od nas starsze, wydają się takie młode i naiwne, i łatwowierne. Bo świat nie działa w ten sposób, nawet dla prawdziwie wierzących.

– Co zrobimy? – szlocha Angela, kiedy kalwini się zbliżają.

– Damy im to, czego oczekują.

Patrzy, jak podnoszę ręce do księżyca w pełni.

– Podnieś ręce – rozkazuję jej i ona słucha.

„Postawię na mojego Boga przeciwko waszemu bogu w każdej chwili” – mówię do kalwinów. Nie do ich boga się modłę ani do żadnej bogini Ann. Bóg, do którego zanoszę modlitwy, nie jest ani męski, ani żeński. Mój Bóg istnieje poza wszelkimi ludzkimi sprawami, mój Bóg zabiera cię stąd, kiedy już nie masz dokąd pójść.

– Proszę – modłę się.

Angela i ja stoimy z uniesionymi rękami. Nasze dłonie nurzają się w świetle, które brałam za blask księżyca w pełni, ale teraz widzę, że to nie jedno światło, lecz wiele. Liczne światła zmierzają ku nam w uporządkowanej formacji, zawieszony tuż nad wodą niczym miniaturowe UFO.

Kalwini też je widzą. I zatrzymują się, tak po prostu. Mężczyźni w długich szatach, którzy brnęli przez wodę, teraz bezładną gromadą ustępują z drogi. Patrzę, jak formacja znowu zmienia kształt i staje się światłami ze szczytu mostu Golden Gate.

„Zaufaj swojemu darowi”. Słyszę w głowie głos Ewy... i wtedy zaczynam się śmiać.

Angela widzi sukces, ale nie chwyta dowcipu. Nie chodzi

o to, że nasze modlitwy zostały wysłuchane, ale że zostały wysłuchane tak błyskawicznie i tak gruntownie, z taką elegancją i wyczuciem ironii, na jakie stać tylko prawdziwego Boga. Ponieważ kiedy poprosiłam o pomoc, Bóg zesłał mi symbole mojej własnej zguby. Najpierw księżyc. Teraz most Golden Gate. Chociaż zrozumiałam, że się myliłam w kwestii tego, co widziałam. Obrazy nigdy nie były fałszywe. Zawiodła tylko moja interpretacja. Skarby w wodzie wcale nie symbolizowały mojej śmierci, tylko moje przetrwanie.

A potem dźwięk przecina ciszę, niezbędny ryk – most Golden Gate zamienia się w statek wycieczkowy, który skręca do kanału pomiędzy hangarem na łodzie a nabrzeżem Derby. Kalwini gramolą się z powrotem na brzeg i zmykają z trasy wielkiego statku, pełnego pijanych imprezowiczów i głośnej muzyki, wszystkiego, za co kalwini pokutują. Statek wycieczkowy zawija do portu.

– Skacz! – rozkazuję.

Skaczemy do wody, kiedy statek przepływa pomiędzy nami a kalwinami, zasłania im widok. Skaczemy, kiedy inni mężczyźni w długich szatach pojawiają się na tyłach hangaru, ci sprytniejsi, którzy przeszli suchą nogą, zamiast przepływać pomiędzy jednym a drugim nabrzeżem. Wyłamują drzwi i wpadają do hangaru, żeby się przekonać, że zniknęliśmy, żeby potwierdzić swoją wiarę w naszą moc, żeby paść na kolana, bić się w piersi i modlić się o zbawienie od takich jak my.

Nikt nie widział, jak skaczemy. Kapitan statku jest zbyt zajęty próbą cumowania. Imprezowicze patrzą nad naszymi głowami w stronę miasta i domu Evy, zafascynowani migającymi światłami, wozami straży pożarnej i dymem, który zmienił teraz barwę z czarnej na białą, kiedy strażacy wreszcie zaczęli gasić ogień.



Nie oglądamy się za siebie. Płyniemy razem, Angela i ja.

Przy ujściu zatoki znajduję małą łódkę rybacką. Ledwie starcza mi sił, żeby wciągnąć do niej Angelę, która opada na dno, zdyszana i wyczerpana.



Blask księżycy rysuje ścieżkę prosto do Wyspy Żółtego Psa, oświetla nam drogę. Noc jest piękna, jedna z ostatnich ciepłych nocy lata. Pogodna tutaj, w zatoce, ale mglista na otwartym oceanie. Wyspa leży tuż za wałem mgły. Księżyc w pełni prześwieca przez zwiewne opary, mętna latarnia morska wskazująca drogę prosto do Back Beach.

Magia jest z nami. To pora przyływu, odpowiedni księżyc. Wpływamy na Back Beach na fali przyływu, w morzu migotliwej fosforescencji.

Każę jej zostać w łodzi. Kilka psów wybiegło z jaskiń, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale nie podchodzą.

– Nie zrobią ci krzywdy – zapewniam. – Pójdę po May.

Angela kiwa głową, ufa mi. Ledwie się rusza, ale widzę w łodzi trochę krwi i mnóstwo wody. Zaczyna się poród.



Biegnę przez plażę nową ścieżką, omijam miejsce, gdzie ocean zaczyna podmywać klify, odbierać swoją własność.

Na szczycie ścieżki odwracam się w lewo, tyłem do domu ciotki Boynton z rozwalonym gankiem, w stronę odległych światła domu May na drugim końcu wyspy.

Przecinam boisko do baseballu, kierując się do gruntowej drogi. Mijam kamienną psiarnię po prawej stronie. Skalne iglice, z których skoczyła Lyndley, wznoszą się jak forteca po lewej.

Widzę stary samochód, pnącza wistarii zarastają rozbitą przednią szybę, owijają się wokół anteny.

I coś mnie zatrzymuje, jakaś obecność. On opiera się o samochód. Ledwie go widzę, nieogolonego, w dżinsach i podkoszulku. Ale jego obecność nie ulega wątpliwości. Dreszcz przenika mnie od stóp do głów. Staję jak wryta.

– Sophya – mówi on.

Podchodzi do mnie, zastępuje mi drogę. W jego głosie brzmi ton autorytetu. Wymawia moje imię w taki sposób, że teraz rozumiem, dlaczego je zmieniłam, dlaczego musiałam. Nie mogłam znieść dźwięku własnego imienia. Dlatego, że on tak je wymawiał, sycząco, wężowo. Sophya to imię, które można wyszeptać w nocy. Bardzo cicho, żeby nikt inny nie usłyszał. Tak cicho, żeby nawet nie zbudzić mojej matki.

Stoję na horyzoncie, gdzie zbiegają się wszystkie linie. Wszystkie linie perspektywy, które poprowadziłam od każdej powierzchni mojego życia. To jest martwy punkt. Każda nić wychodzi z tego punktu i każda nić do niego wraca.

Byliśmy już tutaj. Wiem, co się stanie. Wcale się nie dziwię, kiedy zaczynają się pojawiać psy.

Na skałach stoi Biz, za nim inne. Naliczyłam dziesięć, potem dwadzieścia, potem więcej. Wyłażą z kryjówek cicho, bezgłośnie. Cal nawet nie wiedział, co się dzieje, dopóki go nie okrążyły. Kiedy wreszcie je widzi, na jego twarzy pojawia się zgroza, ale również rozpoznanie. Byliśmy już razem w tym martwym punkcie, Cal i ja. Cal na łodzi, którą ukradł w San Diego. Odwodniony i konający. Zagubiony na morzu. A ja

zagubiona tutaj, na tej wyspie, w tym samym punkcie gdzieś w czasie. Doznaliśmy tej samej wizji, tej samej halucynacji. Oboje ujrzeliśmy to samo zakończenie. I oboje wiemy, że ja wiąże tę koronkę. Oboje wiemy, że wszystko, co się odtąd stanie, zależy ode mnie.

Psy go osaczają. Tak samo jak wcześniej osaczali nas mężczyźni w długich szatach. Zbliżają się po cichu. Błyszcą ślepią psów, lśnią obnażone zęby.

- Przyjechałeś zabrać Angelę – mówię.
- Tak – potwierdza – przyjechałem po nią.
- Nie możesz jej zabrać.

I po tych słowach psy atakują. Rzucają się na niego, zanim zdąży powiedzieć coś więcej. Szarpią jego ubranie, jego ciało. I jak we śnie wiem, że mogę je powstrzymać. Tym razem znam słowo. Ale tym razem nie wiem, czy chcę go użyć.

A potem pojawia się Angela. Podchodzi do Cala, próbuje go zasłonić przed psami.

- Stop! – krzyczy na nie, ale tylko bardziej je rozjusza.
- Odejdź! – krzyczę do niej.

Ona się nie rusza. I widzę w jej oczach to, co May zobaczyła tamtej nocy w oczach cioci Boynton. Co sprawiło, że nie mogła pociągnąć za spust i położyć kresu temu wszystkiemu, że zmarnowała szansę, którą jej dano.

Z niewiadomych powodów Angela kocha Cala Boyntona. Kocha go wystarczająco, żeby za niego umrzeć.

- Proszę! – płacze teraz, próbuje się do niego zbliżyć.

Jeden z psów zwraca się przeciwko Angeli, gryzie ją w przedramię. Widzę płynącą krew.

Przepełnia mnie wstręt. Do niego i do niej. Cały gniew dzieciństwa wylewa się ze mnie i przez chwilę myślę, że oni

powinni umrzeć razem. Że są siebie warci. Ale jest tutaj czwarta osoba. Widzę jej twarz. Jest tutaj z nami. Moja siostra. Widzę ją młodą i widzę, na kogo wyrośnie, jaka chce się stać, jeśli tym razem dostanie szansę. I jestem jej winna tę szansę.

– Stop! – krzyczę, wiedząc, że Angela użyła właściwego słowa, ale to słowo musi paść z moich ust. I wiedząc, że muszę naprawdę tego chcieć. – Stop! – wrzeszczę głośniej, tym razem naprawdę.

Świat zamiera. Psy przysiadają na zadach, jakby zatrzymane w stop-klatce, czekają, aż ktoś znowu puści film. Angela pada na wznak, szłocha. Cał leży na ziemi pomiędzy nami. Mocno krwawi.

– Wiedziałam, że po mnie przyjdiesz – mówi Angela i zaczyna się przesuwac do przodu. Potem widzi krew i nieruchomieje. Jak przecięta na pół, zgina się w pierwszych bólach porodowych.

Cał z trudem dźwiga się na nogi, chce do niej podejść. Mój wzrok osadza go na miejscu.

– Nic mi nie jest – mówi Angela, podnosząc rękę. Opiera się o głaz.

I widzę, że on też ją kocha. Chce jej pomóc. Widzę to w jego oczach. Ale chociaż bardzo tego pragnie, nie rusza się. Nie może. Kiedy wreszcie się odzywa, zwraca się do mnie. Ale nie mówi tego, czego się spodziewam. Nie mówi, że jestem opętana ani że wodzę go na pokuszenie, ani że to wszystko moja wina.

– Wybacz mi – mówi miękko. Tym razem to nie rozkaz. Raczej modlitwa.

Kałuża krwi zbiera się wokół jego stóp. Potem robi krok. W moją stronę. Wyciąga ramiona. Ma lzy w oczach.

Stoję nieruchomo jak posąg. Słyszę warczenie Biza, ale pies się nie rusza. Nie ruszy się, dopóki mu nie rozkażę, a inne nie zaatakują bez niego.

W głowie mam pustkę. Czuję, że Cal wyciąga rękę, czuję dotyk jego ramion, a potem słyszę trzask i czuję, że moje żebra pękają, kiedy padam na skały pod jego ciężarem.

Jesteśmy stopieni.



A później widzę May. Stoi tam ze strzelbą w ręku. Są z nią inne kobiety. Podchodzą, otaczają Angelę i widzę, że jedna z nich bierze ją pod rękę i prowadzi do kamiennej psiarni, najbliższego budynku. Angela płacze. To niski zwierzęcy dźwięk, wyrażający jednocześnie ból żałoby i ból narodzin. Kobiety otoczyły ją tak samo, jak otoczyły tamtą przestraszoną matkę z dziećmi pierwszego dnia, kiedy tu przyjechałam.

– Zadzwońcie do straży przybrzeżnej – mówi May. – Powiedzcie, że potrzebujemy helikoptera medycznego.

Odkłada strzelbę. Wytężając wszystkie siły, spycha ze mnie ciało Cala.



Jęki dochodzące z kamiennej psiarni zlewają się z szumem krwi w moich uszach. Narastają, przeradzają się w krzyki rodzącej kobiety. Całe życie przelatuje mi przed oczami. Z każdym jękiem Angeli coś ze mnie wypływa. Oddech i krew. Z każdym jękiem coś odchodzi coraz dalej. Umieram.

Wszystkie są tutaj. Wszystkie kobiety. Ciocia Boynton też. Kobiety z mojej przeszłości, nauczycielki, przyjaciółki. A potem

poprzez tłum widzę Evę. Siedzi z boku, na tym samym gładzie, z którego przed chwilą odeszła Angela. Pracuje nad czymś ze spuszczonego wzrokiem. Co ona robi? A potem mnie oświeca. Ona wiąże koronkę. Moją koronkę. Tę, którą mi wysłała przed śmiercią. Próbuje ją skończyć.

Walczę o oddech. Ciemność jest wszędzie. Mgła opada. Zakrywa księżyc i gwiazdy. Jest tak zimno.

I przez cały czas Eva pracuje. Przekłada klocek nad klockiem. Chcę, żeby podniosła wzrok, żeby na mnie spojrzała, ale ona ciągle wiąże koronkę. Rozumiem, że robi to dla mnie. Ale nie potrafi mi pomóc. Nie tym razem. Chcę, żeby podniosła wzrok, bo wiem o tym, nawet jeśli ona nie wie. Tym razem Eva mnie nie uratuje. Pomocy musi udzielić ktoś inny.



Najpierw słyszę dźwięki, cichutkie popierdywanie. Irytuje mnie, jest takie niestosowne. Potem widzę sandały. Podnoszę wzrok. Ona idzie przez tłum, rozpycha pozostałe kobiety. Pali jointa. Myślę, jakie to typowe dla Lyndley, jakie egocentryczne, że pali skręta i obija się, kiedy ja leżę umierająca. Jak zwykle zagarnia dla siebie całą scenę, spycha mnie w cień. Za strój służy jej narzuta. Nie przerobiona na spodnie, jak zamierzała, tylko udrapowana na ramionach niczym ogromny szal, za długi, który wlecze się za nią po ziemi, zbiera śmiecie i żdźbła trawy, i brud. Włosy ma długie i splecione w warkocz.

– Lyndley – mówię.

– Towner – odpowiada, jakby to było całkiem normalne, że leżę na ziemi i umieram. Nachyla się, żeby lepiej ocenić moje położenie, zaciąga się skrętem. I wtedy wiem, co ona zamierza.

Zamierza dmuchnąć na mnie dymem. Umieram, a ona chce mi wdmuchnąć dym w płuca, żebym złapała fazę razem z nią.

– Odpreż się – szepcze i wiem, że tego nie uniknę.

Czuję jej usta na moich. Nie mogę się odsunąć. Czuję, jak dym wpływa mi do gardła, drapie, pali.

Wyciągam rękę, żeby ją złapać za ramię, ale znowu znikła. Wytężam wzrok, próbuję ją zobaczyć, ale księżyc zaszedł. Opada na nas zbyt szybko.

Mgła się rozwiewa i zdaję sobie sprawę, że widzę nie księżyc, ale coś ruchomego. Potem słyszę dźwięk, jakby doganiający światło. To nie księżyc ani statek wycieczkowy. To coś wzbudza wiatr, kiedy opada, i widzę teraz wyraźniej. Podmuchał łopatek helikoptera rozpędził mgłę.

Patrzę, jak Lyndley odwraca się i odchodzi ode mnie w stronę kamiennej psiarni. Już czas. Ogląda się i uśmiecha, a potem wchodzi do środka, żeby wykorzystać szansę, którą jej odebrano tak dawno.

Próbuję wymówić jej imię, ale nie rozpoznaję już własnego głosu.

– Kto to jest Lyndley? – pyta May jedna z kobiet z Koła, kiedy słyszy, jak wymawiam imię siostry. Sanitariusze roją się wokół mnie. Kobieta ma cienki, zalękniony głos.

– Nie Lyndley – odpowiada May – tylko Lyndsey... siostra bliźniaczka Sophyi.

– Ona tu jest? – Dziewczyna rozgląda się dookoła. Widzi przechodzący cień. Podąża wzrokiem za moim spojrzeniem.

– Nie – odpowiada May. – Lyndsey tu nie ma. Urodziła się martwa.

Urodziła się martwa. Wiem. I nie wiem. To prawda i nieprawda jednocześnie.

Umieram. I w tej samej chwili w kamiennej psiarni moja siostra Lyndley wreszcie otrzymuje szansę, żeby się narodzić.

Psy zmykają do kryjówek, wszystkie oprócz Biza, który nie odchodzi ode mnie. W końcu May łapie go za obrożę, żeby nie pogryzł sanitariuszy, którzy zabierają mnie od niego, kładą na nosze i ładują do helikoptera.

CZEŚĆ SZÓSTA

Każda ukończona sztuka koronki jest odcinana od wałka i unoszona pod światło, i po raz pierwszy odślania swój delikatny wzór. Koronkę odcina się z wielką starannością i ceremoniałem. Kobiety zbierają się w kręgu i wstrzymują oddech, kiedy koronczarka przecina delikatne nitki lnu. Przypomina akuszerkę przy porodzie, przecinającą pępowinę, jest uważna i pełna wyczekiwania. Wreszcie, kiedy koronka zostaje odcięta, rozlegają się szmery zachwytu i podziwu. To chwila wielkiej radości dla tych kobiet, które razem zaszły tak daleko.

PODRĘCZNIK WRÓŻENIA Z KORONEK

Rozdział 33

Spędziłam w szpitalu Massachusetts General sześć tygodni. Jedno płuco mi się zapadło od pocisku ze strzelby, który przeszedł przez Cała na wylot i trafił we mnie. Zrobili mi sześć transfuzji.

Beezer i Anya wrócili z Norwegii. Siedzieli przy mnie całymi dniami, podobnie jak Rafferty, który nawet próbował przemycić Biza na salę szpitalną. Ale zawrócono go od drzwi. Więc stanął pod oknem i kazał mi wyjrzeć na chodnik, gdzie stał z Bizem na smyczy, i nawet stąd widziałam, że Rafferty już kicha. Powiedział, że zrobił to dla Biza, nie dla mnie, bo cholerny pies ciągle przepływał do miasta, żeby mnie szukać, ciągle go łapano i zamykano w schronisku. Więc musiał pokazać Bizowi, że jestem cała i zdrowa, żeby pies wrócił na wyspę i tam został. „I przestał wreszcie zawracać ludziom dupę”.

May przyszła raz. Porozmawiać z lekarzami. Powiedziała mi, że Angela urodziła dziewczynkę.

– Dała jej na imię Linda – oznajmiła May, patrząc na mnie. Jak powiedzieli jej lekarze, myślałam, że dziecko Angeli to moja siostra Lyndley. – Interesujący wybór imienia, nie uważasz? – dodała.

Angela i jej córeczka wyjechały. Tym razem nie na północ, ale na południe, do jakichś przyjaciół May w Georgii należących do Kolei Podziemnej, którzy jej pomogą. Teraz już nic jej

Kalwini też wyjechali. Grupa się rozproszyła, kiedy się dowiedzieli o śmierci Cala. Ale i tak by się rozpadli. Mieli do wyboru zniknięcie albo aresztowanie pod zarzutem licznych podpaień. Oraz usiłowania morderstwa. Opuścili miasto pojedynczo, porzucając szaty w miejskich śmietnikach albo na ławkach w parku. Rozpłynęli się w powietrzu, żeby nigdy nie wrócić.



Chodzę do trzech różnych psychiatrów oraz spotykam się z naukowcem z Harvardu, który pisze doktorat o prekognicji i zainteresował się moim przypadkiem. O ile mi wiadomo, nie postawiono żadnej diagnozy. Z pewnością w grę wchodzi zaburzenia dysocjacyjne. I poczucie winy osoby, która przeżyła.

May i lekarze pomogli mi wypełnić luki. Moja siostra bliźniaczka Lyndley urodziła się martwa. Naprawdę miała na imię Lyndsey, czy raczej takie nosiłaby imię, gdyby przeżyła. May wyjaśniła wszystko lekarzom i wiem, że mówiła prawdę, ponieważ jej słowa wzbudziły oddźwięk na jakimś poziomie, jak zawsze w przypadku prawdy. Moja siostra zmarła na skutek ciężkiego pobicia mojej matki przez mojego ojca, Cala Boyntona. Obie urodziłyśmy się przedwcześnie, ale tylko ja przeżyłam. Emma zawsze się obwiniała za śmierć Lyndley. To znaczy Lyndsey. Tak twierdzi May. Maltretowane osoby niejednokrotnie wierzą, że same są wszystkiemu winne. Zanim przyszliśmy na świat, Cal zdołał przekonać moją matkę, że większość zła na świecie dzieje się z jej winy.

May mówi, że pod tym względem Emma przypomina inne maltretowane kobiety. Często same się obwiniają. Bicie nie

zaczyna się z dnia na dzień. Na ogół spirala przemocy rozkręca się powoli. Niegrzeczna uwaga, coś obraźliwego, w co kobieta sama wierzy. Zaczyna się od podkopania kruchego szacunku do siebie. Potem izolacja. May widywała taki scenariusz wiele razy. Powolny proces, który sama ledwie zauważasz. Dopóki nie zacznie się prawdziwe bicie. Wtedy ofiara najczęściej została już zahukana i pozbawiona pewności siebie do tego stopnia, że nie jest zdolna do ucieczki.

W przyszłym tygodniu przyjeżdża do miasta kolejny specjalista. Ktoś wynaleziony przez Rafferty'ego, kto napisał książkę o terapii żałoby u bliźniaków. I następny, który specjalizuje się w długotrwałym wykorzystywaniu seksualnym dzieci. Najlepszego lekarza załatwiła mi moja własna dawna terapeutka, swojego kolegę z Harvardu. Zaczęłam do niego chodzić jeszcze podczas pobytu w szpitalu Massachusetts General, a teraz po wypisaniu jeżdżę do Bostonu dwa razy w tygodniu. Czasami jadę pociągiem. Czasami Rafferty mnie zawozi i wstępujemy do North End na lunch albo wczesny obiad i lody, jeśli on nie musi wracać do pracy.

Opłakuję Evę. Opłakuję moją prawdziwą matkę Emmę i wszystko, co ją spotkało. I Lyndley. Każą mi przeżywać swój żal, poczuć go. To trudne. Czasami wyrывa się na powierzchnię, ale tak się przyzwyczaiłam nic nie czuć, że nawet ból wydaje się odległy, jakby dotykał kogoś innego. Ale się staram.



Wycofałam dom z rynku. Nie mogę go sprzedać, jeszcze nie. Również z powodów praktycznych. Jedno całe skrzydło spłonęło w pożarze. Zadziwiająco, jak mało przepadło, zważywszy na zasięg i intensywność ognia. Około jednej czwartej domu się spaliło, między innymi herbaciarnia. Zatrudniłam

fachowca do odbudowy, kogoś poleconego przez muzeum Peabody Essex. Bardzo im zależy na odrestaurowaniu tuneli, jeśli zdołają przekonać miasto Salem, żeby ich nie zasypywało.

Podarowałam chińszczyznę muzeum. Co do reszty, zobaczymy. Na razie Biz i ja mieszkamy w powozowni. Biegamy tam i z powrotem do głównego domu, kiedy czegoś potrzebujemy, ale śpimy w małym domku, przytulnym i bardziej przypominającym jaskinie, do których pies jest przyzwyczajony.

Musimy zostać na proces May. Odbędzie się w przyszłym roku, prawdopodobnie na wiosnę.

Przy kilku okazjach spotkałam Ann Chase. Chce ponownie otworzyć herbaciarnię Evy, chociaż gdzie indziej, w jakimś centrum handlowym w śródmieściu. Ona i jej dziewczyny zaczęły wróżyć z koronek.

W ramach terapii zaczęłam malować. Przez długie godziny siedzę przed sztalugami, które Eva ustawiła dla mnie tego roku, kiedy stworzyłam „Popłynąć na księżyc”. Maluję zatokę i Błonia. Czasami próbuję malować kwiaty. W jednym wszyscy lekarze się zgadzają: że nie mam za grosz talentu. Ale namawiają mnie, żebym próbowała, przekonani, że talent tkwi gdzieś we mnie, podobnie jak wierzyli, że Lyndley we mnie była. Więc siedzę i maluję.



Robi się zimno. Jutro Halloween. Przez cały miesiąc z Bostonu do Salem kursował Pociąg Strachu, przywożąc turystów na najgorętszy okres handlowy w roku, jak się okazało. Ludzie w kostiumach potworów serwują przyjezdnym drinki. Czasami siedzę i patrzę na nich, i myślę o wolnej przedsiębiorczości, jaka bywa kreatywna. Nawiedzone domy mamy i taty na każdym rogu o tej porze roku, żaden przepis nie ogranicza ich

liczby. Ta ustawa nie przeszła. Upadła z tych samych powodów, dla których kalwini też by w końcu upadli, jak twierdzi Rafferty, gdyby sami się nie wykończyli. Upadła dlatego, że w ostatecznym rozrachunku Salem jest miastem tolerancji – religijnej, społecznej i nawet ekonomicznej. Wprawdzie nie osiągnęło idealnego pokoju. Coś takiego trudno sobie wyobrazić we współczesnym świecie. Ale w ostatecznym rozrachunku Salem jest miastem, które nie traktuje siebie zbyt poważnie, ponieważ nauczyło się wcześniej, jeszcze w siedemnastym wieku, do czego to może doprowadzić.

Limuzyny ustawiają się w szeregu przed hotelem Hawthorne. Dzisiaj wieczorem jest Bal Czarownic. Wielka gala i – jak twierdzi Ann – coś pięknego, najważniejsze wydarzenie towarzyskie sezonu.

Po drugiej stronie ulicy na Błoniach trzy tysiące dyń, wydrążonych i oświetlonych od środka, obramowuje ścieżki albo tkwi na gałęziach drzew. Niezły widok. Kilka dni temu zrobiło się za ciepło – temperatura wzrosła do dwudziestu pięciu stopni na dzień czy dwa – i Rafferty martwił się, że dynie zgniją i nie dotrwią do Halloween, i jego córka nie zdąży ich zobaczyć. Ale potem znowu się ochłodziło, więc nie musiał się martwić. Powiedział mi, że jego córka chce, żeby jej powróżyć z koronek, zawsze chciała. Ona nie wie, co się stało z Evą, po prostu widziała szylde Evy podczas którejś wycieczki do miasta i pomyślała, że fajnie byłoby poznać swoją przyszłość.

Dużo myślę o Jacku. Przeniósł się do Kanady, gdzie zawsze chciał zamieszkać. I myślę o Evie. Myślę nawet o Calu i zastanawiam się nad przebaczeniem. Wiem, że to konieczne. Piszą o tym w każdej książce, którą czytam. I doktor Ward tak mówi. Wybaczyc to znaczy wybaczyc przede wszystkim sobie. Tak właśnie mówi. Ale jeszcze nie wiem, jak przebaczać. Ani kto w końcu naprawdę potrzebuje przebaczenia.

Beezer i Anya zostaną na jakiś czas. Ciągłe mieszkają w Cambridge, ale często przyjeżdżają, żeby pomóc. Ona okazała się sympatyczniejsza, niż przypuszczałam. Chcą mieć dzieci. May jest zachwycona tym pomysłem. Chce zostać babcią. Mówi, że będzie lepszą babcią niż matką, a Beezer odpowiada, że to nic trudnego, ale nie wiem. May była dobrą matką dla Beezera, dawała mu wszystko, czego potrzebował. I była dobrą matką dla mnie, kiedy moja własna matka była zbyt słaba i poraniona, żeby odgrywać rolę matki.

Nie wiem, czy Emma zdaje sobie sprawę, co się stało. Albo czy w ogóle poznaje mnie jako swoją córkę. Czasami myślę, że poznaje, ale nie mam pewności. Wystarczy mi, że ja ją rozpoznaję. Że ona wciąż żyje i nawet wreszcie jest szczęśliwa w swoim świecie, tak jak go rozumie. Wszyscy otrzymujemy dary. Małe i duże.

W końcu przeczytałam swoje dzienniki. I książkę, którą napisała Eva: *Podręcznik wróżenia z koronek*. Rozchyłam kartki i widzę jej niewyraźne pismo. Każda stronica odsłania inny sekret, jak wtedy, kiedy byliśmy dziećmi i robiliśmy atrament sympatyczny z soku z cytryny, a potem trzymaliśmy kartki nad żarówką, żeby odczytać wiadomość. Robię, co mogę, żeby odświeżyć przewodnik, pogrubiam jej pismo. Puste miejsca imitują luki w mojej pamięci i pracuję nad zapełnieniem stron tak samo, jak pracuję nad uzupełnieniem własnej historii. Idzie pomału. Powolny proces. Dobre zajęcie na nadchodzącą długą zimę.

Podczas pracy zauważam jedną dziwną rzecz. Kiedy moje pióro przesuwam się po literach Ewy i słowa na papierze ciemnieją, stają się łatwiejsze do odczytania, mój obraz Ewy zaczyna blaknąć. Zupełnie jakby książka i autorka zamieniały się miejscami, jedna wysuwa się na pierwszy plan, a druga zanika.

Jednak wciąż jeszcze Eva czasami mnie odwiedza. Dzisiaj wносиłam coś po starych schodach i wpadłam na Evę, która po nich schodziła. Ubrana do pływania, w plażowym szlafroku i czepku kąpielowym, z ręcznikiem przewieszonym przez ramię. Ciągłe jeszcze to robi, chodzi popływać. Tylko wtedy ją widuję. Już nic nie mówi. Jej obraz zblaknął. Kiedy mnie mijają, uśmiecha się jak zawsze, a potem robi coś jeszcze, co zawsze robiła. Sprawdza kieszenie, jakby czegoś szukała.

Kładę rzeczy w pokoju Evy. Teraz w moim pokoju. Jestem trochę zmęczona. Postanawiam położyć się na chwilę na łożu z baldachimem, na krótką drzemkę, może sen. Nie boję się już snów: koszmary się skończyły. Na innych poduszkach leży wałek koronczarski, który Eva mi przysłała przed śmiercią. Podnoszę go i kładę na nocnym stoliku, żeby się położyć. Myślę o Evie szukającej czegoś w kieszeniach. Pamiętam kieszonkę w koronczarskim wałku; już tam zaglądałam. Zajrzałam w dniu, kiedy dostałam wałek, spodziewałam się listu i zdziwiłam się, kiedy go nie znalazłam. Teraz znowu sprawdzam, myśląc, że może coś przeoczyłam za pierwszym razem, może to właśnie Eva próbuje mi powiedzieć, kiedy ciągle sprawdza kieszenie. Ale kieszonka jest pusta. A potem znowu widzę Evę w wyobraźni. Sprawdzającą drugą kieszeń. Raz, dwa. Wszystkie podwójne. Ale te koronczarskie wałki tradycyjnie mają tylko jedną kieszeń. Wiem o tym. Tego się nauczyłam. Jednak obracam wałek na wszystkie strony i pod marszczeniem na drugim końcu znajduję drugą kieszonkę. W środku są małe nożyczki, które pamiętam z dzieciństwa, te, którymi Eva obcięła mi warkocz. Znajduję też list.

Kochana Towner

robię to. Płynę na księżyc. Skończę to, co twoja siostra zaczęła tak dawno temu. Nie potrafię wymyślić innego sposobu, żeby cię wyrwać ze spirali prowadzącej w dół, tylko ten jeden – popłynę na księżyc. Zrobię dla ciebie to, czego twoja siostra nie mogła. Zajmę twoje miejsce.

Żyj długo i szczęśliwie... i ufaj swojemu darowi. Jest prawdziwy.

Eva

Płacę przez długi czas. Kiedy wreszcie ocieram łzy, biorę nożyczki i odcinam koronkę od wałka. Podnoszę ją do światła, obracam dookoła, spoglądam z coraz to innej perspektywy na jej szalone wzory, widzę wszystkie niedoskonałości.

A potem mówię do Ewy te same słowa, które powiedziała do mnie przed wielu laty, kiedy obcięła mi warkocz. Może wtedy nie były prawdziwe albo ich prawda nie przetrwała. Ale teraz są prawdziwe. Słowa, które do niej mówię, to te same słowa, które powiedziała do mnie tamta temu: „Czar przełamany. Jesteś wolna”.

PODZIĘKOWANIA AUTORKI

Chciałabym podziękować następującym osobom:

- Alexandre Seros za długoletnią pomoc i przyjaźń.
- Mojej agentce Rebecce Oliver za wiarę i sprawienie, że to się stało. Brianowi Lipsonowi za wizję. Agencji Endeavor.
- Laurie Chittenden za to, że była taką orędowniczką tej historii. Laurie Chittenden i Clare Smith za nieocenione uwagi i inspirację. Wszystkim wspaniałym ludziom w wydawnictwie William Morrow/HarperCollins. I specjalne podziękowania dla Lisy Gallagher za przeczytanie manuskryptu na lotnisku Heathrow.
- Mojej matce June za jej zdolność przewidywania i dar jasnowidzenia, które kazały jej nakłaniać mnie do pisania. Mojemu ojcu Jackowi, który zawsze wierzył w dobrych ludzi. I w dobre psy. I we mnie.
- Pal and Pal: Whitley Barry i Emily Bradford za przeczytanie i skomentowanie niezliczonych szkiców, za ich niezachwianą wiarę i wspaniały dar ogrodu dla *Wróżb z koronek*.
- The Warren Street Writers: Jacqueline Franklin i Ginni Spencer za pięć lat wsparcia i rad.
- Diane Stern za pomoc.
- Kelley i Hall za ich ekspertyzę PR.
- Tami Wolff i klasie angielskiego APS na Deer Island za moje pierwsze czytanie.

– Remie Badwan za hojne dzielenie się rozległą wiedzą na temat branży wydawniczej.– Jimowi McAllisterowi za sprawdzanie historycznej wierności i szczegółów dotyczących Sa-lem.

– Wczesne wydanie: Tomowi Jenksowi za uwagi na temat. Edowi Chapmanowi i Normie Hoffman za wydawniczą eksper-tyzę. Również Laurze Vogel i Ruth Greenberg.

– I czytelnikom: Mandée Barry, Markowi Barry'emu, Su-san Marchand, Donnie Housh, Edowi Troctie, Marcii Goodste-in, Dottie Dennesen, Andy'emu Postmanowi, Jeannine Zwobo-dzie, Carol Casselli, Glorii Kelley, Jocelyn Kelley i Megan Hall.

...i ostatniemu, lecz nie najmniej ważnemu Bizowi, wiel-kiemu wojownikowi i wspaniałemu szczeniakowi.

SPROSTOWANIE AUTORKI

Wróżby z koronek to fikcja literacka. Niemniej opisy są bardzo realistyczne i wiele z tych miejsc naprawdę istnieje.

Jednakże niektóre z nich stanowią fikcyjne ekstrapolacje prawdziwych miejsc. Wyspa Żółtego Psa nie istnieje, ale jej położenie geograficzne i topografia bardzo przypominają prawdziwą wyspę Children's, gdzie niegdyś pracowałam. Dom Evy to kompilacja domu, który zamierzaliśmy kupić w Salem, domu, który w końcu kupiliśmy, oraz domu mojej babki, znajdującego się nie w Salem, lecz w Swampscott. Ogród Evy został zainspirowany ogrodami w historycznej rezydencji Ropes.

Koronczarki z Ipswich nie mają zwyczaju odcinać ukończonej koronki, ponieważ nitki są nawinięte na szpilki. Jeśli się przetnie nić, która tworzy koronkę, splot się spruje i cała robota pójdzie na marne. Eva wynalazła technikę przyszywania koronki do wałka, żeby zabezpieczyć splot podczas pracy. Fastrygę wykonuje się zwykłą igłą krawiecką i oddzielną nitką, którą później można przeciąć.

Pozwoliłam sobie dość swobodnie potraktować ramy czasowe powieści. Akcja osadzona jest w roku 1996, ale dodałam różne szczegóły z tej samej dekady, które uznałam za interesujące: dynie w parku, postęp w budowie statku „Przyjaźń” itp. Generalnie, kiedy opisuję wydarzenia historyczne, dokładam starań, żeby przedstawić je możliwie wiernie i dokładnie, o ile

nie naruszają integralności narracji (to jest powieść, nie podręcznik historii).

Bardzo przepraszam Rogera Conanta, któremu nigdy nie groziło usunięcie z piedestału za wulgarne zachowanie i który niewątpliwie byłby zbulwersowany takim pomysłem.

Och, i nigdy nie widziałam żadnych szczurów w pobliżu zatoki Salem (ani nigdzie w pobliżu Salem, skoro o tym mowa).